

PETER PIŠTANEK

RIVERS OF
BABYLON



KSIĄŻKOWE
KLIMATY

Peter Pišťanek

Rivers of Babylon

Z języka słowackiego przełożyła
Olga Stawińska

Książkowe Klimaty
Wrocław 2019

Tytuł oryginału: *Rivers of Babylon*

Redakcja: Kamila Buchalska, Olga Czernikow

Korekta: Michał Kunik, Anna Gądek

Projekt okładki: Tomáš Klepoch / Justyna Tarkowska – Mile
Widziane

© Peter Pišťanek, 1991

© for the Polish translation and for the afterword by Olga Stawińska,
2019

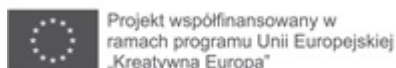
© for the Polish edition by Książkowe Klimaty, 2019

Published by arrangement with Slovart Publishing Ltd., Bratislava,
Slovakia

All rights reserved



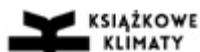
Książka została opublikowana dzięki finansowemu wsparciu SLOLIA
– Centrum Informacji o Literaturze w Bratysławie



Ten projekt został zrealizowany przy wsparciu finansowym Komisji
Europejskiej

Projekt lub publikacja odzwierciedlają jedynie stanowisko ich autora i
Komisja Europejska nie ponosi odpowiedzialności za umieszczoną w
nich zawartość merytoryczną

ISBN 978-83-65595-23-2



Książkowe Klimaty

www.ksiazkoveklimaty.pl

Redakcja: redakcja@ksiazkoveklimaty.pl

tel.691962519

Promocja: promocja@ksiazkoveklimaty.pl

Sprzedaż: sprzedaz@ksiazkoveklimaty.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Rivers of Babylon

Słowo od tłumaczki

W serii „Słowackie Klimaty” dotychczas ukazały się:

SIEJEMY FERMENT LITERACKI!

Dotychczas w „Serii z Winnicą” ukazały się:

Rudolfowi Slobodzie i Tiborowi Rencésowi

Tego ranka palacz budzi się w kotłowni z taką nienawiścią w sercu, że nawet jedzenie mu nie smakuje. Wyleguje się na drewnianej ławie, drapie po swędzącej skórze na wystających żebrach i patrzy tępo przed siebie. Nie zastanawia się nad źródłem tej nienawiści. Kotłownia jest ciemna, ściany poplamione i poobijane. Z ciemności wyzierają kotły. Są chłodne, dudni w nich wiatr. Wreszcie palacz wstaje. Dokłada do jednego z kotłów ogrzewających wodę. Długo spogląda w płomienie. Czerwony żar bijący z ziejącej żeliwnej paszczęki gasi w nim poranną złość i przywraca go do życia.

Wieloletnia praca w kotłowni hotelu „Ambassador” rozwiązała wyobrażenia palacza na temat sensu życia. Egzystencja mężczyzny została zredukowana do utrzymywania ciepła i do drobnych napraw systemu grzewczego.

Palacz nie ma żadnych istotnych relacji z innymi. Wcześniejsze, dotyczące niegdysiejszych związków z ludźmi, zwierzętami, rzeczami i poglądami, zniekształciła długotrwała izolacja. Jego trwanie ogranicza się do trwania kotłowni. Ogrzewanie hotelu „Ambassador” i pozostałych budynków podłączonych do tej kotłowni jest wszystkim, co go interesuje. W wyniku dobrowolnego odosobnienia palacz wpada czasem w trudny do opanowania gniew. Zdarza się to regularnie. W ten sposób zawsze kończy się okres, w którym palacz stara się, niczym pies pasterski, zagnać w jedno miejsce stado rozbieganych myśli czających się we wszystkich kątach jego nieskomplikowanej duszy. Za każdym razem gdy myśli zaczynają się kłębić i szorstkimi kocimi językami lizać jego umysł, palacz siada za odrapanym i rozchybotanym stołem z głową ukrytą w dłoniach, jakby się bał, że żrący strumień ułomnych, kalekich i nerwowych wizji rozwali jej kruchą konstrukcję. Myśli parują, wrą i wypychają palaczowi oczy na

zewnątrz. Nadciąga potężna, nie dająca się nijak ugasić nienawiść, od której palaczowi brakuje tchu w piersiach i od której robi mu się ciemno przed oczami.

Ta złość jest utrapieniem palacza. Nie odnosi się ona do żadnej konkretnej sprawy. Może być skierowana na niego samego – i to się zdarza. Kiedy palacz wpada w gniew i musi odreagować, wali się w potylicę tak mocno, że gwiazdy stają mu przed oczami. Albo z całej siły uderza słabymi palcami w krawędź stołu. Oczekiwanie na ból, pojawiający się zawsze dopiero po dłuższej chwili, przywraca palaczowi trzeźwe myślenie. Palacz odkrywa w sobie wówczas coś w rodzaju współczucia. Siada i szykuje się na przykre doznanie, które rodzi się w środku czaszki, gdy tylko bezbłędne i nieubłagane zakończenia nerwowe odbiorą bodźce i przetransportują je do mózgu przez wysuszone ciało mężczyzny. Ból jest gwałtowny i zmusza palacza do wsadzenia otłuczonych palców głęboko do ust. Tam, w ciepłe wydychanego powietrza, ból cichnie. Rozchodzi się po kościach czaszki i rozplywa w galarecie mózgu. A wraz z nim – nienawiść. Palacz czuje głód i postanawia natychmiast zaspokoić go pajdą chleba, kawałkiem słoniny i pękata czerwoną cebulą.

Donáth rozpoczyna sezon grzewczy z końcem lata. Coś, co wisi w powietrzu – coś, co nakazuje mu, by podniósł się z nieoheblowanej skrzypiącej ławy. Nikt w całym mieście jeszcze nie przypuszcza, że demon zniszczenia rozpoczął już swoje dzieło. Ludzie chodzą lekko ubrani, kąpieliska puchną od gości, sprzedawcy lodów i zimnych napojów nadal są rozchwytywani. Ale w oczach Donátha widać zgodę na obecną sytuację. On widzi to, czego inni nie dostrzegają: odrobinę ciemniejszy kolor liści platanów przed hotelem, zdechłego owada na skraju chodnika, zmiany w zachowaniu ptaków podskakujących wokół kontenerów w podwórzu i żebrzących o jedzenie.

Donáth energicznym krokiem obchodzi całą kotłownię.

Poranki bywają już mgliste, a niebo coraz częściej nabiera barwy sinostalowej. Jesień puka do blaszanych drzwi. Inni dostrzegają to dopiero teraz, ale Donáth już dawno otrząsnął się – jak ze snu – z sentymentów późnego lata. Zmusza swoje wypalone ciało do wykonywania szybkich, wyuczonych ruchów. Trzeba przygotować do zimy wszystkie urządzenia. W tym czasie nawet nie je. Wychudzony, pracuje albo stoi przy drzwiach i wydaje z siebie buczące, głębokie dźwięki, uderzając się w pierś zakrzywionym i stwardniałym palcem – jakby chciał dobitnie podkreślić, że ma teraz mnóstwo roboty. Każdemu, wszystkim mieszkańcom, od razu wyjaśnia: on, Donáth, jest pracowity. Teraz trzeba tylko zagrzać wodę. Dużo jej się tu zużywa. Goście często biorą kąpiel, należy spełnić ich oczekiwania. Donáth nie ma nic przeciwko temu. W zimie będzie grzał pod wszystkimi kotłami. Jest ich sześć. On, Donáth, może to udowodnić. Zdziera obcasy jak kelner. „Zapraszam do środka, jeśli ktoś nie wierzy”, mawia. Wszyscy chyba wierzą. Każdy śpieszy się do swojej pracy. Przez wywietrzniki kotłowni bucha gęsta para, przyjemnie pachnąca mydłem. Spocone Cyganki, ubrane tylko w fartuchy, ćmią na podwórku papierosy. Śmieją się Donáthowi w nos, z piskiem uciekają przed nim pomiędzy kopce węgla. Co jakiś czas podnoszą fartuchy i pokazują mu, że pod spodem nie mają majtek. „Nasze kotłownie już grzeją!”, krzyczą. Kto by wytrzymał w takim upale? Ale Cyganki interesują Donátha tylko wtedy, kiedy go słuchają. Sześć kotłów. Donáth wylicza je z przymkniętymi oczami. Jedyńka, dwójka – i tak dalej. Czwórka nie działa. Donáth może dołożyć do kotła. Zabronione! Strefa bezpieczeństwa. Ryzyko! Donáth wymawia to słowo z przyjemnością – wie, jakiej powagi mu ono dodaje. Powagi i trudnego do zdefiniowania uroku, właściwego ludziom, którym śmierć codziennie zagląda w oczy. Ryzyko. W kotłowni Donátha wciąż pali się węglem. We wszystkich okolicznych – mazutem lub gazem. Ta

jego, jak twierdzi Donáth, jest klasyczna. Kolejne słowo. Klasyczna. Ileż znaczenia i bezpretensjonalnego czaru w jednym słowie!

W kotłowni Donátha czas jakby się zatrzymał. W zimie panuje tu chłód, ale pomieszczenie rozgrzewają płonące grzyby ognisk. W ciemności, rozświetlanej od czasu do czasu nerwowymi błyskami płomieni, widać potężne, błyszczące sterty czarnego węgla. Kotłownia ogrzewa prawie całą jedną stronę ulicy, od hotelu „Ambassador” aż po skrzyżowanie. Ta ulica to same sklepy. Artykuły gospodarstwa domowego, drogeria, „Mototechna” i „Futronex”. Właściwie, do obowiązków palacza należy podtrzymywanie ognia pod pięcioma kotłami. Jeden nie działa. Zimy są srogie. Kotły trzeba co godzinę karmić czarną strawą. Za dnia, w nocy. Bez przerwy. Donáthowi to nie przeszkadza. Z żoną rozwiódł się już dawno temu, własnego domu nie ma, a mieszkać w hotelu robotniczym nie chce. Pracuje tu od wielu lat. Mieszka w pomieszczeniu gospodarczym za kotłownią, ale trudno go tam spotkać. Najwięcej czasu spędza w kotłowni. Tutaj też śpi, na ławie, za potężnym, odrapanym starym stołem. Węgiel ze składu ładuje na wózek i przywozi do kotłowni. Dorzuca do huczących kotłów. Popiół przesypuje do blaszanych beczek, polewa go wodą, a potem wywozi taczka na podwórko. Przez całą zimę sterczą tam szaroczarne kopce popiołu. Na wiosnę przyjeżdża ciężarówka i kilkoma kursami odwozi popiół do niedalekiej cegielni.

Donáth pracuje zupełnie sam. Kiedyś były cztery zmiany. Ale teraz, w epoce gazu i mazutu, nikomu nie chce się brudzić tłustym i ciężkim węglem. Kotłownia jest zadbana, a pracy nie brakuje. Donáth już dawno oznajmił swojemu szefowi, dyrektorowi hotelu „Ambassador”, że czuje się zmęczony i wyczerpany, że do końca lata jeszcze pociągnie, ale na zimę szef musi znaleźć kogoś nowego. On,

Donáth, ma dokąd pójść. Dyrektor namawiał go, żeby został, ale stary nie chciał słuchać. Od siedmiu lat powinien być na emeryturze, trzeba jeszcze trochę pożyć, zrelaksować się, odpocząć.

Donáth sprawdził kotły i siedzi teraz w piwnicy. Czekają na niego, który ma go zastąpić. Nikt nie przychodzi. Donáth pali w tym hotelu od pięćdziesięciu lat. Robota jest ciężka i wymagająca, ale on się nie skarży. Lubi ją i tak dalej. To prawda, że powinien już przejść na emeryturę. Ale wciąż pali. Szanują go. Drugiego takiego ze świecą szukać. W ostatnim czasie bywa jednak zmęczony. Czasem się upije, czasem go boli głowa. Ale on, Donáth, się nie skarży. Tak ma być, to część życia.

Jest dopiero koniec sierpnia, a w mieście już hula wiatr. Nadszedł czas, by posprzątać kotłownię. Tyle, ile trzeba, bez przesady. Po trzydziestce każdy ma w domu pajęczyny. Donáth mieszka tu sam. Pracuje non stop, bez przerwy. Kiedyś było czterech zmienników. Żyje tylko Donáth. Lata lecą, czasu nie zatrzymasz. Panie z góry, z księgowości, w dalszym ciągu rozliczają to tak, jakby tu się wciąż pracowało na cztery zmiany. Dwie wypłaty i wszystkie premie grupowe pobiera on, Donáth. Za przodownictwo pracy też. Konkuruje sam ze sobą. To on jest kolektywem. Wypłaty zostają na górze, w księgowości. Panie się nimi podziela.

Donáth zna tu każdą śrubkę. Stara szkoła. Jeszcze do niedawna skazałby na śmierć każdego, kto by mu chciał zabrać robotę. Ale lata lecą. Człowiek już nie jest taki sam. Co roku groził tym na górze, że odejdzie, ale nigdy nie myślał tego na poważnie. Starość go zmusiła. I miłość. Miłość na stare lata. Ci na górze pewnego dnia będą się musieli o tym dowiedzieć. On, Donáth, potrafi sobie wyobrazić, jak się będą złościć. Kto będzie palił? Oto jest pytanie. Donáth krąży w tę i w w tę i zamiata.

Do kotłowni wchodzi dyrektor hotelu z prawnikiem. Dyrektor jest

tępy. Szwagier pomógł mu ukończyć studia hotelarskie, a później załatwił pracę w „Ambassadorze”. Ale bez prawnika dyrektor nawet nie zawiąże sobie sznurówki. Prawnik robi Donáthowi wymówki. Dowiedział się, że Donáth chce odejść. On, prawnik, uważa, że to zdrada. Czy nie będzie mu przykro rzucić wszystkiego ot tak? Przecież podarowali Donáthowi takie piękne pomieszczenie gospodarcze. Wystarczy od czasu do czasu wypompować wodę. Nawet radio dostał. Też piękne. Na jedzenie nie wydaje ani jednej korony. Za jego, prawnika, plecami stołuje się w hotelowej kuchni – on, prawnik, przecież wie o wszystkim. Mruży oczy. O czymś nie wie? Ciepłe jedzenie, pomieszczenie, radio, dwie wypłaty, źle nie jest. Nie każdy ma takie szczęście.

Ale Donáth już podjął decyzję. Do zimy stąd zniknie. Później niech pali, kto chce, jeśli można tak powiedzieć.

Dyrektor hotelu też zabiera głos. Nie patrzy ani na Donátha, ani na prawnika. Mówi cicho o tym, że dla swoich pracowników chce być i przyjacielem, i wymagającym przełożonym. Może nie wszyscy rozumieją, że to, co robi, jest dla dobra wszystkich. Ale on nie odróżnia dobra wspólnego od prywatnego. Dokąd byśmy doszli, gdyby każdy wszystko tak dzielił? Systematyczna i świadoma praca z ludźmi zawsze przynosi owoce.

– Dziś rozumiem to ja – ciągnie dyrektor – jutro zrozumie reszta. Pojutrze zrozumie nawet największy tępak.

On, dyrektor, jest zdania, że należy dążyć do wyższych celów, a nie osiadać na laurach. Dążyć nie poprzez słowa, ale poprzez uczciwą pracę. Dążyć do samorozwoju. Oto motto dzisiejszego dnia. Oczywiście nie jedyne. Bez pustych fraz i wielkich słów!

Donáth kiwa głową. Poznał tu pewną kobietę. Stary człowiek potrzebuje miłości. Wszyscy ją znają – pracuje na zmywaku w kuchni. Ilonka Tóthová. Chcą wziąć ślub i przeprowadzić się do jej domku na

wsi. Nic szczególnego: cztery ściany, dach, okna gdzie trzeba, drzwi – tak normalnie. Żadne tam luksusy. Przed domem grusza, za domem świnia.

Prawnik to rozumie. Ale Donáth byłby śmieciem, gdyby nie postarał się znaleźć kogoś na swoje miejsce, kogoś młodego i głupiego. Koniec końców hotel „Ambassador” żywił jego, Donátha, przez ponad pięćdziesiąt lat. Znalezienie zastępstwa to minimum, które Donáth powinien zrobić dla hotelu. Niech nowego przeszkoli i wprowadzi w tajniki działania kotłowni. A potem hulaj dusza! W zimie będzie wolny!

Obaj wychodzą, nie czekając na odpowiedź.

Donáth się nie sprzeciwia. On, Donáth, nawet seksu nie potrzebuje – krzyczy za odchodzącymi. – Włosów nie ma, zębów nie ma, niedowidzi i ręce mu się trzęsą. Jemu, Donáthowi, wystarczy odrobina miłości i to, żeby mógł z kimś czasem porozmawiać. Jeszcze trochę pożyć! Inni żyją jak paniska! Kupują sobie aktówki, okulary, na co im tylko przyjdzie ochota. A on, Donáth? Cały jego majątek to jedno radio i pomieszczenie gospodarcze, z którego musi wypompowywać wodę za każdym razem, kiedy chce się położyć i przespać. On, Donáth, ma większe potrzeby. Co kiedyś wystarczało, teraz już nie wystarcza. Rosjanie prawie dotarli na Marsa, a on ciągle tutaj. Zimą wiecznie przy kotłach. Tych dwóch z góry nie wie nic o tych sprawach! Dyrektor hotelu jest nieudacznikiem. Całe dni spędza na głupich zabawach. A ten hapacz, prawnik, buty zdziera w pogoni za swoimi interesami.

Co godzinę, dwie trzeba dołożyć do rozzarzonego kotła. Poza tym: naprawiać wywietrzniki, odpowietrzać kaloryfery i robić inne drobne naprawy. Palacz jest więc także konserwatorem całego systemu grzewczego. W lecie bywa lepiej. Trzeba tylko podgrzewać wodę i wytwarzać parę dla kuchni i do sauny. On, Donáth, może sobie

pospacerować. Ale daleko nie odchodzi. Trzyma się hotelu. To poobserwuje samochody na strzeżonym parkingu „Ambassadora”, to skoczy do sklepu po kilka piw. Śpieszy się z powrotem do kotłowni. Puszczą radio i śpiewa razem z piosenkarzami. Albo idzie na podwórko pożartować z Cygankami z hotelu. Życie mija mu nie wiadomo kiedy.

Dyrektor siedzi w swoim biurze wśród wszystkich szpargałów, które przytaszczył z całego hotelu, i głośno rozmawia sam ze sobą. Nie potrafi zrozumieć, jak stary Donáth może chcieć odejść. Był przekonany, że po pięćdziesięciu latach hotel zyskuje pełne prawo własności do palacza. Jemu, dyrektorowi, który przez całe życie uciekał od rozwiązywania jakichkolwiek problemów, nawet się nie śniło, że kiedyś będzie musiał podjąć decyzję, i to odpowiedzialnie. Prawnik już go uświadomił, że nie można nikogo trzymać w pracy wbrew jego woli. Na to są, niestety, paragrafy.

Paragrafy! – przypomina sobie dyrektor i pulchną ręką rzuca o ścianę przyciskiem do papieru. Nie podoba mu się, że funkcjonowanie hotelu „Ambassador” zależy od widzimisię Donátha. Jak znajdzie zastępstwo, to znajdzie. Jak nie znajdzie, to nie znajdzie. Dyrektor intonuje smutną piosenkę. Po co się tu pchał, do miasta? Ech, najchętniej usiadłby sobie na pniu i beczynnym się pogapił. Kurwa, życie!

Dumny wiejski rzeźnik Kišš siedzi w izbie i ćmi fajkę. Jedno oko ma zmrużone. Przez okno obserwuje dwóch mężczyzn, którzy jadą prosić go o rękę córki. Młody Ráčz i jego stryj Endre. Cwają do majątku Kišša, zeskakują z koni, które olbrzymimi kopytami miazdzą trawę

i grzebiące w niej kury. Odważnie wchodzą do środka. Świeża, gładko ogolona twarz sprawia, że Rącz wygląda odświętnie.

Kišš spokojnie słucha gości. Kiwa głową, jakby właśnie usłyszał coś, o czym wie już od dawna. Odkasłuje. On, Kišš, można powiedzieć, żyje w dostatku. Umie zarobić. Nie do wiary, jaką ludzie potrafią dzisiaj wziąć robotę. Nic ich nie brzydzi. A więc młody Rącz chciałby jego, Kišša, córkę za żonę?

Rącz czuje, że powinien odpowiedzieć: „Tak. Właśnie tak jest. Chciałby. On kocha ją, ona kocha jego”. On, Rącz, odbył służbę wojskową, jest moralnie czysty. Czegoś tam już się też dorobił. Nie jest ani bogaty, ani biedny. Ma świnie, bydło, jest i koń. Prawie wierzchowiec, świeżo podkuty, dobry pod siodło, do wozu i do pług.

Endre mu przerywa. Natarczywie zapewnia Kišša, że chłopiec będzie posłusznym zięciem. Zawsze trzymano go krótko: ile razy coś przeszkrobał, dostawał po gębie. Rodzice spali na pieniądzach. Co z tego, skoro już po nich.

Kišš sobie przypomina. Tak, to było smutne wydarzenie. Wielki pogrzeb.

Rącz nie może potwierdzić. Mówi, że był wtedy w wojsku. Oddział artylerii. W małej wiosce między Pragą a Benešovem. Trzy jednostki wojskowe: 3289, 9663 i 1746. Dobra służba.

On, Rącz, zrobił, co do niego należało, i miał spokój. Na pogrzebie go nie było. Wsiadł do złego pociągu, w miejscowości Aš wyrzucili go z niego celnicy.

– A co z tymi pieniędzmi? – dopytuje Kišš. – Tymi po rodzicach? Gdzie są?

– Leżą ukryte gdzieś w domu – odpowiada stryj Endre. – Nie wpłacali pieniędzy do banku. Nie ufali nikomu ani niczemu.

– Skończyłem dwuletnią szkołę rolniczą – wtrąca Rącz. – Spójrzcie tylko na te rączyska wielkie. Żadnej roboty się nie boją!

– Czy się ich szukało, pytam – mówi Kišš i wyciąga butelkę domowego bimbrowa.

Endre jest przekonany, że są ukryte w domu. Dopóki się ich nie znajdzie, są bezpieczne jak w szwajcarskim banku.

Kišš kręci głową. Wie, że przetrząsnęli cały dom i niczego nie znaleźli.

Endre nie traci jednak nadziei. Pewnie są zabetonowane w piwnicy, w fundamentach. Tam jeszcze nie zagłędali. Teraz, jak się nad tym zastanawia, wydaje mu się oczywiste, że pieniądze znajdują się właśnie tam!

Kišš kręci głową. On, Kišš, słyżał coś zupełnie innego. Podobno pieniądze się znalazły, ale krewni szybko rozdzielili je między siebie, kiedy Rącz jeszcze jeździł sobie po kraju tam i z powrotem.

Endre się denerwuje. Takiego wołającego o pomstę do nieba kłamstwa jeszcze nie słyżał. Niech mu Kišš powie, kto takie brednie rozsiewa po wsi, a Endre osobiście pójdzie zamknąć mu gębę!

Kišš polewa. Kiedy Endre wypija dwa kieliszki bimbrowa, robi mu się cieplej. Uspokaja się.

– Chłopak nie jest żadnym głupkiem – mówi. – Bezpośredni i prosty, to tak. Dużo nie naopowiada. Ale ten bimber pali, Chryste!

Rącz czuje, że sam powinien coś powiedzieć. On, Rącz, ma piękną działkę. Potrzebuje kobiecej ręki. Uprać, ugotować, pogłaskać. Świnie nakarmić.

Kišš wszystko rozumie. Miłość to miłość, takie zdrowie, na przykład, to zdrowie. Ale pieniądze to pieniądze. On może Rączowi doradzić, jest starszy i bardziej doświadczony. Bez pieniędzy w gotówce Rącz, by tak rzec, ma związane ręce. Nic nie robi. On, Kišš, pracuje jako rzeźnik już od wielu lat. Wie, co i jak. Wszystko zasrały pakowanym mięsem, kurwy! To koniec rzeźnictwa. On, Kišš, dziwi się Rączowi. Po co jeszcze siedzi na gospodarce? Gdyby on miał

tyle lat co Ráčz, nic by go tu nie trzymało. W mieście – tam są pieniądze, leżą na ulicy, tylko przejść i pozbierać. Niech idzie zarobić do miasta. Eržika na niego poczeka, jeśli naprawdę go kocha. O ziemię i zwierzęta zadba on, Kišš. Przecież Ráčz jest dla niego jak rodzony syn. Niech nie marudzi i od razu rusza do miasta. Nie ma co tracić czasu.

Ráčz przed odejściem chciałby zobaczyć Eržikę, ale Kišš uznaje, że nie ma to sensu. Po co, przecież wie, jak wygląda! Ostatni raz polewa bimbru. Odprowadza gości do drzwi.

Smutny Ráčz odjeżdża ze spuszczoną głową na swoim potężnym koniu. Kątem oka dostrzega delikatny ruch firanki w pokoju Eržiki.

Jeszcze tego samego dnia zapędza świnie, krowę i konia do stodoły Kišša. Przysięga, że wróci po nie, jak tylko będzie to możliwe.

O świcie Ráčz idzie na pociąg.

– Słyszałem, że wyjeżdżasz – mówi z fałszywym uśmiechem zadowolony Feri Bartaloš, wielki wróg Rácza z czasów dzieciństwa i konkurent w wyścigu o rękę Eržiki. Specjalnie ze względu na Rácza przybył na dworzec bladym świtem, na spienionym konisku pociągowym z wielkim zadem, i teraz siedzi na grzbiecie tego olbrzyma na środku peronu. Dziko się śmieje, białe zęby błyskają w świetle wschodzącego nad pustkowiec słońca. Ráčz czeka na żeliwnej ławeczce, z walizką przy nodze. Na sobie ma przyciasny garnitur, jeszcze od bierzmowania.

– Hej, serio jedziesz do miasta? – krzyczy Feri, kiedy widzi, że Ráčz nie zwraca na niego uwagi. Koń pod nim wierci się i rży. – To jedź!

Ráčz podnosi głowę i przestaje przyglądać się paznokciom prawej dłoni.

– Jak wrócę – odzywa się spokojnie – i usłyszę, że... już ty sam wiesz co... to skuję ci mordę. Albo zabiję. Eržika będzie rodzić moje

dzieci, żadne inne, zapamiętaj to sobie.

– Ohohooo! – śmieje się dumny Feri Bartaloš, jakby usłyszał dobry dowcip. Tłucze piętami zwalistego nieruchliwego konia i próbuje zmusić go do cwału. Wreszcie mu się udaje: po koniu zostaje na peronie tylko ślad w postaci parującego łąjna.

Cały majątek Rácza zmieścił się w jednej walizce, którą Rácza stawia teraz na brudnej, zaplutej, pełnej petów i oblanej piwem posadźce. Wymęczony kilkugodzinną podróżą zamawia piwo i pięćdziesiątkę. Przygląda się sobie w lustrze na ścianie za barem. Jest niski i chudy, ale do tego stopnia kościsty i krępy, że sprawia wrażenie masywnego. Źle dobrany garnitur, wyświecony na siedzeniu i na udach, poczerniała twarz, ogolona czaszka i wielkie prześwitujące uszy sprawiają, że Rácza przypomina skazańca objętego właśnie amnestią.

Rácza zastanawia się, co teraz. W mieście robota leży na ulicy, wystarczy się schylić i podnieść. On, Rácza, może pracować w fabryce, świadczyć usługi techniczne, może też zatrudnić się na kolei. Ważne, żeby zarobić jak najwięcej. Tylko wtedy będzie mógł szybko wrócić do domu i ożenić się z Eržíką Kiššovą. Rácza da sobie radę. Miasto jest ogromne, pracy w nim nie brakuje.

Rácza wyciąga gazetę i bierze się do czytania ogłoszeń. Paznokciem podkreśla co ciekawsze oferty.

– Pracy szukasz? – uprzejmie pyta Rácza starzec w brudnych ogrodniczkach, którego bezzębne usta walczą z dwiema czerstwymi bułkami i wyschniętym pasztetem przesiąkniętym dymem papierosowym.

Rácza jest nieśmiały, nie lubi rozmawiać z obcymi.

– No – mówi w końcu niechętnie i podnosi kieliszek do ust.

Starzec uśmiecha się nagimi dżiastłami i podnosi kufel piwa, po

czym markuje stuknięcie.

– Dopiero przyjechałeś? – pyta.

– Dopiero – odpowiada chmurnie Rącz. Nienawidzi pytań. Odstawia kieliszek na plastikową tackę na ladzie i staje w kolejce. Kupuje bułkę, pasztet i jeszcze jedno piwo.

– Głodny jesteś? – dopytuje starzec i uśmiecha się życzliwie.

Rącz przytakuje, przeżuując. Co jemu, temu dziadowi, do tego, czy on, Rącz, jest głodny?

– Jestem Donáth, do czarta – mówi uśmiechnięty starzec i wyciąga do Racza olbrzymią, pokrytą czernią i odciskami dłoń.

A ja nie, chciałby powiedzieć Rącz i tak by pewnie zrobił, gdyby był u siebie, we wsiowej knajpie. Ale jest w obcym mieście, w obcym świecie. Rącz przedstawia się i z ociąganiem ściska podaną mu dłoń.

– Ręce masz takie, że byś nimi mógł byka zabić – chwali go starzec.

Rącz tylko wzrusza ramionami i wraca do swojego pasztetu.

– Wiem o jednej dobrej fuszce – rzuca stary po chwili.

– Tak? – mówi Rącz znudzonym głosem, ale nastawia uszu.

– Podwójną wypłatę byś miał – ciągnie Donáth. – Robota lekka!

Rącz kaszle, okruch z pasztetu wpadł mu do tchawicy. Językiem przejeżdża po wnętrzu ust, potem bierze kufel i popija jedzenie piwem.

– Co to za robota? – pyta.

Donáth z tajemniczym uśmiechem na twarzy rusza w stronę baru, zostawiając Racza bez odpowiedzi.

– Co to za robota? – powtarza Rącz, kiedy stary przynosi dwa piwa.

– W kotłowni hotelu – mówi Donáth.

Rącz jest podejrzliwy.

– A na to nie trzeba papierów? – Ostentacyjnie ignoruje piwo, które starzec najwidoczniej przyniósł dla niego.

– Jakie papiery, co za papiery? – chichocze starzec. Jak on, Donáth, będzie chciał, to wezmą Rácza i bez papierów. Niech się tylko zastanowi: najbardziej luksusowy hotel w mieście. Stuletni! Kotłownia, niestety, też. Donáth smutnieje, ale zaraz znów odzyskuje wigor.

– Gdzie się uczyłeś? – pyta Rácza.

– Dwa lata w Zespole Szkół Rolniczych – odpowiada Rącz nie bez dumy.

– To powinno wystarczyć – oświadcza Donáth.

– Ale co to za robota? – dopytuje Rącz.

– Lekka, dobra praca – mówi Donáth. – Ale bardzo odpowiedzialna. Sam zajmujesz się całą kotłownią, w dzień i w nocy. Zgarniasz dwie wypłaty, wszystkie premie i nagrody. Jak chcesz szybko zarobić, to nie mogłeś lepiej trafić. Nigdzie indziej tak szybko nie napełnisz kieszeni. A zarazem się nie namęczysz. Tylko musisz tam ciągle być. Po pięciu latach jesteś prawie milionerem i do widzenia! – Donáth bierze łyk piwa.

Rącz jest podekscytowany, dwa razy go do picia namawiać nie trzeba. No co, przyjechał tu za pieniędzmi, nic innego go nie interesuje. W ogóle mu nie przeszkadza, że cały czas miałby spędzać w kotłowni. Przynajmniej nie wyda tyle kasy.

– Robię tam od pięćdziesięciu lat – zdradza Donáth – ale chciałbym już odpocząć. Idzie mi na siódmy krzyżyk.

On, Donáth, nie chce tak po prostu odejść. Zatrzasnąć za sobą drzwi i sajonara? Tak się nie robi. Obiecał, że znajdzie kogoś na zastępstwo.

– A skąd pan wie, że się nadam? – pyta Rącz.

– Masz taką szeroką, pocziwą twarz. Nie wyglądasz na lenia ani

na hochsztaplera. Światła wielkiego miasta cię nie omamią.

Starzec wlewa resztę piwa w bezzębne usta i spluwa na brudną podłogę.

Przez zakurzone i niedomyte okna baru widać przejeżdżające tramwaje. Poranny chłód zniknął, zaczęło świecić słońce. Rączowi jest gorąco jak w saunie.

– Jeszcze jedno? – pyta Donáth.

Rącz kręci głową.

– Daleko ta kotłownia?

– Nie – mówi stary. – Dziesięć minut piechotą. Chcesz ją obejrzyć?

– Czemu nie? – odpowiada Rącz. – Ale nic nie obiecuję, jasne?

Stary gorliwie przytakuje.

– Zobaczysz, spodoba ci się. Stawiam jeszcze po kieliszku – mówi i rusza w stronę baru.

Rącz nie odmawia. Zniesie wszystko. Stukają się kieliszkami na zdrowie.

– Chcę się ożenić i wyprowadzić – chwali się Donáth. – Stary człowiek potrzebuje miłości. A młody pieniędzy. Takie jest życie – filozofuje. Rum go rozweselił.

Jest słoneczne, duszne popołudnie. Jakaś kobieta dostała ataku szału na ruchliwej ulicy przed hotelem „Ambassador”. Czekala na przystanku. Jak to się mówi, puściły jej nerwy i na oczach wszystkich przechodniów zaczęła się rozbierać.

Tłum składa się z ludzi tak samo rozdrażnionych, nerwowych i nieszczęśliwych jak ona. Różnica polega na tym, że ich psychika lepiej radzi sobie z upałami. Rozbierająca się na przystanku kobieta

przyciąga spojrzenia przechodniów. Wszyscy się zatrzymują, okrążają wysepkę przystanku i wspólnie dają wyraz potrzebie mieszania się w życie nieszczęśliwej półnagiej osoby. Zwłaszcza mężczyźni czują, jak w ich żyłach krew zaczyna szybciej płynąć i jak napinają im się mięśnie twarzy. Słyszą gwizdy, ironiczne i nienawistne komentarze. Ale kobieta na nikogo nie zwraca uwagi, po jej minie widać, że skupia się tylko na sobie. Któryś z Cyganów, wiecznie kręcących się wokół hotelu „Ambassador”, wykazuje się dużym refleksem i szybko łapie za siatkę z zakupami, którą kobieta odrzuciła na początku swojego tajemniczego striptizu. Znika z nią zupełnie niepostrzeżenie. Tłum obserwuje rozbierającą się kobietę i świata poza tym nie widzi.

Video-Urban też ją obserwuje i też trochę go podnieca widok białego ciała nieszczęśliwej kobiety. Ale robi mu się niedobrze, kiedy patrzy na pozbawiony uczuć, żartujący sobie tłum, dlatego z holu hotelu „Ambassador” dzwoni na policję. „Na przystanku przy »Ambassadorze« ktoś wam robi striptiz”, mówi i się rozłącza. Nie ma ochoty wchodzić w interakcję z policjantami. To ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje. W kieszeni ciąży mu tysiąc marek i kilka stów, które będzie musiał jeszcze przehandlować, żeby mieć na kamerę wideo, obiecaną mu przez znajomego Szweda, Hurenszona. Jak Video-Urban ją dostanie, będzie miał życie jak w Madrycie! Kamera to gwarancja przyszłego szczęścia! Urban ma wielkie plany. Będzie filmował uroczystości, śluby. Z tego są dobre pieniądze. Każdy chce mieć w domu pamiątkę z ważnego wydarzenia i chętnie za nią zapłaci.

– Ta to jest dopiero odważna, pokazywać się nago z takimi cyckami – komentuje widowisko na przystanku ochroniarz z parkingu, błyskotliwie i celnie przezywany „Szparszwajn”.

Urban milczy. Obserwuje żółto-białe auto z kogutem i dwóch policjantów z szarym kocem, którzy rzucają się na rozebraną kobietę i siłą wloką ją do samochodu. Wariatka broni się, gryzie, pluje, wali

głową i kopie, odkrywając przy tym najintymniejsze części swojego ciała, co bardzo śmieszy Szparszwajna.

– Nie było tu przypadkiem Hurenszona? – pyta Urban.

– Kogo? – nie rozumie ochroniarz.

– Tego mojego kolegi – niecierpliwi się Urban. – Tego Szweda.

– Tego Szweda... – zastanawia się Szparszwajn. – Tego Szweda tu dzisiaj nie było.

Przechodnie na przystanku są podekscytowani jeszcze długo po odjeździe radiowozu. Niezwyczajne wydarzenie zbliża ich do siebie jak kataklizm, który trzeba przetrwać. Tramwaje jednak znów ruszają. Każdy z nich zabiera kilka osób z tłumu zgromadzonego na przystanku, ale też wypływa kolejne. Takie, które o tym, co się wydarzyło przed chwilą, nie mają pojęcia. Dla nich but na obcasie leżący pod koszem na śmieci ma już zupełnie inną symbolikę. Historia się skończyła.

– Co z nią teraz zrobią? – pyta Szparszwajn Video-Urbana. Twarz mu poróżwiała z zadowolenia i od dobrego humoru. Pracuje tu krótko i nie widać po nim jeszcze tej służalczej uciechy ludzi, których wypłata, dotąd w wysokości dwóch tysięcy koron na rękę, w niedługim czasie zdążyła się kilkakrotnie zwiększyć. Szparszwajn swoją fuchę złapał dzięki znajomościom i teraz chce się z każdym kumplować.

– Może wróci jej rozum, jak ją jeden z drugim policjant dobrze wyrucha – mówi podniecony. Urban patrzy, jak Szparszwajn bierze od kierowcy opłatę, wtyka bloczek za wycieraczkę przedniej szyby i pokazuje wolne miejsce na parkingu. Obrzydliwa, śliska, śmierdząca świnia, myśli.

– Sam mógłbyś już w końcu raz a porządnie kogoś wydupczyć – mówi chłodno i patrzy prosto w jego otłuszczone, wodniste oczka, powstrzymując się od przygrzycenia w czerwoną saszetkę na pieniądze. Naprawdę chętnie by to zrobił – i to tak, żeby drobne

rozleciały się Szparszwajnowi po całym parkingu.

– Słucham? – pyta Szparszwajn. Udaje, że nie rozumie.

– Myślę, że powinienes jakąś wydupczyć – mówi Video-Urban. – Po oczach widać, że całe życie tylko jedziesz na ręcznym.

– No wiesz co... – śmieje się strażnik.

Nawet się nie obrazi, myśli Urban, taki jest z siebie dumny.

– Jak już tak oszczędzasz – radzi grubasowi – mógłbyś zainwestować w jakąś babę, co by cię porządnie przerypała.

– Jeszcze nigdy nie musiałem za to płacić – oponuje Szparszwajn i oblewa się rumieńcem.

– Jasne – ciągnie Urban – bo nigdy tego nawet nie próbowałeś. Patrz tam... – Pokazuje Szparszwajnowi dwie dziewczyny wysiadające z dużego mercedesa z zachodnioniemiecką rejestracją. – One by ci pomogły. Z reguły pracują razem, to ich specjalność. Studiują medycynę, więc mogą cię traktować trochę jak debila, ale jak nie będziesz nic mówić, to się nie zorientują, z kim mają do czynienia. I tak będzie je interesowało tylko to, ile zapłacisz. Około trzystu marek powinno wystarczyć – śmieje się Urban. – A jakbyś im powiedział, że wciąż jesteś prawiczkim, możliwe, że zrobiłyby to za darmo. To jak? – pyta zszokowanego grubasa. – Mam ci to załatwić?

– A ty je znasz? – pyta Szparszwajn.

– Wiadomo – odpowiada Urban. – Mnie tu wszyscy znają. Ty nawet o żadnym „Ambassadorze” jeszcze nie słyszałeś, jak ja już tu byłem taksówkarzem. Walutą zacząłem handlować później, kiedy jeżdżenie taryfą przestało się opłacać. Tyle jest teraz tych taksówek na czarno, że jak przez noc się zarobi dwie, trzy stówki, to już jest dobrze. To jak, chcesz te dwie lekarki?

– Wcześniej powiedziałaś – mówi rumiany z podniecenia grubas – że mogłyby mi dać za darmo...

Video-Urban nie wytrzymuje i wybuchają śmiechem, Szparszwajn

robi obrażoną minę.

– Wybacz – mówi Urban – w ogóle nie znam tych dziewczyn. Znam tu dużo ludzi, ale bardzo mało kurew. Tylko te, które kiedyś czasem woziłem. Stary, słuchaj – dodaje poufnie, widząc zmieszanie na twarzy grubasa – nie przejmuj się! Uwierz, że ja mam z babami takie same problemy jak ty. A nawet gorsze, bo jestem niewolnikiem własnego poczucia estetyki.

Szparszwajn nie rozumie. Z estetyką kojarzą mu się jedynie nóż i widelec. Na szczęście liczba aut, które nagle podjeżdżają na parking, zmusza go do pracy. Na Urbana nie zwraca już uwagi.

Urban może rozejrzeć się za zarobkiem. Energicznie podchodzi do podjeżdżającego austriackiego opla. Ma wrażenie, że się poniża, i nie czuje się z tym dobrze, ale potrzebuje jeszcze co najmniej trzystu marek. Dziś lub jutro przyjdzie Hurensson z wymarzoną kamerą i trzeba mu będzie zapłacić. A potem sajonara cinkciarstwu! Video-Urban zostanie drobnym przedsiębiorcą. Do „Ambassadora” przyjdzie tylko od czasu do czasu, na kieliszek przed snem, i już nigdy nie będzie się błaźnił dla paru groszy. Nie sztuka uciulać dużo pieniędzy, sztuka zrobić to tak, żeby nie stracić przy tym do siebie szacunku.

Urban zastanawia się, czy nie powinien pojawić się na chwilę w pracy, w domu handlowym naprzeciwko, gdzie robi za dekoratora witryn. Bywa tam jednak tylko wtedy, gdy musi, kiedy zobaczy, że na parkingu i na chodniku przed hotelem „Ambassador” pojawiają się policjanci. Myśli, że to obława. A on, Urban, ma przy sobie tysiąc dwieście marek! Jak go złapią, z kamery nici. Przyciska się do ściany i niezauważalnie, centymetr po centymetrze przesuwając się w stronę przejścia w podwórzu. Szczęście mu dopisuje: jeszcze go nie dostrzegli. Nie odrywając wzroku od stróżów prawa, którzy właśnie pakują Cyganów i cinkciarzy do policyjnej suki, przesuwając ręką po ścianie. Trafia na krawędź i błyskawicznie znika za rogiem. Biegnie do

przejścia podziemnego, a stamtąd na podwórze. Jeszcze nie ma pewności, czy go ktoś widział. Obawa, że jego marzenie może się nie spełnić, przeradza się w atak paniki. Urban otwiera blaszane drzwi do kotłowni, wchodzi do środka i zdyszany opiera się o nie plecami. Jest bezpieczny. Rozgląda się. Metalowe schodki prowadzą do piwnicy. Zbiega po nich i postanawia się tam ukryć. Lepiej chwilę poczekać, dopóki sytuacja na zewnątrz się nie uspokoi. Siada na ławie za odrapanym stołem i wyciąga szeleszczące nowością banknoty.

Ich delikatny dotyk i metaliczne kolory uspokajają go. Tyle na pewno wystarczy, myśli. Hurenssonowi powiedział dokładnie, o jaki sprzęt mu chodzi. Nie kosztuje więcej niż tysiąc sto pięćdziesiąt marek. Jasne, że w Szwecji cena może się różnić. Chyba powinien dokupić jeszcze ze dwie stówki. Jak już będzie miał kamerę w rękach, do roku zwrócą mu się wszystkie pieniądze.

Lato powoli ma się ku schyłkowi, liście zaczynają nabierać jesiennych barw. Panuje hałas, wszędzie pełno kolorów, ludzi, samochodów. Rącz idzie niepewnie. Dziwi się Donáthowi, że tak łatwo się w tym wszystkim odnajduje.

– Tutaj jest sklep „Mototechna”. – Stary pokazuje na wystawę pełną ozdobnych naklejek, kasków motocyklowych i pompek do opon. – Na piętrze drogeria – mówi. – A tu, w Pasażu Tatrzańskim, „Skórtex” i AGD. To wszystko ogrzewamy my – podkreśla. – A za rogiem jest „Ambassador”.

Hotel wygląda naprawdę imponująco. Tak prezentuje się też każde z jego sześciu pięter. Nawet zaniedbana elewacja nie pozwala zapomnieć, że budynek pochodzi z lepszych czasów. Przed hotelem parking strzeżony. W dwóch rzędach naprzeciwko siebie parkują samochody z zagranicznymi rejestracjami.

– W podziemiach mają bar variété – tłumaczy Donáth Rączowi, który robi wielkie oczy na widok portiera w liberii, stojącego pod wielką markizą z założonymi z tyłu rękami i ze wzrokiem utkwionym w ulicę. Hotelowy hol lśni mahoniem i dymionym szkłem. Rącz znajduje się w świecie nieznanym mu zjawisk: większość tego, co widzi, widzi po raz pierwszy w życiu.

– Tańczą tam prawie całkiem gołe dziunie – ciągnie Donáth i mruga do Racza.

– A pan już tam był?! – pyta Rącz.

– Jako gość nie – przyznaje Donáth – to tylko dla obcokrajowców. Ale w zimie czasem chodzę odpowietrzać tam kaloryfery i inne takie. Przed południem, jak mają próby. Tańczą na scenie prawie gołe. Same kurwiszony. Po przedstawieniach puszczają się z cudzoziemcami. Ale czemu nie, mówię sobie. Niech sobie zarobią, póki są młode, co nie?

Rącz milczy. W sumie nawet go to nie obchodzi. Chciałby już zacząć zarabiać. Ten świat go nie interesuje, jest tylko stacją pośrednią przed powrotem do tego właściwego. Rącz wlezie do kotłowni i wylezie z niej z pieniędzmi dopiero wtedy, gdy poczuje, że czas wracać do siebie na wieś. W wojsku był taki sam. Wszyscy kłócili się o przepustki, a Rącz przez dwa lata ani razu nie pojechał do domu. Wolał zamknąć się w siłowni i podnosić ciężary. Ile trudu musiał włożyć w to, żeby przełożeni nie wysłali go na przymusową przepustkę! Jego koledzy pukali się w czoło. Ale Rączowi nie przeszkadzało, że przez dwa lata tkwił zamknięty w koszarach. Oswoił sobie ten świat, a potem czuł się w nim jak w domu. Nie bał się wypraw w nieznanne miejsca. Często myślał o tym, jak pięknie byłoby zamknąć się w łodzi podwodnej i wynurzyć dopiero po dwóch latach. Kiedy Rącz wracał do cywila, mundur wyjściowy oddał prawie nieużywany. Włożył go tylko parę razy: przy okazji przymusowych seansów w kinie, szkolenia wojskowego, przysięgi i podróży na

pogrzeb rodziców. Za nie wykorzystane urlopy dostał wyrównanie finansowe.

Kotłownia stanie się jego łodzią podwodną, decyduje Rącz. Ze światem będzie utrzymywał tylko niezbędne kontakty. Nie będzie go interesowało nic poza tym, ile pieniędzy przywiezie ze sobą do domu.

– Tędy – mówi Donáth.

Rącz przytakuje. Nagle zauważa reklamówkę wepchniętą do donicy z ozdobnym krzewem. Podnosi ją i zagląda do środka. Znajduje jakieś obce banknoty.

– No, co jest – pokrzykuje niecierpliwie Donáth.

Rącz rozgląda się i upycha reklamówkę do nogawki. Idzie za Donáthem na podwórko.

– Na górze jest kuchnia. – Donáth wskazuje szare skrzydło budynku, najwyraźniej dobudowane w późniejszych latach. – A tu, na dole, pralnia. Kupisz tym babkom kawę, a one ci za to wypiorą co trzeba.

Rącz zastanawia się, kto mógł zgubić reklamówkę z pieniędzmi. Nie może tego pojąć. Wygląda to tak, jakby ktoś celowo schował ją do tej wielkiej donicy. Tak jakby chciał po nią później wrócić. Rączowi nie mieści się to w głowie, ale nie będzie wypytywał Donátha. Po co w to mieszać starca? On, Rącz, wszystkiego dowie się sam.

– No i wreszcie kotłownia – oznajmia Donáth, otwierając blaszane drzwi. Obaj schodzą teraz wąskimi schodkami do podziemi. – Tu postaw walizkę, mówi palacz i wskazuje na rozklekotany stół.

Rącz potrzebuje chwili, aby jego oczy przyzwyczyły się do panującej w pomieszczeniu ciemności. Zapaćkane okienka przepuszczają promienie dziennego światła, przefiltrowane przez iskrzące się drobinki kurzu fruujące w powietrzu. Z tyłu znajdują się kotły, teraz martwe i zimne. Tylko pod tym lewym się pali. Z rur

wydobywa się para.

– To stara kotłownia – wzdycha starzec, po czym siada. – Wszędzie już grzeją gazem albo kotłami na olej. Ale gdyby tę tutaj chcieli przerobić i unowocześnić, musieliby zburzyć połowę hotelu. Trzeba by było zamknąć hotel na rok, a to by znaczyło krach. Sklepy też by musieli pozamykać.

Drzwi z tyłu się otwierają i wchodzi jakiś długowłosy chłopak.

– Co ty tu robisz? – pyta go ze śmiechem Donáth. – Znowu cię ścigali?

– Czy na górze są jeszcze policjanci? – odpowiada młodzieniec pytaniem na pytanie.

Donáth kręci głową.

– Nikogo ani śladu. Co, znowu była obława?

– I to porządna. Musiałem się tu ukryć.

– No cóż... – Stary wzrusza ramionami. – Ty wiesz najlepiej. Ale nie wciągaj mnie w swoje sprawy! Nie chcę mieć z tym nic wspólnego, rozumiesz?! Wszystko gra – dodaje, kiedy widzi, jak Urban z przerażeniem patrzy na Rácz. – Chłopcy, poznajcie się. To jest Rácz, mój następca.

– Urban – mówi Urban.

Rácz kiwa głową, ale nie wstaje.

– Trzymaj się tego łobuza – radzi mu Donáth. – Załatwi ci wszystko, czego będziesz potrzebować.

Niczego nie będę potrzebować, myśli Rácz, ale nie mówi tego na głos.

– To ja już pójdę, skoro droga wolna – żegna się Video-Urban. – Trzymajcie się.

– Takich gałganów jak on to ja lubię najbardziej – oznajmia Donáth, gdy blaszane drzwi się zatraskują. – Całe dni tylko leży i nic

nie robi. A pieniędzy ma mnóstwo. Kiedyś nie zdąży uciec i skończy w więzieniu w Leopoldovie. Z takich ludzi nie bierz przykładu. Ty masz pracować uczciwie.

Rác z siedzi. Donáth kreśli przed nim wizję życia w kotłowni:

– Jedzeniem w ogóle nie musisz się martwić. Palacz z reguły chodzi jeść do kuchni. Tam zawsze znajdują się jakieś resztki z gara. Tylko trzeba dobrze żyć z kucharkami i z pomocą kuchenną. Grzać im tak, jak chcą. Kiedy na przykład robią knedle, to dają mi znać i wtedy trzeba zwiększyć ciśnienie. Jeśli chcą, żeby ciasto wyrosło, w kuchni ma być gorąco jak w piekle. Ale wszystko ci jeszcze wytłumaczę.

Rác kiwa głową. Nawet mu się to podoba. Chodzi po kotłowni i w zakłopotaniu zagląda do kotłów. Z ich otwartych paszcz wieje chłodem. W kominach i wywietrznikach szaleje przeciąg. Przez szyby wentylacyjne przedostaje się dźwięk z ulicy, zniekształcony wskutek podróży żelaznymi rurami.

Starzec siedzi za stołem i bawi się popielniczką.

– Ucieszyłbym się, gdybyś tu został – mówi. On, Donáth, obiecał, że znajdzie nowego palacza. Chodzi o zasady. Jest już stary, chciałby odpocząć. Trochę pożyć. Ciągle tylko pracował, całe życie. Nie zdążył nic zrobić. A teraz ma partnerkę. W odpowiednim wieku. Mieszka we własnym domku na Záhoriu. Jest wdową. Chcą być razem. On, Donáth, spędził tu prawie pięćdziesiąt lat. Wcześniej pracował na żurawiach w Czechach. Na różnych budowach, raz tu, raz tam. Ostrawa, Vítkovice, Kladno. Stalowe serce Republiki i tak dalej. Z takiej wysokości dobrze mu się patrzyło na świat. Żonę też miał. Czeszkę. Z Českiej Lípy. Puściła mu się. W sanatorium. W Mariańskich Łaźniach. Rozwiedli się. Zabrala dzieci. Wtedy Donáth trafił tu. Ale nie chce zdechnąć przy kotłach.

Starzec nagle wstaje. Tak, zdecydował się. Pozna Rác z z tą swoją! Nie czekając na reakcję, wybiega po żelaznych schodkach na zewnątrz

i zatrząskuje za sobą drzwi.

Rącz zostaje sam. Rozgląda się po czarnym pomieszczeniu ze śpiącymi kotłami. Wyciąga swoje znalezisko. Deutsche Bundesbank. Pięć stumarkowych banknotów i cztery pięćdziesiątki. Rącz nie ma pojęcia, ile to może być warte. No nic, sprawdzi się. Starannie pakuje wszystkie pieniądze i chowa pod podszewką walizki. Wspina się na kotły i zagląda do środka. Są wielkie i puste. W kątach pomieszczenia walają się resztki zeszłorocznego węgla.

Rącz wciąż jest na kotle, kiedy słyszy hałas na schodach. To Donáth, a za nim olbrzymia baba w białym płaszczu, chustce i białych gumiakach.

– No, Ilonko – zagaja z uśmiechem Donáth – poznaj moją następcę!

Rącz musi wziąć udział w kolejnej prezentacji.

– A więc to pan jest naszym wybawicielem – mówi Tóthová, starając się zabrzmieć kokieteryjnie.

– Co? – Rącz nie rozumie.

– Donáth by nie opuścił kotłowni, gdyby pana nie znalazł – wyjaśnia baba. – Wciąż powtarzał: „Nie mogę ich zostawić bez pomocy, pracowałem dla nich pięćdziesiąt lat. Obiecałem, że znajdę następcę, i obietnicy dotrzymam!”. Chciał być lojalny. A teraz – Tóthová spogląda zakochanym wzrokiem na zadowolonego Donátha – jego marzenie się spełni. Pali pan? – pyta i wyciąga zza pazuchy paczkę sportów.

– Nie, nie palę – odpowiada Rącz.

– Ja też nie paliłam – przytakuje baba, ale nauczyłam się od tych dziewczyn z kuchni. To jedyny sposób, żeby się nie nudzić. Pan też pewnie będzie się tu nudzić. Ale to dobrze, że pan nie pali.

– Dopiero zacznie – rechoce sucho Donáth.

– Nigdy! – zaperza się Rącz. Ze zgrozą wyobraża sobie, jak idzie

do Erżiki, jak prosi Kišša o jej rękę i jak nagle dostaje ataku kaszlu, jak na próżno stara się ukryć przed wszystkimi chusteczkę czerwoną od plam krwi, jak wszyscy są przerażeni, a Kišš mówi: „Nie, suchotnikowi swojej córki nie dam!”.

W wojsku próbował palić. Kto nie palił, nie był mężczyzną. Ale papierosy nigdy mu nie smakowały. A kiedy koledzy z kompanii poczęstowali go specjalnie przygotowanym papierosem, po którym łało się z niego górą i dołem, znienawidził palenie, zaczął trenować boks i ćwiczyć podnoszenie ciężarów.

– No, jak ci się tu podoba? – pyta Donáth. – Co zdecydowałeś? Zostajesz?

– To zależy, czy zarobię tyle pieniędzy, ile mi pan obiecał – odpowiada Rącz.

– Chcesz zobaczyć moje potwierdzenia wypłat? – denerwuje się stary. – Chcesz?

– Nie trzeba. – Rącz macha ręką.

– To jak? – pyta Tóthová. – Umowa stoi?

– Niech będzie – odpowiada Rącz. – Obojętne mi.

Podają sobie z Donáthem ręce.

– Musimy to opić! – krzyczy podniecony starzec i wyciąga skądś butelkę barowej brandy i trzy szklanki. Nalewa i podnosi swoją szklankę do góry. – Żeby ci się tu wszystko ułożyło.

Donáthowi nie trzeba wiele. Wypije dwie, trzy kolejki i już mu oczy błyszczą. Zabiera się do macania Tóthovej.

Silvia tańczy w variété hotelu „Ambassador”, choć też chciała czegoś więcej. La Scala, Metropolitan Opera, *Jeziro labędzie* i tak dalej. Przez sześć lat nauki w konserwatorium utrzymywali ją w przekonaniu, że to możliwe. Dziś Silvia występuje w wieczornym

przedstawieniu zatytułowanym *Tajemnice nocy*. Właściwie jest to striptiz urozmaicony kilkoma teatralnymi elementami. Też sztuka, choć kabaretowa. Faceci szaleją za tancerką. Silvia dokładnie wie dlaczego. Ale ona daje tylko temu, kto ją czymś zainteresuje. Musi odnosić sukcesy i być bogaty. I oczywiście ma być miły! Obcokrajowiec, wiadomo.

Edicie z kolei nigdy się nie śniło, że zostanie zawodową tancerką. Nawijała szpule w fabryce. Wieczorami tańczyła w zespole ludowym. To była jej odskocznia, żeby nie zwariować. Praca w „Ambassadorze” to zasługa hotelowego prawnika. Wielu dziewczynom naobiecował nie wiadomo czego, ale Edita nie zgodziła się na seks, dopóki nie załatwił jej tej pracy. Jest zadowolona. Cieszy się, gdy wszyscy podziwiają jej szczupłe ciało poruszające się do uwodzicielskiego rytmu.

Wszystkie dziewczyny z baru w „Ambassadorze”, Silvia i Edita też, marzą o tym, żeby pewnego dnia pojawił się milioner z Teksasu albo arabski szejek, właściciel złóż ropy naftowej, który się w nich zakocha, ożeni się z nimi i zabierze je do swojej dalekiej ojczyzny.

Silvia i Edita siedzą w szatni i przygotowują się do popołudniowej próby.

– Jakie ty masz miękkie włosy – mówi Edita i dotyka głowy Silvii. – Takie jasne! – piszczy.

Edita też jest blondynką, ale na czubku głowy widać jej czarne odrosty. Gdyby nie farbowała włosów wodą utlenioną i wszystkim czym się da, każdy by się zorientował, że należy do mniejszości narodowej o ciemniejszej karnacji.

Silvia urodziła się blondynką. Gdyby miała inny kolor włosów, musiałaby się przefarbować. To znany fakt: Arabowie, Murzyni, Włosi – wszyscy szaleją za blondynkami. *Jeziro łabędzie* było, ale się zmyło, Silvia już tego nie przeżywa. Jeszcze kilka lat tak pociągnie. Potem wyjedzie. Na Zachód. Im wyższe wymagania, tym mniejszy

wybór. Będzie tu wpadać tylko w odwiedziny. Chociaż właściwie do kogo? Silvia na chwilę przestaje się ubierać i zastyga z koronkowymi rajstopami w ręce.

– Rany, ale masz długie nogi – dziwi się Edita i kładzie dłoń na jej kolanie.

Silvia nie reaguje. No, przecież zawsze się znajdzie ktoś, kogo można odwiedzić. Ktoś, kto będzie zazdrościł jej każdej godziny życia, we dnie i w nocy. Zresztą, jeśli nie będzie miała kogo odwiedzić, po prostu pójdzie na zakupy do centrum handlowego. Samochód z amerykańską albo kuwejką rejestracją zostawi na parkingu. Będzie się śmiać z długich kolejek do kasy. Może nawet niczego nie kupować. Wszyscy pękają z zazdrości.

Ręka Edity zawędrowała już dość wysoko. Silvia apatycznie pozwala się dotykać koleżance, coraz bardziej podnieconej. Podnosi się na krześle i patrzy w lustro. Widzi wielkie cienie pod oczami. Chyba powinna choć raz porządnie się wyspać. Za nic nie może sobie przypomnieć, czy drzwi do szatni są zamknięte. Obiema rękami gładzi głowę Edity, znajdującą się teraz między jej, Silvii, nogami. Przykłada dłoń do ust, żeby stłumić głośne westchnienie. Drugą ciągnie Editę za włosy, jakby w ostatniej chwili chciała ją odsunąć od swoich ud. Ale już za późno. Silvia czuje, jak przez całe jej ciało przebiega gwałtowny prąd – aż musi uciszyć dłonią mimowolne jęki. Po wszystkim siedzi oklapnięta, jakby opuściły ją wszystkie siły. Przypomina szmacianą lalkę.

Edita się uśmiecha.

– No, jak było? – dopytuje z dumą.

Silvia sprawia wrażenie obudzonej z długiego snu. Obojętnym wzrokiem patrzy na Editę.

– No i po co to zrobiłaś? – pyta z wyrzutem. – Nie rób tak więcej. Nie jestem lesbą.

– Przecież ja też nie – oznajmia Edita. – Nauczyłam się tego w więzieniu. Tam to była nasza jedyna przyjemność.

– Ale ja sobie nie życzę, żebyś to robiła – mówi obruszona Silvia. Edita milczy.

Zamiast odpowiedzieć, długo i delikatnie całuje Silvię w dolną wargę.

– Nie jestem lesbą! – powtarza bezbronna Silvia.

– Ja też nie, naprawdę! – śmieje się Edita. – Ale tak delikatna potrafi być tylko kobieta z kobietą, co nie?

Silvia nie odpowiada, wyrывa się z jej objęć i idzie do łazienki. Edita rusza za nią.

– Weźmiemy razem prysznic, co ty na to? – proponuje. Obie wchodzi pod prysznic. – Nie chcesz spróbować też być dla mnie taka miła? – pyta Edita. – Wyluzuj, przecież to nic takiego. Nie mów, że wolisz, jak ci to robi jakiś brzuchaty Szwab!

Silvia kiwa głową. W objęciach jest zapomnienie. W objęciach prawda. Wszystkie samce tego świata zostały za drzwiami kabiny prysznicowej.

Kiedy Tóthová idzie spać do kuchni, Donáth jeszcze raz polewa bimbru.

– Teraz sobie odpocznij, po południu pójdziemy do kadr, dostaniesz ubranie robocze i odzież ochronną – mówi. – Jutro rano zabierzemy cię na szkolenie. Czasu nie ma dużo, ale zdążymy. Wkrótce przyjdzie wrzesień, a później to już z górki. Raz, dwa i będzie zima.

Donáth prowadzi Rácza na tyły, do pomieszczenia gospodarczego. Jest tam szaro i duszno, poza tym śmierdzi. W środku stoi brudna kanapa i szafa. Na krześle, które pełni funkcję szafki nocnej, leży

rozrzucona gazeta.

– Tu będziesz spać. Gdzieś powinien być dmuchany materac – mamrocze starzec, grzebiąc w szafie. – O, jest. Nadmuchaj go sobie i odpocznij. Zawołam cię na obiad. A później załatwimy sprawy z papierami. – Donáth rzuca Ráczowi flaka z wypuszczonym powietrzem i wychodzi.

Rácz pompuje, kładzie się, ale nie może zasnąć. W nowym miejscu to trudne. W powietrzu czuć różne zapachy. Kto wie, co go tu czeka? To obcy świat, zamieszkały przez ludzi innych od niego. Ale w sumie nie jest źle. Nie minął nawet dzień, a on już znalazł robotę, dach nad głową i na dodatek siedemset niemieckich marek. Za chwilę będzie obiad. Na tak szybki rozwój wypadków Rácz bynajmniej nie liczył.

Następnego dnia rano przychodzi do nich sam dyrektor hotelu. Ďula – chłopiec na posyłki i szofer w jednej osobie – uroczyście otwiera blaszane drzwi i z szacunkiem w głosie mówi:

– Idzie dyrektor!

Dyrektor wchodzi tanecznym krokiem i przystaje na górze. Robi dobrotliwą minę. Przyjmuje zuchwałą i pewną siebie pozę, która przypomina sylwetkę Ludwika XIV na obrazach. Wrażenie to potęguje nonszalancko podniesiona prawa brew i wąsik pod nosem... Widać, że dyrektor jest sobą zachwycony.

– Cieszę się – mówi w końcu – że znaleźliście, Donáth, godnego następcę. Tylko żebyście go porządnie wszystkiego nauczyli, żeby nie było żadnych problemów i żebyśmy tu mieli w zimie ciepło. Nie tak jak w zeszłym roku! Żeby to się nie powtórzyło!

– To nie była moja wina, panie dyrektorze – broni się Donáth. – Robię co mogę. Kotłownia jest stara. To wina stuletnich rurociągów.

– No właśnie – mówi dyrektor. – Sto lat działały i nagle nie

działają? To jakieś dziwne. Ja się wam jeszcze przyjrzę, Donáth. Jak ty wyglądasz? – zwraca się do Rácza. – Zadbaj o siebie, człowieku. Co ludzie pomyślą?

Rącz zapina guziki roboczej bluzy pod samą szyję.

– Moi ludzie, ludzie z hotelu „Ambassador”, mają wyglądać porządnie – dodaje arogancko dyrektor.

– Nie mamy pasty do mycia rąk. – Donáth korzysta z okazji. – Za chwilę trzeba zrobić konserwację. Wszystkie rury trzeba rozkręcić, a pasty nie ma.

– I tym zawracasz głowę samemu dyrektorowi hotelu, głupku? – syczy Ďula.

Donáth milczy.

– Najpierw to ja chcę widzieć zaangażowanie – deklaruje dyrektor. – Wyniki. Dopiero potem mogę spełniać zachcianki. Znajdzie się i pasta, i wszystko, czego trzeba – mówi i wychodzi z kotłowni. Ďula grozi pięścią Donáthowi i Rączowi, po czym wybiega za dyrektorem.

– Dyrektor jest wymagający, ale głupi – mówi Donáth, kiedy nikt nie słyszy. – Ale największą świnią jest hotelowy prawnik. Unikaj go jak ognia – konkluduje, po czym zakłada na ramię torbę z narzędziami. – Chodź – woła do Rácza. – Idziemy do sklepu z AGD, trzeba tam wymienić zawory. Zeszłej zimy z nich ciekło, ale zabrakło mi nowych na wymianę. Tutaj, chłopcze, nie ma chwili wytchnienia. Ale przynajmniej czas szybko mija. Zanim się zorientujemy, będzie zima.

Cały dzień spędzają w sklepie, w gabinecie szefowej, w magazynie i w szatniach sprzedawczyń. Dużo zaworów jest pordzewiałych, zatkanych lub nieszczelnych. System grzewczy ma swoje lata. Na szczęście kaloryfery są żeliwne, wytrzymałe. Ale rdza zapycha kolanka. Niekiedy trzeba odłączyć cały fragment rurociągu

i przepchać go drutem albo przepłukać strumieniem wody pod ciśnieniem. Mężczyźni pracują ciężko, w skupieniu. To brudna robota. W suterenie panuje wilgoć, śmierdzi pleśnią.

– Zesrało się na amen – stwierdza Donáth. – Musimy to zamknąć i spuścić wszystko!

Stoją i patrzą, jak czarna i cuchnąca woda grzewcza spływa do studzienki.

– A tego... kiedy się będziesz żenić? – pyta z troską Donáth.

Rącz milczy. Ciemny, mętny wir jakby go zahipnotyzował.

– Że co? – odpowiada. Ale Donáth nie ponawia pytania. Przez jego zaciśnięte usta wylażą te najobrzydliwsze przekleństwa. Studzienka jest za płytka. Palacze stoją po kolana w wodzie przesyconej środkiem chemicznym.

– Najlepszy sposób, żeby się przeziębic i wykończyć – irytuje się Donáth. – Jak tak dalej pójdzie, to ja tego życia w domku na wsi nie doczekam, do kurwy nędzy!

W końcu woda spływa. Donáth rozkręca zawór i pakuje do środka długi stalowy drut.

– Wszystko zapchane! – wścieka się. Rącz podaje mu narzędzia i uważnie patrzy na ręce. Uświadamia sobie, że za chwilę będzie to robił całkiem sam. W końcu awarię udaje się naprawić.

– Zamontuj ten zawór z powrotem – nakazuje Donáth i wyciera ręce w szmatę. Kierowniczką sklepu i sprzedawczynią z ciekawością przyglądają się Rączowi.

– Panie Donáth, a może by mi pan odpowiedział kaloryfer? – pyta kierowniczką.

– Dziś nie, dziś mamy po kokardy. Jeszcze dużo czasu. Dopiero koniec sierpnia.

– A te rury? – dopytuje kierowniczką. – Nie będziemy marznąć

jak ostatnio?

– To się zobaczy, dopiero jak zaczniemy grzać – odpowiada Donáth.

Kierowniczką konspiracyjnym, ale wymownym gestem wpycha mu do kieszeni paczkę kawy mielonej.

– To za fatygę.

– Ludzie srają ze strachu przed zimnem – mówi Donáth do Rácza, kiedy obaj są już na ulicy. – Nawet śmierci tak się nie boją jak tego, że im będzie zimno! Zapamiętaj, to twoja karta przetargowa. Dlatego dostajemy za darmo obiady w kuchni i opijamy się kawą. Od czasu do czasu trafią się i dobre papierosy. Amerykańskie!

Wracają do kotłowni. Z mokrymi nogawkami i wodą chlupoczącą w saperkach.

– Dziś już mi się nie chce pracować – oznajmia Donáth. – Zrobimy sobie kawę i będziemy się suszyć. Jutro obskoczmy resztę sklepów. Czasu jest dosyć!

Rącz się nie nudzi. Kiedy nie ma nic do roboty, leży na ławie z rękami pod głową i słucha radia. Albo z zamkniętymi oczami wspomina dom rodzinny. Zwłaszcza Erżikę. Jaka z niej piękna, mądra i pracowita dziewczyna!

Donáth co chwila dokłada do kotła na ciepłą wodę. W kotłowni jest ciemno. Cienie płomieni przybierają na brudnych ścianach fantastyczne kształty. Patrzenie w płonący ogień uspokaja, hipnotyzuje. Rącz zasypia, ale za moment się budzi.

Donáth czyta gazetę i raz po raz gniewnie pomrukuje. Obiema rękami trzyma się za głowę, oczy wychodzą mu na wierzch. Tak mija popołudnie. Wkrótce zapadnie zmrok.

– Skoczę do kuchni zobaczyć, co gotują – rzuca Donáth, który zdążył zgłodnieć. Rącz idzie się wysikać. Od patrzenia w płomień dużo się sika. Później dorzuca porządny kawał węgla, żeby móc

obserwować, jak ogień pożera swoją zdobycz. Kładzie się z powrotem na ławie i spogląda w okno.

Drugiego dnia wybierają się do „Skórtexu”. Pada deszcz. Strażnik na parkingu kuli się pod parasolem. Obiad jedzą w kuchni, przy zmywaku. Jedna z pomocy kuchennych przyniosła im zupę, sos i ziemniaki prosto z garnka. Donáth dzieli nożem kawałek mięsa na dwie części.

– Smakuje? – pyta z pełnymi ustami.

– Smakuje. – Rácz kiwa głową.

Jedzą szybko, obiad już trochę wystygł i nie pali w język i dziąsła. Ukradkiem zerkają na pomywaczki. Rácz chce po sobie pozmywać, ale Donáth mu nie pozwala.

– Nie trzeba – wyjaśnia. – Baby posprzątają. Za to im grzejemy, nie?

Po obiedzie idą sprawdzić kaloryfery w barze variété w hotelu.

– I tak nigdy nie masz pewności, czy to będzie działać – mówi Donáth po drodze. – Czy wszystko będzie w porządku, okaże się po dwóch, trzech dniach grzania.

Przy wejściu służbowym spotykają jedną z tancerek. Donáth zwraca na nią uwagę. Właśnie wysiadła z opla z austriacką rejestracją. Posyła kierowcy całusa i kieruje się w stronę schodów. Palacze puszczają ją przodem. Ona ostentacyjnie ich ignoruje. Jest szczupła jak chart. Mężczyzn owiewa woń perfum, ciągnąca się za nią jak ogon za kometą.

– Ale dziunia, co? – mówi starzec, kiedy tancerka znika im z oczu.

– Za chuda – ocenia ze znanstwem Rácz. Boli go jednak, że został tak demonstracyjnie zignorowany. On, któremu, gdy był w wojsku, dziwki dawały za darmo, a nieraz jeszcze dopłacały! Ech, ja ci jeszcze

pokażę! – odgraża się w duchu. Ale wtedy zaczyna myśleć o Erżice. Przypomina sobie jej niewinną twarz, i to wspomnienie go wzrusza. Co jego, Rácza, może obchodzić ta babilońska kurwa, kiedy w domu czeka na niego takie dziewczę jak Erżika!

– Chuda świnia daje najlepsze mięso – zauważa Donáth. – Ma na imię Silvia. Prawie każdy już ją miał. Suka jebana.

Lokal rozrywkowy w „Ambassadorze” nie jest duży. Scena, około dwudziestu stolików wokół, długa barowa lada z dziesięcioma krzesłami, parkiet, a w rogu perkusja, keyboard i wzmacniacze.

Tancerki, ubrane w dresy albo w stroje gimnastyczne, siedzą obok klawiszowca i chichoczą.

Donáth prowadzi Rácza przez korytarz.

– Tu są szatnie – mówi. – Musisz odpowiedzieć kaloryfery. Ja pójdę do piwnicy sprawdzić instalacje. Rącz bierze torbę i wchodzi do pierwszej garderoby. Pomieszczenie długie na jakieś pięć metrów. Lustra, krzesła i toaletki umieszczone są pod jedną ścianą. Na krzesłach wiszą różne części kobiecej garderoby. Buty leżą pod toaletkami. Po przeciwnej stronie widać rząd otwartych szaf. Garną się do światła srebrzyste kostiumy, pawie pióra i skórzane uprząże. Kaloryfer wydaje się w porządku. Rącz odkręca zawór i podstawia pod niego pustą puszkę. Kiedy powietrze wylatuje i do naczynia zaczyna spływać czarna woda, Rącz zakręca zawór. Ostatni raz wciąga zapach kobiecego potu, pudru i perfum, wychodzi na korytarz i otwiera drzwi kolejnej garderoby. Chuda tancerka, którą spotkali przed wejściem, właśnie się przebiera. Zauważa Rácza i gniewnie syczy:

– Nie ma pan w zwyczaju pukać do drzwi?

– Nie wiedziałem, że pani tu jest – odpowiada Rącz i się uśmiecha.

– Ale teraz już pan wie! – mówi tancerka stanowczo.

– No tak, teraz już wiem – zgadza się Rącz i wchodzi do

pomieszczenia. – Ja tylko wykonuję swoją robotę – wyjaśnia, widząc jej pogardliwie wydęte wargi i nerwowy ruch głowy.

Kurwa jebana, myśli Rącz, noc w noc pokazuje to na scenie wszystkim, a teraz się wstydzi? Klęka przy kaloryferze i sprawdza zawór. Tancerka nie zwraca na niego uwagi. Ściąga stanik, a potem majtki. Siedzi na krześle, ubrana jedynie w złoty łańcuszek i kolczyki. Zawór nie chce się odkręcić, pewnie jest zardzewiały. Rącz wszystkimi porami swojej skóry czuje eteryczny powiew energii nagiego kobiecego ciała. Tancerka wkłada biały trykot gimnastyczny. Rącz majstruje przy kaloryferze, ale spogląda na nią ukradkiem. Silvia ubiera się bez skrępowania, wydaje się, że obecność obcego mężczyzny jej nie przeszkadza.

– Może mi pan zapiąć zamek na szyi? – pyta.

Rącz odrywa się od kaloryfera, wyciera ręce w ubranie robocze. Tancerka odwraca się do niego plecami. Rącz męczy się z małym zapięciem, ręce mu się trzęsą. Od kobiety bije ciepło i ciężka, piżmowa woń.

– Dziękuję! – mówi Silvia, nawet na niego nie patrząc. Siada z powrotem. W jej dłoni pojawiają się nagle cienki papieros i miniaturowa złota zapalniczka. Rącz stara się zebrać myśli, rozbiegające się jak kury po podwórku. Co to właściwie miał zrobić? Aha, odkręcić zawór. Bierze klucz odpowietrzający i delikatnie nim kręci. To tylko kamień kotłowy. Odrobina siły i zawór puszcza. Rącz odkręca, odpowietrza, po czym wtyka zawleczkę. W tym czasie tancerka wkłada pantofle gimnastyczne i wychodzi. Rącz siedzi na ziemi i delikatnie węża swoje dłonie. Został na nich zapach gorącej kobiecej skóry. Ja ci pokażę, myśli Rącz i zaciska usta. Tylko poczekaj!

W wojsku Rącz nauczył się przeznaczać każdą wolną chwilę na sen.

Jest młody, musi dużo spać. Nie przeszkadza mu hałas ani światło, zaśnie w dowolnej pozycji. Nawet pięciominutowa drzemka sprawia, że staje się rześki. Kiedyś, podczas ćwiczeń wojskowych, ukradli mu śpiwór. Było to w zimie, więc czekały go dwa tygodnie w surowych warunkach. Pozostali artylerzyści marzli, w nocy trzęśli się z zimna, a zasypani śniegiem dostawali szału. On, Rącz, tylko się śmiał. Opatulał się płaszczem, ręce wsadzał do kieszeni i spał.

Donáth nie sypia już prawie w ogóle. „Zasnę tak na godzinkę, dwie”, mawia. „Przez resztę czasu tylko siedzę, ćmię fajki i myślę”.

Wieczorem po pracy wylegają się na ławie i palą. Rączowi posmakowały papierosy. Nie rozmawia z Donáthem. Obydwaj wolą milczeć i rozmyślać. Co jakiś czas któryś z nich dokłada do kotła i sprawdza ciśnienie pary. Zaczyna się jesień. Dni są jeszcze słoneczne, ale nocą wieje dziki wiatr. Kocioł do podgrzewania wody jest niewielki i cichy. Niekiedy Rącz budzi się w nocy i nasłuchuje wycia wiatru szalejącego w zimnych kominach. Po chwili znowu zasypia.

– Wyśpij się – powtarza mu starzec, paląc papierosa i patrząc w ogień. – Kiedy byłem młody, też dużo spałem. Im jesteś starszy, tym mniej się wysypiasz.

Donáth nabiera węgla do taczki i dorzuca do ognia. Hałas Rączowi nie przeszkadza. W każdej chwili, nawet w ciągu dnia, Rącz chętnie drzemie. Czasami myśli o Erżice. Może nie trzeba było jechać do miasta, zastanawia się. Tylko ją porwać. W ten sposób obłaskawiłby starego Kišša. Z drugiej strony, to wcale nie takie pewne. Mógłby sobie tylko zaszkodzić. Nie wiadomo, jaka jest w łóżku. To bardzo ważna rzecz. A co, jeśli jest oziębła? Albo ma zrośniętą cipę? – myśli z przerażeniem Rącz. Wtedy nie mógłby się do niej dostać. Już ma takie doświadczenia. Wojskowa kurwa, którą przezywali „Absolwentka”, powiedziała mu kiedyś, że jak Pan Bóg rozdawał przyrodzenia, on, Rącz, musiał dostać podwójnie. Chodziła za

rekrutami aż do koszar. Rącz ją brał w składzie chorążego, gdy został jego pomocnikiem. Posapywania Absolwentki rozpraszały całą jednostkę. Ale to były czasy! – wspomina Rącz. Po wojnie, u siebie na wsi, kilka razy pocieszył sąsiadkę, elegancką wdówkę, potem jednak na śmierć się zakochał w Erżice Kiššovej i się skończyło. Nie mógł sobie wyobrazić, że robi to z kimś innym niż z nią. Ale nie mógł też sobie wyobrazić, że to robi z nią.

Rącz nie należy do mężczyzn, za którymi kobiety szaleją. Mrukliwy, ma arogancki wyraz twarzy i niezdarne ruchy. Tylko bardzo doświadczona albo zdemoralizowana kobieta potrafi na pierwszy rzut oka rozpoznać w nim namiętnego, dzikiego amanta z bezlitosną kondycją i obłądnym przyrodzeniem. Ale Rączowi to nie przeszkadza. Nieokielznany kochanek jeszcze się w nim nie przebudził. Rącz jest raczej wstydlivy. Nigdy w życiu nie poczuł palącej, pochłaniającej wszystko namiętności, która doprowadzałaby go do szaleństwa. Nawet jego uczucie do Erżiki, pomimo swojej intensywności i szczerości, wypływa raczej z potrzeby uporządkowania sobie w pewnym momencie życia według określonych reguł.

No, ale teraz jasnowłosa tancerka z baru variété w „Ambassadorze” wstrzyknęła mu truciznę do żył. Od tamtego razu spotkał ją kilkakrotnie. Często przychodzi na próbę przed południem, kiedy Rącz opróżnia beczkę z popiołem. Rącz złapał się na tym, że on, Rącz, wyłazi na zewnątrz tylko po to, żeby ją zobaczyć. Oczywiście, gdyby chciał, mógłby w każdej chwili wejść do baru i udawać, że naprawia kaloryfer. Powstrzymuje go jednak duma. Rącz pozwala sobie tylko na spojrzenia, które raz po raz rzuca tancerce. Silvia z początku zachowywała się, jakby Rącz nie istniał, ale od pewnego czasu dyskretnie się do niego uśmiecha. Widok ołowiano-antracytowych oczu młodzieńca i namiętny wyraz jego twarzy

sprawiają jej przyjemność.

– Musimy się jeszcze przejść do „Mototechny” – mówi Donáth pewnego ranka. – A potem sprawdzić ogrzewanie w samym hotelu. To jest najgorsze! – rzuca ze złością. – Gdybym nie musiał tego robić, byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

– Dlaczego? – pyta Rącz.

– Sam zobaczysz – odpowiada Donáth. – Wszyscy na wszystkich kablują. Każdy na ciebie drze mordę. Od dyrektora, przez recepcjonistę, po chłopca na posyłki.

Jedzą śniadanie w kotłowni. Donáth przyniósł bochenek chleba, kostkę masła i resztki szynki, które zostały po śniadaniu zagranicznych gości. Z czajnika bucha para. Donáth w zamyśleniu wyciska do niego cytrynę.

– Potem już będziemy mieć wszystko za sobą. Zaczнеш pracować na własną rękę. Za dwa tygodnie odchodzę – mówi wzruszony.

Rącz smaruje chleb masłem i nakłada zeschnięte plasterki szynki. Z jednej strony się cieszy, w końcu dostanie całą wypłatę: dwie pensje i premie, a z drugiej – boi się.

– Kiedy idziemy do tej „Mototechny”? – pyta rzeczowo, wgryzając się w chleb.

– Po śniadaniu – odpowiada Donáth.

Jedzą w milczeniu. Łakomy Donáth co chwila się krztusi. Trzęsie się i nie może złapać oddechu. Rozedrganą ręką chwyta szklanę herbaty, pije, na moment przymyka oczy i obzera się dalej.

Na zewnątrz leje. Z drzew spadają pożółkłe liście. Mętna woda z hukiem spływa do studzienek. W rogu kotłowni przecieka.

– Rynna pękła – mówi Donáth, patrząc na powiększającą się plamę wilgoci. Z brudnego sufitu kapie. Czarne krople spadają na

zakurzoną podłogę.

Mężczyźni idą do „Mototechny”. Po przeglądzie kaloryferów kierownik sklepu zaprasza na szklaneczkę. Donáth mruga znacząco do Rácza.

– Słyszałem, że pan odchodzi, panie Donáth – mówi kierownik po pierwszej szklaneczce.

– Tak jest – potwierdza Donáth. – Młody mnie zastąpi.

– No trudno, co robić... – wzdycha kierownik i patrzy na Rácza. – Nie da nam pan zamarznąć, prawda?

– Widzisz, jak tu wszyscy srają w pory? – śmieje się Donáth, kiedy wychodzą. – Za odrobinę ciepła własną matkę by sprzedali!

W Donácie drzemie spora dawka pogardy dla wszystkich, którzy w zimie są skazani na kotłownię. Podobnie czują się lekarze: choćby byli nie wiadomo jak wyrozumiali i dobrzy dla swoich pacjentów, obcują z bezkształtną masą, która charczy w poczekalni i tylko czeka, żeby chwycić doktora za rękaw, gdy ten choć na chwilę wyjdzie z gabinetu. Donáth ocenia ludzi wyłącznie na podstawie ich domniemanych preferencji dotyczących grzania. Idzie po piwo i patrzy na mężczyznę w kolejce przed nim. Taki to by chciał mieć bardzo nagrzane, myśli Donáth. A i tak ciągle by narzekał, że mu zimno. A na przykład ta – patrzy na sprzedawczynię – chciałaby, żeby grzać tylko w ciągu dnia. W nocy na pewno śpi rozkopana i goła jak glista. I tak dalej.

Prostytutka zatrzymuje taksówkę. W ciele kobiety obumierają plemniki bezrobotnego Zdravka G., zamieszkałego w Wiedniu. Prostytutka jest wysoka, ma jasne włosy i eleganckie ubranie. Zachowuje się jak dama.

Urban brzydzi się nią i nie kryje tego przed Ráczem. Stoją na

chodniku przed wejściem na podwórko. Urban rozgląda się za Hurenssohem, który ma mu przywieźć obiecaną kamerę, Rącz trzyma w ręce karton marsów i siatkę piw. Patrzy tępo na Urbana i słucha. Takie jak ona to dla Video-Urbana szambo. Albo publiczne toalety. Każdy, kto ma walutę, może się w niej wytrzepać. Nie, na dole w barze jeszcze nie był. Nie interesuje go to. Woli w domu słuchać Charliego Parkera.

Rącz patrzy na prostytutkę spojrzeniem pełnym pożądania.

– Kiedyś ją odwoziłem do domu – mówi Urban. – Grała przede mną wielką damę. Ale ja wiedziałem swoje. Inteligentnie dałem jej do zrozumienia, że dla mnie jest zwykłą dziwką. No właśnie, tak inteligentnie, że nic nie zrozumiała. Spytałem: „No to gdzie mam jechać?”. Jak otworzyła usta, żeby podać adres, to jeszcze pół godziny później mi w aucie waliło spermą jakiegoś Jugola czy Szwaba.

Rącz milczy, patrzy przed siebie. Nie drga mu nawet jeden mięsień. Urban mówi o niej, o Silvii. Rącz zaciska w kieszeni pięść, aż strzelają kości.

– Ale zapłaciła – dodaje Video-Urban. – Całe pięć stów. Bała się, że na nią doniosę.

Urban nagle się podrywa. Musi sprawdzić, czy na innych parkingach nie pojawił się Hurenssoh. Możliwe, że Hurenssoh go unika. Wystawił Urbana do wiatru, kamery nie przywiózł i teraz go unika. To niepoważne. Urban do dziś pamięta tę wzruszającą troskę, którą otoczył Hurenssoha w czerwcu, kiedy Szwed przyjechał tu po raz pierwszy. Była to gwarancja obiecaney kamery. Na taksówki Hurenssoh nie wydał ani grosza, Urban wszędzie go woził. I w ogóle. Hurenssoh zachował się jak cham, jak pohebany, nielojalny hippis. On, Urban, pójdzie go szukać po całym mieście. Może Szwed już tu był. Poza tym Urban widzi, że z Rączem dziś nie pogada.

Rącz patrzy złowrogo. Idzie do kotłowni z zaciśniętą pięścią.

Trzyma ją w kieszeni jak odbezpieczony granat. Odkłada zakupy i się rozgląda. Szuka odpowiedniego przedmiotu.

– Kurwa, hétszentségét! – krzyczy i jednym uderzeniem w kocioł robi w nim okrągłe wgłębienie. I tak ta dziwka będzie jego. I będzie mu robić loda. A on będzie ją bił. Musi ją przecież ukarać za to, że przez tak długi czas była mu niewierna. – Jeszcze zobaczysz! – mówi. Rozwala się na ławie. Mruży oczy, wyobrażając sobie przyszłe rozkosze, które zapewni mu jej szorstki ruchliwy język.

Rozespany Donáth wychodzi z kanciapy. Czemu RácZ tak się tłucze? Czemu robi taki raban? On, Donáth, smacznie sobie spał. Tak, udało mu się zasnąć. To trzeba szanować. RácZ ma się zachowywać jak człowiek. Jeszcze nie on tu rządzi. A poza tym gdzie się szwendał tak długo? Niech nie gada, że w sklepie była taka kolejka!

Donáth chodzi nerwowo po kotłowni z podniesionym zakrzywionym palcem.

– No, gdzieś się szlajał?

– Na zewnątrz byłem – odpowiada RácZ wybity z rytmu rozmyślań.

– Pewnie z Urbanem? – docieka Donáth.

– No, z nim – potwierdza RácZ. – Urban ma forsy jak lodu. A jest tylko taksówkarzem na czarno. Czasem załapie jakąś dodatkową fuchę. Ile w takim razie muszą zarabiać prawdziwi handlarze! Urban powiedział, że miliony!

Donáth się śmieje.

– Ty się każdemu dasz nabrać – mówi. – Dobrze ci radzę, Urban to nie jest kolega dla ciebie. To kanciarz! A ty masz żyć porządnie! Weź szmatę i pastę i idź wyczyścić kotły. Ja się muszę położyć. Miliony, phi!

Donáth znika. RácZ wzdycha i bierze się do roboty. Wieczorem przez maleńkie okienko w składzie węgla obserwuje wejście do hotelu

i parking. Liczy na to, że zobaczy Silvię. Może na nią czekać nawet godzinami.

W tym czasie w Austrii Zdravko G., rozparty na podskakującej naczepie ciężarówki, jedzie sobie spokojnie z giełdy pracy. Ma szczęście. Dostał robotę. Wiadomo, na czarno. Zdravko G. nie chce stracić prawa do zasiłku. Właściciel historycznego młyna w Lesie Wiedeńskim postanowił zlikwidować i wywieźć stamtąd dwustuletni sracz. Zdravko G. jest stworzony do takiej roboty. Dostanie za nią pięć tysięcy szylingów. Najpóźniej pojutrze ją skończy. Będzie więc mógł na weekend znów pojechać do Bratysławy. Poszuka tej wysokiej kurwy.

Gówno śmierdzi, myśli Zdravko G., nosząc w tę i w tę pełne wiadra. Ale życie jest piękne. Gdyby został w domu, w Kosowie, do dziś by pasał osły.

Silvia też jest zadowolona. Zdravko, jugosłowiański lekarz pracujący w Wiedniu, zostawił jej tysiąc szylingów. Nawet jeśli Silvia sprzeda je po trzy korony, będzie miała całkiem sporo. Do tego trzeba doliczyć sto marek od Niemca, któremu wcześniej dała w jego samochodzie na parkingu przed hotelem. Sto marek po dwadzieścia pięć koron razem z szylingami daje pięć i pół tysiąca. Z tego pięćset dla taksówkarza i tysiąc dla recepcjonisty w hotelu „Ambassador”. Zostaje cztery tysiące koron na czysto. Do drugiej w nocy. Jeszcze się wyspała. Sama. Edita w ostatnim czasie rzadko do niej zachodzi. Sezon się kończy, każdy się stara wyszarpać z niego jak najwięcej. Ale cztery tysiące to nie taki zły zarobek. Jak na amatorkę.

Silvia nie jest profesjonalistką. Ma swój zawód. Jest artystką

kabaretową. Ale po występie zawsze przyjmie jednego, dwóch klientów. Tego nikt jej nie zabierze. To takie hobby na poprawę humoru. Pewnego dnia wyjdzie za mąż i skończy z pieprzeniem się w autach i pokojach hotelowych.

Właścicielka mieszkania myśli, że Silvia studiuje. Ewentualne wątpliwości rozwiewają się, gdy Silvia wręcza jej umówioną sumkę. Gospodyni się nie wtrąca. Jak skończą się pieniądze, znowu zaczną. Takie jest życie.

Silvia dotrzymuje niepisanej i niewypowiedzianej zasady: nikogo nie zaprasza do siebie. Nikogo płci męskiej.

– Taka dobra z was dziewczyna – mówi gospodyni. – Nie ma co sobie tak żył wypruwać na te studia. Niech pani koleżanka chociaż raz pouczy się sama tak do rana! Albo niech czasem ona do pani przyjdzie. Już dawno jej tu nie było. Poza tym powinna pani zrobić sobie przerwę. Odpocząć. Zabawić się. Ma pani jakiegoś chłopca? Nie? To dobrze. Jeszcze przyjdzie na to czas.

Silvia otwiera metalową skrzynkę i chowa do niej pieniądze. Zarobić jak najwięcej, póki jeszcze ma twarde piersi i różową jędrną skórę. To, co później zostanie z walorów jej ciała, będzie wciąż wystarczające dla przyszłego męża. Silvia wie już o nim prawie wszystko. Będzie wysoki, szpakowaty. Niemiec z RFN, Austriak, Amerykanin, Arab, obojętne. Samochód: co najmniej mercedes. Wdowiec, stary kawaler albo coś w tym stylu. Musi być jednocześnie obrotnym kapitalistą i samarytaninem. Tylko taki będzie umiał wyrwać kurwę z jej dotychczasowego życia, zrobić z niej swoją żonę i nie wypominać jej, kim była, przy każdej najmniejszej kłótni. Dopóki jednak złoty tygrys chowa się jeszcze gdzieś za granicą, Silvii musi wystarczyć Zdravko G.

Rącz poleruje mosiężne elementy. Kotły są stare. Na każdym błyszczą tabliczka HANS-KOKESCH-WERKE IN WIEN 1895.

– Nie oszczędzaj na paście – komenderuje Donáth, już definitywnie rozbudzony. – Ale też nie przesadzaj. Tak pomiędzy. Potem pójdziemy coś zjeść. Będzie dobry obiad.

Rącz milczy.

– Ty kupiłeś piwo, ale ja też o nas pomyślałem – mówi Donáth. – Masz, gołnij sobie – dodaje pojednawczo. W czarnych dłoniach trzyma lśniąca butelkę. – Sam zobaczysz, po pięćdziesięciu latach pracy w kotłowni też będziesz miał swoje humory. Ale Urban jest wałkoń. Bumelant! Napij się.

Rącz nie odmawia. Samogon jest słaby, ale w taką pogodę nawet trochę rozgrzewa. Rączowi od razu lepiej się pracuje. Ale na Donáthowe próby nawiązania rozmowy odpowiada tylko „tak” lub „nie”. Żeby stary wiedział, że on, Rącz, nie da sobą pomiatać. Żeby wiedział, że on, Rącz, wypić wypije, ale kupić się nie da.

Po obiedzie Donáth postanawia zrobić to, co dotąd długo odkładał – przegląd systemu grzewczego w samym hotelu „Ambassador”. Przedtem obaj idą jeszcze po węgiel.

– No – mówi Donáth. – Zaczęła się prawdziwa robota. To już jest twój węgiel, poukładaj go sobie. Byle szybko, bo zaraz się zbiegną Cyganie z wiadrami i nic nie zostanie. Najlepiej jeszcze dziś. Ja ten przegląd w hotelu załatwię sam. To będzie ostatnia rzecz, którą tu odfajkuję. Potem będę tylko siedzieć i chlać. Pięćdziesiąt lat to pięćdziesiąt lat.

Samochód z węglem musi obrócić dziesięć razy. Jest już noc, ale Rącz nadal zrzuca węgiel do piwnicy, przy świetle latarni. Co chwila zbiega na dół i odgarnia go od okienka, żeby mogła się zmieścić reszta. Z otworów wentylacyjnych baru słychać przytłumioną muzykę. Pada gęsty deszcz, ale Rącz pracuje bez koszuli. Jego ciało paruje. Strużki

deszczu zmywają pot. Rącz pluje w dłonie i zasuwa dalej. Bez przerwy, mechanicznie i monotonnie.

Kończy dopiero nad ranem. Spracowany idzie na dół i kładzie się na ławie. Zmięty płaszcz wkłada pod głowę i śpi jak zabity. Ręce ma spuchnięte.

Ranek jest mglisty i deszczowy. Rącz spogląda na ostatnie kawałki węgla błyszczące w deszczu. Po ciemku wydawało się, że jest ich mniej.

– Pod koniec tygodnia zapalimy pod kotłami – mówi po śniadaniu Donáth, zerkając na termometr. – Już się naprawdę ochłodziło.

Do południa Rącz zrzuca resztę węgla. Co jakiś czas sprawdza, czy nie widać gdzieś Silvii, ale dziś mu się nie szczęści. W ostatnich dniach w kotłowni jest zimno. Jeden kocioł już nie ogrzeje dużej kotłowni. Mężczyźni nie mają nic do roboty, siedzą opatuleni płaszczami i piją herbatę z rumem. W nocy Rącz budzi się i nasłuchuje, jak za ścianą osuwa się węgiel. Wydaje tłusty, mroczny dźwięk.

– Dobry węgiel – mówi Donáth i bawi się czarną grudką. – Nie będziesz musiał często dokładać. Będzie się długo palić.

Każdego dnia stary objaśnia Rączowi funkcjonowanie poszczególnych sprzętów w kotłowni. W zeszyciku Racza roi się od wykresów, schematów, tabel. Rącz to żaden geniusz: jest raczej tępy, ale pilny jak szympan. Sam sobie rysuje schemat układu rur. Tarcze rozdzielcze w pompach też nie skrywają już przed nim żadnych tajemnic.

System centralnego ogrzewania jest starego typu.

– Stanford-Schroeter – popisuje się Donáth. – Zapalisz pod kotłem, a kiedy ciśnienie pary w generatorze osiągnie odpowiedni poziom, otworzysz wentyl. Jak przez wentyl zaczniesz buchać para, musisz kilka razy pokręcić kołem zębatym. Nie trzeba dużo siły,

zrobisz to nawet ręką. Pompa kotłowa sama zaskoczy. Wtedy możesz puścić więcej pary i zwiększyć obroty. Włączasz centralny system. Rozumiesz? Od razu ci spadnie temperatura wody, bo pompa doprowadza zimną wodę z centralnego ogrzewania z powrotem do kotła. W skrócie: ciśnienie pary, obroty pompy i temperatura wody muszą idealnie ze sobą współgrać. Ale to wszystko pokażę ci za kilka dni, jak zaczniemy palić.

Rącz wszystko zapisuje. Chce się jak najwięcej nauczyć.

Wieczorem idzie się przewietrzyć. Jest już chłodno. Nie widać gwiazd, tylko księżyc co jakiś czas wyłania się zza postrzępionych chmur. Głodne bezpańskie psy walczą w ciemności o kuchenne resztki. Błyszczą chciwe czarne nosy. Kundle kłapią zębami i gryzą się nawzajem. Najsilniejszy z nich wyciąga z kontenera olbrzymią kość i ciągnie ją ze sobą. Rącz zapala lampy. Przestraszone psy uciekają w pośpiechu. Słysząc, jak ciągnięta kość stuka o bruk.

– Teraz jeszcze nie są takie bezczelne – mówi Donáth, który usłyszał hałas i wyszedł za Rączem. – W zimie trzeba na nie uważać. Potrafią człowieka zaatakować. Kiedyś miałem broń małokalibrową, żeby do nich strzelać. Są jak wilki. Ale przypadkiem postrzeliłem pijanego gościa hotelu i prawnik zabrał mi pukawkę i ją połamał. Dobrze, że obyło się bez policji...

Donáth charczy i pluje śliną. Stęka i sika na górkę popiołu. Kałuża moczu paruje. Psy walczą kilka ulic dalej. Słysząc ich wściekłe ujadanie.

Rano przychodzi dyrektor.

– Trzeba grzać – rozkazuje i wyciera nos. Szofer Ďula stoi obok i patrzy groźnie na palaczy.

– Taki mieliśmy plan. – Donáth wstaje od stołu. – Młody może

poświadczyć. Akurat wczoraj mówiłem: „Jutro zaczniemy grzać”.

– To prawda – potwierdza Rącz.

– Zamknij mordę, debilu! – krzyczy Ďula nie wiadomo do kogo.

Dyrektor uparcie wpatruje się w Donátha.

– Trzeba grzać!

Donáth kiwa głową.

– Zagrzejemy, czemu by nie? – rzuca filozoficznie.

– W nocy było zimno – mówi dyrektor. – Francuski milioner z osiemnastki i biznesmen z żoną, co mieszkają w czerwonym apartamencie, skarżyli się na temperaturę. Aż mi było głupio. Czy może to ja, dyrektor, osobiście powinienem grzać?

Donáth kiwa głową ze zrozumieniem.

– No tak, jest to pewien problem. Ale rozwiązanie jest proste. Proszę im przekazać... – zaczyna uroczystym głosem, lecz dyrektora już nie ma w kotłowni.

– Zamknij mordę, debilu! – powtarza szofer ostro i nienawistnie. – Zamiast być wdzięcznym za to, że dyrektor zaszczycą cię swoją osobą, że z tobą rozmawia, to ty się jeszcze wyklócasz. Myślisz, że dyrektor nie ma nic innego do roboty, tylko przekazywać twoje wiadomości? Masz natychmiast grzać, bo pogadamy inaczej!

Ďula odchodzi i zamyka za sobą blaszane drzwi. Rącz rzuca stalowym pogrzebaczem.

– Jeszcze słowo i by dostał! – denerwuje się.

– Uważaj na niego – mówi Donáth. – Węszy po całym hotelu i donosi dyrektorowi. Ustawia ludzi. Prawnikowi donosi na dyrektora. Dyrektorowi z kolei na prawnika.

Donáth bierze ze stołu zapalki. Potrząsa pudełkiem, żeby sprawdzić, czy jest pełne.

– Dobra, idziemy – zwraca się do Racza. – Przyglądaj się.

W przyszłym roku będziesz to już robił sam...

Nie skończył nawet jeść. Rąbie drewno, znosi papier i układa po trochu pod każdym paleniskiem. Rącz je, obserwując starego. Usiłuje wszystko zapamiętać. Papier zajmuje się jasnym płomieniem. Drewno trzeszczy, lecą iskry. Donáth dokłada po łopacie węgla. W kotłowni robi się cieplej. Starzec zdejmuje pozszywany płaszcz i siada za stołem.

– Teraz musimy chwilę poczekać, aż wzrośnie ciśnienie pary – mówi i znów zabiera się do jedzenia. – Potem będziesz mógł włączyć pompy. Wszystko ci wyjaśnię, nic się nie bój.

Wystarczyło kilka tacek węgla i kotły zaczęły hulać jak wiatr na polu. Żelazne drzwiczki powoli się rozgrzewają. Świeżo naoliwione pompy kotłowe ruszają z sykiem. Donáth zwiększa ciśnienie pary i olbrzymie koła obracają się coraz szybciej. Tłoki pracują.

Donáth prowadzi Rácsa do tylnej ściany, na której rośnie las rur i czerwonych zaworów.

– To jest serce całej kotłowni – mówi. – Tu się reguluje temperaturę w pomieszczeniach hotelowych, w sklepach i tak dalej. Ten przewód odpowiada za ogrzewanie gabinetów i pokoiów w lewym skrzydle. Ten z kolei – w prawym. Na tabliczkach jest wszystko napisane, ale było sporo remontów i niektóre instrukcje już nie są aktualne – ostrzega. Zakrzywionym czarnym palcem poklepuje duży zawór. – Dzięki temu możesz połączyć oba skrzydła hotelu i ogrzewać je jednym kotłem. A gdybyś zakręcił wszystkie te wentyle, zamarznie każdy, kto jest na ciebie skazany. Musisz uważać, żeby wszystko było dobrze nastawione.

Rącz przytakuje. Na próbę zamyka i otwiera jeden z zaworów. Przychodzi mu to z trudem. Para ucieka przez wadliwe uszczelki, gumowe pasy zębate cicho popiskują, ogień huczy pod kotłami. Kotłownia jakby ożyła. Nurza się w migocącej czerwonej poświacie,

rzucającej cień na brudne ściany.

– Teraz nauczysz się więcej niż przez cały ten czas, odkąd tu przyszedłeś – rechocze Donáth. Jest zadowolony, wkrótce stąd odejdzie.

Zaczęły się przymrozki. Rácz biegnie rano do sklepu po piwo i ślizga się po zamrożonych kałużach. Roboty nie ma dużo. Wszystko chodzi jak w zegarku. Donáth od rana nie może usiedzieć w miejscu. Jutro kończy z kotłownią i nie może w to uwierzyć. Patrzy w ogień, łapie się za głowę, czasem wstaje gwałtownie z wyciągniętą ręką, bierze głęboki oddech, by coś powiedzieć. W ostatniej chwili opamiętuje się jednak i zamiast wyzwajającego go słowa rzuca zwykle przekleństwo. Rácz to rozumie. Pije piwo i pali papierosy. Kiwa głową. Donáth nie wie, co robić. Wbiega na schody i potyka się. Trzaska drzwiami. Rácz słyszy, jak kłóci się z Cygankami z pralni. Na moment wszystko cichnie. Donáth wraca z litrową butelką wódki.

– Zrób herbatę – mówi z powagą. – Idę po towarzystwo.

Towarzystwem jest Tóthová i jedna Cyganka ze zmywaka, ubrana w fartuch. Ręce ma czerwone od gorącej wody i chemicznego proszku do czyszczenia.

Kobiety piją jak smoki. Donáthowi nie trzeba wiele. Po kilku kieliszkach zaczyna rechotać i obląpiać obie baby. Rácz popija i obserwuje. Ma mocną głowę. Starzec przynosi z kanciapy radio i nastraja je na jakąś stację rozrywkową. Donáth, jak każdy, kto z takich czy innych powodów musi w pracy na okrągło słuchać radia, zna wszystkie szlagiery i czasami nawet potrafi fałszującym głosem zanucić całe zwrotki. Wiadomo, z przekreślonym tekstem. Rozochocony wódką wyciąga Tóthová z za stołu i chwiejnym krokiem prowadzi ją w kierunku kotłów, jak na parkiet. Stara się śmieje,

wesolutka od alkoholu.

– Jak masz na imię? – pyta Rącz podpita Cyganka.

– Rącz – mówi Rącz.

– A dalej? – dąży Cyganka.

– Dalej nic – odpowiada Rącz.

Cyganka jest brzydka i chuda jak szkapa. Pod kolorowym fartuchem wiszą jej smętnie piersi. Ręce ma zniszczone.

– Ja się nazywam Ribana – chwali się.

– Ribana? – pyta Rącz z udawaną ciekawością.

– Ribana Salajová – potwierdza Cyganka. – Mój brat nazywa się Winetu Salaj – dodaje z dumą.

– Czegoś takiego jeszcze nie słyszałem – oznajmia Rącz wbrew sobie.

– No widzisz – mówi Cyganka, przekonana, że ta uwaga była jak punkt zdobyty w konkursie, jak potwierdzenie, że dziś wydarzy się coś dobrego. Polewa sobie i Rączowi. Nadstawia kieliszek do stuknięcia, a usta do pocałunku. Rącz nie ma zbytnej ochoty całować Cyganki, ale z drugiej strony trochę go to kusi: jeszcze nigdy nie był z kobietą innej rasy. Całuje ją. Cyganka wgryza się w niego jak w świeży chleb.

Donáth z Tóthovą tańczą pijani przed kotłami. Radio nadaje tak głośno, że nie da się zrozumieć ani słowa.

– Dać ci? – pyta Ribana.

– Dać co? – Rącz nie rozumie.

– No, czy chcesz, żebym ci dała – powtarza Cyganka.

– A, to masz na myśli...

Cyganka kiwa głową, język ma wysunięty. Idą do kanciapy. Cyganka kładzie się na brudnej pościeli, ściąga fartuch i rozkłada nogi. Rącz już nie myśli rozumem, zsuwa robocze spodnie do kolan i kładzie się na niej. Cyganka pomaga mu ręką, a potem już posłusznie

leży.

– Ale masz wielkiego – mówi zdyszana. – Czuję go aż w żołądku.

Rącz rusza się jak zwierzę. Potem na moment twarz mu kamienieje, aż wreszcie Rącz wypuszcza wstrzymywany oddech. Zwała się na bok i leżąc, wciąga spodnie.

– Fajnie, nie? – pyta Ribana. – Ze mną możesz, kiedy tylko masz ochotę. Wystarczy, jak przyjdiesz po mnie na zmywak.

Rącz potakuje.

– Ja dam każdemu – mówi Ribana. – Byle był chłop.

Parę sekund później kobiet już nie ma. Za piwnicznymi okienkami zapada zmrok. Donáth leży na stole spity jak bela. Butelka jest pusta. Radio ktoś rozwalil o ścianę. Kotły huczą, pompy pracują. Koła zębate zgrzytają. W kotłowni jest gorąco. Rącz półnagi śpi na ławie z płaszczem pod głową.

Kiedy budzi się rano, odświętnie ubrany Donáth już nad nim stoi i chce się żegnać. Przychodzi Tóthová. Obydwoje są jacyś nieswoi.

– No, to my idziemy – mówi Donáth.

Przysiadają jednak na trochę. Milczą.

– Aleśmy się wczoraj zabawili, nie? – odzywa się nagle Donáth z udawaną radością. – Jeszcze teraz mnie głowa boli!

Tóthová się uśmiecha. Rącz potakuje i zmusza mięśnie twarzy do uprzejmego grymasu.

– O siódmej mamy pociąg – oznajmia Donáth. Wybucho płaczem. Smarka w brudną chusteczkę. – Przyjeźdź w odwiedziny, jak będziesz w pobliżu.

Rącz znów potakuje. Obydwaj wiedzą, że to się nigdy nie stanie.

– No i tak – mówi Donáth po chwili krępującej ciszy. Mężczyźni wstają i się żegnają. Podają sobie ręce.

Rącz wraca do kotłowni. Ściąga buty i kładzie się na wznak na

ławie, żeby odespać. Został tu królem.

Następnego dnia przychodzi Ďůla. Zachowuje się arogancko i traktuje Rácza z góry. Trzeba naprawić przeciekający kaloryfer w gabinecie dyrektora. Natychmiast. Ďůla nie zostaje w kotłowni dłużej niż to konieczne. Wychodzi zadowolony.

Ráčz przygotowuje narzędzia. Uświadamia sobie, że w samym budynku hotelowym jeszcze nigdy nie był: kiedy Donáth robił tam przegląd, Ráčz zrzucił węgiel do piwnicy. To nic, jakoś tam trafię, myśli. W najgorszym wypadku spytam, gdzie jest ten gabinet. Bierze torbę z narzędziami i wychodzi.

Na zewnątrz panuje plucha. Gruby parkingowy trzęsie się pod parasolem i mokrymi palcami grzebie w czerwonej saszce, którą powiesił sobie na szyi. Video-Urban stoi z trzema Cyganami przed wejściem do baru bistro i coś z nimi ustala.

– Jeszcze go nie było? – pyta Ráčz z zainteresowaniem. Podziwia Urbana, choć nigdy się do tego nie przyznaje. Podziwia jego luźny styl życia, wygadanie. Jego miejskie myślenie i miejskie problemy. Jak na przykład to czekanie na Szweda. To mało? Z dalekiej Szwecji ma przyjechać człowiek specjalnie do Video-Urbana! On, Ráčz, w życiu nawet z żadnym Szwedem nie gadał! Raz, kiedy szedł sobie po piwo, zaczęło go w dziwnym języku jakieś stare małżeństwo. Chyba chcieli, żeby im pokazał drogę. Ráčz tak się przestraszył, że uciekł i schował się w bramie. Potem przez cały dzień bał się iść do sklepu, bo myślał, że oni tam gdzieś czekają i będą coś od niego chcieli. On, Ráčz, z jednej strony nienawidzi obcokrajowców, ale z drugiej coś go w nich pociąga. A Urban? On nie ma problemu z tym, żeby porozmawiać z obcokrajowcami w jakimkolwiek języku (Ráčz widział na własne oczy), zażartować czy pośmiać się z czegoś wspólnie. Nawet

ubije z nimi interes, tak jakby to robił na przykład z Rączem, i jeszcze denerwuje się, kiedy ktoś nie dotrzyma warunków umowy. W robocie Urban pojawia się rzadko, ale zawsze się stara, żeby wszyscy mieli wrażenie, że owszem, jest w pracy, tylko akurat musiał na chwilę wyjść coś załatwić. To dopiero praca! Bez odzieży roboczej, hałasu i brudu. Rącz łapie się na tym, że mu zazdrości. Gdyby ktoś go spytał, jak by chciał żyć, Rącz odpowiedziałby bez wahania: jak Urban.

Rącz podjął decyzję: wróci do domu, ożeni się z Erżiką, tak jak postanowił, i przekona ją, żeby ona też zaczęła prowadzić luźny styl życia, jak Urban. On, Rącz, zmieni całą wieś. To wcale nie takie trudne. Świat nie jest pełen pracy i zmartwień – świat jest pełen przyjemności.

– Jeszcze go nie było? – powtarza pytanie, bo Urban nie usłyszał.

– O, cześć... – mówi Urban z roztargnieniem i rzuca zakłopotane spojrzenie na trzech Cyganów w skórzanych kurtkach. Trudno stwierdzić, czy wstydzi się za Rączka przed Cyganami czy na odwrót. Rącz z nadzieją zakłada to drugie.

– Jeszcze go nie było? – powtarza Rącz przyjacielskim tonem, tak aby dać do zrozumienia Cyganom, że coś go z Video-Urbaniem łączy, jakiś wspólny sekret. Urban kręci głową, nie, Hurenssoń jeszcze nie przyszedł.

– Wpadnij później do kotłowni – mówi Rącz. – Chcę ci coś pokazać.

– Co? – pyta Urban, ale Rącz nie odpowiada, ucieka do hotelu przed deszczem. Zanim dobiega do wejścia, jest już cały mokry.

– A dokąd to? – zatrzymuje go portier w liberii.

– Jestem palaczem – odpowiada Rącz. – Wezwano mnie.

Portier patrzy na niego z widoczną niechęcią, jak na coś, co pies przywłókł z ulicy.

– Kogo to interesuje? Chyba nie chcesz w ten sposób wejść do

hotelu?

– Puść – rozkazuje Rącz. – Idę naprawić kaloryfer dyrektorowi.

– Won mi stąd, śmieciu! Żeby cię nie widział! Kogo obchodzi, po co tu przylazłeś? Nie masz się co pchać do środka – drze się portier i rozgląda się nerwowo, czy przypadkiem zza rogu nie wychodzi jakiś zagraniczny gość, który mógłby go zobaczyć w tak kompromitującym towarzystwie.

– Puść! – krzyczy Rącz. Wykonuje gwałtowny ruch w lewo, żeby ostatecznie wyminąć portiera z prawej i pokonać drzwi obrotowe. Portier mruga świńskimi oczkami, klnie i rzuca się za nim w pogoń.

Rącz, czarny od węgla i w brudnym ubraniu, wchodzi do hotelu. Miękki orientalny dywan tłumi jego głośne kroki.

– Nie możesz tu stać! – odzywa się zza lady recepcjonista. – Słyszysz? Musisz wejść od służbówki!

Rącz zerka w stronę recepcji, ale polecenie ignoruje. Jego uwagę przykuwa olbrzymi kryształowy żyrandol zwisający z sufitu. Rącz zarzuca torbę na ramię i patrzy w górę. Nogą maca orientalny dywan, palcem dotyka marmurowego kontuaru. Szorstką dłonią głaszcze gobeliny na ścianach. Pięścią sprawdza wytrzymałość mahoniowego obicia na drzwiach do restauracji.

– Boże – mówi. – Boże jedyny! Gdzie ja jestem?

Portier stoi za nim. Nie wie, co robić. Pojawienie się Rączka nie pozostało niezauważone. W kosmopolitycznym hotelowym świecie jego brudne ciuchy i ogolona głowa są niczym spluwanie do kieliszka z szampanem. Wchodzi dyrektor. Obejmuje spojrzeniem hol: w lot łapie całą sytuację. Niemal niewidocznym gestem wydaje rozkaz swoim pracownikom. Portier i recepcjonista łapią Rączka i wloką go w stronę wyjścia. Rącz jest tak otumaniony przepychem tego, co wokół, że przez kilka sekund posłusznie pozwala się ciągnąć. Po chwili dostrzega zainteresowanie obecnych i traci rezon. Czemu wszyscy tak

się na niego gapią? Ze złością strąca z siebie dwóch pomocników. Wtedy na Ráczu rzuca się portier, zdecydowany załatwić go podwójnym nelsonem. Rácz przygważdża go do ziemi jednym uderzeniem pięści. Recepcjonista próbuje wskoczyć mu na plecy, ale Rácz przywala mu ciężką torbą z narzędziami. Napastnicy leżą bez słowa na podłodze. Rácz stoi w gotowości, jego czarne pięści trzymają gardę. Dyrektor głupieje i odchodzi w stronę schodów. Rácz wykorzystuje zamieszanie, wycofuje się z holu i opuszcza hotel przez drzwi obrotowe.

Biegnie do kotłowni po mokrym chodniku. Rzuca torbę w kąt i siada za stołem. Czuje, że coś się stało, ale jego psychika jest zbyt prosta na to, żeby wpadł w panikę. Zamiast tego Rácz wali pięścią w stół. Popielniczka Donátha i puste butelki podskakują, a wzdłuż całego blatu powstaje pęknięcie.

Przychodzi Ďula. Z trudem ukrywa szeroki złośliwy uśmiech. Przynosi wiadomość od dyrektora. Rácz ma się natychmiast u niego stawić. Dostanie wpierdol, ha, ha.

Rácz prostuje się i przyjmuje bojową pozycję.

– No to chodźmy – odpowiada.

Ďula jest zdziwiony taką bezczelnością, ale nic nie odpowiada. Prowadzi go przez podwórko do tylnego wejścia dla służby, później schodami w górę – przed obite tapicerką drzwi gabinetu dyrektora.

– Czekaj tu – mówi i z ukłonem do ziemi wchodzi do środka. – No, już możesz. – Wyłania się po chwili zza drzwi.

Dyrektor siedzi przy biurku, cały brunatny ze złości. Opycha się jakimiś tabletkami. Popija wodą, włosy lepią mu się do czoła. Rácz wchodzi i staje na środku gabinetu. Obserwuje. Dyrektor patrzy na niego długo, z niechęcią, palcami stuka po blacie.

– Co to miało znaczyć? – krzyczy nagle na Ráczu. – Pytam po raz drugi: co to miało znaczyć?

Rącz milczy. Wzrusza niepewnie ramionami i kręci ogoloną głową.

– Przypomnijmy sobie! – wrzeszczy dyrektor. – Hotel pełen gości z Zachodu, a ten się przed nimi popisuje w usmarowanym ubraniu i brudnych butach! Czy to po to odwiedzili naszą piękną ojczyznę, by móc popatrzeć na zasranego palacza? Tak?

– Świetnie pan to ujął – podlizuje się Ďula.

– Nie ciebie się pytam – krzyczy dyrektor. – Won mi stąd!

– Tak, tak, już idę – przytakuje gorliwie Ďula i błyskawicznie opuszcza gabinet. Jego lisa twarz pojawia się jeszcze na moment w szczelinie drzwi. – Szefie, gdyby szef mnie potrzebował, będę u prawnika.

Rącz patrzy przed siebie i milczy. Dyrektor też nic nie mówi. Połyka tabletkę, popija wodą, a później w lusterku ogląda swój język i swoje podniebienie. Po chwili ciągnie spokojniejszym tonem:

– Ukarzę cię. Jesteś tu nowy, musisz dostać nauczkę. Od początku mi się nie podobasz, ale chcę być dla wszystkich sprawiedliwym władcą. Nie, nie zwolnię cię, nawet gdybyś o to poprosił. Na co się gapisz? Palacz może się poruszać tylko w miejscach przeznaczonych dla pracowników hotelu. Jeżeli masz wykonać jakieś prace w hotelu, nie możesz przychodzić ubrany tak jak dzisiaj. Porządny, szary garnitur. Krawat w pastelowych kolorach, żadnych jaskrawych koszul. Narzędzia dyskretnie schowane w torbie o neutralnym kroju. W ramach kary nie dostaniesz miesięcznej wypłaty. Twoje wynagrodzenie przepadnie na korzyść hotelu „Ambassador”!

Rączowi zaczyna brakować tchu. Krew nabiega mu do twarzy. Nie zobaczy pieniędzy przez cały miesiąc! O miesiąc opóźni się jego powrót do domu!

– Ale przecież... – oponuje, podnosząc rękę.

– Zamknąć mordę! – krzyczy dyrektor i wali pięścią w biurko. – I nie waż się mi sprzeciwiać. Nic nie denerwuje mnie bardziej niż

sprzeciw pracowników!

Rącz najchętniej zamknąłby dyrektorowi gębę jednym ciosem w łeb, ale ten wybija go z rytmu, mówiąc:

– No, a teraz szybko napraw ten kaloryfer. Dyrektor nie będzie marzył!

Rącz dusi się od zniewagi i poniżenia. Wybiega z gabinetu, żeby nie musieć nikogo zabić.

Dopiero w kotłowni dostaje prawdziwego szału. Czuje szum w uszach i ma wrażenie, że zaraz pękną mu żyły w głowie. Zaciska mocno zęby, cierpną mu dziąsła. Chwyta metalowy pręt i wściekle, ze wszystkich sił wali w przełącznicę. Zniszczony i połamany drąg rzuca na stos węgla. Bierze krzesło i tak długo uderza nim o ścianę, aż w rękach zostają mu same drzazgi, które następnie wrzuca do ognia.

– Oż kurwa, hétszentségét! – wrzeszczy, zaślepiony nienawiścią.

Żeby w ten sposób kraść mu pieniądze! Rącz nie może w to uwierzyć. Stoi pośrodku kotłowni i z niedowierzaniem kręci głową jak źle trafiony byk. Oczy mu zaszły mgłą, w zaciśniętych pięściach czai się śmierć. Ten, kto wszedłby teraz do kotłowni, mógłby się pożegnać z życiem. Rącz energicznie rusza w stronę przełącznicy i zaworów. Przez chwilę na głos czyta informacje na brudnych zaworach. Z rozmachem zakręca ten doprowadzający ciepłą wodę do kaloryferów w skrzydle administracyjnym. Przypomina sobie pełną samouwielbienia twarz dyrektora.

– Zamarzniesz! – krzyczy. – Wszyscy zamarzniecie – dodaje, mając na myśli Ďulę, portiera, recepcjonistę i hotelowego prawnika. – Cieszcie się zimą! – mówi, zakręcając jeden zawór po drugim.

Rury powoli się wychładzają. Słyszać delikatny stukot. Rącz zmniejsza obroty pomp. Wyobraża sobie, jak dyrektor będzie świecił

oczami, gdy spadną na niego wszystkie skargi dotyczące zimna. Na pewno wyśle Ďulę do kotłowni. Ale Ráčz go wyrzuci, a gdyby stawiał opór, da mu po gębie. Nikt się nie będzie nad nim wywyższać. Tu, w kotłowni, to on jest panem. Nikt mu nie będzie rozkazywać. Donáth był głupcem, że dawał się tak traktować tym debilom. „Wynoś się”, powie on, Ráčz, przerażonemu Ďuli. „Chcę mówić z dyrektorem!”. Tak właśnie będzie.

Ráčz kładzie się na ławie, pięścią poprawia płaszcz pod głową, gorącą od planów zemsty. Zamyka oczy i stara się sobie wyobrazić, jak w sklepie przemysłowym i we wszystkich innych sklepach powoli się ochładza, a do środka zagląda zima. Jak wszyscy histerycznie wydzwanniają do dyrektora, żeby dowiedzieć się, co się dzieje.

A na koniec Ráčz wyobraża sobie, jak – chcąc nie chcąc – do kotłowni przychodzi sam dyrektor. Będzie niepewnie zerkał i nerwowo kiwał głową. On, Ráčz, nie przyjmie żadnych przeprosin. Przywiąże drogiego dyrektora do rur i rozgrzeje pogrzebacz... Uuu, słodka będzie zemsta Ráčza!

Ráčz ze zdenerwowania zasypia, ale tylko na chwilę. Zaraz budzi go stukot butów na schodach. Ráčz zrywa się na nogi. Do kotłowni wchodzi prezes „Mototechny”.

– Co tam, wszystko w porządku? – pyta prezes i siada. – Nie tęskni pan za Donáthem?

Ráčz wzrusza ramionami.

– Co zrobić... – odpowiada z wahaniem.

– We dwóch lepiej się pracowało, nie? – zagaduje dalej prezes. Obydwaj milczą i obserwują się nawzajem.

Prezes z rozpaczliwym pochrząkiwaniem przechodzi do sedna.

– Ogrzewanie nie działa, panie kierowniku – mówi. Ráčz jest zadowolony z takiego tytułowania. Wstaje i kiwa głową. – Od godziny zimno u nas jak w psiarni. Obsługujemy w płaszczach. Klienci się

skarżą. Co się stało, panie kierowniku?

Rącz się podrywa. Na szybko mówi, co mu pierwsze przyjdzie do głowy:

– Pewnie przewód się zapchał – rzuca i się rumieni. – Rozumie pan? – Prezes kiwa głową. – Kotłownia jest stara – ciągnie Rącz. – Rury są porzewiałe od środka. Woda pod ciśnieniem przepycha tę rdzę do kolanka i tam to wszystko się gromadzi. – Rącz ilustruje rękami opisany proces. – Rozumie pan? Przepływ się zmniejsza, kolanko się zapycha. Pewnego dnia rura zapcha się całkiem i będzie koniec. – Rącz upaja się swoim kłamstwem. Po chwili milczenia kontynuuje: – Trzeba otworzyć rurę i całe to świństwo przetkać.

– No tak, rozumiem – mówi smutno prezes i wstaje.

Na schodach znów słyhać kroki.

– Szefie, jest pan tu? – słyhać kobiecego głos. Do kotłowni schodzi kierowniczką sklepu ze sprzętem domowym. – Szefie, zimno u nas – mówi do Racza. – Dziewczyny aż się trzęsą, biedaczki. Da się coś z tym zrobić?

– A czemu przychodzi pani z tym do mnie? – pyta Rącz, z trudem ukrywając radość ze sposobu, w jaki się do niego zwrócono. – Dyrektorowi trzeba powiedzieć. Co ja mogę? Jestem tylko palaczem.

Prezes „Mototechny” macha ze zniechęceniem ręką.

– Dyrektor! Za czasów Donátha zawsze przychodziliśmy tutaj, kiedy coś nie działało.

Rącz nie wie, jak się zachować. Nie sądził, że sytuacja rozwinie się w tym kierunku. Teraz już nie może się wycofać. W kilku krótkich zdaniach tłumaczy więc, na czym stoją. On, Rącz, oczywiście wyjdzie im naprzeciw. Wiadomo, że niewiele może zrobić z tym bałaganem, który mu zostawił Donáth. Rącz uważa, że głupi i chciwy starzec specjalnie to tak zaplanował, żeby po jego odejściu wszystko zaczęło się rozpadać. A tu nawet nie ma jeszcze mrozów. Co zrobią później?

Goście drętwieją. Rącz się podnosi. Jest krępy i prawie o głowę niższy od tych dwojga, teraz jednak wygląda przy nich jak ojciec. On, Rącz, nie wie, co robić. Trzeba zadzwonić do zakładu komunalnego. To oni są od takich spraw. Ale nie przyjadą wcześniej niż za miesiąc, dwa. Goście stają się jeszcze mniejsi. Zakład komunalny odpowiada za naprawy w całym mieście. A tu będzie pracy jak w tartaku. Trzeba wszystko wyłączyć, zamknąć. Wodę wypuścić. I tak dalej.

– Tyle się w lecie gadało o tym, że wszystko będzie dobrze działać! – wścieka się prezes „Mototechny”.

– Ja nic nie obiecywałem – rzuca palacz. – A Donáthowi było już wszystko jedno. On mógł naobiecować cokolwiek.

– No tak – mówi kierowniczką sklepu AGD. – A pan by nam nie mógł pomóc? Może wystarczyłoby tylko przepchać tę rurę.

Rącz wzrusza ramionami.

– Może by wystarczyło. Ale to straszna robota. Wypuścić wodę, drutem przepchać to świństwo. I to bez gwarancji, że się uda.

– Nieważne – przerywa mu kierowniczką. – Proszę spróbować! Przecież oszalejemy z zimna, zanim przyjdą z zakładu ciepłownictwa.

Rącz chrząka.

– Moje możliwości są bardzo ograniczone – mówi i bacznie obserwuje przybyłych. – Poza tym nie mam tego w umowie. To dodatkowa praca.

Jako pierwszy startuje prezes „Mototechny”.

– Wczoraj mi przywieźli przednie szyby do škody – zagaja nieśmiało. – Jakby pan kierownik nie miał nic przeciwko, dwie takie chętnie bym panu podarował. To cenna rzecz, będzie pan mógł je korzystnie sprzedać, jeśli oczywiście sam nie ma pan škody.

Rącz znów wzrusza ramionami. Obojętne mu. Prezes zrywa się i pędzi po szyby, żeby już tylko było ciepło. Wybiega po schodach i trzaska drzwiami. Rącz nie ma nic przeciwko. Siada za stołem

i pociera dłońmi rozspaną twarz. Wpatruje się w stół i wzdycha. Zatrzymuje wzrok na kawałku sera. Odkrawa kawałek i wkłada do ust. Przeżuwając, patrzy na kierowniczkę sklepu AGD i zastanawia się, jak by wyglądała bez ubrania.

– Ale tu u pana gorąco, szefie – mówi kierowniczka, gdy zostają sami. – Mógłby mnie pan poczęstować szklaneczką wody?

Rącz szybko wstaje, ale kiedy orientuje się, że ma erekcję, siada z powrotem. Podnosi ze zdziwieniem brwi i bawi się scyzorykiem.

– Jak to? Nie ma pan syfonu? – dziwi się kierowniczka. – To straszna szkoda. Tak się składa, że mamy w sklepie odłożony jeden dla bliskich znajomych. Szklany, oczywiście. Takich w ostatnim czasie nigdzie się nie da zdobyć. Zaraz go panu przyniosę. I nabój do syfonu też. Będzie sobie pan mógł w tym ukropie narobić wody sodowej, ile dusza zapragnie. Zobacz pan, obsługa syfonu jest bardzo prosta.

Rącz nie pije wody sodowej, nigdy jej nie pił. Pije piwo. Ale nie przeszkadza mu to. Nie zdąży nawet przełknąć sera, a kierowniczka już leci do sklepu, jakby jej ktoś dupę posolił.

Rącz zostaje sam. Dyrektor się nie pojawia. Zamiast niego przychodzi Video-Urban. Bez zbędnych ceregieli siada za stołem.

– Masz coś dla mnie? – pyta Rącz. Rącz z pełnymi ustami kiwa głową. Oczy wychodzą mu na wierzch, gdy stara się przełknąć zbyt duży kęs. Podnosi do góry rękę ze scyzorykiem. Kończy jeść, wyciera nożyk o ubranie, zamyka go i chowa do kieszeni. Wstaje i idzie do kanciapy, szukając językiem w zębach resztek sera. Zdejmuje z szafy walizkę i wyciąga z podszewki znalezione siedemset marek.

– To siedemset marek – mówi Urban po tym, jak Rącz rozkłada pieniądze na nieoheblowanym blacie stołu przykrytym gazetą.

– Ile za to można dostać? – pyta Rącz.

– Skąd to masz? – chce wiedzieć Urban.

– Znalazłem – przyznaje Rącz.

– Gdzie?! – krzyczy Urban.

– Przed hotelem, w jednym z tych wielkich kwietników.

– Kiedy? – dopytuje Urban.

– Pierwszego dnia, jak tu przyszedłem.

– To było wtedy, jak była ta wielka obława na cinkciarzy?

– A ja wiem? – odpowiada Rącz.

– No tak. – Urban kiwa głową. – To wtedy. Ja uciekłem na dół. To kasa któregoś z cinkciarzy. Schował ją do kwietnika, żeby nic przy nim nie znaleźli. Później chciał po nią wrócić, wiadomo.

– No i co z tego? – pyta Rącz. – Co było, to było. Teraz jest moja!

– Nie bądź tego taki pewny – studzi go Video-Urban. – Jak się cinkciarze dowiedzą, że to ty masz kasę, obedną cię ze skóry. Siedemset marek to nie żarty, to już jest dobry pieniądz.

– Ile? – przerywa mu Rącz.

– No, taki znowu wielki to nie jest... – wycofuje się Urban. – Ale jednak.

– Ile? – nie daje za wygraną Rącz.

Urban się wykręca:

– A ja wiem? Ja bym ci za to dał siedem tysięcy, chcesz? Od razu, do ręki.

– Siedem tysięcy? – krzyczy Rącz i siada. Mało to to nie jest, myśli. Trochę by sobie tym podreperował uszczuplony przez dyrektora hotelu budżet. Ale z drugiej strony nie mógł nie zauważyć ekscytacji Urbana i chciwego błysku w jego oczach. Chłopski rozum radzi poczekać.

– Zastanowię się – obiecuje Urbanowi.

– Dobra, dam dziesięć patyków! – mówi Urban i na dowód wyciąga olbrzymi portfel wypchany banknotami.

Rącz już nie ma wątpliwości. Miejski kiep chce go oszukać. Rącz

odpowiada wymijająco:

– Muszę się zastanowić. To nie jest takie hop-siup.

– Jak uważasz. – Video-Urban wzrusza ramionami i chowa portfel. – Ale jak cinkciarze się dowiedzą, że kasa jest u ciebie, masz przejebane.

– A od kogo się dowiedzą? – pyta Rącz.

– Ode mnie nie – podkreśla Urban – ale oni wszędzie mają swoich ludzi. To mafia.

– Nie mogę się doczekać spotkania z nimi – mówi Rącz.

– To nie sprzedasz? – Urban próbuje jeszcze raz.

– Już ci powiedziałem, że się zastanowię! – odpowiada Rącz. – Z tego, co mówisz, tak czy siak mam przejebane, więc w sumie mi to obojętne. Powiem ci, jak będę chciał sprzedać.

– Jak chcesz – poddaje się Urban. – Ale żebyś nie żałował.

No, to się jeszcze okaże, kto ma przejebane, myśli Rącz, kiedy znów zostaje sam w kotłowni. Jego samotność nie trwa jednak długo. Po chwili jest tu z powrotem kierowniczką sklepu przemysłowego. Uśmiecha się szeroko:

– To rzadki model, trudno go zdobyć – oznajmia i kładzie na stole dwa pudełka z syfonami.

Prezes „Mototechny” z przednimi szybami też nie pozwala na siebie długo czekać. Ciężko dysząc z wysiłku, szuka oczami miejsca, gdzie mógłby odłożyć swój dar.

– Bez problemu się pan ich pozbędzie z pięćdziesięcioprocentowym zyskiem, panie kierowniku – zapewnia Rącz. Goście stoją. Z ich zadyszanych twarzy bije nadzieja.

Rącz wstaje i leniwie zaczyna szukać narzędzi.

Zdravko G. przyjechał do deszczowej Bratysławy wcześniej rano starym pomarańczowym oplem, pożyczonym od kolegi z noclegowni,

też Jugosłowianina. Samochód od początku był wrakiem, ale wszyscy bezrobotni Jugosłowianie z hotelu pożyczali go sobie na wyprawy do słowackich kurew. Żeby zdobyć ich podziw, popisywali się jazdą pod hotelem „Ambassador”, prezentowali dynamiczne sportowe zrywy połączone z bolesnym wyciem zarzynanego silnika, z piskiem opon i kłębamii dymu, dobywającego się z palonych gum. Stare auto, które początkowo było przeznaczone do spokojnych, rodzinnych wycieczek po dobrze utrzymanych drogach Europy Zachodniej, po swojemu zaprotestowało przeciwko wyścigowym zapędom młodych mężczyzn, którzy dla odmiany początkowo byli przeznaczeni do wypasania osłów na kamienistych zboczach Kosowa. Krótko mówiąc, skrzynia biegów zjawiskowo się rozpieprzyła. Na szczęście stało się to dopiero na parkingu przed hotelem.

Ostatnią pracą Zdravka było czyszczenie rynien u właściciela prywatnej rzeźni na przedmieściach Wiednia. Pięciu tysięcy szylingów, które zarobił w Bratysławie, nie wyda nawet przez tydzień. Do tego czasu na pewno znajdzie kogoś, kto mu naprawi skrzynię biegów. Zdravko ma wielki plan. Musi kupić słowackie marlboro. Dużo słowackich marlboro. Przynajmniej dwadzieścia kartonów. W Wiedniu sprzeda je z zyskiem. Zdravko zarobi, nie jakoś szczególnie dużo, ale wystarczająco. Tym może się zająć jutro. Szparszwajn podchodzi, dysząc, z saszetą zawieszoną na szyi.

– Potem ci dam! – Zdravko spławia spoconego tłustego strażnika parkingowego.

– Za pół godziny cztery korony, za trzy dziesięć koron, za każdą kolejną rozpoczętą godzinę dziesięć koron!

– I po co mi to mówisz? – pyta Zdravko, przyglądając się uważnie nieforemnemu zdierycy.

– Żebyś mi tu znowu nie stał trzy dni! – tłumaczy Szparszwajn. – To by kosztowało sześćset koron. Tym razem za stówkę już się mnie

nie pozbędziesz!

– Dobrze, dobrze – uspokaja go Zdravko. – Dogadamy się.

– Dogadamy się, ale teraz! – mówi stanowczo strażnik.

– Na razie masz tyle – mówi Zdravko G. i w poniżającym geście wpycha mu do czerwonej saszety pomięte sto szylingów.

– Serdecznie dziękuję, panie kierowniku – bełkocze cicho Szparszwajn i kłania się Zdravkowi. Odprowadza go aż na chodnik, nie zwracając uwagi na samochody wpychające się na przepelniony parking.

Przed wejściem do hotelu „Ambassador” na Zdravka G. czeka już Video-Urban. Po krótkiej rozmowie banknoty zmieniają właścicieli. Szylingi wędrują do portfela Urbana, a Zdravko wpycha do kieszeni gruby plik tysiąckoronowych papierków.

– Jak się masz? – pyta z grzeczności. – Hurenzon już przyjechał?

– A skąd! – zaprzecza Urban. – W dupie mnie ma.

Zdravko G. wzrusza ramionami. W końcu to nie jego problem. Żegna Urbana i wchodzi do środka. Recepcjonista kojarzy go i wita jak starego znajomego.

– Możete da mi date opet sobu broj trinaest?

„Trinaest” to jego szczęśliwa liczba.

– Oczywiście – mówi recepcjonista. – Pokój numer trzynaście jest wolny. Czy ma pan bagaż? – pyta, gdy widzi, że od strony windy, z miną wygłodniałego sępa, zbliża się siedemdziesięcioletni boy Torontál.

Zdravko G. kręci głową:

– Bagaż mam jeszcze w samochodzie.

Torontál nie kryje złości z powodu doznanej krzywdy. Jego pokrzykiwania dobiegają aż do recepcji. Na pełnej napięcia twarzy widać rozczarowanie, drżące dłonie przypominają obcegi: rytmicznie

się otwierają i zamykają, ilekroć boy myśli o niespełnionym pragnieniu, by złapać za uchwyty toreb czy kufrów, a przede wszystkim – by dostać napiwek. Zdravko G. kiedyś już powierzył boyowi swój bagaż, dawno temu, gdy był tu po raz pierwszy. Samo dojście do windy trwało chyba kwadrans. Trzęsący się dziadek poruszał się ostrożnie, małutkimi kroczkami, kiwając małą ptasią główką umieszczoną na cienkiej żółwiej szyi. Stękał ze zmęczenia, aż w końcu prawie upadł pod ciężarem bagażu, więc Zdravko G. musiał nie tylko nieść walizki, ale też podpierać Torontála, który bez wahania wczepił mu się w ramię pajęczymi palcami. Kiedy doszli do windy, zorientowali się, że się zacięła. Z szybu słychać było wołanie o pomoc w różnych obcych językach. Ale nikt nie zwracał uwagi na uwięzionych gości. Pracownicy hotelu przechodzili obok windy z obojętnymi minami. Przyzwyczaili się. Zanim Zdravko G. wtaszczył bagaż i Torontála na pierwsze piętro, na jego eleganckim garniturze pojawiły się mokre plamy potu. Stary wyglądał jak chucherko, ale był ciężki jak wół. W pokoju numer trzystaście Zdravko G., okropnie dysząc, zwałił się na fotel. Torontál zbliżył się do niego, a na jego twarzy pojawiła się radość z dobrze wykonanej roboty i niespokojne oczekiwanie. Zdravko G. dopiero po chwili wpadł na to, że kościsty starzec czeka na napiwek. Dał mu dziesięć koron. Torontál rozczarowany wziął monetę i drobnymi kroczkami zaczął schodzić na recepcję, by spotkać się z kolejnymi klientami.

Teraz Zdravko G. jest mądrzejszy. Daje staremu dziesięć koron od razu w recepcji i ma święty spokój.

Rącz wchodzi najpierw do sutereny pod sklepem „Mototechna”. Wali kleszczami po rurach, żeby na górze myśleli, że coś tam robi. Na palec nakłada trochę smaru z zaworów i paćka nim sobie twarz. Spodnie ochlapuje wodą z kurka do odpowietrzania kaloryfera. Siada na chwilę, ale szybko robi mu się zimno. Wychodzi z sutereny.

– Zaraz powinno być już ciepło – mówi zmęczonym głosem. On, Rącz, musiał przepchać wszystkie rury. Tyle tam było tego paskudztwa, że aż mu się niedobrze robi. Ale co mógł, to zrobił!

Wszyscy patrzą na niego z wdzięcznością. Prezes wypycha w stronę Rączka zawstydzoną sprzedawczynię z bukietem kwiatów. Rącz bierze kwiaty i również nieśmiało całuje sprzedawczynię w policzek. Sprzedawczyni ucieka z chichotem.

Pełne podziwu i wdzięczności spojrzenia odprowadzają Rączka aż na zewnątrz. Żegnają go, wkraczającego do holu, i przekazują kolejnym wdzięcznym spojrzeniom witającym Rączka w sklepie AGD.

Kiedy Rącz wraca do kotłowni, żeby odkręcić zawory, na zewnątrz już czeka na niego z niecierpliwością kierowniczką drogerii. Rącz zaprasza ją na dół. Kierowniczką nie potrafi przestać szczekać zębami. Umawiają się na karton mydła jabłkowego. Kierowniczką zwraca uwagę na syfony i nie może się powstrzymać. Prosi Rączka o jeden z nich. Z kierowniczką sklepu AGD nie gada. Kierowniczką sklepu AGD to zwykła kurwa, zauważa kierowniczką drogerii. Píše na kierowniczkę drogerii anonimowe donosy i nasyła inspekcję pracy. Ona, kierowniczką drogerii, spłonęłaby ze wstydu, gdyby musiała iść do kierowniczką AGD i żebrać o główniany syfon! A tak bardzo go potrzebuje! Rącz odda jej jedną butelkę. Za karton mydła. Tym razem mandarynkowego. Rącz bierze torbę z narzędziami i rusza za kierowniczką. Z okna zmywaka w kuchni, które wychodzi na podwórko, uśmiecha się do niego Ribana: wkłada palec wskazujący prawej ręki w kółeczko zrobione z kciuka i palca wskazującego ręki lewej. Rącz udaje, że tego nie widzi. On to nie Donáth, żeby musieć być skazanym na Cyganki i na to, co ktoś mu może dać.

Ledwo Rącz kończy swoje przedstawienie w drogerii, zjawia się u niego kierownik Skórtexu.

– Niech mi pan też załatwi to ogrzewanie, a jak przyjdzie dostawa

skórzanych kurtek, to jedną dla pana odłożę – proponuje.

Ráčz wzrusza ramionami.

– Czemu nie? Jakaś tania kurtka skórzana zawsze się przyda. Tania, byle dobra – mówi, patrząc kierownikowi prosto w oczy.

Dopiero w porze obiadu Ráčz ma chwilę przerwy. Łapczywie zjada zupę i niedogotowany kawał mięsa, który sam wyciągnął prosto z gara. Szef kuchni patrzy na niego z niedowierzaniem, ale boi się zareagować. Ráčz wraca do kotłowni. Smaczny obiad przyjemnie grzeje w brzuchu. Ráčz dokłada do ognia i wyciąga się na ławie. Teraz mógłby przyjść dyrektor hotelu, myśli. On, Ráčz, połamałby mu gnaty. Dziwne, że jeszcze nikt z hotelu nie przylazł skomleć o ogrzewanie! Żeby im do głowy nie wpadło wysyłać z tym Ďulę! Ma elegancko przyjść sam dyrektor! On, Ráčz, rozerwie go na strzępy i spuści w kiblu, jeśli dziad nie odwoła kary. Najedzony Ráčz zasypia ukołysany marzeniami o zemście.

Ráčz rzadko kiedy pamięta swoje sny. Śpi jak kłoda, z półotwartymi ustami. Palce u stóp mu drgają. W domu czasami pamiętał, co mu się śniło, zawsze to były twarde, realistyczne sny. O robocie, o Erżice, o Kiššu. To, co mu się śniło, spokojnie mogło się wydarzyć w rzeczywistości. Gdy się budził, nie wiedział, czy to był sen czy może zdarzyło się to naprawdę.

W kotłowni nic mu się nie śni.

Półprzytomny ściąga spodnie. Skarpetki kładzie na oparciu krzesła, żeby wyschły. Nie budząc się, wyciąga się jeszcze wygodniej. Śni mu się – po raz pierwszy, odkąd przyjechał do miasta – że wraca do domu. Do swojej wsi. Idzie z dworca bagnistą drogą. Nagle przejeżdża obok niego na koniu Feri Bartaloš. Ochlapuje Rácza od stóp do głów mokrym błotem. Ale Ráčz nie zwraca na niego uwagi.

Idzie prosto do Kiššów, z nerwów czuje ucisk w gardle. Kieszenie ma wypchane pieniędzmi, które już nie zmieściły się do plecaka. Pewny siebie wchodzi do domu. Wszyscy są odświętnie ubrani i wyprostowani siedzą wokół stołu. „No!”, krzyczy Rącz i wyrzuca zawartość plecaka na środek stołu. Kišš z niedowierzaniem unosi brwi. Kiššová piszczy. Eržika łka i chowa twarz w ramionach matki. Rącz wyjmuje pomięte banknoty z kieszeni i dokłada do reszty pieniędzy. „Tyle zarobiłem”, mówi. „Teraz mi dajcie Eržikę, tak jak obiecaliście!”. Rzeźnik zanurza ręce w pieniądzach. Robi zakłopotaną minę. „Synku”, mówi w końcu zdławionym ze wzruszenia głosem. „Nie mogę ci dać Eržiki. Miesiąc temu wydałem ją za męża!”. „Za kogo, ojczy?”, krzyczy Rącz. Próbuje zagarnąć pieniądze z powrotem, ale palce mu nieruchomieją. „Za kogo, za kogo...”, szepcze Kišš i cofa ręce. „No, przecież za Feriego Bartaloša. Myśleliśmy, że już nie wrócisz. Że to już koniec. Ilu takich jak ty... Kto by chciał wracać z miasta...”. „Ten, na kogo czeka dziewczę...”, mówi Rącz i opada na krzesło. Ogarnia go wściekłość. Już ma ochotę walnąć pięścią w stół, ale się powstrzymuje. Na podwórzu słychać tętent. Jeździec zeskakuje z konia i wchodzi do kuchni. Rumiany, wyrośnięty, śmierdzący tytoniem, skórą, ostro zalatujący końskim potem. Eržika zrywa się i pada mu w objęcia, prosząc o ratunek. Rącz wciąż trzyma w dłoniach pomięte pieniądze. Wstaje i zaczyna upychać je z powrotem do plecaka. „Po co przyjechałeś?”, pyta Feri Bartaloš i strzela z bicia prosto w banknoty leżące na stole. „Eržika była moja”, mówi Rącz nieustępliwie. Kiššowie siedzą wokół stołu jak zmoknięte kury. „Zatłukę was jak psy!”, krzyczy Rącz. Łzy cisną mu się do oczu. Czyjaś chłodna ręka dotyka jego twarzy. „Zostaw mnie!”, krzyczy Rącz nie wiadomo do kogo i bierze zamach. Nagle traci świadomość. Kuchnia i obecni w niej ludzie nikną.

Rącz budzi się na betonowej podłodze z bólem w plecach.

– Niech się pan obudzi – słyszy nad sobą kobiecy głos.

– Ja nie śpię – mamrocze Rącz i budzi się na dobre. Leży pod ławą. Pochyliła się nad nim... nie może być! Silvia! Silvia, tancerka z hotelu „Ambassador”!

Rącz zrywa się na nogi i siada. Głowę ma ciężką, a miejsce, w które dotknęła go dziewczyna, pali jak ogień. Rącz przykłada palce do policzka. Płakał naprawdę. Wierzchem dłoni ociera łzy.

– Spał pan – mówi tancerka.

– No tak, spałem – mruczy Rącz pod nosem. – Rzeczywiście.

W końcu przytomnieje i zabiera się do roboty. On, Rącz, ma dużo pracy. Nie wie, w co ręce włożyć. Rury się zapychają. Wszyscy chcą, żeby on, Rącz, chodził i naprawiał. A co, że niby on tu jest tylko od tego? Nawet porządnych narzędzi nie ma. Tyle dobrze, że na traktorzystę-mechanika się wyuczył.

Czy ja jeszcze śnię? – pyta palacz sam siebie. Ona tu jest, stoi obok, w całej swojej krasie. Rącz czuje energię wydobywającą się z jej pulsującego krwią, zdrowego, jędrnego ciała. Już raz się tak czuł. W garderobie, jak naprawiał jej kaloryfer i ona poprosiła go, żeby pomógł jej zapiąć sukienkę. W barze variété musi być teraz zimno jak w psiarni.

– Zdrzemnąłem się – mówi Rącz. Od rana jest na nogach. Stara się jak może.

– U nas też jest okropnie zimno – żali się Silvia. – Nie możemy mieć prób. Da się coś z tym zrobić? Musimy przećwiczyć nowy numer. Na pewno go pan zna, leci teraz wszędzie. *Pamparara*. Taki ma tytuł.

Rącz kręci głową. Nie, nie zna tego. On zna inne numery. Starsze. *Rivers of Babylon* i takie tam. Ale ona pewnie tego nie zna.

– Nie, nie znam – mówi Silvia. – To jak, da się coś zrobić z tymi kaloryferami?

– To będzie trudne – odpowiada Rącz. Spogląda w jej błękitne

oczy. – Rury są w strasznym stanie, a wszyscy oczekują ode mnie nie wiadomo jakich cudów.

Milknie. Najchętniej złapałby tę latawicę, zaciągnął do kanciapy i wyruchał. Podnosi się, ale nagle zauważa, że ma erekcję. Siada.

– Mogę spróbować – mówi. – Dla pani wszystko – dodaje i się rumieni. Złość, którą pielęgnował przez cały ten czas, znika.

Silvia wie, że ma go w garści. Jeszcze jej będzie z ręki jadł, myśli. W jej twarzy rysuje się coś z bezczelności dziewczuch, które w dzieciństwie splatały słomiane włosy w dwa kucyki, bawiły się z chłopakami i męczyły żaby i chrabąszcze. Rącz całym sobą czuje jej bliskość. Nie, nie może powiedzieć, że mu się podoba. Nie jest przecież, jak to się mówi, w jego typie. Jemu, Rączowi, podoba się Erżika, smągła, potężna, z dużym zadkiem, biustem i różowymi udami. Silvia wygląda, jakby była chora. Mimo to (a może właśnie dlatego) ma na nią ochotę. Żadnej innej kobiety tak nie pragnął. Nawet w wojsku. Zapach perfum Silvii nie pasuje do kotłowni, gdzie wiecznie śmierdzi popiołem. Rącz zbiera w sobie resztki swoich cywilizowanych odruchów i powstrzymuje się od złapania jej za udo. Wytrącony z równowagi, pociera dłonie.

Prostytutka się dosiada. Krępy, brudny i śmierdzący potem wieśniak obudził w niej dawno uśpione pragnienie. Po tych wszystkich łózkowych ekscesach działają już na nią tylko naprawdę silne bodźce. Z rozpiętej do połowy koszuli Rączza, spod której wystaje gęstwina włosów, bucha ostra woń potu. Dziewczyna ma ochotę wpleść palce w te włosy, pogłaskać umięśniony brzuch i wąskie biodra. Przesuwa palcem po ustach. Czuje, jakie są gorące. Coś się w niej rusza.

– Jaki pan dobrze zbudowany! – mówi i kładzie mu rękę na ramieniu.

Rącz się rumieni.

– To od pracy. Co jak co, ale siłę to ja mam.

– Siła to nie wszystko... – rzuca tancerka zalotnie.

Rącz w roztargnieniu kiwa głową, myśli o czymś innym.

– Podnosiłem ciężarki – mówi po chwili zastanawiania się, czy warto o tym wspominać. – W szkole byłem najsilniejszy. Kiedyś zawiesiłem na haku Feriego Bartaloša od nas. Rozumie pani? Proszę zobaczyć!

Rącz wstaje. Wróciła mu pewność siebie. Podniecony obecnością Silvii, łapie za stalowy pręt z dospawanymi z obu stron śrubami – ten do zakręcania zaworów. Zgina go, jakby to była plastelina. Bierze łopatę i łamie ją na kolanie. Pięścią robi zagłębienie w blaszanych drzwiach na korytarz. Wygina narzędzia, pogrzebacz zawija sobie wokół ręki. Pohukuje, niesiony siłą ukrytą w swoim potężnym ciele.

Silvia patrzy na niego z rozbawieniem i rosnącym zainteresowaniem. Podnosi się. Stoją teraz naprzeciwko siebie. On, zdyszany i spocony od swoich wyczynów, masuje obolałą rękę, ona, rozochocona jego zwierzęcością, patrzy na niego nieruchomym wzrokiem. Wreszcie podchodzi bliżej, tak że widzi mięśnie pulsujące na jego potężnej szczęce.

– Mnie też byś tak zgiął? – pyta.

– No a jak! – śmieje się Rącz i dłońmi ściska jej ramiona i plecy.

Silvia syczy z bólu.

– Jeszcze, jeszcze – szepcze. Ciągnie go na ławę i siada mu na kolanach. Rącz posłusznie robi na jej ramionach wielkie siniaki. Tancerka jęczy. Rozrywa palaczowi flanelową koszulę w kratę. Guziki lecą we wszystkie strony. Jej dłonie w podnieceniu wędrują po klatce piersiowej Rączka. Opuszkami palców wyczuwa gęste czarne włosy zroszone potem. Rącz ściska jej uda. Tancerka, jak pijawka, przysysa się do niego ustami. Po chwili czuje w nich ciepły, śliski, ruchliwy język.

– Gorąco tu – mówi prostytutka. – Nie ma tu jakiegoś miejsca, w którym moglibyśmy się zaszyć?

Rácza przebiega dreszcz. Żołądek kurczy mu się z nerwów. Oho, zaczyna się, myśli. Im częściej coś sobie wyobraża, tym rzadziej ma ochotę zrealizować to naprawdę. Ale teraz nie można się już wycofać. Wstaje i prowadzi Silvię do kanciapy za kotłownią. Dziewczyna rozbiera się bez oporu, kładzie na brudnym łóżku i patrzy na Rácza.

– To jak? – pyta. Rącz się zastanawia. W końcu szybko rozbiera się na stojąco i zostaje tylko w skarpetkach i butach. Rzuca się na Silvię. Całuje ją po całym ciele. Tak zadbanej kobiety jeszcze nie miał. Weiska się między jej kolana. Wiercą się przez chwilę, zanim znajdują odpowiednią pozycję.

Później leżą w łóżku. Tancerka wyciera się brudnym ręcznikiem, który wisiał na oparciu.

– Masz papierosa? – pyta.

– W kotłowni są marsy – mówi Rącz, trochę urażony tym, że tancerka po wszystkim tak szybko się otrząsnęła.

– Fuuj, palisz marsy? – Silvia nie kryje obrzydzenia. – Gdzie tu można wziąć prysznic?

– Otwórz tamte drzwi – odpowiada Rącz. – Musisz iść do końca korytarza, ostatnie drzwi na prawo. Chcesz mydło?

– Przydałoby się – mówi Silvia.

Rącz rozrywa karton mydła mandarynkowego i podaje jej jedno. Tancerka patrzy na nazwę firmy i z aprobatą kiwa głową.

– Cicha woda jesteś – dodaje i znika w korytarzu. – No, to mamy to za sobą – mówi potem, nieco rozkojarzona. Zaczyna się ubierać. – Postaraj się coś zrobić z tym ogrzewaniem.

– Kiedy przyjdiesz następnym razem? – pyta owładnięty

melancholią Rącz.

– Jak w barze znowu zrobi się zimno – żartuje Silvia.

– Jutro będzie!

– Żeby było jasne – mówi tancerka i ze szpilką w ręce spogląda na Rączka. – Ja się zachowałam dorośle. Teraz ty bądź dorosły i pokaż, co potrafisz. Nie myśl sobie, że ci będę dawać codziennie. Wiesz w ogóle, ile to kosztuje?

Rącz siada na skraju łóżka. To mu się nie podoba. Silvia da każdemu, tylko nie jemu. Czego właściwie chce? Pieniądzy? Proszę bardzo! On, Rącz, ma ich dużo.

Silvia traci panowanie nad sobą. Tych kilka pomiętych koron! To jej, Silvii, nie interesuje.

– Co? – krzyczy Rącz i zrywa się na nogi. – Kilka pomiętych koron? Już ja ci pokażę, jak wygląda tych kilka pomiętych koron!

Wyciąga z szafy walizkę. Wyjmuje zwitek niemieckich marek. Specjalnie trzyma go w zaciśniętej pięści, żeby wyglądał na grubszy.

– Ile chcesz? – krzyczy. – Sto? Dwieście? Masz! – Rącz odlicza dwieście marek i rzuca banknoty na jej łono. – Kiedy przyjdiesz?

Silvia bierze pieniądze i ogląda je pod światło. Pociera je o siebie i wsłuchuje się w ich szelest. Prawdziwe.

– Dziś było za darmo – mówi. – Ale to zabieram ze sobą. Przyjdę pojutrze. Zgoda?

– Wysoko się cenisz. – Chłopski rozum Rączka nie może tego pojąć. – Za tyle to powinnaś przyjść też jutro.

– Jutro nie mogę. – Silvia kręci głową.

– To jeden mi oddaj! – rozkazuje Rącz. Chowa pieniądze do walizki, a walizkę do szafy. – Wszystkie kiedyś będą twoje. Jak będziesz dla mnie dobra. Naprawdę miła.

– Będę pojutrze o tej samej godzinie – obiecuje dziwka. Czesze się

przed kawałkiem lustra i poprawia szminkę na zmysłowych ustach.

Kiedy na schodach cichną jej kroki i trzaskają blaszane drzwi, Rácz wstaje i zaczyna szukać swoich slipów. Czuje się świetnie.

– Mogę da zadzwonię do baru na dół? – pyta Zdravko G. kelnera w kawiarni. Kelner w milczeniu wskazuje mu telefon. Silvia jest już z powrotem. Kaloryfery w barze są ciepłe. Koleżanki ją chwala, a za plecami obgadują. Dała palaczowi! Jakie to ordynarne! Silvia się tym nie przejmuje. Ciepło jest, a i wszystkie marki z czasem będą jej. Cieszy ją telefon od Zdravka G. Wszystko jej się dziś udaje. Smagły lekarz z Wiednia na pewno ma dla niej jakiś prezent. Skąpy nie jest. Próby dziś i tak nie ma: kiedy Silvia załatwiała z palaczem ogrzewanie, niektóre dziewczyny zabijały nudę pić coli z rumem. Teraz się chwieją na krzesłach i głupio chichoczą. To nieprofesjonalne, myśli Silvia. Pijana Edita kładzie jej rękę na łonie i ciągnie do szatni. Silvia woli zabrać płaszcz i torebkę i iść do Zdravka G.

– Kako sa imasz? – zagaduje Zdravko G. Silvię w barze.

Silvia się uśmiecha.

– Dobrze.

– Tęskniłaś za mną? – dopytuje Zdravko G.

– Długo cię nie było – odpowiada Silvia.

– Miałem dużo operacji, znasz? – tłumaczy Zdravko G. – Pracowałem. Priwatni krankenhaus, znasz? Mało doktorów. Wiele pacjentów. Jestem najbolji lekarz, wszyscy pacjenci chce mnie da ich operuję. – Zdravko G. podnosi szklankę do ust i upija łyk. Silvia kiwa głową na znak, że rozumie. Zdravko G. ma piękny zawód! Zdravko G. się zgadza. Sigurno tak!

– Kao radisz danas wieczór? – pyta Zdravko G.

– Nie wiem – odpowiada Silvia. Dziś nie ma na nic ochoty.

Odbierze sobie wolne.

– Chcesz da wcześniej jedemo? – proponuje Zdravko G.

– Nie, nie jestem głodna – mówi Silvia. – Kto by się chciał grzmocić z pełnym brzuchem?

Zdravko G. płaci i prowadzi Silvię do swojego pokoju. Rozbierają się i spółkują. Zdravko G. jest niecierpliwy, dziki. Spółkuje tylko w Bratysławie ze słowackimi kurwami. W Austrii musi pościć. Austriackie kurwy są drogie, słowackie tanie. Poza tym gdyby jakaś chciała dać Zdravkowi G., i tak nie miałby jej dokąd zaprowadzić. Do hotelu robotniczego z dwudziestoma Jugosłowianami i Turkami w pokoju? Wszyscy by patrzyli, jak to z nią robi. Może ktoś chciałby się przyłączyć. Zdravko jest w Wiedniu nikim, ostatnim śmieciem. Kilka kilometrów dalej na wschód – królem, a wszyscy wokół niego to śmiecie.

Powoli ściąga sukienkę z siedzącej w fotelu Silvii. Dziwi go, kiedy rozebrana Silvia wręcza mu kondom.

– Załóż to – mówi.

– A naszto? – pyta Zdravko G.

– Nie chcę, żeby się skończyło jak ostatnio, że wszystko było we mnie – odpowiada Silvia.

– Ja ne wolim owe gume! – broni się Zdravko G. – Obiecuję, że danas będę uważał. Aufpassen!

– Nie chodzi o to, czy będziesz czy nie będziesz uważał – upiera się Silvia. – I tak biorę tabletki. Ale w dzisiejszych czasach nigdy nie wiesz, co możesz złapać. To też dla twojego dobra.

– Ale Silvia! – śmieje się Zdravko G. – Żyjemy samo jedanput. Nur einmal. Danas jesmo, sutra nismo. Nieciu da jebeme se z gumą.

– Mówisz, jakbyś nie był lekarzem – złości się Silvia. – Jak chcesz wejść we mnie, to tylko z gumą! Bez gumy tylko ręką!

Z niechęcią bałkański ogier w końcu się zgadza, a Silvia rozkłada przed nim swoje smukłe nogi i pozwala się wziąć w ramiona.

Długa nieobecność Zdravka G. w hotelu „Ambassador” skutkuje nieludzką porcją nasienia, które wypełnia prezerwatywę, wielką jak głowa dziecka. Zdravko G. wstaje i idzie ją splukać w toalecie.

– Zaszto je tak zimno? – pyta po powrocie. Dotyka kaloryfera. – Zimny! – mówi ze złością i wchodzi pod kołdrę.

Już wszędzie zrobiło się ciepło. W barze na dole również. Tylko w jednym hotelu „Ambassador” jest zimno. U dyrektora też. Dyrektor siedzi w płaszczu przy oszronionym biurku i nasłuchuje, czy nie zaczynają grzać. Nie ma szmeru w rurach, którego by nie usłyszał. Z ust wydostaje mu się para. Mężczyzna co chwila wstaje i sprawdza kaloryfery. Grubiutkie dłonie starają się uchwycić choćby najmniejszą odrobinę ciepła. Nic. Zimne. Z oddali słyszy zdenerwowane szepty po niemiecku, angielsku i w innych językach. Ktoś puka do drzwi.

– Proszę, do cholery! – krzyczy dyrektor i kuli się w płaszczu. Wchodzi francuski przedsiębiorca, który przyjechał tu na kongres. Za nim wychyla się twarz Anglika spod dwudziestki ósemki i rząd innych twarzy zerkających do gabinetu dyrektora. Dyrektor się kurczy, jest teraz naprawdę malutki. Nerwowo zaciera dłonie. Goście hotelu krzyczą na niego w różnych językach. Dyrektor rozumie tylko swój ojczysty. Ale nietrudno zgadnąć, o co im chodzi. Anglik pokazuje wilgotną chusteczkę, dziennikarz z Mozambiku powtarza monotonie: „Bal-laa! Bal-laa!”. Francuski przedsiębiorca zdejmuje garnitur i koszulę i znacząco pokazuje dyrektorowi rany odniesione na wojnie algierskiej. Jakiś potężny Niemiec z oszronionym wąsem i jasną czupryną przeciska się w stronę dyrektora i pokazuje mu zdjęcia siebie, swoich dzieci, żony i rodziców. Puszczą je w obieg.

Najcięższy kaliber zostawia na koniec – fotografię kochanki. Przymilnie się uśmiecha.

– Ja, ja, gut! – bełkocze dyrektor i stara się wypchnąć wszystkich z gabinetu. Żeby chociaż był tu prawnik, myśli sobie, on by im wytłumaczył. Ale prawnika nie ma, poszedł gdzieś w miasto robić interesy.

W drzwiach staje Arab. Jest blady i trzęsie się z zimna. Dzikie oczy zaszły mu krwią.

– Ja kalb! – mówi. – Ja mikassah!

– Ja, ja! – zapewnia go dyrektor. Wyrzuca wszystkich z gabinetu i zamyka za nimi drzwi. Rozpaczliwe „Bal-laa! Bal-laa!” słychać teraz na korytarzu. Zmęczony dyrektor siada na krześle i marznie dalej. Zziębnięci goście nerwowo przechadzają się przed gabinetem. Murzyn z Mozambiku umilkł. Wszyscy czekają. Dyrektor słyszy ich kroki i wrogie głosy w obcym języku. Coś ustalają. Dyrektor przykłada ucho do wytapicerowanych drzwi, nie rozumie jednak ani słowa. Raz po raz ktoś puka, zerka do środka przez dziurkę od klucza. Dyrektor odsuwa się od drzwi i staje pod ścianą. Przestraszył się. Chce mu się sikać, ale boi się wyjść z gabinetu. Postanawia wysikać się do doniczki z palmą. Potem stawia krzesło tak, aby go nie było widać przez dziurkę od klucza, i drzemie. Po chwili znów ktoś wali do drzwi. Z gardła dyrektora wydobywa się wysoki, pełen lęku pisk.

– Niech szef otworzy, to ja, Ďula! – dobiega zza drzwi.

– To na pewno ty? – pyta dyrektor i nasłuchuje.

– To ja, niech mnie pan wpuści!

– Wszędzie jest zimno, towarzyszu dyrektorze – mówi Ďula po wejściu do gabinetu.

– Co ty nie powiesz, debilu – dziwi się dyrektor i energicznie zamyka drzwi. Siada za biurkiem i tępo patrzy przed siebie. – Ten palacz, ten nowy! – mówi Ďuli.

On, dyrektor, może się założyć, że to jego sprawka. Od początku nie patrzyło mu z oczu dobrze! Może chce się na nim, dyrektorze, zemścić za tę sprawiedliwą, choć surową karę.

– Idź po niego – rozkazuje dyrektor – i przekaz mu, że żądam, aby wszędzie było ciepło! I niech przyjdzie naprawić mi ten kaloryfer!

Powiedziawszy to, natychmiast zamyśla się i zaczyna bawić jakimiś farfocłami, które znalazł w kieszeni. Oczy zachodzą mu mgłą, jak zawsze, gdy zajmuje się czymś naprawdę ważnym. Na Ďulę już nie zwraca uwagi.

– A co mnie obchodzi dyrektor? – śmieje się Rącz po wysłuchaniu na leżąco Ďuli. Jego, Rácza, da się tylko raz wkurzyć. Jak dyrektor czegoś chce, niech przyjdzie do Rácza sam, osobiście!

Ďula siada. Nie wie, co robić. Długo już tu pracuje jako posłaniec i jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby ktoś tak bezczelnie mu się postawił. Nawet hotelowy prawnik i menedżerowie, mimo że dyrektora nienawidzą i obgadują za plecami, oficjalnie traktują go z szacunkiem i posłusznie spełniają jego – czasem idiotyczne – rozkazy. A nawet jeśli ich nie spełniają, to udają, że tak robią. Rącz musi mieć mocne plecy, skoro się nie boi. Ďula ma nosa. Zawsze, szybciej niż inni, wyczuje, z której strony wieje wiatr. Od dzieciństwa ma taki barometr. Zawsze wie, komu służyć i kiedy uciec do kolejnego pracodawcy, tak żeby to naturalnie wyglądało. Akcje Rácza rosną w jego oczach.

– Dyrektor tu nie przyjdzie – mówi Ďula.

– A czemu? – dopytuje Rącz.

– Boi się pana, szefie.

– To on się mnie boi... – Rącz rozkoszuje się tym wyznaniem.

– No, ale coś mu muszę powiedzieć... szanowny panie – męczy

Řdula, gdy widzi, że Rác znow zaczyna zamykać oczy.

– Rury się zapchały – mamrocze palacz w półśnie. – Trzeba czekać – dodaje i przestaje zwracać na szofera uwagę.

– Ja to załatwię – oznajmia Řdula i wybiega po schodach z kotłowni.

Rác śpi spokojnie. Nagle jednak zrywa się na równe nogi, bo czuje, że w kotłowni jest ktoś jeszcze. Řdula poszedł, ale zamiast niego pojawił się przestraszony obcokrajowiec.

– Czego chcesz? – krzyczy z ławy Rác i w złości zaczyna szukać skarpetek. Anglik spod dwudziestki ósemki spogląda niepewnie na rozespanego zuchwalca. Palce zsiniały mu z zimna. Na próżno stara się wytłumaczyć Rácowi powód swojej wizyty w kotłowni.

– Nie rozumiem – powtarza uparcie Rác i kręci głową. Uważnie słucha zdań wypowiedzianych w obcym języku, ale za każdym razem gdy Anglik milknie z pytaniem i prośbą w oczach, Rác rozkłada ręce. – Czort wie, o co ci chodzi. Było się po naszymu nauczyć.

Obcokrajowiec nie może uwierzyć, że ktoś może być aż tak tępy. Zaczyna podejrzewać, że palacz się zgrywa. Podaje Rácowi karton papierosów „Benson & Hedges”. Teraz Rác już rozumie. Kładzie papierosy na poobijanym stole i bez pośpiechu zaczyna szukać swoich butów. Anglik gestem pokazuje, jak bardzo jest mu zimno. Trzeba coś z tym zrobić. Rác zapala jednego bensonka i nie wyjmując go z ust, mruży oczy i wkłada buty. Już wie, o co chodzi. Delektuje się papierosem. Patrzy na napis na pudełku. Ben-son-ent-hed-ges, sylabizuje. Mocne i jednocześnie delikatne. W sam raz. Takie papierosy on, Rác, będzie teraz palić! Anglik wychodzi, ale za chwilę wraca. Prowadzi ze sobą wąsatego Niemca od zdjęć, zdenerwowanego Araba i Murzyna jęczącego „Bal-laa! Bal-laa!”. Wyglądają na przestraszonych. Wstydzą się. Rácowi jest ich żal. Myśli o zyskach. Oni przecież niczemu nie są winni, mówi sobie w duchu. Jak mu

dadzą papierosy, to hulaj dusza! Niech tam mają ciepło! To dyrektor powinien ponieść karę. Nie weźmie Rácza na współczucie, nie, Rącz będzie silny. Ale ci tutaj są niewinni.

Obcokrajowcy oglądają kotłownię. Rącz na migi wyjaśnia im, co się zepsuło. Goście kiwają głowami, po czym wyciągają z kieszeni podarki. Niemiec sto koron i paczkę papierosów. Jakimś cudem są to ulubione papierosy Rácza. Arab z kolei chce się odwdziżyć pięćdziesięcioma dolarami i jakimś dziwnymi, grubymi, skręcanymi papierosami z zielonym tytoniem. Dramatycznie pokazuje, że zamarza. Murzyn niczego nie daje. Jest skąpy, a zresztą i tak nic nie ma. Jękami domaga się pomocy. Rącz nie może oderwać od niego oczu. Jeszcze nigdy w życiu nie widział Murzyna na żywo.

Po chwili rozważań, w skupieniu, rusza do hotelu. Tak jak stoi: w brudnych roboczych ciuchach. Nikt go nie zatrzymuje, nie wygania. Zmarznięty personel widzi w nim Mesjasza.

– Naprawi to pan? – szczeka zębami recepcjonista.

Rącz długo milczy. Wlewa w siebie wódkę, którą mu przyniesiono na tacy, i w zamyśleniu obraca w dłoniach pusty kieliszek.

– Hmm – mruczy i przeciągle patrzy na recepcjonistę. Z pokoju służbowego, z szatni recepcjonistów i boyów dobiega ciężki, charczący kaszel Torontála. Od chciwego wystawania w chłodnym pomieszczeniu recepcji dostał zapalenia płuc. Boy i dwóch kelnerów z baru musieli go siłą odciągać od mahoniowej lady recepcji. Niczym bagaż nieśli go do pokoju służbowego, na śmierć. Pokój ten służy też za palarnię dla recepcjonisty, jego pomocników i boyów. Mężczyźni siedzą w kącie, palą i rozmawiają ściszymi głosami. Od czasu do czasu ktoś podchodzi do Torontála i mu się przygląda. Starzec leży. Ma wielki nos i oczy pokryte przezroczystą błoną. Dyszy. Mężczyźni patrzą na zegar, w pośpiechu gaszą papierosy, zapinają górne guziki w koszulach, poprawiają poluzowane muszki. Wracają do pracy.

Starzec zostaje sam. Nikt go tu nie lubi, wszyscy czekają, aż umrze.

Portier uśmiecha się do Rácza niepewnie. Menedżer częstuje papierosem.

– Mam swoje – rzuca Rácz oschle i wyjmując bensonki, które dostał od Anglika. Niezynchronizowany dźwięk odpalanych zapalniczek, syk gazu w różnych tonacjach i spóźnione, spanikowane, a także skazane na porażkę pocieranie zapalką o draskę ogarniają lekkim podmuchem papieros zwisający niedbale z ust. Rácz się zaciąga. – To zaczynajmy – mówi.

Techniczny sprowadza dla niego windę. Tak jakby chciał zadośćuczynić mu za wszelkie krzywdy.

Rácz chodzi po pokojach i udaje, że naprawia kaloryfery. Uderza w nie, nasłuchuje. Zmartwiony kręci głową. Wszyscy widzą, że robi co może. Kładzie się obok nich, wykonuje tysiące niepotrzebnych czynności. W każdym pokoju dostaje jakiś prezent. Niemieckie małżeństwo daje mu obrazek z papieżem, siwy Kanadyjczyk wyciąga z portfela pięćset koron. Młody Włoch w sekrecie podrzuca mu gazetkę pornograficzną, w której czterech facetów masakruje uczennicę. Amerykański skrzypek z wielkim nosem i nieuczesanymi włosami daje mu sto dolarów. Wartość prezentu zależy od tego, jak mocno ktoś zmarzł i jak bardzo się trzęsie.

Większość pokojów jest jednak pusta. Goście spędzają czas poza hotelem. Ráczowi spodobała się rola wybawiciela.

– Możliwe – mówi do technicznego, chowając sto dolarów do portfela – że dziś to jeszcze nie będzie działać. Proszę powiedzieć wszystkim gościom, że jutro przyjdę znowu. Robię to w czasie wolnym. Nikt mi za to nie płaci. Niech im to pan powie... Tylko od nich zależy, czy będą mieć ciepło czy nie.

Techniczny spuszcza wzrok. Potakuje.

– Liczę na pana – mówi Rácz. – Jak mnie pan nie rozczaruje,

będziecie mieć ciepło jak w niebie. A jeśli rozczaruje... To nie wiem, nie wiem.

Rącz napawa się widokiem podarunków od zziębniętych gości. Sami mu to wcisnęli. On, Rącz, nikogo o nic nie prosił. Głupi, kto daje, głupszy, kto nie bierze. A co, nie zasłużył sobie na to? Pracuje tu prawie cztery miesiące, a jakoś wielkich pieniędzy jeszcze nie widział. Dobrze, że jedzenie dostaje za darmo. Pracuje od rana do wieczora. I co z tego ma?

W oknie zmywaka szczerzy się Ribana. Rącz udaje, że jej nie widzi. Bierze ze stołu szklaną miskę i łyżkę. Podchodzi do kotła, w którym gotuje się zupa. Kucharz podaje mu chochlę. Przymila się:

– Panie kierowniku, smacznego!

– Chuj ci do tego – mówi obojętnym tonem Rącz i miesza gęsty pachnący wywar.

Drugiego dnia około południa już wszędzie jest ciepło. Rącz znosi do swojej kanciapy wiatrówkę, dzinsy, kartony amerykańskich papierosów, gazetki pornograficzne, czekolady, torby sportowe, francuskie kosmetyki, gumy do żucia, zwitki marek, franków, dolarów i funtów. Każdy z gości coś mu dał, a jeśli go nie zastał, zostawił prezent w swoim pokoju na łóżku.

Wszyscy patrzą teraz na Racza jak na zbawcę. Hotel jest go pełen. Racza można spotkać na korytarzu, niosącego jakieś druty i pręty. Czasem potrzebuje wiadra, czasem przy pracy prosi na przykład o przytrzymanie nasadki. Jest lubiany. Techniczny łązi za nim krok w krok i proponuje przejście na ty. Rącz go ignoruje. Wreszcie mówi mu, że każdy powinien znać swoje miejsce. Techniczny zastanawia się, co Rącz miał na myśli. Kelnerzy przynoszą Rączowi gorącą herbatę z rumem. Gdy wszyscy są już pod jego wrażeniem, Rącz

schodzi do kotłowni, żeby w końcu odkręcić zawory. Wkrótce wszędzie robi się przyjemnie ciepło. Recepcjonista zdejmuje płaszcz. Goście się uśmiechają. Torontál wstaje z kanapy i idzie się załatwić. Za chwilę wraca pod koc. Już mu lepiej. Poleży jeszcze dzień, dwa i będzie mógł wrócić do lady w recepcji. Świerzbą go ręce na myśl o skórzanych uchwytach walizek i toreb. Jeszcze trochę pożyć, jeszcze być potrzebnym.

Rącz zajmuje się liczeniem pieniędzy, kiedy do kotłowni wchodzi Silvia. Widok kolorowych papierków, prędko chowanych do walizki, sprawia, że świecą jej się oczy.

– Ale dziś tak na szybko – mówi. – Ćwiczymy nowy program. Nie będę się rozbierać, dobra?

Rączowi wszystko jedno. Wstaje i rozpina rozporek. Silvia ściąga majtki, opiera się o drzwi, podnosi spódnicę i wystawia tyłek. Palacz wchodzi w nią i trzymając mocno za biodra, zaczyna się ruszać. Po paru minutach jego twarz tężeje i Rącz wypuszcza wstrzymywane powietrze.

Ubierają się.

– Co będziesz robić z tą walutą? – Silvia udaje obojętność.

Rącz milczy. Sam nie wie.

– A co mam robić? – pyta po chwili. – Dostaniesz, jak przyjdiesz następnym razem. Nie dbam o pieniądze. U nas na wsi często stawiałem wszystkim w knajpie.

Silvia się śmieje.

– Daj znać recepcjoniście, jak mnie będziesz potrzebował. Już on mnie znajdzie, choćbym była w domu. Albo zadzwoń. Chcesz numer?

– A co ja będę dzwonił? – Rącz wzrusza ramionami. – Powiem recepcjoniście.

W życiu do nikogo nie dzwonił. Nawet w wojsku. Kiedy podczas jego dyżuru dzwonił telefon, Rącz nigdy nie podnosił słuchawki.

Silvia wychodzi. Rącz ze stosu zagranicznych prezentów, który piętrzy się na stole w kanciapie, wyciąga butelkę. Czyta etykietę i gładzi ją dłonią. Chivas Regal Scotch Whisky. „A co mi tam”, mówi sobie i rozgląda się za blaszanym kubkiem, „spróbujemy tego chivasa regala”.

Zima jest sroga. W nocy napadało śniegu. Zaspy sięgają metra. W hotelu pełno gości. Mróz trzyma. Termometr pokazuje czasami nawet minus trzydzieści stopni. Wiatr, kiedy rozhula się po pustych ulicach, potrafi wiać z olbrzymią prędkością. Wpada na podwórze niczym huragan i przewraca śmietniki.

Rącz z zadowoleniem myśli o tym, jaki jest ważny. Uwalany smołą i olejem, spaceruje po hotelu. Wszyscy go, chcąc nie chcąc, chwalą.

Tylko dyrektor ma ciągle zepsuty kaloryfer. Na zewnątrz śnieży. Dyrektor marznie w gabinecie. Z twarzą przyklejoną do szyby obserwuje wejście do kotłowni. Meble w gabinecie popękały od mrozu. Przyniósł sobie z domu farelkę. Grzeje się przy niej. Ręce ma odmrożone, ciało zmarznięte. Po hotelu biega w kombinezonie narciarskim i futrzanej czapie zawiązanej pod szyją. Przemyka pod ścianami, sprawdza, co czai się za rogiem. Boi się dzikiego palacza. Popęcił błąd. Chciał go nawet naprawić. Już tyle razy wybierał się do Rącz z przeprosinami. Żeby odwołać karę. Za każdym razem, tuż przed blaszanymi drzwiami, dopadał go lęk i dyrektor zawracał. Przesiaduje w hotelowym holu, żeby się ogrzać. Nie podoba się to Torontálowi, który myśli, że dyrektor chce mu zabrać robotę. Gniewne pohukiwania niedołężnego starca wyganiają dyrektora z powrotem do zimnego gabinetu. Wszyscy wytykają go palcami.

Dyrektor siedzi w śpiworze za biurkiem i patrzy przed siebie z beznadzieją w oczach. Z sufitu zwisają sople. Dyrektor ma

odmarznięte dłonie i paznokcie. Nie pomaga nawet potrójna warstwa bielizny.

Rącz został hotelową gwiazdą. Wszyscy mu się kłaniają. Ďula mówi do niego „panie kierowniku”. Prawnik – „kolego”. Wiedzą, że Rącz nienawidzi dyrektora, więc unikają tego drugiego. Albo udają, że nie widzą. Nikt nie chce się skompromitować kontaktem z wyklętym. Dyrektor dostaje nerwowych tików. Nawet w domu, w ciepłe, szczerka zębami. Mówi od rzeczy. Żona zaczyna się od niego odsuwać. Postanawia znaleźć sobie kochanka. Dyrektorowi nie staje.

Palaczowi, w odróżnieniu od dyrektora, staje często. Silvia też często do niego zagłada. Ribana stara się zwrócić na siebie jego uwagę, ale on ją ignoruje. Zasługuje przecież na więcej. Siedzi w kotłowni i pali amerykańskie papierosy. Myje się cytrynowym mydłem. Po goleniu używa 4711, oryginalnej wody kolońskiej, z Kolonii. Żuje gumę. Kiedy ta traci smak, wypluwa ją i bierze następną.

Od czasu do czasu zachodzi do recepcji przejrzeć listę gości. Ma do niej dostęp bez żadnych problemów, a nawet z pocałowaniem ręki. Gdy widzi, że któryś z gości się wymeldował, wchodzi do pustego pokoju i zakręca kaloryfer. Otwiera go dopiero, gdy kolejny gość – poinstruowany przez innych lub przez kogoś z personelu – zapłaci odpowiednią sumę lub podaruje stosowny prezent.

Urban stara się jak może. Trzeba jakoś żyć. W pracy prawie go nie widać. Zarabia mało, to czego od niego chcą? Pracuje, ile musi. Od czasu do czasu zmieni wystrój witryny sklepowej, ale nie za często. Kiedy ma wenę. Stoi wtedy w białym płaszczu w witrynie, wystawiony na widok przechodniów. Ale za artystę się nie uważa. Skończył technikum plastyczne. Jest artystą życia. Historii sztuki na uniwersytecie nie skończył. Mieszka w atelier – dużym pokoju na poddaszu w centrum miasta. Latem tu i tam sprzedaje walutę. Da się na tym dobrze zarobić. Po sezonie, w zimie, nie ma czym się zająć. Mało turystów, a ci, którzy przyjeżdżają służbowo, żądają rachunków. Nie wymieniają u cinkciarzy. Zimą Urban żyje skromniej. Ale biedy nie klepie. Dorabia jako taksówkarz. Na czarno. Nocami przemierza zamrażnięte, ośnieżone miasto. Wracający z knajp pijani i zziębnięci ludzie na próżno wypatrują miejskich taksówek. Nie ma ich. Ale jest za to Urban, który z chęcią zawiezie ich do domów. Cena zależy od odległości, temperatury na zewnątrz oraz zawartości alkoholu we krwi i w wydychanym przez klienta powietrzu. Jeśli klient jest bardzo pijany, płaci Video-Urbanowi nierzadko podwójną stawkę. Na początku kursu i na końcu. Pijany jest zadowolony, Urban też. Nikomu nie robi krzywdy. Po prostu korzysta z okazji.

Urban poprawia właśnie fałdy na beli materiału. Ktoś puka w szybę wystawową. Urban podnosi głowę i patrzy. Na chodniku stoi palacz, który chce mu coś powiedzieć.

– O co chodzi? – pyta Urban.

– Zejdź do mnie do kotłowni! – drze się Rącz. – Jak będziesz miał czas!

Urban kiwa głową.

– Jak to skończę! – krzyczy przez szybę. – Jeszcze muszę bombki

rozwiesić!

Urban jest pewien, że Rącz chce sprzedać swoje siedemset marek. No nic, Urban je odkupi. Za rozsądną cenę. Może na tym zarobić. Urban od razu ma lepszy humor.

Rącz czeka na niego w kotłowni z grubym zwitkiem banknotów.

– Siadaj – mówi do Urbana. – Napijesz się? Chivasa regala? A może chcesz bensonendhedżesa?

Tu, na stole, są pieniądze. Rącz chce je sprzedać. Podsuwa kartkę z tabelką. Tu obok jest kurs banku narodowego. On, Rącz, nie jest debilem. Wystarczy kupić piątkową gazetę. Według kursu banku narodowego Rącz mógłby zażądać tyle i tyle. Ale on, Rącz, wie, że Urban też chce zarobić. Dlatego zadowolony się mniejszą sumą. Wystarczy mu tyle i tyle.

– Ile? – pyta Urban, któremu wydaje się, że się przesłyszał.

– Tyle i tyle – powtarza Rącz.

Urban może zapłacić od ręki. Zagląda do portfela. Rącz bierze łyk whisky. Odkłada blaszany kubek na stół. Wiadomo, on, Rącz, nie jest głupi. Tak, Urban dobrze usłyszał. Tyle i tyle. On, Rącz, wie, że to bardzo dobry interes. W przyszłości Urban też może liczyć na współpracę. Jego, Racza, nie interesuje, za ile Urban sprzeda te pieniądze ani co z nimi zrobi. To już Urbana sprawa. Jemu, Rączowi, zależy na pewnej transakcji. On, Rącz, nie jest stąd. Nie zna tego środowiska. Dorastał gdzie indziej. Będzie potrzebował Urbana, żeby ten dawał mu znać, co jest na topie, na co jest aktualnie zapotrzebowanie. On, Rącz, to załatwi, a Urban będzie sprzedawać. Nie, podkreśla Rącz, nie chodzi o rzeczy z kradzieży! Chodzi o to, że Rącz nie ma czasu na zdobywanie informacji. Jest zavalony pracą.

Urban kiwa głową, doskonale to rozumie. Byłoby wspaniale. Tylko nie wie, jak zareagują cinkciarze. Grube ryby, nie takie jak on, Urban. Ma na myśli prawdziwych waluciarzy. Harry’ego, Fedora, Khunta.

A zwłaszcza sziptarów.

– Szycharów? – pyta Rącz. – Co to za jedni?

Urban tłumaczy. Chodzi o Jugoli o albańskich korzeniach. W hotelu „Ambassador” jest ich jak psów. Wszystkie duże interesy z pieniędzmi, szmuglowanymi papierosami i tak dalej przechodzą przez ich ręce. Lepiej z nimi nie zadzierać. Mają mocne plecy: bez tego nie mogliby prowadzić takich interesów za dnia. Trzeba na nich uważać, ostrzega Urban.

Rącz się zastanawia.

– Chuj z nimi – oznajmia w końcu. – My będziemy robić swoje, im nic do tego. Z każdym da się dogadać. Najpierw po dobroci! – mówi i zaciska pięści. Z podniecenia włosy stają mu dęba. – To jak? – pyta, udając zniecierpliwienie. – Wchodzisz w to czy nie?

Urban nie daje się prosić. Wyciąga na stół żadaną sumę.

– Mogę na tobie polegać? – pyta Rącz, kiedy zgarnia pieniądze.

– Dobra – odpowiada Urban. – Odezwę się, jak tylko się czegoś dowiem. Ale co by to miało być?

– Na przykład – wyjaśnia Rącz – części do samochodów. Albo kurtki ze skóry i tak dalej. Rozumiesz?

Urban potakuje. Rącz wstaje. Koniec audyencji. Musi iść do hotelu. Załatwić kilka ważnych rzeczy. Bez niego, Rącz, z niczym sobie nie poradzą.

Silvia potrzebuje pieniędzy. Ma oszczędności, ale trochę jej brakuje. Chce kupić używany samochód. Białego fiata uno.

Rącz kręci głową. On nie pożycza. Potrzebuje gotówki. Chce prowadzić interesy. Ale może jej coś doradzić. Żeby była dla niego miła. Bardzo miła. Z czasem zaoszczędzi. Poza tym jemu, Rączowi, wydaje się, że mogłaby zarabiać więcej. Obserwuje ją przez piwniczne okienko, mówi tonem niepozabawionym szorstkości. Kim jest ten Cygan?

– To nie jest żaden Cygan – oburza się Silvia. – To lekarz z Wiednia.

– Nie wiedziałem, że mieszkańcy Wiednia wyglądają jak Cyganie – mówi Rącz. – W takim razie tym bardziej mógłby ci pomóc z samochodem, jak jest lekarzem.

– Moglibyśmy jeździć na wycieczki – kusi Silvia.

– Ja nigdzie nie jeżdżę – denerwuje się Rącz. – Wystarczająco się nalatam tu, po kotłowni i hotelu.

On, Rącz, nigdy nigdzie nie podróżuje. Nienawidzi tego!

– Dokąd najdalej pojechałeś? – pyta Silvia.

– Do tego pojebanego miasta – odpowiada Rącz.

– Ale samochodem to zupełnie inna rozmowa – oponuje prostytutka.

– Obojętne, czy samochodem czy samolotem – mówi palacz.

On, Rącz, nigdzie nie jeździ. Jest zawalony robotą. Ma obowiązki. Przyjechał tu po pieniądze i z pieniędzmi wyjedzie. Wyciągać od niego kasę – to by się jej, Silvii, podobało, co? Niech będzie dla niego, Racza, dobra, to i pieniądze się znajdą!

Rącz i tak ma wrażenie, że coś go omija. Zagłusza swój wewnętrzny głos. Żyje się tylko raz. No tak, światła wielkiego miasta go zaczarowały. Kto by im nie uległ? O takim życiu nawet nie śnił. Jak wróci do domu i ożeni się z Eržiką, zostaną mu tylko wspomnienia. Praca, dzieci, w niedzielę do kościoła i na mecz. W piątek do knajpy. Piwo i kieliszek wódki. Wszyscy go będą szanować. On wie, co to miasto, zna nocne życie! Jemu, Rączowi, nikt nie podskoczy. On, Rącz, miał kochankę striptizerkę. Wszyscy mu będą zazdrościć. W życiu niczego takiego nie spróbowali i nie spróbują. Rącz nie może narzekać na Kišša. Gdyby nie on, Rącz nigdy by nie zobaczył miasta. Ale nie powinien tyle wydawać. Jeszcze nic nie zaoszczędził. A było z czego. Z drugiej strony, można powiedzieć, że niewiele też stracił.

Inwestował. Przecież musi się zorientować w śliskim środowisku hotelu „Ambassador”, żeby móc się w nim poruszać. Żeby móc nim zarządzać.

Teraz już Rącz nie je resztek z kuchni. Codziennie pałaszuje śniadania, obiady i kolacje w hotelowej restauracji. Wchodzi jak do siebie, w ubraniu roboczym i z torbą na narzędzia na plecach. Ma swój stolik. Zarezerwowany. Kelnerzy dwoją się i troją. Rącz mlaszcze i rozrywa mięso zębami. Tłustymi rękami odkorkowuje valtické wino. Dobry rocznik. Przygląda mu się przez chwilę, a potem pije prosto z butelki. Tupie nogami. Złości się na widok liczby sztuców rozłożonych na stole. Sam używa tylko łyżki. Kelnerzy skaczą koło niego, podają przyprawy, sałatki, wędliny, keczup. Cały personel znalazł się nagle przy stoliku Racza. Goście hotelu są przyzwyczajeni. Z przyjemnością poczekają dłużej. Widok stołującego się Racza jest niepowtarzalny. Tylko nowi, nieświadomi niczego, marudzą i pstrykają palcami na obsługę. Reszta usiłuje ich powstrzymać. Przestraszony personel też. Wszyscy bojaźliwie patrzą na Racza, który walczy z dziczyzną w sosie z dzikiej róży. Jeśli nie zdołają w porę ukrócić niecierpliwości nowych, zrobi to sam Rącz. W takich wypadkach Rącz podnosi wzrok znad stołu, brudnego od sosów, wina i okruchów, po czym wbija w natrętów spojrzenie, którego się nie zapomina. Wystarczy, żeby tylko szepnął coś kelnerowi, a goście nie zostaną obsłużeni. Mogą się wynosić. Jeśli ktoś zdenerwuje Racza, oberwą za to wszyscy. Znowu będą musieli zapłacić za ogrzewanie.

Szklany pasaż między restauracją „Ambassador” a sklepami to główny sztab Cyganów. Przesiadują tu od rana do wieczora, otoczeni przez swoje kobiety i wrzeszczące potomstwo. Dobrze im się żyje. Ich organizmy, genetycznie przystosowane do częstego przemieszczania

się po szerokich stepach, sporadycznego spożywania stawy i częstych okresów głodu, nie poradziły sobie ze zmianą stylu życia i Cyganie roztyli się do olbrzymich rozmiarów. Wszyscy Cyganie i Cyganki robiący interesy przed hotelem „Ambassador” są chorobliwie otyli. Łazą niezdarnie w tę i we w tę, podobni do nieforemnych wielorybów z wybałuszonymi oczami. Czyhają na obcokrajowców, dość chciwych i głupich, żeby ubijać z nimi interesy. Za walutę Cyganie proponują dużo więcej niż pozostali cinkciarze, a nawet niż sziptarzy. Płacą. Tyle że nie w koronach, ale w złotych. Cudzoziemiec orientuje się dopiero po chwili, najczęściej już w swoim samochodzie na parkingu, gdy chwali się żonie, jaki dobry biznes zrobił. Niekiedy następuje to w sklepie czy w restauracji, przy płaceniu.

Zdenerwowany obcokrajowiec biegnie z powrotem do pasażu. Cyganie z ciekawością patrzą na niego migdałowymi oczami. Nie, to na pewno nikt od nich, dobrych Cyganów. Wiedzieliby o tym. Nie ma wśród nich, Cyganów, żadnego takiego. To musiał być jakiś zły Cygan. Jak wyglądał?

Obcokrajowiec się zastanawia. Wszyscy są do siebie podobni jak dwie krople wody. Każdy jest gruby, ma wąsy, skórzaną kurtkę i zielony myśliwski kapelusz. Wszystkie Cyganki są wielkie, grube, mocno wymalowane i mają ufarbowane włosy. Oni, dobrzy Cyganie, aż tak dobrze się nawzajem nie znają. Niech im da swój adres. Jak dowiedzą się, który zły Cygan to zrobił, zmuszą go, żeby wszystko oddał. Wyślą mu pieniądze. Czemu się ich, dobrych Cyganów, czepia? No, bo będą musieli iść na policję, żeby się bronić! Już oni znają takich rasistów! Oni, dobrzy Cyganie, chcieli tylko pomóc. Przecież widzą, że on nienawidzi ich rasy. Niech spada! Oni nie mają z tym nic wspólnego!

Cygańskie dzieci płaczą się pod nogami. Jak podrosną, też będą się nudzić w ciemnym pasażu, rozjaśnionym tylko przez światła sklepów

i migające jarzeniówki, z których połowa nie działa. Będą szukać rozrywki. Pytać przypadkowych przechodniów o nieistniejące ulice i okradać ich z portfeli, zegarków, pierścionków i łańcuszków. Przechodnie nie będą się później mogli nadziwić.

Kiedy na parking podjeżdża samochód albo autobus z turystami, Cyganki wyłażą z pasażu. Biegną na złamanie karku, gubią buty, wracają po nie. Czasem się biją, szarpiają za włosy i gryzą. Dzieci stoją obok i wrzeszczą. Cyganie nie ruszają się z miejsca, szlachetni w swojej otyłości. Latem w kolorowych hawajskich koszulkach wypuszczonych na spodnie i w drogich kurtkach z miękkiej skóry. Kozuchy już nie są modne. Wyglądaliby w nich jak niedźwiedzie przygotowujące się do zimowego snu. Pokrzykują w swoim języku. Czasem wrzeszczą tak, że z oliwkowych twarzy aż im wyłażą oczy. Kiedy kłócą się o pieniądze, klienci w sklepach muszą podnosić głos, żeby się usłyszeć. Czasem Cyganie się biją. Czasem wyciągają noże. Policjanci trzymają z nimi. Cyganie ich oplacają i donoszą na białych waluciarzy.

Szparszwajn włazi Cyganom do dupy. Boi się ich. Pozwala im za darmo parkować ich rozbite łady. Uśmiecha się pod nosem. Niby jest z nimi w komitywie, ale myśli swoje. W duchu snuje wizje krematoriów, obozów pracy i przymusowej sterylizacji dorosłych Cyganów, dokonywanej za pomocą dwóch cegieł. Na parkingu Szparszwajn spędza całe dni. Nieraz nawet szesnaście godzin dziennie. To prywaciarz. Chciwy. Nie potrzebuje wolnego czasu. Co by z nim robił? Dziewczyny nie ma: jest gruby i głupi. Poza tym łysieje i śmierdzi mu z ust. Kiedy coś mówi, staje bardzo blisko drugiej osoby. Na parkingu mieszka w brudnobiałej przyczepie kempingowej. Ma tam stolik, krzesło i wąską kanapę. Prąd ciągnie z hotelu. Z dachu przyczepy sterczy antena telewizyjna. Szparszwajn ma też palnik elektryczny. Czasem nie chce mu się wracać na noc do domu, do

rodziców, którzy są jeszcze bardziej chciwi niż on i którzy żądają od niego pieniędzy. Wtedy nocuje na parkingu. I tak z samego rana zaczyna pracę. Potrzebuje kasy. Nie wiadomo, po co mu ona: nie jeździ tramwajem, kupuje przecenione tanie ubrania w rozmiarach, które się nie sprzedały. Zapycha się wciąż tym samym, najtańszym jedzeniem: parówkami z fasolą.

W nocy z piątku na sobotę do hotelu „Ambassador” przyjeżdżają się zabawić jugosłowiańscy gastarbeiterzy z Wiednia. Zdarza się, że nawet sami Austriacy korzystają z oferty tanich słowackich kurew. W barze na dole trwa właśnie przedstawienie *Tajemnice nocy*, a w tym na górze – dyskoteka. Szparszwajn zostaje na noc na parkingu. Ziewa ze zmęczenia, ale inkasuje opłatę za całonocne pilnowanie. Do oglądania telewizji podgrzewa sobie parówkę z fasolą. Około północy małe oczka za grubymi szklami okularów zaczynają mu się kleić. Zamyka przyczepę, zdejmuje buty, gasi światło i kładzie się na kanapie. Ma głęboki sen, nic go nie obudzi. Wstaje dopiero około szóstej, kiedy po pustych jeszcze ulicach zaczynają już jeździć tramwaje.

Niekiedy, najczęściej latem, gdy Szparszwajn widzi dużo prostytutek i w ogóle kobiet w obcisłych sukienkach, zasłania okienko w przyczepie, wyciąga zniszczone pornograficzne pisemka pochowane w szafkach i onanizuje się. To jego całe życie seksualne. Od kiedy Video-Urban pokazał mu włoską gazetkę od palacza, w której mężczyźni dręczą jakąś nastolatkę, Szparszwajn nie może się pozbierać. Chciałby odkupić tę gazetkę, ale się wstydzi. Nie zna palacza dobrze, mówią sobie tylko „cześć”. Jeszcze by pomyślał, że Szparszwajn jest sadystą. Jeszcze by pomyślał, że mu na tym pisemku jakoś szczególnie zależy! Szparszwajn ma trzydzieści lat. Wciąż jest kawalerem. Ma jasne wąsy. Nigdy nie był z żadną kobietą. Która by go chciała? Sam też jest wymagający, nie zadowolili się byle czym. Marzy

mu się kobieta idealna. Nie zdaje sobie sprawy, że kobiety idealne są już zajęte. Są albo partnerkami doskonałych mężczyzn, albo kurwami. Kurwa by mu nawet dała, ale musiałby za to zapłacić. Co to, to nie! Kiedyś mu się uda pokopulować z kimś za darmo. Ten temat często pojawia się w jego marzeniach. Wygląda tak: Kurwa przyjeżdża na parking samochodem. Najlepiej ta wysoka blondynka, ale może też być jej koleżanka, farbowana na blond Cyganka Edita. Obie tańczą w barze i mają dobre figury, więc to w sumie obojętne, która z nich. Kurwa płaci za dwie godziny – czyli cztery korony. Za trzy godziny trzeba dać dziesięć koron, za każdą następną godzinę tyle samo. Ale blondyna wraca dopiero w nocy. Szparszwajn widzi ją przez okienko. Bierze saszetkę i wychodzi z przyczepy. „Szanowna pani”, mówi ostro, „było zapłacone do jedenastej przed południem, a teraz mamy pierwszą w nocy”. „No, tak”, odpowiada kurwa, „miałam pilne sprawy. Ile płacę?”. „Wychodzi sto czterdzieści sześć koron”, mówi Szparszwajn. „Tak dużo?”, wzdycha kurwa. „Tak”, odpowiada Szparszwajn triumfalnie i recytuje cennik. „Możemy się jakoś dogadać?”, pyta kurwa z pensjonarską niewinnością. Szparszwajn bez słowa wskazuje przyczepę. Blondyna uśmiecha się kokieteryjnie, wysiada z samochodu i wyzywającym krokiem, na tych swoich długich nogach, idzie przed Szparszwajnem. Zamykają się w przyczepie i odbywają dziki stosunek płciowy. On, Szparszwajn, może z nią robić, na co tylko ma ochotę. prostytutka opuszcza przyczepę dopiero nad ranem. Ledwo chodzi. Boli ją całe ciało. A poza tym zakochała się po uszy w strażniku parkingu. I romans gotowy.

Szparszwajn się rozmarzył. Ech, ale by było pięknie! Tylko że prostytutka nigdy tu nie zaparkuje. Wszystkie jeżdżą taksówkami. Zresztą on, Szparszwajn, wie, że gdyby nawet doszło do takiej sytuacji, prostytutka wolałaby zapłacić. Co to dla niej sto czterdzieści sześć koron? On też miałby z tym problem, wolałby wziąć pieniądze. Biust

biustem, uda udami, konia może sobie sam zwalić. A pieniędzy ot tak mu nie da nikt.

Cyganie z pasażu jeszcze latem dowiedzieli się, ile zarabia gruby strażnik parkingu. Parking ciągle pełen, a Szparszwajn nikogo nie wypuszcza bez dopłaty za dłuższe parkowanie. Pewnego gorącego dnia wybrali się do niego. Po zdawkowej rozmowie Berki przeszedł do sedna.

– Często tu, na parkingu, nocujesz, prawda? – zapytał. Reszta Cyganów stała nieopodal w cieniu platanu i wachlowała się gazetami.

– Tak – powiedział Szparszwajn.

– A to pilnujesz parkingu czy śpisz? – ciągnął Berki.

– Pilnuję – odpowiedział z pewnością w głosie Szparszwajn.

Berki kiwnął głową, jakby potwierdził informację, którą ma już od dawna, i jakby teraz chciał tylko usankcjonować to przed resztą.

– I w nocy też bierzesz pieniądze, nie?

– Oczywiście, że tak – odparł Szparszwajn i bezwiednie pogłaskał zawieszoną na szyi czerwoną saszetę.

– Ale nie pilnujesz! – zaśmiał się zwycięsko Berki, a reszta Cyganów wraz z nim. Szparszwajn też się zaśmiał, bo nie miał pojęcia, o co chodzi Cyganom. – Przyszliśmy ostatnio do ciebie w odwiedzinę – ciągnął Berki. – W nocy. Spałeś.

– Czasem sobie utnę drzemkę – zgodził się Szparszwajn.

– A gdyby ktoś cię wtedy okradł? – Berki przeszedł do ataku.

– To niemożliwe – odpowiedział Szparszwajn. – Ja mam taki sen, że...

– Nie masz – przerwał mu Berki i kiwnął na młodego Cygana, który wyciągnął zza kolorowej hawajskiej koszuli wycieraczki samochodowe. – Patrz, to sobie wzięliśmy w nocy. Jesteśmy dobrymi Cyganami. Jak pojawi się ten Jugosłowianin z Wiednia, ten

w pomarańczowym opłu, możesz mu oddać. To była próba.

Szparszwajn wyglądał, jakby go ktoś obuchem zdzielił. Dobrze, że Zdravko G. tego nie zauważył! Cyganie z zadowoleniem patrzyli na jego przerażenie.

– A teraz sobie wyobraź – kontynuował Berki – że ktoś by ci tu w nocy z piątku na sobotę wyczyścił wszystkie auta: anteny, wycieraczki, kołpaki. Co byś zrobił?

Oślupiały Szparszwajn milczał.

– Na szczęście – mówił Berki – jesteśmy tu my, dobrzy Cyganie. Popilnujemy ci w nocy parkingu. Oczywiście, podzielisz się z nami zyskiem. Wiemy, ile zarabiasz. – Berki podał przybliżoną kwotę i nim Szparszwajn ochłonął ze zdziwienia nad precyzją wiedzy Cyganów, zakończył: – Dasz nam, powiedzmy, jedną trzecią. Będzie fair, nie?

– Co? – wrzasnął strażnik. – Wy chcecie... Wy chcecie jednej trzeciej moich pieniędzy? Nie mieściło mu się to w głowie.

– Mylisz się – powiedział Berki, a reszta Cyganów kiwała głowami i dalej się wachlowała. – My tylko chcemy naszych pieniędzy. Tych, które uczciwie zarobimy za pilnowanie twojego parkingu. Życie ci możemy uratować. A co, jak w nocy przyjdzie jakiś zły Cygan? Nie wiesz, co mu strzeli do głowy. Weźmie benzynę, zapalki i spalisz się żywcem razem z przyczepą. Będziemy cię chronić, jak się z nami podzielisz pieniędzmi. Jesteśmy dobrymi Cyganami. Możesz na nas polegać.

Szparszwajn nie chciał tego więcej słuchać. Posłał ich w cholerę. On, Szparszwajn, upilnuje się sam. Nie potrzebuje nikogo.

Cyganie patrzyli na niego ze spokojem i współczuciem. No dobrze. Oni, Cyganie, chcieli mu tylko pomóc. Żeby się potem nie zdziwił!

W nocy Szparszwajn zaparzył sobie mocnej kawy i postanowił czuwać. Wyglądał przez okienko. Ale o północy głowa mu opadła i zasnął na krześle. Do rana źli Cyganie ukradli wycieraczki, anteny

i kołpaki ze wszystkich aut. Szparszwajn oniemiał. Dobrzy Cyganie mieli rację! Na szczęście nikt z kierowców tego jeszcze nie zauważył. Odjechali, mając w pamięci miłe wspomnienia ze spotkań ze słowackimi kurwami. Szparszwajn odetchnął z ulgą. Gdyby ktoś przyszedł z reklamacją, wysłałby go do diabła. Nie ma reklamacji! Tak jakby on, Szparszwajn, miał płacić za szkody, które mogłyby zostać wyrządzone w każdym innym miejscu. Na ulicy, na innym parkingu i tak dalej.

To, jak łatwo Szparszwajn wykaraskał się z tej sytuacji, dodało mu odwagi. Kazał Berkiemu spieprzać, gdy tamten znowu się pojawił. Szparszwajn sam był zaskoczony, że tak łatwo mu to przyszło. Lęk przed utratą pieniędzy był silniejszy od lęku przed Cyganami.

W następnym weekend strażnik znowu zasnął, tym razem jeszcze głębiej. Spał twardo, rozwalony na kanapie, bez gaci. Nie usłyszał hałasu silnika ani nie zobaczył świateł na parkingu. Ktoś chodził koło przyczepy. Jakieś postacie rozmawiały ze sobą ściszonymi głosami. Później rozległ się metaliczny dźwięk, a przyczepa się poruszyła. Szparszwajn nie obudził się nawet wtedy, gdy nieznany kierowca dodał gazu. Samochód ruszył, a wraz z nim przyczepa. Szparszwajn wciąż spał jak zabity, nawet kiedy już jechał po zabłoconych ulicach, kiedy minął ostatnie latarnie i wylotówką ruszył na południe. Jakby na przekór: jednostajny szum silnika i kołysanie przyczepy usypiały go, nie pozwalały opuścić królestwa snów.

Obudził się o szóstej rano. Z zamkniętymi oczami zastanawiał się, czemu nie słychać tramwajów przejeżdżających obok hotelu „Ambassador”, czemu nie dochodzą do niego szum samochodów na ulicach albo głosy przechodniów. Szparszwajn zerwał się z kanapy. Otworzył drzwi przyczepy i osłupiał. Przyczepa stała samotnie pośrodku pola rzepaku. Jedyne dźwięki, jakie się rozlegały, to złośliwe trele skowronka fruującego po błękitnym niebie. Po chwili ptasi

śpiew został zagłuszony przez ryk pełen nienawiści, nieprzyjemnego zdziwienia i strachu.

Dopiero po tygodniu przyczepa Szparszwajna znalazła się z powrotem na swoim miejscu przed hotelem „Ambassador”. Kiedy Berki przyszedł zapytać wychudzonego strażnika, co też mu ci źli Cyganie znowu zrobili, od razu dostał swoją dołę.

– Mówiłem, że bez nas sobie nie poradzisz – powiedział Berki, wkładając korony do portfela. – My, dobrzy Cyganie, będziemy cię chronić. Źli Cyganie się nas boją!

I tak oto Fredy Szparszwajn i dobrzy Cyganie zostali przyjaciółmi na dobre i na złe.

Rącz też potrzebuje pieniędzy, dużo pieniędzy. Liczy je co wieczór. Przyjemny rytuał. Cieszy się na niego przez cały dzień. Niekiedy liczy nawet dwa razy z rzędu, dla samej przyjemności. Ślub z Erżiką jest już dla niego tylko mglistym, niepewnym punktem dalekiej przyszłości, nie myśli o tym w ogóle. Oszczędza z przyzwyczajenia. Myśli teraz tylko o jednej kobiecie – o Silvii. Zawładnęła nim. Jest o nią zazdrosny, nienawidzi jej. Wie, że jest ona kurwą, i to go dręczy. Ilekroć do niego przychodzi, Rącz próbuje wywąchać ślady innych mężczyzn. Czasem nie wytrzymuje i ją bije. Raz, niekiedy dwa razy. Silvia nie pozostaje mu dłużna. Jest złośliwa i uszczypliwa. Ciągłe chce więcej. Poza tym wkurza ją, że z Rączem da się porozmawiać tylko o interesach i pieniądzach. Rącz nie ma zainteresowań. Nie chodzi do miasta. Dobrze czuje się tylko w kotłowni i w hotelu. W roboczym ubraniu i w saperkach. W kręgu, który dobrze zna i w którym nic go nie może zaskoczyć. Ale te pieniądze są tego warte, powtarza sobie Silvia. Żeby tylko nie był taki dziki i szorstki. Ze skromnego i ograniczonego chłopca przedzierzgnął się w tyrana. Z twarzy nie

schodzi mu władczy, pełen wyższości uśmieszek. Wszyscy się przed nim kłaniają. Podoba mu się to. W ostatnim czasie zaczął mówić o sobie w trzeciej osobie. Rącz się nie zgadza, Rącz nigdy nie pożycza, Rącz to, Rącz tamto. Silvię bierze bez cienia uczucia czy delikatności. Ale to ostatnia rzecz, którą by się Silvia martwiła. Jest przyzwyczajona do różnego traktowania. Rącz bierze ją, jakby dosiadał kobyły u siebie, na wsi. Czasem ją ugryzie. Czasem uderzy pięścią. Po wszystkim zwala się na bok i ęmi papierosa. U nikogo jej to tak nie drażni jak u niego. Dlatego niech Rącz płaci!

Rącz nie potrafi z niej zrezygnować. Erżika odeszła w cień. Rącz już nawet nie pamięta, jak wygląda. Stała się wyblakłą postacią z fotografii – z imieniem, ale bez twarzy. Istnieje dla niego tylko w dalekiej przeszłości i w nieokreślonej przyszłości. Rącz wie, że Silvia go nie lubi. Wkurza go to. Wywyższa się. Szczypie ją ze złością. To przecież jego, Racza, własność. Majątek. Tak jak karton amerykańskich papierosów leżący na brudnym stole. Dobrze wie, że Silvia znosi to poniżanie tylko ze względu na jego, Racza, pieniądze. Mimo to miewa wyrzuty sumienia, gdy ją bije. Bez wahania sięga po pieniądze, żeby jej to wynagrodzić. Silvia nawet nie robi uników. Wie, że im bardziej ją skrzywdzi, tym bardziej będzie tego później żałował i tym więcej zapłaci. Jeśli Rącz żąda, żeby krzyczała – krzyczy. Jeśli chce, żeby zamknęła gębę – milczy.

Palacz jest zazdrosny. Nie życzy sobie, żeby chodziła z innymi mężczyznami.

– Może Rącz daje ci mało pieniędzy? – drze się. – A może Rącz nie potrafi cię zaspokoić? – apeluje do jej kobiecości.

Silvia może się z tego tylko śmiać. Jeszcze nigdy nie było jej z nim przyjemnie. Nawet za pierwszym razem. O przyjemności w ogóle nie ma tu mowy. Ale nie to jest celem.

Silvia musiała zakończyć wszystkie swoje poprzednie znajomości.

Musiała zrezygnować również ze stałych klientów. Rącz pilnuje jej całymi dniami. Silvia boi się, co Rącz powie, kiedy przyjedzie Zdravko G. Na szczęście ostatnio go nie widać. Czasami Silvia ma wrażenie, że od tego wszystkiego zwariuje. Nieustannie musi sobie powtarzać, że chodzi o wyciągnięcie od Racza jak największej sumy. Oleje go, jak wystarczająco zarobi. Jak będzie mieć wystarczająco dużo forsy albo jak już nie będzie mogła wytrzymać z palaczem. Silvia wie, że kasa od Racza to ciężko zarobione pieniądze. Nadal ma ich za mało. Rącz dobrze płaci. Życie, które Silvia wiodła do tej pory, wywróciło się do góry nogami. Z tamtego okresu zostały jej tylko popołudniowe próby i wieczorne wystąpienia. Jej mieszkanie na drugim końcu miasta przez większość czasu stoi puste. Silvia spędza wolne chwile z Raczem, pozwala mu ze sobą kopulować, słucha jego gadania i narzekań. Uczestniczy w jego interesach w charakterze widza.

Nastaje dzień, kiedy Silvia ma wszystkiego dość. Nie wychodzi z domu. Od rana do wieczora leży w łóżku i patrzy w sufit. Albo siedzi w oknie i obserwuje dzieci bawiące się w piaskownicy. Od czasu do czasu odwiedza ją Edita i opowiada najnowsze plotki. Był Zdravko G., pytał o nią. Gdy się dowiedział, że odbiera sobie wolne i wyjechała, zgarnął Vandę Tirówkę i spędził z nią cały weekend. Przedwczoraj była wielka obława. Capnęli dużo ludzi. Podobno Cyganie dali cynk. Berki twierdzi, że to nieprawda. Silvia jednym uchem słucha, drugim wypuszcza. Kiedy Edita zaczyna się przymilać, Silvia wstaje i zamyka drzwi, żeby nie weszła właścicielka. Pozwala się rozebrać i położyć na łóżku. Z zamkniętymi oczami przyjmuje pieszczoty przyjaciółki. Po chwili odżywa. Zmienia pozycję i odwzajemnia czułości. Obie dochodzą jednocześnie, bardzo szybko.

Kiedy indziej Silvia leży i zastanawia się, jak uciec przed Raczem. Wie, że palacz nigdy po nią nie przyjdzie. Nie boi się, że wpadnie do niej, złapie za rękę i zawiezie do hotelu „Ambassador”. Silvia boi się

samej siebie. Wie, że nie będzie umiała zrezygnować z pieniędzy. Są dla niej największą wartością, jeszcze nigdy jej nie rozczarowały. Tak jest teraz i tak było zawsze, od kiedy Silvia w szkole podstawowej pozwalała starszym chłopakom obmacywać się za pięć koron. Nie było jeszcze za bardzo czego macać, ale chłopcy podniecali się na samą myśl, że będą mogli to zrobić. A teraz dalej to ciągnie. Nie ma *Jezióra łabędziego*. Rącz nie musi po nią przychodzić. Rącz spokojnie i bez mrugnienia okiem poczeka, aż ona sama przyjdzie. Rącz poczeka z uśmiechem.

Rącz budzi się na ławie. Słyszy jakieś szmery. Leży i nasłuchuje. Po chwili wstaje, bierze pogrzebacz i idzie sprawdzić źródło hałasu. Odkąd trzyma w kanciapie dużo pieniędzy i towarów, zrobił się ostrożny. Nawet kraty zamontował: Ďuła załatwił spawacza. Kiedy wchodzi do korytarza, rzuca się na niego dwóch potężnych mężczyzn. Walka jest krótka. Zdyszani napastnicy nie mają z krępyim palaczem szans. Rącz bije bez zastanowienia i bez litości, broni swojego. Powala grubasów na ziemię. Leżą wyciągnięci z zamkniętymi oczami. Rącz wiąże ich mocno kablem i z dużym wysiłkiem wlecze do kotłowni. Przygląda im się. Zna te twarze, to Cyganie z pasażu. Cuci ich, wałąc obu po gębach. Przestają udawać martwych i niepewnie łypią na Racza. Palacz zaczyna przesłuchanie. Grozi rozżarzoną do czerwoności pogrzebaczem. Czego tu chcieli?

Jeden z Cyganów oblizuje usta. Oni, dobrzy Cyganie, szli z hotelu „Ambassador” i pomylili drogę. Zabłądzili.

– Tak, zgubiliśmy się – dodaje drugi Cygan. – Gdzie właściwie jesteśmy?

Rącz przejeżdża gorącym pogrzebaczem po skórzanej kurtce jednego z nich. Materiał syczy i dymi.

– Ej, co robisz? – krzyczy Cygan.

W kotłowni śmierdzi spalenizną.

– Kurtka niczego nie czuje – odpowiada Rącz. – Ale ciebie to zabol.

Tak, to prawda, oni, Cyganie, przyszli kraść, przyznaje Berki. Usłyszeli, że palacz ma dużo pieniędzy, złota, biżuterii i innych pięknych i użytecznych rzeczy. On, Berki, nie umie wytłumaczyć, co im strzeliło do głowy. Teraz jednak, jak już się przyznali, Rącz powinien ich wypuścić.

Kto im powiedział, że u niego, Rącz, są ukryte złoto i waluta? Rącz się denerwuje.

Na to oni, Cyganie, nie potrafią odpowiedzieć. Nikt im nie mówił. Wszyscy to wiedzą. Wszyscy Rącz szanują. Wszyscy biorą go za bogatego i potężnego pana. Wszyscy mu dobrze życzą. On, Berki, nie rozumie, jak mogli chcieć zrobić coś takiego.

Šípoš zabiera głos:

– Na swoją obronę mogę tylko powiedzieć, że mam paskudny charakter.

Cyganie przysięgają, że już nigdy w życiu niczego nie ukradną. Skończą z ciemnymi interesami. Obydwaj, zaraz po tym, jak ich Rącz puści, znajdą pracę i zaczną żyć uczciwie. Berki chciałby oprócz tego pójść na studia.

Na rozkaz Rącz cichną. Rącz czerpie sadystyczną przyjemność z ich strachu. Jest wrażliwy na punkcie własnego bogactwa. Na punkcie skarbu, który zgromadził dzięki pracy swojej głowy i swoich rąk. Ma pomysł, jak rozszerzyć swoją działalność i pomnożyć majątek. W kotłowni jest mu za ciasno. Musi wyjść na powierzchnię, przeniknąć do kręgów wokół hotelu „Ambassador”. Praca palacza mu się znudziła. On, Rącz, potrzebuje kogoś, kto by go zastąpił w kotłowni. Po dobroci albo pod przymusem.

Cyganie gorączkowo potakują. Mądrze mówi. Ale kiedy dowiadują się, że to oni będą musieli zastąpić Rácza, dopada ich strach. Šípoš ma chore płuca i nerki. Nie może niczego dźwigać. Berkiemu dokuczają problemy z głową i kręgosłupem. Czasem ma ataki serca. Zwłaszcza gdy musi pracować.

Ráčz podnosi głos. Bierze do ręki pogrzebacz. Cyganie milkną. Zgadzą się. Niech ich tylko wielmożny pan puści. Pójdą się pożegnać z żonami, dziećmi, spakują się i za chwilę są tu z powrotem. Ráčz się wkurza. Co oni myślą – że jest debilem? Ma czekać? Nie! Żadnych wzruszających scen pożegnalnych! Zostają tutaj. Zrobi im krótkie szkolenie i mogą pracować. Jak coś zepsują albo zniszczą, on, Ráčz, zabije ich pogrzebaczem. Wymyśli dla nich takie tortury, jakich nikt jeszcze nie wymyślił. Niech z nim nie pogrywają, bo będą umierać w mękach przez kilka dni. Ich jęki i kwilenie słyhać będzie aż w hotelu „Ambassador”.

Cyganie boją się bólu. Nie odzywają się ani słowem.

Ráčz wie, że żaden ze współbraci nie będzie ich szukać. Nikt za nimi nie zateśni. Wszyscy będą myśleć, że Berki i Šípoš oszaleli i wyjechali na wschód, do krewnych w cygańskiej osadzie, popijając spirytus i siedzieć w kapeluszu za stołem pośrodku ruchliwego taboru. Cyganie też to wiedzą. Współbracia im nie pomogą. Nie wpadną na to, że Berki i Šípoš są uwięzieni niecałe sto metrów od pasażu.

Ráčz obiecuje im małe kieszonkowe – o ile będą grzeczni. Rozwiązuje ich. Cyganie stoją i pocierają bolące nadgarstki. Boją się wybuchowego palacza, on by ich załatwił. Są niezdarni i nieporadni. Nie powinni tyle jeść. Ráčz nie traci czasu. Od razu zaczyna szkolenie swoich niewolników. Zaworów mają nie ruszać. Tylko dokładać do ognia. Ciśnienie pary nie może być wyższe niż piętnaście jednostek. Czyli dotąd, tu. On, Ráčz, będzie codziennie przychodził na kontrolę. Jedzenie przyniesie im rano. Musi im wystarczyć na cały dzień. Ale

niech się Cyganie nie boją, jedzenie będzie sycące i smaczne. Toaleta jest na końcu korytarza. Może trochę schudną, ale wyjdzie im to na dobre. Niech nie próbują uciekać. Wszędzie są kraty, komin jest wąski.

Rącz pokazuje, jak dokładać do ognia i wybierać popiół. Jest dumny ze swojej pomysłowości. On, Rącz, jest mądry! Tak się urządzić! Teraz, kiedy nie będzie mieć na głowie śmierdzącej kotłowni, dopiero rozwinie skrzydła! Wpada w odświętny nastrój. Pokrzykuje na Cyganów i uśmiecha się dobrotliwie. Grozi pięścią i częstuje whisky. Szkocką. W butelce trochę zostało, mogą sobie zatrzymać. Sprawa jest prosta: jak go będą słuchać, on będzie dla nich fair. Jak go wkurwią – nigdy się stąd nie wydostaną.

Na zewnątrz pomału świta. Rącz nie jest już senny. Wyciąga walizkę i powoli wkłada do niej najpotrzebniejsze rzeczy.

Cyganie mamroczą coś bojaźliwie. Łopaty są za ciężkie. Wózek na węgiel niemilosiernie skrzypi.

Z samego rana Rącz przenosi się do hotelu. Recepcjonista daje mu pokój z widokiem na Dunaj. Rączowi się podoba. Łóżko jest miękkie, gładko pościelone. Rącz kładzie się na nim, ale nogi w saperkach spuszcza na dywan. Po krótkim odpoczynku ściąga osmoloną odzież roboczą. Bierze prysznic. Wkłada świeże rzeczy, które przyniósł z dołu. Szeroki, modny pomarańczowo-zielony dres. Na plecach ma napis „American football”. Materiał jest błyszczący, przyjemny w dotyku. Skórzane adidas do pół łydki pachną nowością. Są o dwa numery za duże, ale Włoch, który mu je podarował w zamian za ogrzewanie, powiedział, że tak się teraz nosi. Tak jest modnie. Rącz podchodzi do lustra. Włosy na głowie już mu trochę odrosły. Uszy wydatnie odstają od czaszki. Rącz ściska je rękami. Słucha, jak szumi

jego krew. Jeszcze pół roku temu jeździł traktorem po wsi. Gdyby stary Kišš mógł go teraz zobaczyć... Przez chwilę czuje nienawiść do rzeźnika, jego córki i ogólnie do wszystkiego.

Ktoś puka do drzwi. Kelner. Wjeżdża z wózkiem na kółkach. W oszronionym srebrnym wiaderku tkwi butelka Moët et Chandon.

– Upominek od firmy – oznajmia kelner, po czym nieruchomieje w wyczekującej pozie. Rącz domyśla się, że chce napiwku.

– Rącz się jeszcze nie wypakował – mówi, znów w trzeciej osobie. – Jeszcze nic nie ma. Następnym razem. No, a teraz spadaj...

Kelner wycofuje się z szacunkiem, ale widać, że jest rozczarowany.

Na zewnątrz wichura. Wszystko jest zasypane śniegiem. Ale w hotelu panuje przyjemne ciepło. Cyganie grzeją, jakby nie było jutra. Dyrektor błąka się po hotelowych korytarzach. Zimno doprowadza go do szaleństwa. Już nawet rozpalona do czerwoności farelka nie potrafi go ogrzać.

W domu też źle. Kochanek żony wprowadził się do nich, chodzi w jego piżamie. Czesze się w podobny sposób jak dyrektor. Zajmuje jego ulubiony fotel. Dyrektor musi spać w kuchni, na ustawionych w rzędzie krzesłach. Ze łzami w oczach słucha skrzypiącego łóżka i tłumionych jęków swojej żony. Czasem do późnej nocy. Pewnego dnia, gdy wrócił do domu, zorientował się, że zamki zostały wymienione. Wkurzony kopał w drzwi. Po chwili pojawił się w nich kochanek. Walnął dyrektora w twarz i zrzucił ze schodów. Spadając, dyrektor zdążył jeszcze dostrzec, że kochanek zapuścił sobie wąsy – podobne do tych, które ma dyrektor.

Przeprowadza się do hotelu. Recepcjonista nie chce mu dać klucza do pokoju.

– Te czasy już się skończyły – oznajmia oschle. – Zostały

pomieszczenia gospodarcze. Na każdym piętrze. Klucze ma sprzątaczką, niech dyrektor poczeka, aż przyjdzie. Powinna tu być za chwilę. Albo może i nie. Nawet jeśli uda się panu zdobyć klucze do pomieszczenia, będzie pan musiał spać na stojąco. Jak w windzie – dodaje z uciechą. Wciąż ma w pamięci, jak dyrektor kiedyś obciął mu pensję. – Gdyby chciał się pan położyć, nogi wystawałyby panu na korytarz. A to niedopuszczalne. Mimo wszystko wciąż jesteśmy międzynarodowym hotelem. Na to nie możemy sobie pozwolić. Co by powiedzieli goście z zagranicy? – denerwuje się recepcjonista i za pomocą łapki na muchy pokazuje dyrektorowi, żeby nie dotykał recepcyjnej lady. Dyrektor zostawia ślady palców. On, recepcjonista, nie chce za to beknąć. Polityka go nie interesuje. Nie wie, jakie są stosunki Rácza z dyrektorem. Teraz palacz jest tu szefem. On, recepcjonista, przetrwał już kilku dyrektorów i zamierza przetrwać kolejnych. Żona, dzieci i tak dalej. Rącz ma oczy dookoła głowy. On, recepcjonista, musi poprosić dyrektora, żeby nie komplikował sytuacji i czym prędzej stąd sobie poszedł. Przecież może iść do swojego gabinetu, nikt mu go nie zabrał!

Za ostatnie pieniądze dyrektor kupuje namiot górski i rozstawia go w gabinecie. To kwestia życia i śmierci. Spędza w nim teraz większość czasu.

Czuje się wstrząśnięty plotką o przeprowadzce Rácza do hotelu. Opuszcza namiot i wygląda przez okno. Widzi Ďulę z termosem obiadowym w jednej ręce i chlebem w drugiej. Ďula zatrzymuje się przy drzwiach do kotłowni i szuka kluczy. Dyrektor przyzwyczył się do niekończącego się chłodu. Na turystycznej kuchence gotuje się gęsta zupa z warzyw i zieleniny, które kuchnia wyrzuciła do śmieci. Gorąca zupa to samo zdrowie. Dyrektor boi się chodzić po jedzenie do restauracji czy do kuchni. Nie był tam od czasu, kiedy główny kucharz kazał mu iść się nażreć gdzie indziej. Hotelowa kuchnia to nie Armia

Zbawienia. Wypląty, dziwnym trafem, nie dostał. Skończyły mu się pieniądze. Wszystko, co miał, wydał na namiot. Na szczęście kontenery na śmieci są hojne. Ostatnio znalazł cały bochenek chleba. Całkiem dobry, tylko trochę zeschnięty. Dyrektor wierzy, że jego sytuacja się odmieni. W każdym razie żona i kochanek mu przebaczą i będzie mógł wrócić do domu.

Dyrektor łapie menażkę i chłepcze gorący wywar. Przynajmniej trochę się rozgrzewa. Na wszelkie sposoby broni się przed zamrażaniem. Niestety, ogniska w gabinecie nie rozpali. Ściany, które za lepszych czasów zlecił obić mahoniem, zajęłyby się raz-dwa. Dyrektor dopija zupę i skrada się do toalety, żeby umyć menażkę. Idzie powoli, śniegowce są niewygodne. Gruby kombinezon szeleści. Żeby się nie bać, dyrektor nuci sobie coś pod nosem. Po powrocie do gabinetu pije gorącą herbatę. Płacze. Łzy zamrażają mu na policzkach. Wciąż jednak czuje się dyrektorem hotelu, więc rusza na obchód. Niczym wielki nadmuchany bałwan, krąży po korytarzach i śpiewa smutne piosenki. Nikt go już nie szanuje. Nikogo nie obchodzą jego rady ani tym bardziej polecenia. Każdy się obawia, że Rącz zobaczy go w towarzystwie dyrektora. Albo że zobaczy go ktoś, kto Rączowi doniesie. Rącz wszędzie ma swoich ludzi. On jest tu teraz królem. Przeprowadzając się z kotłowni do apartamentów, pokazał jasno, jakie ma zamiary.

Dyrektora ledwo się tu toleruje. Nawet goście hotelu myślą podobnie. Dla stałych klientów jest godnym pożałowania biedakiem. Dla nowych – dziwną i tragiczną postacią, która w dzień i w nocy włóczy się po ciemnych hotelowych korytarzach.

Gunnar Hurenssoń i jego volvo zostawiają za sobą przejście graniczne, wytyczone w szczerym polu, i ruszają w stronę

zaśnieżonego i zabłoconego miasta na horyzoncie. To miasto przypomina Hurenssonowi paskudny nowotwór. Za każdym razem kiedy do niego przyjeżdża, jest większe i bardziej obrzydliwe.

Długo się tu nie pojawiał. Leczył się z choroby wenerycznej, którą złapał od słowackiej dziwki. W szpitalu poddali go długiej i bolesnej kuracji, po której teraz potrafi każdym okiem zerkać w inną stronę. W bagażniku ma kamerę wideo. Obiecał ją chłopakowi, którego poznał, gdy był tu w lecie. Na pewno na nią czeka. Chłopak jest szczupły, ma smutny rozbrajający uśmiech. Hurensson lubi takich. Podobają mu się i dziewczyny, i chłopcy. Podjął decyzję. Jak chłopak będzie dla niego miły, naprawdę miły, on, Hurensson, da mu kamerę w prezencie. Od starszego kolegi ze Szwecji.

Pada gęsty śnieg. Na moście Hurensson tkwi w korku, który utworzył się za odśnieżającym ulice pługiem. Na pace pługa stoi dwóch chłopaków i obficie posypuje jezdnię grubą solą. W Szwecji by ich za to zlinczowali, myśli Hurensson. Ale tego tępego i martwego narodu nic nie obchodzi. Dziesiątki samochodów przejechało obok i nikt niczego nie zrobił. To po co on, Hurensson, miałby się kłócić? Zresztą i tak by się nie dogadał. Mówi w pięciu językach i jak dotąd nigdy nie miał z tym problemu, nawet w Tajlandii. Tutaj te umiejętności do niczego mu się nie przydadzą. Hurensson czeka na kawę w restauracji hotelu „Ambassador”. Słowacy – wyposażeni w trudną do pojęcia, hipertroficzną dumę narodową – są we własnych oczach narodem niezrozumianych i niedocenionych geniuszy. Każdy czuje się kimś lepszym, niż się na pierwszy rzut oka wydaje. Taksówkarz robiący czarne interesy jest artystą. Jasnowłosa kurwa wciąż będzie podkreślać, że ma baletowe wykształcenie. Stary, zgarbiony boy hotelowy o pajęczych, kościstych palcach jest z kolei byłym wykładowcą na byłym wydziale wieczorowych studiów marksizmu-leninizmu. Filozofem, jak twierdzi. Ich obecne profesje są

oczywiście tymczasowe i wynikają jedynie z konieczności. Kelnerka w kawiarni jest niesympatyczna; kiedyś naturalnie chciała zostać aktorką. To, że musi Hurenssonowi podać kawę, traktuje jak obelgę. Tak jakby Hurensson był odpowiedzialny za to, że aktorką jednak nie została. To naród zlekceważonych, myśli Hurensson. Mógł podarować światu najwspanialszych geniuszy, baletnice, naukowców – takie przynajmniej sprawia wrażenie. Pytanie, czemu nigdy nie podarował.

On, Hurensson, o istnieniu tego narodu przekonał się przy okazji informacji o śmiesznie tanich prostytutkach, chętnych zrobić wszystko, co nie wywoła istotniejszych konsekwencji.

Dopiero tutaj, na miejscu, od mieszkańców tego kraju dowiedział się o rzekomo sławnych artystach, astronomach i wynalazcach, o których nigdy wcześniej nie słyszał. Zamiast nich jednak Hurensson miał szansę poznać tylko tanie kurwy, szmuglerów, aroganckich kelnerów i taksówkarzy, leniwe pokojówki i skorumpowanych policjantów. Ale Hurensson stara się nie uogólniać. Zdaje sobie sprawę, że obserwacje wynikają ze specyfiki środowiska, w którym on, biseksualny turysta, się porusza. Jest przekonany, że Słowacy nie są tylko narodem leni i debili, że gdzieś tu muszą być również inteligentni, uczciwie zarabiający ludzie. Chodzi o to, że Hurensson nikogo takiego jeszcze nie spotkał. Nie zauważył też żadnych śladów świadczących o egzystencji takich osób. Niemniej ma to w dupie. Nie prowadzi badań socjologicznych tego narodu. Jest szanowanym pracownikiem jednej z czołowych szwedzkich firm produkujących meble, ma czterdzieści lat, a w życiu codziennym kieruje się misją markiza de Sade'a. Jest hedonistą i libertynem. Chętnie poświęci nawet jedną czwartą swojej wypłaty na to, żeby móc szaleć przez tydzień z pięknymi słowackimi prostytutkami, dla których nie istnieje żadne tabu i które są niewyobrażalnie tanie w porównaniu z ich koleżankami po fachu pracującymi w Bangkoku, dokąd Hurensson

jeździł wcześniej.

Tym razem Hurenssoń jest tu z innego powodu. Chce przekonać młodego przystojniaka, któremu przywiózł obiecaną kamerę, że ścieżka, którą on, Hurenssoń, wybrał, jest ścieżką wolności i radości płynącej z poznawania nowych rzeczy i że on, jako starszy i opiekuńczy przyjaciel, z chęcią go tą nową, początkowo ciernistą ścieżką poprowadzi do rajskiego ogrodu namiętności.

Przez cały okres niechcianego pobytu na oddziale chorób wenerycznych w Uppsali nie przestawał myśleć o swoim słowackim cherubinie. Uwiedzenie go jest jednym z pierwszych celów, które sobie wytyczył po wyzdrowieniu. Sądzi, że wspaniała kamera wideo wystarczy, żeby skusić chłopaka i zagwarantować im obu rozkoszny weekend w apartamentach hotelu „Ambassador”.

Hurenssoń nawet nie musi szukać Urbana, ten pojawia się sam. Przyleciał od razu z Domu Handlowego, jak tylko dostał telefon od podeksycytowanego Szparszwajna.

– Hi, how you doing? – Hurenssoń przytula Urbana przyjacielsko na powitanie.

– Thanks – odpowiada Urban i dodaje z wyrzutem: – Long time no see.

– I ain't got time – odpowiada Hurenssoń.

– Have you got the camera? – pyta Urban.

Hurenssoń śmieje się i mówi:

– Of course.

– The same type I wanted? – dopytuje Urban.

– Not exactly, but much better than this.

– Can I take a look?

– Sure, in my hotel room – zapewnia Hurenssoń. – Here's an owner's manual, here you are.

– Thanks – mówi Urban i w skupieniu przegląda instrukcję obsługi.

– Do you like the camera? – pyta Hurenssoń niecierpliwie.

– Oh, sure! – odpowiada Urban. – But it must have been very expensive. I wanted the other type just because it was much cheaper than this one. How much I owe to you now?

– Let's not talk about money – proponuje Hurenssoń i bierze Urbana za rękę. – Let's talk about ourselves!

Urban się rumieni.

– Actually I do not understand. – Urban wyjmuję rękę z wielkiej, suchej, ojcowskiej dłoni Szweda.

Hurenssoń uśmiecha się wyrozumiale.

– I mean that you can have this camera if you want – tłumaczy. – You don't have to pay. It's up to you. C'mon, let's go to my hotel room. You should go with me if you want to see the camera. I think we can go much closer to each other, can't we?

Urban wie, że na taką kamerę go nie stać. Jest warta prawie dwa razy tyle co ta, którą zamówił. Z drugiej strony jednak nie może Szwedowi powiedzieć, że jej nie chce, że woli tańszą.

Zdjęcie kamery, zamieszczone u dołu instrukcji obsługi, kusi.

– Yeah, let's go upstairs – wzdycha Urban.

Niech będzie, co ma być. Kamerę mieć musi.

Na samym początku dyrektor rozważał samodzielną naprawę zepsutego kaloryfera. Boi się jednak, że Rącz się o tym dowie. Woli marznąć.

Řdula czasem jeszcze wpada do gabinetu dyrektora, choć nie z troski. Kontroluje go i donosi Rączowi.

– Ďula, powiedz, co by się stało, gdybym sam sobie naprawił ten kaloryfer? – pyta pewnego dnia dyrektor.

– Powiedziałbym o tym Rączowi – mówi Ďula bez mrugnięcia okiem i patrzy dyrektorowi prosto w jego przerażone oczy.

– Ale dlaczego? – dopytuje dyrektor gorzko, ze smutkiem w głosie. – Czyżbym ci źle płacił? Nie dogadywaliśmy się? Już nie jesteśmy przyjaciółmi?

Ďula kręci głową.

– Pan tego nie zrozumie. Jest pan na to za głupi. Rącz to jest ktoś. Wreszcie silna osobowość w tym hotelu! A pan? Parę miesięcy temu był pan tu królem, a teraz? Niech pan na siebie spojrzy! Teść już panu nie pomoże, ma swoje zmartwienia. Niech pan zerknie do gazet. A teraz już muszę iść. Powiem Rączowi, o czym rozmawialiśmy.

Ďula wraca po chwili. Stoi w drzwiach.

– Rącz kazał panu przekazać, że jak go pan spróbuje oszukać, przyjdzie tu i dopiero się zacznie! – oznajmia, po czym dodaje złośliwie: – Sam pan widzi, wszyscy tu pana traktują jak gówno. Jest tylko jedna możliwość. Prosić o przebaczenie.

Dyrektor dostaje dreszczy.

– Rącz chce – ciągnie Ďula – żeby pan zszedł do holu i tam, na kolanach, przed wszystkimi błagał go o przebaczenie.

– Nigdy! – denerwuje się dyrektor. – Przeprosić, z szacunkiem przyznać, że się popełniło błąd, to tak. Ale żeby takie cyrki robić...

– I tak pan ciągle robi cyrk! – odpowiada Ďula ze złością. – Co pan myśli... Że nikt tego nie widzi?

Dyrektor zatyka sobie uszy i wydyma wargi. Nie zgadza się.

Ďula wychodzi.

Dyrektor czatuje za drzwiami. Zaczepia przechodzącego prawnika. Wierzy, że ten mu pomoże. On, dyrektor, latami ukrywał jego

machlojki.

– Zwariował pan? – oburza się przestraszony prawnik. – Nie chcę skończyć tak samo jak pan. Proszę, żeby pan mnie więcej nie zagadywał. Może kiedyś, jak już powietrze się oczyści, wpadnę na chwilę. Ale to wszystko, co teraz mogę dla pana zrobić. Czas pokaże, co będzie dalej – mówi i ogląda się za siebie. – Niech pan sobie idzie. Jeszcze nas ktoś razem zobaczy, a ja nie chcę niepotrzebnych kłopotów.

Prawnik oddala się pośpiesznie. No tak, jego przypuszczenia się spełniły. Już po dyrektorze. Właściwie hotelem zarządza teraz on, prawnik. On, prawnik, powinien zostać pełnoprawnym dyrektorem. Ale by się działo! Hotel zmieniłby się w kopalnię złota! Prawnik zna różne kruczki, dzięki którym w ciągu roku mógłby się stać milionerem. Tak, myśli prawnik, przyszedł czas, żeby ogłosić konkurs na nowego dyrektora. Byłaby to dla niego wielka szansa. Niestety, jest tu też Rącz. Prawnik trochę się boi. Co jeśli tamten też ma takie ambicje? On, prawnik, ogłosi konkurs, a personel zamiast niego wybierze Rączę. A nawet jeśli nie Rączę, to kogoś, kim Rącz będzie sterować. Nie. Rączę trzeba unieszkodliwić, myśli prawnik. Za bardzo się tu rozpanoszył.

Dyrektor siedzi w namiocie w swoim gabinecie i duma. Nie może zwolnić Rączę. Nic nie może. On, dyrektor, jest stracony. Jeśli żona i jej kochanek się nad nim nie zlitują, do wiosny tu zamarznie. Zamarznie albo oszaleje. Nie wytrzyma.

Rącz od czasu do czasu odwiedza zamkniętych w kotłowni Cyganów. Pogodzili się już ze swoim losem. Nie próbują uciec – i tak by się im nie udało. Kraty są mocne. Pod okiem Rączę pracują co sił. Boją się. W pojedynkę każdy z nich jest pacyfistą. Silni są tylko w grupie. Boją

się bólu fizycznego. Praca wre. Rácz sprawdza, czy łożyska się nie przegrzewają. Kontroluje ciśnienie i temperaturę. Jeśli coś nie gra, Cyganie przez cały dzień nie dostają jedzenia. Po kontroli zadowolony Rácz wychodzi z kotłowni. Ďula długo i starannie zamyka za nim drzwi.

Większą część dnia Rácz spędza w hotelu. Często siada w fotelu ustawionym w holu i udaje, że śpi. Spod przymkniętych powiek uważnie obserwuje, co się wokół niego dzieje. Nic nie ujdzie jego uwagi. Nowi goście hotelowi meldują się u niego. Na miejscu ustalają z nim cenę. Rácz kieruje się ubiorem gościa: im lepsze ciuchy, tym wyższa opłata. Jeśli ktoś odmówi jej uiszczenia, palacz schodzi do kotłowni i wyłącza ogrzewanie. Pod presją reszty gości buntownik płaci. Goście nie są zadowoleni, ale nie mają wyjścia. Nie znają życia. Nie wiedzą, czy taka sytuacja jest tutaj normalna czy nie. Ale nikt się nie skarży. Każdy boi się zemsty Rácza.

Wieczory spędza Rácz w klubie hotelu „Ambassador”. Siedzi przy barze i popija koktajle, które tak mu posmakowały. Gdy ma ochotę, siada przy stoliku pod sceną. Zawsze jest na niej Silvia, Edita, czasem ich koleżanka Vanda Tirówka. Za każdym razem w klubie zjawia się też Ďula, który chętnie pije i je za darmo. Z pełnymi ustami śmieje się z ostrych i nierzadko wulgarnych żartów Rácza. Rácz niekiedy zmusza go do wykonania jakiegoś specjalnego triku w rodzaju wypicia na raz litrowej butelki zimnej wody albo wejścia pod stół ze schabowym w zębach. Ďula wykonuje te polecenia bez mrugnięcia okiem, za co w nagrodę dostaje od Rácza prztyczek w ucho. „Rácz jest zadowolony”, mówi wtedy Rácz.

Ale Rácz przy tym wszystkim nie zapomina o swoich obowiązkach. Nawet w trakcie najlepszej zabawy potrafi nagle wstać, zawołać Ďulę i zniknąć z nim gdzieś na pół godziny. Gdyby ktoś zechciał ich śledzić aż do ciemnego pustego podwórza przy kotłowni, zobaczyłby, jak

wynoszą blaszane beczki z popiołem i wysypują je na hałdy. Rącz nie pozwala tego robić Cyganom. Boi się, że by mu pouciekali. Berki i Šípoš siedzą zamknięci w kanciapie.

Rącz sika na hałdę popiołu i wspomina. Brak publicznych toalet i kusząco ciemne podwórze od zawsze zwabiały tu przechodniów z pełnymi pęcherzami. Donáth z nimi walczył, nienawidził ich. Dzielił przechodniów na dwie grupy: na obszczymurów i na srajców. Ci pierwsi stanowili w oczach starca grupę mniej niebezpieczną od srajców. Mocz najczęściej wyparowywał i zostawiał po sobie tylko ostry zapach. Na dole, w kotłowni, nie było go czuć. Ale srajcy zostawiali po sobie materialny i potężny artefakt, a to doprowadzało Donátha do wściekłości. Zdarzało się, że wspólnie z Rączem czyhali pod drzwiami i przez dziurkę od klucza obserwowali srajcę. Czekali na moment, w którym delikwent, spuściwszy spodnie, dokona swego dzieła. Gdy tylko artefakt ukazywał się światu, Donáth z uzbrojonym w kilof Rączem wybiegali do nieproszonego gościa. Srajca musiał gołymi rękami przenieść jeszcze ciepły artefakt do kontenera, a potem własną koszulą lub innym fragmentem odzieży wyczyścić wskazane miejsce zbrodni. „Nie, nie mamy wody”, złośliwie odpowiadał starzec na pytanie, które zawsze padało ze strony złapanych i pokonanych srajców.

Specyficzną grupę stanowiły kobiety, nierzadko dobrze ubrane i z inteligentnym wyrazem twarzy. Zazwyczaj po cichu wchodziły na podwórze i uważnie rozglądając się wokół, błyskawicznie pozbywały się zużytej podpaski, czasem prosto pod drzwiami do kotłowni. Nierzadko z chlupotem oddawały przy tym mocz. „Proszę pani, coś pani wypadło”, krzyczał Donáth w stronę kobiety pośpiesznie opuszczającej podwórko i machał podpaską nabitą na pogrzebacz.

Donáth miał też swoje sposoby na opętanych namiętnością kochanków, którzy nie mogli już wytrzymać i postanawiali oddać się

sobie w ciemnym podwórzu, kuszącym złudną obietnicą intymności i spokoju. Kiedy ich jęki wskazywały na to, że są w najlepszym momencie, starzec zapalał wszystkie lampy i charcząc, wychodził na zewnątrz. „Nie możecie tego robić gdzie indziej?”, krzychał grobowym głosem. „Wszyscy mają słyszeć? Tu śpią ludzie!!!”.

Tylko rzygająca mu aż tak bardzo nie przeszkadzała. Codziennie rano, a zwłaszcza po piątkowej nocy, w okolicach hotelu „Ambassador” znajdował zaschnięte rozgwieżdżone mieszaniny alkoholu, jedzenia i żółci, ale nie przejmował się tym zbytnio. „Nic nie poradzisz”, mawiał. „Ludzie wymiotują, bo po prostu muszą. Poza tym to nic takiego. Trochę deszczu i rzygi znikają”.

Rącz kończy sikać i wspominać. Było, minęło. Nie ma co roztrząsać. Rącz otrzepuje członek i zapina rozporek.

– Wracamy do klubu – mówi do Ďuli. – Zimno jest.

Donáth był nikim. Nie to co Rącz. On, Rącz, żyje pełnią życia. Wiele nie potrzebuje, ale jest wymagający. Wiedzie mu się. Umie się ustawić.

Siedzi sobie w klubie i przyjmuje wizyty. Przychodzą drobni cinkciarze, którzy chcą się pozbyć kupionej waluty. Kupują za osiemnaście, Rączowi sprzedają po dwadzieścia. Raz jest to dwieście marek, kiedy indziej nawet pięćset. Ludzie z Zachodu wymieniają maksymalnie dwieście. Chyba że chcą kupić deskę windsurfingową albo olbrzymi namiot. Cinkciarze, którzy robią z Rączem interesy, są na stu markach dwieście koron do przodu. Rącz kupuje wszystko i odkłada. Później sprzedaje naraz po dwadzieścia jeden. To mu wystarczy. W ciągu dnia obraca dziesięcioma, piętnastoma tysiącami marek. Na tym już da się zarobić. A jeśli doliczyć pieniądze za ogrzewanie i za brak ogrzewania... Rącz nie ma się na co skarżyć. Sziptarzy patrzą na niego z wrogością, bo zburzył on ich monopol. Rącz nic sobie z tego nie robi. Pozdrawiają się pełnym godności

skinieniem głowy. Jakby tym gestem każdy z nich chciał powiedzieć: mam na ciebie oko. Jako tako się szanują. Rącz uczy się od nich cinkciarskiego stylu życia, ubierania się i poruszania. Chodzi o ostrożny, stosunkowo szybki chód. Nogi w rozkroku, stopy daleko od siebie, ciało pochylone, głowa lekko przekrzywiona na bok. Sziptarzy go obserwują. Nie umknie ich uwagi, że właściwie już cały hotel należy do niego. Widzą, że tancerki z klubu się do niego zalecają, a wystraszeni zagraniczni goście stawiają mu kolejki przy barze. Ďula zachowuje się jak jego osobisty ochroniarz. Dlatego sziptarzy decydują się na zawieszenie broni. Uznają, że z Rączem lepiej nie zadzierać. Interesy kwitną. Obowiązki zostały jasno rozdzielone. Sziptarzy zajmują się biznesami, które załatwia się poza hotelem – wszyscy są zmotoryzowani, jeżdżą rozklekotanymi sziptarskimi autami. Mają starsze roczniki mercedesów, opli i fordów na austriackich, niemieckich i holenderskich rejestracjach. Rącz nigdzie się nie rusza. Nawet nie wychodzi z hotelu. Wszystkie drogi prowadzą do niego. Na początku nie chciał mieć nic wspólnego z kradzieżami, ale po tym, jak wieczorem w swoim apartamencie wszystko sobie przeliczył, zmienił zdanie. Do interesów poza hotelem wysłał Ďulę. Ďula korzysta z hotelowego mikrobusa „Renault”. Wszystko załatwi. Już im się nawet udało przesznułować kradziony wagon z cementem. Zawartość rozeszła się w ciągu dnia. Prywatni budowlańcy prawie się pobili. Rącz zarobił trzysta tysięcy bez oglądania choćby jednego worka. Palcem nie kiwnął. Wyciągnął tylko portfel i inkasował. Ďula też dostał swoją działkę. Całował szefa po rękach. Rącz przyjął to jako oczywistość, z zaciśniętymi ustami, z godnością. Potem jeszcze łaskawie dorzucił mu kilka tysięcy dodatkowo. Dobrze jest mieć wiernego i godnego zaufania pomocnika. Ďula z radości wypił dwa litry zimnej wody na raz i ze schabowym w zębach przeszedł pod wszystkimi stołami w klubie.

Później długo i w bólach rzygał w kiblu. Ale nawet to nie zepsuło mu radości.

Pojawia się Urban.

– Co tam? – pyta go Rącz. – Masz już kamerę? Siadaj, co tak stoisz.

– Dziękuję, postoję – mówi cicho Urban. On, Urban, kamerę ma.

– I co z nią zrobisz? – pyta Rącz.

– Wszystko – odpowiada Urban. – Będę zarabiać. Śluby, uroczystości, obrony. Wiesz, ile ludzie są gotowi zapłacić, żeby mogli w domu na wideo puszczać sobie na okrągło te swoje tępe ryje?

Rącz wzrusza ramionami. Nie, on, Rącz, takimi pierdołami nigdy się nie interesował. Ale i tak jest ciekawy, ile Urban zabulił za tę zabawkę. No, niech Urban siada!

Urban siada z wyrazem bólu na twarzy.

– Dawno cię nie widziałem – mówi Rącz. – Co najmniej z tydzień. Ile za nią dałeś?

– Dużo – odpowiada Urban. – Tutaj mógłbym ją spokojnie sprzedać za pięćdziesiąt tysięcy. W Niemczech to równowartość miesięcznej wypłaty. No, może nie całej, ale jednak.

– A ty ile zapłaciłeś? – dopytuje Rącz.

– Dużo – powtarza Urban.

– No dobra – wycofuje się Rącz. Jego, Rącz, to i tak nie obchodzi. To sprawa Urbana. Ważne, że mu się zwróci.

Urban ma dla Rączki szylingi.

– Ile? – pyta Rącz.

– Tysiąc.

– Dam ci dwa tysiące siedemset – proponuje Rącz.

Urban się zgadza.

– Patrz, jak się wszystko zmieniło – rzuca Rącz, wykładając

pieniądze. – Jeszcze miesiąc temu to ty kupowałeś ode mnie. Takie jest życie – mędrkuje, po czym wpada w melancholijny nastrój. Robi się smutny. Kiwa na kelnera i żeby poprawić sobie humor, zamawia dla Ďuli wielkiego schabowego i litr zimnej wody.

O czwartej zamykają. Rącz i Silvia jadą windą na górę, do apartamentu palacza. Czasami, gdy Rącz ma dużo pracy, woła do siebie Ďulę i ściągając buty, dyktuje mu, co trzeba jutro zrobić. Ďula ma czasu jak atlasu. Jest kawalerem i też mieszka w hotelu. Za takie pieniądze mógłby z Rączem nawet sypiać. Czasami Rącz jest tak zmęczony, że zapada w sen, jak tylko położy się na łóżku. Silvia go wtedy rozbiera i przykrywa kołdrą. Nie z troski. Gdyby Rącz się przeziębził, dostał zapalenia płuc i zmarł, wyschłoby źródło jej dochodów. Śmierć Racza mogłaby wręcz wywołać kryzys finansowy całego hotelu „Ambassador”. Kurs waluty gwałtownie by spadł albo przeciwnie – nieproporcjonalnie by wzrósł. Zmieniłaby się cena złota. To z tego powodu Silvia przykrywa Racza. Mądra prostytutka wie, że gdy jeden człowiek pociąga za wszystkie sznurki, staje się niezastąpiony. A jej się już nie chce dawać dupy w pokojach hotelowych i zaparkowanych autach. Zasmakowała w spokojnym, wygodnym życiu. Rano się wyleguje. Rącz już od dawna jest na nogach i kiedy Silvia otwiera oczy, słyszy jego władczy głos na korytarzu. Przynoszą jej śniadanie do łóżka. Czasami ogląda filmy na wideo, czasami programy na satelicie. Najbardziej lubi MTV. Rącz nie znosi MTV. Zawsze gdy wchodzi do pokoju i widzi, że leci MTV, natychmiast przełącza na Eurosport. Potrafi godzinami stać bez ruchu i gapić się na wrestling. Zna wszystkich zawodników z nazwiska. Najbardziej podoba mu się Hulk Hogan. Rącz niekiedy łapie Ďulę i prezentuje na nim wybrane chwytty. Ďula często leży później na dywanie, oczy zachodzą mu mgłą, nie rusza się. Silvia musi go cucić wodą sodową z syfonu.

– Uuu, ale mi szef dał wycisk! – wzdycha Ďula z wdzięcznością, rozcierając sobie kark. – Spokojnie mógłby szef iść do telewizji! Wszystkich by szef pokonał, he, he! Taki szef silny!

Rącz jest dumny ze swojej siły. Ciągłe wylegiwanie się jeszcze nie osłabiło jego mięśni, wypracowanych przez lata tyrania. On, Rącz, każdego by rozwalił! Może zaprezentować: jednym uderzeniem pięści najpierw robi zagłębienie w drzwiach, a później przebija je na wylot. Silvia i Ďula klaszczą.

Kiedy Rącz i Ďula wychodzą, Silvia przegląda czasopisma. Nieraz się nudzi i idzie na zakupy. Idzie z Editą, niech ktoś jej zazdrości takiej forsy. Zdarza się, że kupi koleżance jakiś drobiazg i ma satysfakcję, widząc, jak Edita się denerwuje.

– Mogłaś ty pójść do kotłowni, jak było zimno – podpuszcza ją.

Ale dobrze wie, że nic by to nie dało. Krępy palacz miał oko na nią, Silvie, na długo przed tym, jak zakręcił wentyle i rozpoczął swoją oszałamiającą karierę. Po powrocie z zakupów Edita już się nie gniewa. Jej nozdrza rozszerzają się, pełne oczekiwania. Silvia kładzie się na sofie w salonie i pozwala koleżance ściągnąć sobie buty, futro, sweter, spodnie, wszystko. Rozebrana jak do rosołu i z władcym chłodnym uśmiechem pozwala się dotykać i pieścić. Edita też jest naga. Czerwonymi z podniecenia ustami zbliża się do wilgotnego łona Silvii.

– Och! – krzyczy Silvia i ze złością wymierza Edicie policzek. – Jezu, przepraszam – mówi natychmiast. Przytula Edite i w ramionach chce ukryć czerwony ślad po swojej odbitej dłoni.

– Powinien pan przeprosić szefa – mówi Ďula dyrektorowi hotelu, kiedy wpada na chwilę do jego gabinetowej chłodni. – Może by panu przebaczył.

– Przeprosić? – Wzburzony dyrektor wstaje tak nagle, że słycać głośny szelest kombinezonu. – Na kolanach? Nigdy!

– Mnie nic do tego – mówi Ďula, żując listek amerykańskiej gumy. – I tak już za późno. Gównu by to dało. Chciałem pana tylko podkurwić. Jest pan taki zabawny, kiedy się pan złości. I tak sam jest pan sobie winien. Nikt inny. Chciał być pan królem, ale czegoś zabrakło. Psy szczekają, karawana idzie dalej. – Ďula podciąga golf pod szyję i siada przy ognisku rozpalonym pośrodku gabinetu. – Niech pan spojrzysz na mnie – mówi. – Ja umiałem się dostosować. Chcę żyć łatwo i przyjemnie. A pan nie chce słycać żadnych rad. Już dawno mógł pan mieć spokój. Szef by pana może nie zwolnił. Pieniędzy by pan miał jak lodu. Szef chciwy nie jest.

– Szef! Szef! Szef! – złości się dyrektor. – Nie tak dawno to mnie wchodziłeś do dupy.

– Co to za wyrzuty – prycha Ďula i wstaje. – Niech pan spojrzysz na siebie i na mnie. Ja chcę tylko dobrze żyć! A jak się panu staram pomóc, pan mnie obraża!

– Nie potrzebuję pomocy! – krzyczy dyrektor ze łzami w oczach. Ďula wzrusza ramionami i wychodzi. Dyrektor gramoli się z namiotu i siada przy biurku. Rozmyśla, czy aby jego eks-szofer jednak nie ma racji. Ale przecież on, dyrektor, nie będzie się płaszczył przed Ráczem! Rozpaczliwie zastanawia się, jak się bronić. Już chyba nie ma dla niego ratunku. Rácz jest twardy, mściwy i zły.

Dyrektor wyciąga akordeon, zakłada i zaczyna grać. Po tym jak rzucił nim o ziemię, działają tylko basy. Wygrywa romantyczne melodie, po policzkach płyną mu łzy. Żona z kochankiem może właśnie siadać do niedzielnego obiadu. Stół nakryty, w kuchni pachnie jedzeniem. Kotlet, ziemniaki, mizeria. Może polędwica w sosie. Tak, żona dyrektora umie gotować. Kochanek pewnie je aż mu się uszy trzęsą. On, dyrektor, już nie pamięta, kiedy ostatnio jadł.

Zapas zup w proszku i konserw skończył się dawno temu. Herbata też. Ktoś musiał wykręcić korki. Nie ma prądu. Toaleta jest zamknięta. Klamki brak. Na szczęście woda w umywalce jeszcze jest. Nikt jej nie zakręcił. Dyrektor zostawia kran trochę odkręcony, żeby woda nie zamrzła w rurach. Sika do umywalki. Z dużą potrzebą musi czekać do nocy. Wychodzi na podwórko, przed kotłownię. Ale ostatnio coraz rzadziej. Mało je. Pije wrzątek i wmawia sobie, że to herbata. Zużyte torebki po herbacie, które wyjmuje z kosza na śmieci, są do niczego. Kelnerzy zaparzają je po trzy razy. Gość dostaje torebkę zanurzoną w filiżance wody. Wyrzucają je dopiero wtedy, gdy już nic nie da się z nich wycisnąć. Żołądek dyrektora przywykł do pustki. On, dyrektor hotelu, może już spokojnie myśleć o jedzeniu i nie grozi mu szaleństwo.

Nagle dyrektor podnosi się znad paleniska. Wymyślił, co zrobić. Już wie, jak przekonać upartego palacza, nie tracąc przy tym honoru. On, dyrektor, słyszał, że Rącz lubi dobrze i dużo zjeść. Postanowione: dziś dyrektor ugotuje obiad specjalnie dla niego! Oczami wyobraźni widzi, jak palacz konsumuje przygotowane przez niego pikantne smakowitości. Jak wylizuje talerz i prosi o dokładkę. I jak on, dyrektor, wchodzi na salę, w niskich pokłonach, a Rącz bije mu brawo i mocno ściska dłoń. Zadowolony i pełen podziwu.

W kuchni panuje zdziwienie. Dyrektora dawno tu nie było. Nie pojawiał się od czasu, kiedy szef kuchni go wyrzucił. Tym razem kucharz też nie jest przyjaźnie nastawiony.

– Czego pan tu szuka? – pyta dyrektora, trzymając w ręku rzeźnicki nóż.

Dyrektor kiwa głową. Poklepuje szefa kuchni po plecach i z uśmiechem prawi mu komplementy. On, dyrektor, przyszedł im pomóc. Nie zostawi bałaganu. Wszystko po sobie posprząta, umyje naczynia. Sam Rączowi ugotuje obiad. Tak musi być.

Kucharze patrzą po sobie zmieszani. W końcu niechętnie się zgadzają. Całe menu jest już gotowe. Teraz powinni zacząć przygotowywać dania na zamówienie. I, co oczywiste, obiad dla Rácza. Ostatnio chce, żeby gotowali mu osobno. Lubi proste dania, które zna z domu. Zupę fasolową, chleb ze smalcem, ziemniaki z masłem i ze śmietaną. I tak dalej. Już mu zbrzydły wyszukane potrawy, które personel przygotowywał z nadzieją zyskania jego przychylności.

Kucharze wzruszają ramionami. Są leniwi jak świnie. Z chęcią przyjmą każdą propozycję wyłączenia ich w obowiązkach. Dyrektor bierze się do roboty. Na kombinezon zakłada biały fartuch. Trzęsie się z podniecenia. Kucharze idą na papierosa.

Po chwili w kuchni pachnie obiadem. Pomoce kuchenne z niechęcią przynoszą dyrektorowi przyprawy, musztardę, sosy: sojowy, worcester i cumberland. Nadziewane kawałki mięsa duszą się pod podskakującymi pokrywkami. Dyrektor kroi cebulę. Mruga, z oczu lecą mu łzy.

Wchodzi szef kuchni z papierosem w ręce.

– Myśli pan, że to pomoże? – pyta i ironicznie mruży oczy.

Dyrektor udaje, że nie słyszy. Ostentacyjnie śpiewa pod nosem. Szef kuchni spluwa ze złością i wychodzi. Nie ma odwagi, by wyrzucić dyrektora z kuchni. Kucharze w szatni grają w karty.

– Przyszedł już? – pyta dyrektor kelnera.

– Kto? – Kelner nie rozumie.

– Palacz – odpowiada dyrektor.

– Nie. – Kelner kręci głową. – Szefa jeszcze nie ma.

Dyrektor skończył. Wyciera ręce w fartuch. Ściąga go i rzuca na stół. Kelnerzy ciekawie zerkają przez okienko do wydawania dań. Praktykanci szturchają się i ganiają po śliskiej podłodze. Dyrektor obserwuje ich i raz po raz zagląda do garnków.

Po chwili nadchodzi wyczekiwany moment. Kelnerzy gwizdzą. Rącz już siedzi przy stole i nerwowo wali pięścią w stół. Nie może się doczekać jedzenia. Burczy mu w brzuchu. Starsza siwiejąca Amerykanka rozgląda się niespokojnie. Kiedy orientuje się, że dziki hałas pochodzi od Racza, uśmiecha się do niego przymilnie. Dobrze wie, co znaczy zimny pokój hotelowy.

– Na co się gapisz, stara świnió? – warczy Rącz, dziś zadowolony, wyspany i w dobrym humorze. Silvia z Editą poszły na zakupy i jeszcze nie wróciły. Rącz może jeść tak, jak lubi. Nie musi uważać, żeby nie mlaskać i nie stukać łyżką o porcelanę, czego wymagają od niego kochanka i jej przyjaciółka. Interesy też mu dziś idą jak po maśle, a to kolejny powód do zadowolenia.

– Co dzisiaj macie dla mnie dobrego? – Rącz po przyjacielsku zwraca się do szefa sali, który podchodzi do niego marszowym, dostojnym krokiem.

– Mamy dla pana coś wyjątkowego, szefie – mówi kelner. – Przygotował to dla pana sam...

– No to dawać mi to tu, bez gadania, hétszentségét! – Rącz wali pięścią w stół. Na jego czole pojawia się gniewna zmarszczka. Szef sali kłania się bez słowa. Daje znak kelnerowi, ten zaś zaczyna nalewać zupę. Rącz nerwowo rozgląda się za grajkim. Muzykant biegnie ze skrzypcami pod pachą. Dyszy. Stojka, gruby Cygan z nocnego klubu, musi codziennie przygrywać Rączowi do obiadu. Zdarza się, że Rącz odkłada sztuce i wspólnie z nim śpiewa jakąś znaną wzruszającą piosenkę. Później wraca do jedzenia.

– Szef już zjadł zupę! – mówi kelner do dyrektora hotelu, który bojaźliwie chowa się za zasłoną oddzielającą kuchnię od sali. Rącz skończył jeść zupę i z niecierpliwością czeka na drugie danie. Dyrektor niewprawnymi ruchami dekoruje talerz pełen medalionów cielejących i odprowadza kelnera aż do zasłony. Słyszczyć skrzypce Stojki i śpiew

Racza. Tuż potem także nieszczerze, zakłopotane oklaski gości. Dopóki Racz nie skończy śpiewać, nikt nie odważy się napocząć jedzenia. Każdy udaje, że go słucha. Goście czekają na koniec piosenki śpiewanej w obcym języku, żeby móc dokończyć obiad.

– Właśnie je medaliony – ściszym głosem przekazuje informator. – Zabiera się do ziemniaków. Sos mu nie smakuje, mówi, że za kwaśny – relacjonuje. W kuchni na chwilę zatrzymał się czas.

– Pięścią rozbił miskę z sałatką! – krzyczy z rozpaczą kelner, który przez dziurę w zasłonie obserwuje, co się dzieje na sali.

Sałatka nieważna, myśli dyrektor hotelu. To jeszcze nic nie znaczy.

– A mięso jak? – pyta kelnera. – Smakuje mu?

– Wybiera i odkłada na bok – mówi kelner i nalewa sobie szklaneczkę. Od rana jest na nogach.

Dyrektor hotelu robi się błądliwy jak kreda. Blednie jeszcze bardziej, kiedy z sali dobiega go dźwięk tłuczonej porcelany. Skrzypce Stojki milkną.

– Szybko, kolejne danie! – krzyczy główny kelner, gdy wpada do kuchni z twarzą zalaną sosem. Wszyscy biegają w tę i w tę, nikt nie wie, w co ręce włożyć.

– No to jestem ciekawy, jaką specjalność pan teraz przygotował – mówi do dyrektora hotelu szef kuchni, który właśnie wyszedł z szatni z papierosem w ręce. Przez otwarte drzwi widać kucharzy polewających sobie rum, który miał służyć do flambirowania potraw.

– On chce gulasz segedyński! – krzyczy główny kelner.

– Mówi, że za gorące – donosi pikolak, rozmasowując sobie czerwony odcisk dłoni na policzku.

– Lodu, lodu, trzeba lodu! – krzyczy ktoś histerycznie.

Restauracja nie przyjmuje zamówień. Cały personel ciśnie się w kuchni, za zasłoną. Każdy boi się pokazać Raczowi na oczy. Ale

każdy też wie, że to nie może trwać wiecznie, że ktoś się zaraz zorientuje. Prędzej czy później któryś z kelnerów albo kucharzy będzie musiał wejść na salę restauracyjną, skąd dochodzą stłumione głosy gości i przerażające milczenie Rácza.

– Może niech pan do niego pójdzie – mówi przestraszonym szeptem kelner do szefa kuchni.

– Wyślijcie praktykanta – proponuje jeden z kucharzy. Praktykant z odciskiem ręki na twarzy zaczyna płakać.

– A wy nie macie pomocników? – zwraca się główny kelner do kucharzy. – W końcu kto to wszystko spierdolił? Wy, kucharze!

– My?! – denerwuje się szef kuchni i rzuca peta na ziemię. Zanim zdąży coś dodać, pojawia się kolejny pomysł. Wysłać najpiękniejszą kelnerkę topless. Może to obłaskawi palacza. Za zasłoną stoją dwie kelnerki. Na rozkaz głównego kelnera ściągają bluzki i biustonosze. Personel ocenia. Kręci głowami. Obie kelnerki są płaskie, wysokie i chude jak szczapy. Ubierają się, obrażone.

– Mógłbym ja tam iść bez koszulki, nie byłoby różnicy – warczy gniewnie szef kuchni.

– Chodźcie zobaczyć – mówi główny kelner, zerkając przez dziurę w zasłonie.

Gwar w restauracji narasta. W kuchni też robi się coraz bardziej nerwowo.

– Niech idzie ten, co to wszystko spieprzył – proponuje jeden z kelnerów. Wzrok wszystkich pada na dyrektora hotelu.

– Racja! – mówi główny kelner. Kierownik robi unik, ale kelnerzy zręcznie go łapią i trzymają za ramiona.

– Szajse! – syczy szef kuchni, który w razie potrzeby chętnie sięga po obcojęzyczne słownictwo. – Szajse! – powtarza. – To tylko pogorszy sprawę! Rącz go nienawidzi – wyjaśnia pozostałym. – Jak go tam zobaczy, zabije nas wszystkich. To nie jest dobry pomysł. Musimy

chyba naprawdę posłać tam jedną z kelnerek. Ale nie bez bluzki, tylko bez spódnicy! Rozumiecie? Bez spódnicy!

Zgadniają się wszyscy oprócz kelnerek. Te bronią się zaciekle. „Nie tak się umawialiśmy”, argumentują butnie i nielogicznie. W końcu zostają zmuszone do ściągnięcia spódniczek. Już wiadomo, dlaczego tak się przed tym broniły: pod spódniczkami nic nie mają. Zawstydzone, tłumaczą, choć nikt nie pyta: w restauracji jest gorąco. W majtkach by się spociły.

Mężczyznom w kuchni to się podoba. Czarne pończochy z koronką też. Napięcie mija. Wszyscy czują, że sytuacja się załagodzi. Na coś takiego Rącz nie może być obojętny. Każdy w kuchni chciałby dotknąć zgrabnych ciał. Kelnerki piszczą. Tylko główny kelner stoi za zasłoną i z troską obserwuje, co się dzieje w restauracji pozostawionej bez nadzoru.

W chwili, w której rozebrane i zawstydzone kelnerki – jedna z tacą, na której niesie specjalność dyrektora hotelu, a druga z butelką czerwonego wina – chcą wejść do restauracji, główny kelner krzyczy:

– Zrzygał się! Zrzygał! Mówiłem, że tak będzie!

Za zasłoną wybucha panika. Kelnerki ubierają się w pośpiechu, tak jakby wszystko, co robiły wcześniej, działo się pod wpływem jakiejś hipnozy, z której dopiero teraz się wybudziły. Kelnerzy i kucharze biegną bez celu i wydają z siebie dziwnie skrzeczące odgłosy. Główny kelner oznajmia, że idzie się powiesić. Robi przy tym demonstracyjnie dramatyczne gesty, jakby chciał, żeby ktoś go powstrzymał.

Tylko szef kuchni zachowuje spokój. Jest cały czerwony od rumu.

– Co pan najlepszego narobił? – pyta z wyrzutem dyrektora hotelu, który korzystając z zamieszania, upycha w kurtce konserwy, warzywa, mięso, wino, pieczywo i słodycze. – Widzi pan? Teraz to wszystko z szefem będę musiał wyjaśniać sam! Nawet skrzynka rumu „Havana Club” może nie wystarczyć. Całe szczęście, że go nie

zużyliśmy, tylko flambirowaliśmy wszystko tym naszym, słowackim!

Dyrektor ze strachem zagląda do sali. Rącz siedzi przy stole. Głowę ma opuszczoną, kosmyk włosów przylepił mu się do czoła. Pomarańczowo-zielona kurtka i modne dresowe spodnie są ubrudzone wymiocinami. W ciszy, która nagle zapanowała, ze złością wali pięścią w stół. Próbuje wstać, ale za każdym razem robi mu się niedobrze i opada na krzesło bez sił. Goście przyglądają mu się z przerażeniem. Każdy boi się poruszyć. Uuuuaaa! Z ust palacza tryska nowy strumień. Uuuuaaa!

– Co ty tu jeszcze robisz, debilu? – mówi do dyrektora szef kuchni i odpala papierosa. – Mało ci? Wynocha! Nie chcę cię tu widzieć!

Dyrektor ze smutkiem wychodzi. Po chwili dogania go szef kuchni. Dyrektor ma oddać wszystko, co nakradł z kuchni! Natychmiast! On, szef kuchni, nie ma czasu! Musi iść gotować gulasz segedyński dla szefa! No już!

Dyrektor rozpina kurtkę i niechętnie wyciąga swoją zdobycz: mrożonego kurczaka, pięć ziemniaków, litrową butelkę bulionu, czerwone wino, dwa nieusmażone kotlety, kawałek słoniny, siatkę cebuli, trzy marchewki, cytrynę, puszkę marynowanych pieczarek i słoik musztardy.

– A teraz won stąd! – rozkazuje szef kuchni, po tym jak na wszelki wypadek osobiście sprawdził, czy dyrektor nie schował czegoś jeszcze.

Dyrektor hotelu biegnie do swojego gabinetu. Siada przy wygasłym palenisku i z nogawki wyciąga swój łup, swój skarb – pudełeczko kawioru. No, to jest powód do świętowania, myśli i rozgląda się za akordeonem. Po chwili z gabinetu dochodzi płaczący śpiew dyrektora i dźwięki muzyki.

Pudełko kawioru znika natychmiast. Kierownikowi chce się pić. Nie ma wody. W rurach słychać tylko dziwne dźwięki, które i tak wkrótce ustają. Dobrze, że wokół hotelu piętrzą się zasy śniegu.

Kierownik sięga po wiadro, nabiera śniegu i topi go na swoim palenisku. Woda jest trochę kwaśna, a zarazem trochę słona, ale gasi pragnienie i nieco rozgrzewa.

Fredy Szparszwajn spaceruje po parkingu wśród ośnieżonych samochodów. Jest grubo ubrany, policzki ma zaróżowione od mrozu. W środku czuje ciepło gorącej parówki z fasolą. Dłonie w rękawiczkach spoczywają na czerwonej saszecie wypchanej drobnymi. Szparszwajn snuje nienawistne marzenia pełne strzelanin, masowych egzekucji i tortur. Dzisiaj Cyganie przyszli po pieniądze. Berkiego wśród nich nie było. Šípoša też nie. Mówił mały Čonka. Powiedział ochroniarzowi, że im, dobrym Cyganom, jest coraz trudniej odwieść złych Cyganów od ataków na jego przyczepę. Dlatego oni, dobrzy Cyganie, są zmuszeni poprosić Szparszwajna o podwyżkę. W przeciwnym wypadku za nic nie biorą odpowiedzialności. Szparszwajn miał łzy w oczach, ale zapłacił tyle, ile Čonka zażądał. Zaraz po odejściu Cyganów pojawiła się jakaś pinda z urzędu miasta i powiedziała, że na dwa tygodnie zawiesza umowę wynajmu parkingu. Jutro zostanie on ogrodzony, pojawią się tu wielkie kadzie i karpie, a do tego budki. Przed hotelem „Ambassador” stanie jarmark bożonarodzeniowy. Szparszwajnowi pociemniało przed oczami. Cyganów się bał, ale teraz dał upust swojej złości. Cipa z urzędu miasta się nie przestraszyła, zamachała zdenerwowanemu chciwcy oficjalnym pismem i był spokój. Gruby ochroniarz próbował odwoływać się do jej sumienia, ale nic nie wskórał. Od jutra do świąt ma pan urlop, powiedziała złośliwie cipa i odeszła, kręcąc zadkiem.

Auta przyjeżdżają i odjeżdżają. Szparszwajn jest bezlitosny, czasami nawet okrutny. Pedantycznie sprawdza wszystkie karty i domaga się dopłat. Jeśli klient przekroczy opłacony czas choćby

o kilka minut, Szparszwajn liczy to jak kolejną godzinę. Zgrzytanie zębów nie pomoże.

Parking jest pełen austriackich limuzyn. Austriacy gorączkowo robią przedświąteczne zakupy. Ganiają po domach towarowych, są w całym mieście. W słocie, między stojącymi w korkach autami widać olbrzymie kolorowe autobusy, które wciąż dowożą nowych kupujących. Dla cinkciarzy to raj na ziemi. Wszyscy ustawiają się wokół parkingu i przed wejściem do hotelu „Ambassador”. Marzną i czekają na nowych klientów.

– Jestem w dupie – mówi Szparszwajn Urbanowi. – Jestem w dupie – powtarza, kiedy Urban nie reaguje tak, jak Szparszwajn by chciał. Zaczyna mówić sam. Fredy’ego spotkała wielka niesprawiedliwość. Cyganie to śwynie. Fredy wie to od dawna. Przyjdzie czas, że go będą na kolanach prosić, żeby im łaskawie pozwolił zwrócić sobie pieniądze, które mu ukradli. On będzie ich torturował. Po kolei. Ale najpierw ich dzieci. Rodzice będą się przyglądać. Żeby nie mogli zamknąć oczu, on, Fredy, wytnie im powieki. Poczekajcie, śwynie, aż przyjdzie wasza kolej! Tak im powie. Jeszcze będziecie zazdrościć swoim bękartom, że tak szybko to poszło! Na wymyślanie tortur dla Berkiego Fredy poświęci tydzień. Później przyjdzie czas na tę cipę z urzędu miasta, mówi Szparszwajn. Dla niej Fredy też ma przygotowane męki. A na końcu, na samym końcu, po dwóch, trzech dniach tortur, Fredy wyciągnie zaostrzony, drewniany badył! Powolutku będzie ją, czy raczej to, co z niej zostanie, nabijać na pal!

– Sprzedaż karpi! – wścieka się Szparszwajn. – Ja ci dam karpie! Za dwa tygodnie to ja mogę, proszę ja ciebie... zarobić... – Fredy Szparszwajn wyciąga kalkulator i liczy, ile pieniędzy straci przez dwa tygodnie. – Kurwa – mówi z rezygnacją. Wciąż nie może się pogodzić, że to jego ostatni dzień. Gdy ten fakt w końcu do niego dociera,

Szparszwajn, z cierpieniem wypisanym na twarzy, rzuca czerwoną saszetkę w kąt przyczepy.

– Chodź pić – mówi do Video-Urbana. – Ja stawiam.

Urban nie wierzy własnym uszom. Wydaje mu się, że się przesłyszał. Żeby Fredy Szparszwajn kogoś zapraszał? Ale ochroniarz już zamyka swoją budę i zdecydowanym krokiem idzie w stronę baru „Ambassador”. Urban go obserwuje.

– Muszę się najebać – mówi chciwiec, kiedy siadają przy stole. – Taki jestem wkurwiony. Wiesz, ile pieniędzy stracę? Interesy nie idą. Austriaki wożą się autobusami. Robią zakupy i autobusem wracają do domu.

Jemu, Fredy’emu, autobus na parkingu się nie zmieści. To, co zarobi, zarobi od kierowców samochodów osobowych. A to nie są duże sumy. Mniej niż z jednego autobusu. Ale jakie ma wyjście, skoro autokar się nie zmieści? Przyjeżdżają dopiero od dziewiątej, a wtedy on, Fredy, ma już pełno! Nie może sobie pozwolić na blokowanie parkingu dla autobusów! Ludzie by go rozerwali na strzępy. Ludzie to świnię, nie rozumieją, że inni też chcą żyć. Szparszwajn ich nienawidzi.

Urban potakuje. Rozumie. Ale sądzi, że Szparszwajn nie powinien tego tak przeżywać. Straci pieniądze, to prawda. Ale też sobie odpocznie. Za chwilę będą święta. Po świętach znów otworzy parking i się odkuje.

– Gównu się odkuję – burczy Fredy Szparszwajn i wypija kieliszek wódki. Dostaje ataku kaszlu. Pierdzi. Parówka z fasolą. On, Fredy, pracuje i oszczędza. Wszystkiego sobie odmawia. I co z tego ma? Sprzedaż karpi! I jeszcze ta wymalowana kłępa z urzędu miasta! Nie odkuje się, bo tych pieniędzy nikt mu nie zwróci. I niech sobie nie myślą, że za te dwa tygodnie, on, Fredy Szparszwajn, zapłaci podatek! Wszystkiego sobie odmawia! Oszczędza. I coś takiego? Jemu? Kurwa.

Urban wypija wódkę. Szybko sięga po colę. Nienawidzi tej wódki. Parkingowy zamówił ją, bo jest najtańsza. On, Urban, sądzi, że Fredy powinien o siebie zadbać. Znaleźć sobie dziewczynę. Ubrać się porządnie. Lepiej jeść. Życie to nie tylko pieniądze. Życie to życie. Kobiety, zabawa. Dlaczego, na przykład, Fredy Szparszwajn nie ma samochodu? Gdyby miał, nie musiałby popierdalać do roboty piechotą czy tramwajem.

Szparszwajn wypija drugą wódkę i kupuje drogie papierosy. Wali pięścią w stół. Menu! Befszyk z jajkiem! Jeszcze jedną colę! I dwie wódki! Nie? No, dobrze. To jedną wódkę i jeden likier dla tego pana! Jemu, Fredy'emu Szparszwajnowi, dziś jest wszystko jedno. Zniszczyli go. Okradli! Ech, kurwa, życie! Co on, Fredy, będzie robić przez dwa tygodnie? Dlaczego nie ma auta? Dlatego że nie ma prawa jazdy! Zresztą, i tak by mu nie dali. On, Fredy Szparszwajn, nawet w wojsku nie był. Ścisza głos do szeptu. Ma żółte papiery. Choruje na głowę. Na nerwy. Ale nikomu ani słowa.

Urban wzdycha. Już go to nie bawi. Grubas jest podchmielony. Śmierdzi mu z ust. W jego oczach błyszczy szaleństwo. Szparszwajn rzuca się na befszyk. Urban chrząka. On, Urban, już musi iść. Ma coś do załatwienia. Ale niech sobie Fredy Szparszwajn nie przeszkadza. On, Urban, życzy mu dobrej zabawy. I dziękuje za zaproszenie.

Video-Urban wychodzi na mróz. Uśmiecha się szeroko. Narzekania Szparszwajna go natchnęły. Stoi przed wejściem i się cieszy. Pomysł jest prosty i genialny. Od razu, jutro po południu, Urban przystąpi do jego realizacji. Świąteczne dekoracje w domu handlowym już przygotował, każdy mu może naskoczyć. Na chodniku zatrzymuje się olbrzymi autobus z bijącym po oczach napisem na boku i wypłuwa z siebie nową porcję austriackich turystów, owładniętych gorączką zakupów. Sziptarzy z profesjonalnymi uśmiechami na smagłych twarzach czekają z kieszeniami pełnymi

banknotów i od razu przystępują do ataku. Choć Urbanowi odmarzają uszy, uśmiecha się do wizji, w której wszystkich robi na szaro. A najśmieszniejsze jest to, że na ten pomysł wpadł dzięki głupiemu i chciwemu Fredy'emu Szparszwajnowi.

Następnego dnia Urban wsiada do samochodu i jedzie na drugą stronę rzeki, daleko w pola, na przejście graniczne. Trzaska drzwiami i zamyka auto, poklepuje gruby portfel w wewnętrznej kieszeni kurtki i idzie do baru na kawę. Czeka na pierwszy autobus z Austrii. Klienci za chwilę tu będą. Urban woła kelnerkę, płaci, wychodzi na mróz i od razu wtapia się w tłum Austriaków. Konspiracyjnym, monotonnym szeptem przedstawia swoją ofertę. Austriacy się uśmiechają. Wyciągają portfele. Video-Urban też wyciąga swój. Ubijają interesy. Nabywcy są zadowoleni. Chętniej skorzystają z oferty dobrze ubranego i uprzejmego młodzieńca, niż gdyby mieli wspierać budżet obcego państwa, nienasyconego molochu, w którym bez śladu giną pieniądze i inne wartościowe rzeczy. Państwo to lichwiarz, który po oszukańczym kursie wymienia prawdziwe pieniądze na te swoje bezwartościowe socjalistyczne papierki, aż wstyd. Wszyscy się tłoczą wokół Urbana i wciskają mu banknoty.

– Gut, gut – mówi Urban uprzejmie. – Ich habe genuk fir ale. Kajng angst.

Znowu zaczyna śnieżyć. Pola wokół lśnią bielą. Niebo ma szaroczarny kolor. Na drogach zalega brązowoszare błoto. Urban czuje, jak ostra sól wżera się w jego drogie mokasyny z cienkiej skóry. Idzie do samochodu po czapkę z daszkiem. Kiedy podjeżdża kolejny autobus, Urban ma już odwagę wejść do środka. Wita go przyjemne ciepło i delikatny zapach nowości i perfum. Urban zamienia kilka słów z kierowcą i jednocześnie właścicielem autobusu. Kierowca

przedstawia ofertę Urbana przez mikrofon. Urban spaceruje między siedzeniami i z udawaną obojętnością zbiera wymięte banknoty. To marki, autobus jest niemiecki. Niemry są dobrze ubrane, mają torebki z pachnącej skóry i okulary w cienkich oprawkach. Starszy mężczyzna popala cygaro. Częstoje Urbana. Urban bierze z grzeczności. Z autobusu wychodzi z portfelem pełnym zachodnich pieniędzy i z hawajskim cygarem w ustach. Ma ochotę na sok lub colę, ale postanawia nie tracić czasu. Wsiada do auta i pędzi do hotelu „Ambassador”. Na parkingu już stoją drewniane kadzie, w których pluszcze woda. Jacyś mężczyźni stawiają budy. Urban parkuje na chodniku i paląc cygaro, obojętnie przechodzi obok recepcji.

Rącz siedzi w swoim apartamencie i znudzony ogląda wideo. Na ekranie sympatycznie prezentujący się szaleniec postanowił właśnie rozerwać na pół jakąś młodą dziewczynę, przywiązaną za ręce i nogi do dwóch tirów. Palacz kiwa głową w stronę Urbana. Urban posłusznie siada. Rącz wyklada nogi na stół.

– Jak się masz? – pyta Urban przyjacielsko.

– Rącz zawsze ma się dobrze – odpowiada Rącz.

– Potrzebujesz waluty? – pyta Urban.

– Niczego nie potrzebuję – mówi Rącz. – Ale jak masz, to mogę wziąć. – Do szaleńca przysiada się główny bohater filmu i długo przekonuje go o zbyteczności rozrywania dziewczyny. Rącz odwraca wzrok od ekranu. – Co masz? – pyta z udawaną obojętnością.

– Różne – mówi Video-Urban. – Szydelka i markery.

– A ile za to chcesz?

– A ile dasz?

– Normalną cenę.

– Przeczytaj dzisiejszą gazetę! – oponuje Urban.

– Ja nigdy nie czytam – mówi dumnie Rącz. Jasnowłosy szaleniec bawi się pedałem gazu i uśmiecha się demonicznie. Przywiązana do

blotników dziewczyna jęczy. – Fredy’emu na pewno by się spodobał ten film! – śmieje się Rącz, ale wzrok ma czujny.

– Szyling i marka poszły w górę – oznajmia Urban.

Rącz macha ręką ozdobioną złotą bransoletą.

– Chcesz coś do picia? – proponuje.

– Masz sok? – pyta Urban.

– W lodówce. – Rącz kiwa głową.

Zanim Urban wraca z oszronioną puszką soku ananasowego, dziewczyna jest rozerwana na pół.

– Dobra – mówi Rącz po chwili milczenia. – Dam ci za szyling pięć halerzy więcej, a za markę dwadzieścia pięć więcej.

Urban kręci głową.

– Piętnaście i pięćdziesiąt – poprawia go.

Rącz wyłącza magnetowid i kładzie pilota na stół. Patrzy na Urbana.

– W takim razie dziesięć i trzydzieści.

Urban wyciąga portfel i pieniądze. Liczy i kładzie je na stole.

– Sześćdziesiąt osiem tysięcy szylingów i osiem tysięcy marek – mówi. – Może być?

Rącz ze zdziwienia zapomina zamknąć usta, ale szybko się opanowuje. Wstaje, wychodzi i po chwili wraca ze skórzanym neseserem. Długo liczy pieniądze.

– Ty świnió – mówi do Urbana, wykładając na stół kopkę tysiąckoronowych banknotów. – Jak zarobisz trzydzieści halerzy na szylingu i koronę pięćdziesiąt na marce, to zgarniesz ode mnie trzydzieści tysięcy. A to prawie mój dzienny zarobek.

Rącz kręci głową w udawanej złości.

Urban się uśmiecha. Wpycha pieniądze do portfela i wstaje. Ma mało czasu.

– Już idziesz? – pyta Rącz.

– Tak – odpowiada Urban. – Mam jeszcze coś do załatwienia.

On, Urban, nie może się lenić. Czy Rącz będzie zainteresowany, jak mu Urban przyniesie więcej markerów i tak dalej?

Rącz podnosi brew.

– No przynieś. Wszystko wezmę. – Nalewa sobie whisky „Chivas Regal”. – Nadymieś mi. Co to za świństwo palisz?

– Jakie świństwo? – obrusza się Urban i wyciąga z ust cygaro. Czyta na głos ozdobny napis na filtrze: – Davidoff.

– Wyrzuć to! – rozkazuje Rącz i sięga po drewniany humidor. – Weź – mówi i częstuje Urbana cygarem „Cohiba”. – Prosto z Kuby.

Urban gasi davidoffa w popielniczce i zapala cohibę. W obłoku dymu patrzy na zachwyconego Racza. To co, może on, Urban, wpaść z szylingami i markami?

Rącz nie uważa za stosowne odpowiedzieć. Wykonuje gest, z którego można wyczytać, że kiedykolwiek i że w każdej ilości.

– Tylko żeby ci kieszonkowego wystarczyło – mówi Urban z ironią.

Ale Rącz nie ma poczucia humoru, jeśli chodzi o swoją osobę.

– Rączowi pieniędzy nie brakuje! – odpowiada urażony.

W drzwiach Urban prawie zderza się z Ďulą, który nasłuchiwał za drzwiami. Nie chce mu się czekać na windę i zbiega po schodach. W holu staje zdziwiony. Szklane drzwi do baru są rozbite. Z framugi sterczą kawałki szkła, ostre jak miecze. „Zamknięte z przyczyn technicznych”, czyta Urban z kartki.

– Co się stało? – pyta recepcjonistę.

– Wczoraj jeden z gości, pijany, zdemolował wszystko. Czterech kelnerów nie mogło mu dać rady – relacjonuje recepcjonista. – Trzeba było dzwonić na policję. To ten gruby z parkingu. –

Recepcjonista nie może sobie przypomnieć jego imienia.

– Wiem który – mówi Urban. – Znam go.

– Kiedy przyszli policjanci, akurat chciał się wieszać – kontynuuje recepcjonista. – Niewiele brakowało, a naprawdę by to zrobił.

Urban pojawia się na przejściu granicznym w dobrym momencie. Celnicy właśnie robią odprawę dużego pomarańczowego monstrum z przyciemnianymi szybami i napisem LISCHKA REISEN. Podróżni witają Urbana zadowoleni. Wyciągnięte ręce z pieniędzmi są jak obietnica wolności. Sięga po nie chciwie, z krzywym uśmiechem.

Tym razem Rącz nie kryje zdumienia. Z otwartą gębą patrzy na stosy banknotów stumarkowych i tysiącszylingowych. Bez mrugnięcia okiem wyjmuje jednak neseser, otwiera go i ślini palec wskazujący prawej dłoni.

– Co ty, okradłeś bank w Austrii? – pyta, kiedy odlicza potrzebną kwotę. Ďula stoi przy oknie i opiera się o kaloryfer. Rży ze śmiechu. – Zamknij mordę, debilu – krzyczy na niego Rącz. – I wynocha stąd! Wiesz, co masz robić?

– Tak, szefie, już idę – burczy Ďula i niechętnie odrywa się od okna.

– Mnie spokojnie możesz powiedzieć – zwraca się Rącz do Urbana, gdy Ďula zamyka za sobą drzwi i przystawia do nich ucho z zewnątrz.

– Co? – pyta rozbawiony Video-Urban, upychając pieniądze do portfela. Najpierw chciał poprosić palacza, żeby kilka tysięcy zapłacił mu w banknotach stukoronowych. Głupio, kiedy turysta chce wymienić dwieście marek, a ty masz tylko korony w tysiącach. Ale później Urban zdecydował, że raczej rozmieni pieniądze w domu towarowym. Kasjerki zrobią dla niego wszystko.

– Mnie możesz powiedzieć, skąd masz walutę – mówi Rącz. – Przecież i tak tego nie wykorzystam. Wiesz, że ja mam tyle pracy, że

na pewno nie będę latać w tę i we w tę.

Palacz wyciąga pudełko i częstuje Urbana playersami. On, Rącz, to nie baba na targu. Nikomu nic nie powie. Głupi nie jest, wie, że wymiana tyłu pieniędzy naraz to nie przelewki. Jeden Szwab czy Austriak kupuje maksymalnie dwa, trzy tysiące koron. On, Rącz, wie, że Urban musi czesać całe autobusy. Tylko gdzie? Przed hotelem na pewno nie. On, Rącz, już pytał sziptarów. No to gdzie?

Urban uśmiecha się, choć do śmiechu mu nie jest. Na szczęście otwierają się drzwi i wchodzi Silvia ze swoją przyjaciółką Editą, obie obładowane pakunkami i czerwone od mrozu. Urban korzysta z okazji i szybko się zegna.

– Będiesz dziś miał dla mnie coś jeszcze? – pyta palacz Urbana, który właśnie zmierza w stronę drzwi.

– Na razie nie wiem – odpowiada Urban z lekką irytacją, bo wielkopańskie maniery Rączka znów zaczynają działać mu na nerwy.

– Już idziesz? – pyta palacz, trochę rozczarowany.

– Muszę coś jeszcze załatwić – mówi wymijająco Urban.

Kiedy Urban odpala silnik, w lusterku wstecznym dostrzega jakiś ruch. Zza rogu hotelu wyłania się mikrobus „Renault” z Ďulą za kierownicą. Zachowuje dystans, ale widać, że jedzie za Urbanem. No jasne, myśli Video-Urban, Rącz kazał jego, Urbana, śledzić. Zamiast się cieszyć, że ma stały dopływ pieniędzy, tylko zazdrości. Rączowi najwyraźniej przeszkadza, że on, Urban, zarabia na tym interesie tyle samo. Palacz chce odkryć źródło zarobków Urbana i samemu się do tego źródła przyssać. Mógłby wtedy zarobić nie tylko to, co teraz, ale też to, co zarabia on, Urban. Urban pamięta dzień, w którym się poznali. Przypomina sobie toporne ruchy Rączka, źle skrojony garnitur i krzywo ogolony łeb. Śmieje się na wspomnienie tego, jak musiał tłumaczyć mrukliwemu wieśniakowi, czym są i do czego służą niemieckie marki. Potężny młodzik milczał i uważnie słuchał, a jego

oczy w kolorze ciemnego metalu ani na chwilę nie zmieniły swojego nieokreślonego wyrazu. Kurwa! Urban krzyczy, żeby sobie ulżyć. Przejeżdża przez skrzyżowanie na czerwonym. Słyszy z tyłu hamulce mikrobusu. Szybko skręca w prawo. I jeszcze raz w prawo. Poprawił mu się humor. Jak by to wyglądało, gdyby on, nielegalny taksówkarz z wieloletnim stażem, nie potrafił uciec przed głupim pościgiem na ulicach swojego miasta! Trzeba Rączowi jasno dać do zrozumienia, że on, Urban, nie jest żadnym debilem, którego można śledzić jak w amerykańskich filmach. Urban znowu dwa razy skręca w prawo. Po chwili znów znajduje się na skrzyżowaniu, na którym zgubił głupiego Ādłę. Tym razem spokojnie czeka na zielone światło. Mikrobus gdzieś zniknął. Ādula wrócił do hotelu i jak zwykle podkulił ogon, myśli. Urban gna na złamanie karku w kierunku przejścia granicznego. Musi nadrobić stracony czas.

Wieczorem Urban ma powody do świętowania. Prawie sto tysięcy koron czystego zysku w jeden dzień! Że też nie wpadł na to wcześniej! Postanawia zaprosić na kolację Lenkę, dziewczynę, którą od czasu do czasu podrywa, do której od czasu do czasu dzwoni i którą od czasu do czasu dokądś zabiera. Oczywiście, nie zaprosi jej do hotelu „Ambassador”. Nie chce ryzykować, że spotka kogoś znajomego, kto nie utrzyma języka za zębami.

Lenka jest przekonana, że Urban żyje na wysokiej stopie dzięki twórczości artystycznej i interesom w branży wideo. Właściwie ma go za życiowego nieudacznika, wprawdzie miłego i zabawnego, ale jednak nieudacznika. Dla studiującej Lenki człowiek, który zostaje wyrzucony ze studiów na drugim roku teorii kultury, nie może być nikim innym jak tylko nieudacznikiem. Pieniądze nie robią na niej wrażenia. Przyzwyczała się do nich w domu. Lenka studiuje filologię. Angielską i arabską. Może kiedyś prześpi się z Urbanem. Ale jeszcze nie teraz. Kto wie, czy w ogóle? Lubi trzymać go w niepewności.

Niekiedy pozwala się pocałować. Cała jest jedną wielką, szczupłą, milczącą obietnicą. Urban ma na dziewczęta tego typu specjalne określenie: sucha kurwa. Ale z Lenką przynajmniej bywa zabawnie. Może kiedyś przestanie być wierna swoim przyszłym partnerom. Do tego czasu on, Urban, może bzykać starsze. W domu handlowym jest ich sporo. A w jego atelier panuje przyjemne ciepło. Robią to w czasie pracy, więc czują się trochę tak, jakby właśnie za to dostawali pensję. Życie jest piękne, myśli Urban. Postanawia jutro rano wstać i znów wyruszyć na przejście graniczne. To żyła złota. Można brać, ile wlezie.

Lenka mruży oczy z zadowolenia. Szampan się pieni. Urban kładzie dłoń na jej dłoni. Skośnooki kelner obsługuje ich w milczeniu. Sucha kurwa, mówi do siebie w duchu Urban. Jest niewolnikiem narzuconej sobie estetyki.

Rącz też je kolację. Pije ze złości. Głupi Ďula oberwał od niego w jaja od razu po tym, jak ze smutkiem wypisanym na twarzy i z rozpaczliwymi gestami wszedł z powrotem do jego, Rácza, apartamentu. Skopałby go na śmierć, gdyby Silvia go nie powstrzymała. Ona też oberwała. Z liścia. Dwa razy. Później przyszła kolej na pakunki ze sklepów. Wszystkie roztargał. Kobiety z płaczem ratowały, co się dało. Walczyły z Rączem o zakupy jak kury o dżdżownicę.

– Jak mógł ci uciec? – krzyczał Rącz.

Ďula wstał dopiero po dłuższej chwili leżenia i stękania. Silvia musiała wylać na niego całą butelkę wody sodowej.

– Ale szef ma cela – powiedział pokornie i z boleścią w głosie, trzymając ręce między nogami.

Rącz stoi przed lustrem ze zwycięsko podniesioną prawą pięścią. On, Rącz, nie spocznie, dopóki nie dowie się, skąd ten miejski błazen,

ten cinkciarz Urban, ma tyle waluty. Przecież nie może na nim, na Ráczu, zarabiać stu tysięcy dziennie. Kto to widział!

Dopiero w klubie „Ambassador” Rácz się trochę uspokaja i poprawia mu się humor. Każe sobie zagrać swoją ulubioną piosenkę i zamawia butelkę likieru czereśniowego.

– Co chcecie? – zwraca się do swoich towarzyszy: Silvii, Edity i Ďuli. – Zamówcie sobie, na co macie ochotę. Ja płacę! Chcecie jeść? Zamawiajcie! Muzyka! Jeszcze raz moją piosenkę! – wrzeszczy Rácz i wali pięścią w stół. Ďula szybko się wstawia i głupio chichocze. Pijane kobiety ruszają się w rytm muzyki.

– Hop, hop, hop! – krzyczy Rácz i z flaszką w ręce tańczy wokół stołu. Oczy ma mętne, jakby zaszły mu mgłą. Lśnią spocone karki muzykantów. Wszyscy uśmiechają się sztucznie. Na twarze wciągnęli śliskie maski profesjonalistów. Pełne zrozumienia miny lizusów. Jeden po drugim unieźnienie kroczą za pijanym palaczem na jego drodze krzyżowej po klubie hotelu „Ambassador”.

Lśniący śnieg skrzypi pod saniami ciągniętymi przez psi zaprzęg. Myśliwi z krzykiem biegną po lodzie. Pokryte trzeszczącymi krami morze jest blisko. Z daleka czuć jego chłodny słony oddech. Bezlitosny wiatr świszczy w uszach. „Mors! Mors!”, krzyczy najstarszy z Eskimosów i wskazuje przerębel. Dyrektor hotelu podnosi harpun i ciska nim w stado krwiożerczych morsów. Budzi się w mroku swojego gabinetu. Przez chwilę krzyczy z przerażenia, ale szybko się opamiętuje. Otwiera namiot i cały skurczony wychodzi na zewnątrz. W pomieszczeniu jest ciemno. Dyrektor zerka na zegarek. Zbliża się północ. Za oknami szaleje wichura. Z sufitu wiszą sople. Ostatnimi czasy kierownik głównie śpi. Zęby mu się chwieją. Ma koszmary z Eskimosami w roli głównej. Powrót do rzeczywistości i odnalezienie

się w swojej sytuacji za każdym razem zajmuje mu dużo czasu. Nie przestawać się ruszać, mówi sobie i zaczyna przemierzać gabinet tam i z powrotem. To by była prawdziwie myśliwska śmierć. Być w ruchu, nie przestawać ani na chwilę! Dyrektor szybko rąbie drewno i rozpala ognisko. Lęk przed zamrożeniem pokonał już dawno obawę przed podpaleniem hotelu. W końcu w gabinecie nie ma co płonąć. Panele, meble, mahoniowa boazeria – to wszystko już dawno zniknęło. Niebezpieczeństwo pożaru mu nie grozi. Teraz dyrektor włóczy się nocami po budynku w poszukiwaniu krzesła czy fotela, które mógłby ukraść. Raz mu się nawet udało podwędzić z holu kanapę, wprost sprzed nosa drzemiącego recepcjonisty. Palila się długo. Kierownik zdążył się ogrzać: śpiewał sobie przy tym wesołą piosenkę. Co więcej, udało mu się nawet upiec na ogniu małego psa, którego złapał przy śmietniku na podwórku. Czaił się na niego nieruchomo, ukryty w ciemnościach, przez długie godziny.

To było jeszcze przed tym, jak wyczyścił całą okolicę hotelu. Teraz po zdobycze musi chodzić coraz dalej. Stosunkowo bogaty rejon odkrył po drugiej stronie ulicy, w podwórzu szpitala onkologicznego. Mieszkały tam głównie koty. To był pierwszy minus. Poza tym dyrektor musiał się tam zakradać, ponieważ w budce przy bramie siedział cieć i uważnie pilnował tylnego wejścia.

W grubej kurtce i kombinezonie narciarskim, z długim łukiem, który zrobił sobie z pozostałości po bambusowej macie, w niewygodnych śniegowcach trudno było dyrektorowi przeleźć przez płot na podwórko szpitala onkologicznego. Z powrotem ze złowioną zdobyczą: kotem, psem czy drobnym gryzoniem, było jeszcze gorzej. Wesołe chwile beztróskiego ucztowania nastawały dopiero wtedy, gdy dyrektor, po tym jak szczęśliwie wrócił do hotelu i przemknął przez ciemne korytarze, zaszywał się w swoim gabinecie. Ale takich momentów nie ma zbyt wiele. Najczęściej dyrektor głoduje i marznie,

często tak osłabiony, że może tylko leżeć w namiocie i patrzeć przed siebie.

Ognisko nie ogrzewa całego gabinetu. Trochę dalej od paleniska panuje już chłód. Dyrektor musi siedzieć bardzo blisko ognia. Rozpalać go może tylko w nocy. Wtedy nie widać dymu uchodzącego przez uchylone okno.

Dyrektor hotelu już prawie pogodził się z porażką, której doświadczył w kuchni. Przez jakiś czas sądził, że nie będzie próbował wchodzić Rączowi w tyłek. Ale im dłużej trwa zima, tym częściej on, dyrektor, zaczyna sobie uświadamiać, że tylko pogodzenie się z palaczem uchroni go od śmierci. Nikt mu nie pomoże. Dlatego dyrektor postanawia podjąć jeszcze jedną próbę uzyskania przebaczenia i przychylności palacza. Jeśli się uda, w gabinecie znów będzie ciepło. On, dyrektor, mógłby zdjąć nieforemny kombinezon narciarski, mógłby znów zacząć pełnić swoją funkcję. Dyrektorska wypłata trafiałaby w jego ręce. Mógłby sobie kupować jedzenie, likier malinowy. Żona wraz z kochankiem przyjęłoby dyrektora z powrotem do siebie, a on, dyrektor, z czasem pozbyłby się kochanka i znów mógłby spać w swoim łóżku.

Ale najpierw musi zdobyć przychylność Racza. Na szczęście wie, jak to zrobić. Teraz już wie. Nagłe oświecenie spłynęło na niego pewnego wieczoru, kiedy on, dyrektor hotelu, siedział przy dogasającym ogniu i dokładał ostatni kawałek krzesła, skradzionego z windy. Olśnienie było tak nagłe i intensywne, że dyrektor aż podskoczył. Długo biegał po swoim lodowatym gabinecie, wydawał dziwne dźwięki, walił głową w suszące się skórki drobnych gryzoni i bił się w piersi w geście zwycięstwa i nadziei na szybkie rozwiązanie swojego problemu. Kiedy się zmęczył, usiadł z powrotem przy ogniu i kiwał głową, jakby chciał pokazać, że nie rozumie, dlaczego nie wpadł na tę genialną myśl wcześniej.

Muzyka łagodzi obyczaje, wszyscy to wiedzą. On, dyrektor hotelu, pamięta to motto jeszcze z dobrych czasów. Z czasów przed nadejściem Rácza. Kiedy on, dyrektor, razem z prawnikiem i wiernym sługą Ďulą prowadził w gabinecie rozmowy służbowe z kelnerkami, pokojówkami i tancerkami. Wystarczył kieliszek porządnej brandy podanej w karafce, przytulne oświetlenie i subtelna muzyka. Każda nowa pracownica po chwili miękła i z chęcią oferowała to, co miała najlepszego. Oczywiście jemu, dyrektorowi hotelu, wystarczyło, kiedy nagie dziewczęta jeździły na nim jak na koniu, by później zbiczować go bambusowym prętem. Zadowolony i szczęśliwy wracał później do żony, podczas gdy prawnik i Ďula kontynuowali rozmowy. Nie, on, dyrektor, nie wierzy, że palacz będzie mógł się oprzeć magicznemu działaniu muzyki!

Zawsze po zamknięciu klubu Rác z Silvią wracają do apartamentu. Tam albo uprawiają seks, albo oglądają na wideo jakieś mordobicie – w zależności od humoru. On, dyrektor hotelu, wie o tym doskonale. Nieraz spędzał czas w ciemnym korytarzu, nasłuchując pod drzwiami Rácza, trzęsąc się ze strachu przed zdemaskowaniem i doznając przeszywającej, nieopisanej rozkoszy w podbrzuszu i jelitach. On, dyrektor hotelu, wie, jak puszczana do uszka melodyjna muzyka potrafi działać na zakochanych! Wykorzysta tę wiedzę. Gdy tylko palacz ze swoją kochanką znikną w apartamencie, pojawi się dyrektor i zacznie na korytarzu wygrywać ckliwe, sentymentalno-romantyczne melodie. Oczywiście w odpowiednim przebraniu. Dopiero kiedy Rác z łzami wzruszenia wyjdzie na korytarz, żeby objąć nieznanego barda, dyrektor ściągnie sztuczną brodę i okulary. Rác nie będzie miał wyboru, będzie zmuszony podać jemu, dyrektorowi hotelu, rękę na pojednanie.

Dyrektor już dawno temu nauczył się kilku prostych piosenek, które wykonuje przy akompaniamencie swojego akordeonu. Umie też

wygrywać rzewne tony na harmonijce ustnej i nucić kliwne melodie. Teraz tylko przyszykuje sobie jeszcze wielki bęben na szelkach, dzwoneczki, które przymocuje do łydek, klakson i cymbałki. Jest zadowolony, wszystko przebiega zgodnie z planem. Po raz ostatni ćwiczy cały repertuar. Dochodzi czwarta nad ranem. Klub się zamyka. Dyrektor przygotowuje bęben, akordeon i uzdę do harmonijki. Dokleja sobie czarną brodę, zakłada ciemne okulary. Zerka w szczątki lustra i przekonuje się, że zmienił się nie do poznania. Ostrożnie otwiera drzwi do gabinetu i wygląda na zewnątrz. Nikogo nie ma. Na palcach wychodzi na korytarz i wspina się przejściem służbowym na najwyższe piętro. Chowa się za rogiem i czeka na pojawienie się Rácza. Uważa, żeby brzęczenie dzwoneczków czy nieopatrne uderzenie w bęben nie zepsuło jego niespodzianki. Po chwili na piętrze zatrzymuje się winda. Palacz i jego kochanka znikają w swoim apartamencie. Dyrektor przywiera plecami do ściany i wstrzymuje oddech. Podkrada się pod drzwi i nasłuchuje. Słyszc szum prysznica i głosy. Potem dźwięki cichną i słyszc już tylko stłumione, ale energiczne skrzypienie łóżka. Pieprzą się, myśli sobie dyrektor hotelu. Teraz jest jego, dyrektora, moment! Hotelowy bard przymocowuje do buta rzemień od bębna, rozciąga miech akordeonu, w głowie wybija rytm i zaczyna:

*Kochałem ja, kochałem,
Kochałem piękne dziewczę młode;
Teraz tylko czekam, co mi Bóg podpowie.
Kochałem, kochałem
Czarną dziewczyninę,
Za tę miłość teraz
Nóż mi w plecach gnije.*

Potem milknie i przestaje grać. Nasłuchuje, co się dzieje

w apartamencie. Skrzypienie łóżka ustaje. Słysząc stłumioną rozmowę. Po chwili znów odzywa się skrzypienie łóżka, głośniejsze i bardziej energiczne. Dyrektor śpiewa:

*Kochałem wiernie,
Kochałem dobrze;
Przez tę swoją miłość
Teraz leżę w grobie.
Nie wiedziałem, że dziś
Nie będzie jak wczoraj;
Przez takie myślenie
Leżę w grobie, laj, laj.*

W pozostałych pokojach jest cicho. Goście hotelowi myślą, że to nowy numer Rácza. Nikt nie chce mieć z nim na pieńku, więc każdy leży i czeka, aż to się skończy. Dyrektor rękami trzęsącymi się z tremy i z podniecenia rozciąga miech, zwilża usta i śpiewa dalej:

*Mamo, moja mamo,
Już za mną nie płaczcie:
Na ziemi cierpiałem,
W niebie żyć ja zacznę!*

Drzwi apartamentu nagle się otwierają. Na progu staje Rącz.

Dyrektor hotelu kurczy się o dobre dziesięć, dwadzieścia centymetrów.

– Który taki mądry? – krzyczy Rącz i podnosi pięść, wielką jak granat przeciwpancerny. – Kto się nie boi przeszkadzać Rączowi? – pyta, a dyrektor, zamiast odpowiedzieć, wydaje z siebie tylko jednostajny kwik, który brzmi, jakby dobiegał skądś z zewnątrz, z ulicy. – Kto sobie z Rácza robi żarty? Kto z Rączem chce lecieć w chuja? – krzyczy palacz i wali pięścią w ścianę. Hotel drży

w posadach, żarówki na korytarzu zaczynają mrugać. Dyrektor kurczy się o kolejnych dziesięć centymetrów. Rącz podchodzi do niego i żelaznymi palcami chwytą za kark, jak królika. W milczeniu prowadzi dyrektora w stronę schodów. Zatrzymuje się przy nich i zrzuca go tak, że ten pada na twarz. Schody są upstrzone resztkami jego instrumentarium.

– Żeby mi to było ostatni raz! – woła Rącz. – Ostatni raz!

Sprawia wrażenie, że nie rozpoznał dyrektora w przebraniu. Odwraca się i znika w swoim apartamencie.

Dyrektor przestaje udawać martwego. Wstaje z trudem i rozciera obolałe kończyny. Zdejmuje z pleców przebity i zakrwawiony bęben. Nie może oddychać ze wstydu i poniżenia.

– Co to za cyrki? – wrzeszczy na niego sprzątaczką, która właśnie pierwszym dziennym autobusem przyjechała do pracy. – Chłopy tak lubią: zostawiać za sobą wszędzie bałagan! Kobieta to potem musi sprzątać, pucować! Kobiety są od tego, żeby sprzątać? Kobiety nie mają żadnych praw? Do niczego? Kobiety też chcą żyć! Kobiety nie są maszynami do sprzątania! Można by to posprzątać, czemu nie? Ale niech sprząta ten, kto narobił gnoju! Tylko już! Już!

Dyrektor czuje, że odlepiła mu się broda. Okulary zgubił, kiedy spadał ze schodów.

– O, pan dyrektor! – mówi ucieszona sprzątaczką. – Tu ma dyrektor miotłę! Raz-dwa! A potem wiadro i szmata. Schody mają błyszczeć!

Za oknami widać słabe, niemrawe zimowe słońce. Na zewnątrz słychać śmieciarki. Rącz w spokoju odpływa w objęcia snu. Twardego, jak to zawsze na godzinę, dwie przed pobudką. W żółtym śniegu przed kuchnią stoją skrzynki z pieczywem, jedna na drugiej. Na parkingu w wielkich kadziach pluszcze woda. Gdzieniedzie na ułamek sekundy pojawia się srebrzysty rybi grzbiet, by po chwili zniknąć w lodowatej

wodzie. Boy Torontál stoi na posterunku przy recepcji i wypatruje skórzanych walizek. Recepcjonista zaparzył sobie ostatnią kawę. Trze kaprawe oczka i ziewając, czeka na drugą zmianę. W pokojach hotelowych cisza. Wszyscy śpią. Dyrektor wciąż jeszcze sprząta. Resztki harmonijki i bębna musiał wyrzucić do kosza. Pozamiatał i umył schody i korytarz, a teraz poleruje je pastą.

Sprzątaczką pije kawę w swojej kanciapie. Od czasu do czasu przychodzi na kontrolę.

– Tutaj mocniej! – mówi ostro. – Co, nie widzi tego brudu?

Goście powoli wstają. W kuchni rozdzwaniają się telefony. Wszyscy chcą śniadania do łóżka. Kelnerzy ostatni raz się zaciągają, dopijają kawę, poprawiają muchy i łapią za tace i wózki. Nikt teraz nie korzysta z windy. Specjalnie wszyscy chodzą schodami. Ilekroć dyrektorowi uda się je wypolerować na tyle, że sprzątaczką jest zadowolona, kelnerzy leniwie przechodzą po nich w brudnych butach. Dyrektor musi zaczynać od nowa. Boi się, że ktoś go rozpozna, więc zakłada ciemne okulary i dolepia sobie brodę. Sprzątaczką wypija poranną kawę, zapaliła papierosa, przeczytała gazetę i teraz stoi nad nim, nad dyrektorem. Kontroluje każdy jego ruch. Wszystkim, którzy przechodzą obok, oznajmia: „To dyrektor. Przyłapałam go, jak robił gnój na schodach. Kobiety nie są od tego, żeby po wszystkich sprzątać. Chłop też powinien! Kobiety mają takie samo prawo do odpoczynku! Proszę chodzić, on to posprząta!”.

Dyrektor poleruje. Stara się powstrzymać łzy. Kiedy kończy, sam z siebie odsuwa się pod okno i czeka, aż ktoś przejdzie, żeby po chwili, z miną umęczonego Chrystusa, kontynuować swoją pracę. Dopiero około południa na schodach robi się cicho. Dyrektor zakrada się pod drzwi kanciapy sprzątaczką. Zamknięte. Dyrektor zbiera się na odwagę i niczym ranne zwierzę ucieka do swojego gabinetu. Wchodzi do namiotu i zasypia.

Video-Urban już nie chce prowadzić interesów. Zraził się. Codziennie rano pokonywał rzekę i wyruszał w pola na przejście graniczne, gdzie czekał na pomarańczowe, jaskrawozielone albo bijące czerwienią poczekalniki autobusy, żeby móc do nich wejść i odciążyć turystów z Zachodu taszczących ze sobą marki, szylingi i dolary. Rącz pogodził się z tym, że nie odkryje źródła nagłego bogactwa Urbana. Bez słowa kupował od niego walutę, w końcu sam na tym zarabiał. Bogate wieśniaki, które chciały sprawić sobie w Austrii używany samochód, telewizor czy wideo, ustawiały się w kolejce, żeby wymienić u Racza pieniądze po jakimkolwiek kursie.

Do katastrofy doszło pewnego mroźnego, choć słonecznego dnia, kiedy to z początku wszystko szło jak po maśle. Olbrzymi autokar z austriackimi turystami zatrzymał się na poboczu za budką straży granicznej, a Urban, w świetnym humorze, wszedł do środka. Z uśmiechem na twarzy spacerował między siedzeniami, wyjmował z wyciągniętych rąk szylingi i odliczał pięćset- i tysiąckoronowe banknoty ze zwitka związanego czerwoną gumką recepturką. Do momentu, kiedy na końcu autobusu dwaj młodzi, ubrani w dżinsy i kurtki funkcjonariusze bezpieczeństwa, o twarzach prawie zawstydzonych, choć niemal zupełnie bez wyrazu, pokazali mu swoje legitymacje.

– Tylko spokojnie – powiedział jeden z nich, po czym wstał, wzdychając. – Idziemy – dodał i delikatnie skierował Urbana w stronę drzwi.

– Nie rób scen! – krzyknął histerycznie drugi funkcjonariusz, który następnie złapał Urbana za kołnierz i powalił na ziemię. Po chwili przycisnął Urbana kolanem do podłoża i sprawdził, czy nie ma ze sobą broni. Znalazł portfel i włożył go sobie do kieszeni. – W porządku! – huknął i zaczął popychać Urbana, gdy ten już wstał. – Idziemy, idziemy!

Urban wyszedł z autobusu z podniesionymi rękami.

– Ręce za głowę – zawołał tajniak, w którego dłoni ni stąd, ni zowąd pojawiła się wielka biała pałka.

Video-Urban zobaczył setki par oczu, które śledziły go obojętnie zza oszronionych okien autokarów, tirów i samochodów osobowych.

– Gdzie zaparkowaliście? – zapytał ten dobry.

Urbanowi trzęsła się szczeka, tak że nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Kiedyś to się musiało stać. Podświadomie zakładał taką możliwość, ale nie wierzył, że może się ona kiedykolwiek urzeczywistnić. Opuścił prawą rękę, żeby podrapać się po policzku.

– Ręce za głowę! – ryknął ten zły i szturchnął Urbana pistoletem w żebra.

Urban wielokrotnie przeżywał tę sytuację w snach. Zawsze jednak mówił sobie, że ma się obudzić – i się budził. Teraz nie mógł. Wygrzebał kluczyki, ten dobry zabrał mu je z rąk, otworzył samochód i powiedział:

– Zapraszam do środka.

– Pif-paf! – zarechotał ten zły i parę razy machnął nieproporcjonalnie wielkim pistoletem.

Urban siadł za kierownicą, dobry funkcjonariusz obok, a zły z tyłu. Urban domyślał się, że zły wycelował w niego broń, ale bał się spojrzeć w lusterko wsteczne. Przez chwilę wszyscy milczeli.

– Mogę jeszcze raz zobaczyć panów legitymacje? – zagadnął Urban, któremu akurat nie przyszło do głowy nic lepszego.

– Proszę bardzo – odpowiedział ten dobry i podstawił Urbanowi legitymację pod nos.

– Mogę już opuścić ręce? – zapytał odważnie Urban. Nagle poczuł, że musi natychmiast iść do toalety za dużą potrzebą, ale jakoś się przemógł. Wziął do ręki legitymację, przez jakiś czas przyglądał się

jej, aż w końcu oddał właścicielowi.

– Siedział pan już kiedyś? – zapytał niby mimochodem ten dobry, znów po krótkiej pauzie.

Urban pokręcił głową i przełknął ślinę. W ustach miał sucho.

– Zobaczmy, co tu mamy – rzucił ten dobry.

Zły wyciągnął z kieszeni portfel Urbana i razem z dobrym zaczął liczyć pieniądze. Kiedy bezpieczniacy skończyli, na ich twarzach odmalowało się zaskoczenie. Wyszło tego naprawdę sporo.

– A więc konfiskujemy te pieniądze – zakomunikował dobry i na potwierdzenie swoich słów wsadził zwitek banknotów za pazuchę. Pusty portfel z dowodem osobistym Urbana i kalendarzykiem schował do przegródki na drobiazgi.

– Pytanie, czy chce pan iść siedzieć czy nie – powiedział dobry, patrząc w okno. – Jest pan młody, całe życie przed panem.

Urban mimowolnie się uśmiechnął: tajniacy nie wyglądali na starszych od niego.

– Już pierwszego wieczoru rozerwaliby panu dupę – ciągnął dobry.

Urban przypomniał sobie Hurenszona i swoją kamerę, która odpoczywa w szafie, ledwo rozpakowana. Gdyby od razu poświęcił się interesom z filmowaniem, nic takiego by się nie stało.

– Wszystko zależy od pana – rzucił dobry.

– Jak mam to rozumieć? – spytał szybko Urban, który na końcu długiego i ciemnego tunelu strachu i przerażenia zobaczył małą iskierkę nadziei.

– Naprawdę jesteś aż tak głupi? – naskoczył na Urbana ten zły, po czym przyłożył mu pistolet do potylicy.

Ten dobry uśmiechał się cierpliwie.

– Proszę posłuchać – mówił, poklepując kieszeń z pieniędzmi

Urbana. – Te pieniądze zostały skonfiskowane. Nie dostanie ich pan z powrotem, tak czy siak. My panu wystawimy potwierdzenie o konfiskacie tych pieniędzy. Oprócz tego podarujemy również kajdanki i zawieziemy na komisariat. Zostanie pan przeniesiony do aresztu, a! i będzie panu przydzielony obrońca z urzędu. Prokurator napisze akt oskarżenia. W skrócie: nie wywinie się pan. Grozi panu, jak szacuję, od pięciu do ośmiu lat więzienia. – Dobry umilkł i oderwał wzrok od oszronionej szyby. – To jest pierwsza możliwość – dodał sucho.

Video-Urban przełknął ślinę. Zbierał się w sobie, żeby zadać pytanie.

– A druga możliwość? – Dobry był szybszy. – Druga możliwość jest taka, że nie będzie pan chciał żadnego potwierdzenia konfiskaty, a my zapomnimy o kajdankach.

Dobry uśmiechnął się jak ktoś, kto lubi sprawiać ludziom przyjemność.

– Zawiezie nas pan do miasta i tam gdzieś wysadzi. Na przykład przy kawiarni „Štefánka”. Tam się pożegnamy i każdy pójdzie w swoją stronę. Niech się pan zastanowi. – Dobry wsadził rękę do kieszeni. – Mogę tu zapalić?

– Tak, oczywiście – odpowiedział Urban, który oczami wyobraźni widział już całe kilometry drutu kolczastego, zimne poranki na spacerunku i ciemne, mroczne budynki.

Dobry wyciągnął opakowanie marsów. Poczęstował Video-Urbana.

– Zapali pan? – zapytał.

Dopiero teraz Video-Urban obudził się ze stuporu. Sięgnął do przegródki obok skrzyni biegów i wyciągnął paczkę marlboro.

– Proszę się poczęstować.

– O, bardzo chętnie! – ucieszył się dobry. Wziął papierosa, pozwolił go sobie przypalić i nabożnie chwycił w kciuk i palec

wskazujący.

– Ja nie palę – odparł zły, kiedy Urban obrócił paczkę papierosów w jego stronę. – No, jaka jest pana decyzja?

– Właściwie po co mi potwierdzenie? – powiedział Urban.

– Otóż to – zgodził się dobry. – Pieniądze zawsze można zarobić, ale wolności już nikt nie zwróci. To niech pan odpala silnik i zawiezie nas do miasta.

Urban ruszył. Jego wzrok padł na czerwoną lampkę na desce rozdzielczej. Miał w planach zahaczyć o stację benzynową.

– Przepraszam panów – zwrócił się do tajniaków.

– No? Czego? – warknął zły.

Urban w skrócie przedstawił sytuację. On, Urban, ma pusty bak. Właściwie to już teraz jeździ na oparach. Jeśli chcą dotrzeć do miasta, muszą koniecznie zatrzymać się na stacji benzynowej.

– No i? – zdziwił się dobry. – Możemy się zatrzymać. Co za problem?

– Hm, taki, że nie mam na benzynę – wytłumaczył mu Urban.

– No, tak, rozumiem – zaśmiał się dobry. Wyciągnął zza pazuchy zwitek banknotów, odliczył dwieście koron i wspaniałomyślnie wręczył je Urbanowi. – Starczy i na kawę, i na kieliszek wódki. Przyda się, co nie?

Mężczyźni wysiadają przy umówionej kawiarni.

– No, to dużo zdrowia! – powiedział dobry na pożegnanie.

– Nawzajem – wymamrotał Urban, po czym skierował się w stronę hotelu „Ambassador”. Nie wiedział, czy ma się cieszyć czy płakać. Stracił wszystkie albo prawie wszystkie pieniądze, ale z drugiej strony – był wolny jak ptak.

Video-Urban już nie chce handlować walutą. Strata pieniędzy doprowadziła go niemal do szaleństwa. Przez kilka nocy w ogóle nie spał. Nawet nie dzwoni do Lenki, tej suchej kurwy. Nie może odżalować ostatniego utargu. A Lenka i tak by mu nie dała dupy. Urban wreszcie zrozumiał: szybkie pieniądze są nic niewarte. Lepiej bogacić się powoli. Gdyby nie był chciwy, mógłby mieć więcej. Nie straciłby włożonego kapitału ani zarobku. Powinien był prowadzić wideobiznes, tak jak to od początku planował. Płaciłby podatki i miałby święty spokój. On, Urban, nie nadaje się na cinkciarza, jest artystą.

Siedzi w hotelu „Ambassador” i popija whisky. Trochę pieniędzy mu zostało – co prawda, to prawda. Ale Urban i tak się wkurza. Nie powinien być tak zachłanny. On, Urban, sam przywołał pecha swoją chciwością. Od dziś nie będzie już gonił białego króliczka. Zawsze miał szczęście, do momentu, w którym zaczynał się denerwować. Tak, on, Urban, powróci do swojej nonszalancji. Nie zostanie milionerem w tym roku. No i co z tego? Czego on, Urban, potrzebuje do życia? Do szczęścia? Chce się najeść, chce, żeby mu nie było zimno. Chce mieć samochód. Żaden mercedes czy beemka, do których nie można znaleźć części. Wystarczy ładna škoda favorit. Taka, jaką już ma. Przystosowana do jego potrzeb. Po co kłuć ludzi w oczy? Czego jeszcze potrzebuje? Pieniądzy na benzynę. Przyzwyczał się do tego, że wszędzie jeździ samochodem, i już dawno zapomniał, jak wygląda od środka tramwaj czy trolejbus. Potrzebuje jeszcze pieniędzy na zabawę. Rozerwać się w klubie, od czasu do czasu zaprosić jakąś laskę na kolację, kupić sobie kasetę wideo, płytę CD, kasetę magnetofonową, na którą mógłby nagrywać swoją ulubioną muzykę. Słowem: radosne, bezproblemowe życie.

O tym wszystkim opowiada Vandzie Tirówce, która siedzi na krześle barowym obok Urbana. Vanda Tirówka się z nim zgadza.

Potakuje wesoło i uśmiecha się swoimi wielkimi uszmińkowanymi ustami. Urban podnosi dłoń i pstryka na kelnera. Po chwili na ladzie pojawiają się dwie szklanki whisky. Urban wie, że to miks korsarza i najtańszego grantsa, ale nie zdradza się ze swoją wiedzą. Udaje, że pije to, co zamówił. To taka gra między klientem a kelnerem. Większość klientów uczestniczy w niej nieświadomie, ale Urban robi to dlatego, że nie ma ochoty się wyklócać. Wyznaje zasadę, że nikomu nie będzie psuł biznesu, dopóki dyskrecja jest zachowana. Każdy chce jakoś żyć. Video-Urban przelyka mieszankę alkoholi i wpatruje się w wystające spod minispódniczki uda Vandy Tirówki, opięte czarnymi pończochami.

– Nie jest ci zimno? – zagaduje.

– Nie, mam długi płaszcz – odpowiada Vanda Tirówka.

Urban trzęsie się z zimna.

– Jeszcze jedna whisky! – krzyczy do kelnera. – Albo dwie! – poprawia się po wymianie spojrzeń z Vandą. – Dlaczego przezywają cię „Tirówka”? – pyta ją.

– Bo zaczynałam z tiorowcami na stacji benzynowej – mówi Vanda.

– A ja myślałem, że dlatego, że jesteś taka wysoka jak tiry. – Urban miesza kawę i bierze łyk.

Vanda tak naprawdę nie ma na imię Vanda, tylko Anča. Wzięła ślub z jakimś wieśniakiem o nazwisku Polgár, który pracował w wodociągach. Anča przynosiła mu do pracy obiady, siadała i patrzyła, jak mąż je. Polgár lubił przywiązywać ją do rur w firmowej piwnicy i sobie dogadzać. Podobało jej się to – do momentu, kiedy Polgár pobiegł na górę odebrać telefon i zapomniał o niej. Wtedy pojawił się kierownik stacji i zobaczył ją, jak wisi ukrzyżowana na rurach, blada jak śmierć. Polgára zdegradowali do prac wykopowych z pensją tysiąc koron miesięcznie. Zaczął bić Anczę, ponieważ uważał, że to jej wina. Rozwiodła się z nim, wyrzuciła z mieszkania, które

odziedziczyła po ojcu, zmieniła imię na Vanda i zaczęła chodzić na stację benzynową uprawiać seks z kierowcami tirów. Polgár miał później wypadek w pracy: przysypała go ziemia i zmarł. Dzieci nie mieli.

– Dlaczego nie pracujesz jako modelka? – pyta ze zdziwieniem Urban. – Teraz wszędzie szukają dziewczyn ponad metr siedemdziesiąt. Ile ty masz wzrostu?

– Metr osiemdziesiąt pięć – odpowiada z dumą Vanda Tirówka, dopijając drinka.

– Wiesz – zaczyna Urban – złapałem doła. Nic mi się nie udaje. Miałem na wyciągnięcie ręki taki stos pieniędzy... – Urban pokazuje ręką wyimaginowany stos. – I co? I gówno, jak to się mówi. Ukradli mi wszystko.

– Kto ci ukradł? – dopytuje Vanda Tirówka.

– Nieważne – ucina Urban. – Nie gadajmy już o tym. Dlaczego nie pracujesz jako modelka?

– Myślisz, że bym mogła? – pyta Vanda uradowana.

– No jasne! – zapewnia Urban i zamawia dwa kieliszki wódki. – Na to mnie jeszcze stać. Ale ty w ogóle nie pijesz!

– Nie przepadam za alkoholem – mówi Vanda Tirówka i podnosi kieliszek do ust.

– E tam! – Urban macha ręką. – Tu pije każdy. To po prostu taka tradycja.

– Kto ci ukradł te pieniądze? – Vanda nie daje za wygraną.

– Nie ma o czym gadać! – wzdycha Urban i zamawia dwa razy whisky. – A ty w ogóle nie pijesz. Powinnaś pracować jako modelka. Masz warunki.

– Ja też jestem wkurzona – wyznaje Vanda Tirówka. – Dziś miał przyjechać Zdravko. Ten doktor z Wiednia, wiesz który. No i jak

myślisz, przyjechał? Nie przyjechał!

Vanda Tirówka upija łyk whisky.

– Nie martw się – pociesza ją Urban. – Jutro przyjedzie...

– Jutro to może spierdalać! W piździe mam jego „jutro”! – denerwuje się Vanda i wali pięścią w ladę barową. – Specjalnie sobie wzięłam wolne! To wymagający klient. Zatrudnia dziewczyny na cały dzień, czasem na dwa. Kolacja, szampan, a potem już z górki: oral, anal, pissing, od tyłu, od przodu i tak w koło Macieju. Ale nie szczypie się o pieniądze. Wzięłam sobie wolne i czekałam. Olał mnie. W ogóle się nie pojawił.

Vanda wyciąga papierosa i pozwala go sobie przypalić.

– Nie przejmuj się. – Video-Urban chowa zapalniczkę do kieszeni i próbuje podnieść dziewczynę na duchu. – Godzina jeszcze młoda, może coś zarobisz. – Rozgląda się po pomieszczeniu. – Jest tu kilku Szwabów – dodaje.

Vanda podnosi głowę i z góry przygląda się siedzącym w klubie turystom z Zachodu: ich wybrzuszonym spodniom i minom światowców na tłustych twarzach.

– Mam ich w dupie! – ogłasza stanowczo, ale po chwili się opanowuje. – Nic mi się nie chce. Czuję się dziwnie. Chyba dostanę okres. Zawsze jak się zbliża, nic mi się nie chce. Ale ciebie to pewnie nie interesuje. – Vanda pochyła głowę nad szklanką z whisky, a gęste włosy opadają jej na twarz.

– Dlaczego miałyby mnie to nie interesować? – pyta Urban, kompletnie niezainteresowany tematem. – Co chcesz teraz robić?

– Siedzieć i gapić się w sufit – odpowiada prostytutka i odgarnia włosy do tyłu. Ten gest jest dla Urbana decydujący.

– Wiesz co? – mówi. – Chodźmy do mnie. Tam jest cieplej, ciszej i przyjemniej. Puszczę jakąś muzyczkę. Mam najnowszego Michaela Franksa. To idealna muzyka dla nas. Chodź!

Vanda Tirówka wzrusza ramionami. Wygląda, jakby nie była przekonana do tego pomysłu.

– No co jest? – dopytuje Urban. – Za krótko się znamy? Mało to razy byłaś u mnie?

Tak naprawdę Vanda jeszcze nigdy nie była u Urbana. Tylko raz spędzili wspólnie noc w samochodzie. Urban dorabiał na czarno jako taksówkarz, jeździł w tę i w tę po całym mieście i woził klientów, a Vanda miała jakiegoś doła i jeździła sobie z nimi.

– Jest ktoś u ciebie? – pyta Vanda Tirówka.

– Nie – odpowiada Urban. – Mieszkam sam.

– Tylko że mnie się naprawdę nic nie chce – mówi prostytutka niezdecydowanie. – Dziś nic mi się nie chce.

– Nie wymyślaj, chodź! – zachęca Video-Urban i niemal siłą ciągnie ją za rękę. Płaci i wstaje od stołu.

– No dobrze! – decyduje Vanda Tirówka jakby z grzeczności i pozwala się poprowadzić do szatni.

Turyści z Zachodu komentują z niezadowoleniem odejście najładniejszej, najwyższej i najbardziej intrygującej prostytutki.

Na zewnątrz Vandę i Urbana witają zima, słabe światła latarni i zawieja śnieżna kłująca w twarze drobinkami lodu.

– Bierzemy taksówkę?

– Jestem autem – mówi Urban.

– Przecież piłeś – przypomina Vanda Tirówka.

– Mnie już nic nie grozi. Gorzej nie będzie – odpowiada Urban.

– Racja. Skądś to znam – zgadza się prostytutka.

– Masz najdłuższe nogi, jakie w życiu widziałem – komplementuje Urban, odsuwając Vandzie fotel w samochodzie.

– Naprawdę? – cieszy się Vanda.

Video-Urban skrobie przednią szybę i rusza.

Kiedy Vanda Tirówka wchodzi do mieszkania Urbana na poddaszu starej, przedwojennej kamienicy, chwilę się rozgląda, a potem mówi z uznaniem:

– No, to ja rozumiem.

– Lubię komfort i ładne przestrzenie – oznajmia Urban, jakby zawstydzony. – Zresztą, to właśnie moja branża. Czuj się jak u siebie. Nie musisz ściągać butów.

Ostatecznie nie słuchają muzyki. To znaczy słuchają, ale tylko przez chwilę. Do momentu, w którym Vanda Tirówka dostrzega w rogu pokoju olbrzymi czarny telewizor z magnetowidem.

– Puść coś! – prosi.

Urban włącza teledyski.

– Ty masz swoją kamerę, nie? – mówi prostytutka.

– Tak – odpowiada Urban z niechęcią, ponieważ zdaje sobie sprawę, że Hurenssoon na pewno spał też z Wandą i mógł jej wszystko wygadać. – Skąd wiesz? – pyta.

– Rącz mówił – odpowiada Vanda Tirówka. – Kamerowałeś już coś?

– Jeszcze nie.

– Nakameruj mnie.

– Po co? – pyta Urban.

– Po prostu. – prostytutka wzrusza ramionami. – Jeszcze nigdy nie widziałam się na kamerze.

Urban wzdycha, ale idzie po kamerę. Wsuwa kasetę, baterię i zaczyna kręcić. Vanda wstaje z krzesła. Powoli ściąga sweter. Kołysze się w rytm muzyki. Rozpina bluzkę i rzuca ją na podłogę. Długo zdejmuje wąską spódnicę. Urban krąży wokół niej z kamerą. Vanda odrzuca w kąt szpilki, po nich przychodzi kolej na czarne pończochy, podwiązki, pas, biustonosz i w końcu majtki.

– Super! – woła Urban. Ale to nie koniec przedstawienia: Vanda siada na kanapie i rozkłada długie nogi. Palcami rozwiera różowe wargi sromowe. Później robi wiele różnych rzeczy, które tak podniecają Urbana, że odkłada on kamerę, rozbiera się i dołącza do Vandy na kanapie.

– Nakamerujmy się – mówi Vanda Tirówka. Urban, ze wzwozem, wyciąga z szafy statyw, rozkłada go, montuje kamerę i kieruje w stronę miejsca, w którym, jak sądzi, będzie spółkował z Vandą.

– Co jest? – ponagla prostytutka, widząc wahanie Urbana.

– Dasz mi prezerwatywę? – pyta Urban, pomagając sobie ręką w osiągnięciu pełnej erekcji. – Nie mam tu niczego. Żyję jak mnich.

– Olej to – mówi Vanda. – Nie bój się, klientom nie pozwalam bez gumy. Tobie tak. Chcę poczuć, jak się we mnie spuszczasz. Możemy się nawet całować, jak chcesz.

– Wiesz, jakie to w dzisiejszych czasach niebezpieczne? – pyta Video-Urban, przysuwając się do Vandy.

– A co dziś nie jest niebezpieczne? – filozofuje prostytutka i zajmuje miejsce, na które skierowana jest kamera. Urban klęka, wsuwa się pomiędzy jej rozłożone nogi i językiem powoli otwiera jej łono.

Godzinę później radośnie, ze szklaneczką i papierosem w ręce, oglądają wideo. Urban zatrzymuje film na najciekawszych momentach.

– Dobrzy jesteście, nie? – mówi Vanda Tirówka. – Moglibyśmy z tego żyć. Ale teraz to skasuj, dobrze?

– Nie szkoda ci?

– Nie. Nie wiadomo, komu byś to pokazywał.

– Nikomu! Przysięgam! – zapewnia Urban. – Będę korzystać tylko na własny użytek.

– Każdy tak mówi! – odpowiada Vanda Tirówka. – Jeszcze kiedyś w przyszłości wyjdę za mąż za jakiegoś bogacza, a ty mnie będziesz szantażować.

– Szantażować? Ciebie? – dziwi się Video-Urban. – To już prędzej sprzedałbym brukowcom. Zapłaciłyby więcej.

– Skasuj to, proszę cię. Dobrze? – mówi prostytutka, obraca się na bok i zasypia.

Video-Urban jest honorowy, żaden tam łajdak. Ostatni raz puszcza sobie film i po obejrzeniu rzeczywiście go kasuje. Choć krwawi mu przy tym serce. Siedzi przy stole – nago, ze skurczonym członkiem. Wstaje i robi sobie drinka. Zadowolona prostytutka leży z ręką pod głową i po dziecięcemu pochrapuje. Urban wstaje z krzesła i z kieliszkiem w dłoni podchodzi do biurka. Bierze kartkę papieru z tekstem reklamowym, który już dawno chciał zamieścić w gazecie: **VIDEO-URBAN JEST TU DLA WAS! UWIECZNI NAJWAŻNIEJSZE CHWILE WASZEGO ŻYCIA ORAZ SZCZĘŚLIWY UŚMIECH WASZYCH DZIECI.** Urban mnie karteczkę i wyrzuca ją do kosza. Debilizm, myśli. Szczęśliwy uśmiech waszych dzieci, jasne! Takich fachowców wszędzie pełno, a jeden drugiemu podkłada zlecenia. W ten sposób Urban nie zarobi. Wyciąga kawałek papieru i notuje: **VIDEO-URBAN UCHWYCI I UWIECZNI CHWILE ROZKOSZY Z TWOJĄ PARTNERKĄ (TWOIM PARTNEREM) U WAS W DOMU ALBO W PRZESTRZENI PRZYTULNEGO ATELIER. DYSKRECJA GWARANTOWANA.** Urban przez chwilę patrzy na tekst, po czym przed słowem **DYSKRECJA** dopisuje **ABSOLUTNA**. Tak, teraz dobrze. To, co absolutne, wzbudza zaufanie. Video-Urban jest zadowolony. On, Urban, doskonale wie, że zarabia się na pomysły, nie na pracy. Pierwszy zgarnia wszystko.

Dopija drinka, myje przyrodzenie i zęby. Gasi światło i kładzie się wzdłuż długiego ciała Vandy Tirówki z poczuciem, że wykonał dziś

kawał porządnej roboty.

Hotelowy prawnik już nie odwiedza dyrektora. Unika go, od kiedy zorientował się, że utrzymywanie z nim kontaktów może mieć daleko idące konsekwencje. Wczuwa się w rolę nowego dyrektora. Obecny i tak wkrótce postrada zmysły i się powiesi. Albo zamarznie. Albo umrze z głodu. Prawnik uważa, że hotel to kura znosząca złote jaja. Taktycznie udaje lojalność względem palacza i stara się nie zwracać na siebie uwagi. Z sukcesem – Rącz w ogóle się nim nie interesuje, bo rzadko ma z nim do czynienia. Prawnik pojawia się – o ile w ogóle – wcześniej rano, po czym wsiada do samochodu i jedzie rozkręcać swoje szemrane interesy. Zarabia brudne pieniądze, ale nie robi tego w stylu Racza. Prawnika nie interesuje cinkciarstwo czy biznesy ze złotem i z przemytem towaru. Skupia się raczej na skomplikowanych transakcjach: sfingowanych rachunkach za zakup antyków, drogich dywanów, elektroniki, a nawet artykułów spożywczych do hotelu. Nieistniejące antyki i sprzęty są natychmiast sprzedawane dalej, a prawnikowi zostaje w kieszeni różnica między ceną wyjściową a ostateczną. W hotelowym garażu stoi mikrobus „Renault”. Na papierze są trzy. Po jakimś czasie dwa hipotetyczne mikrobusy zostaną sprzedane. Prawnik trzyma wszystko w swoich rękach. Księgowy też jest papierowy. W rzeczywistości go nie ma. Powinien nazywać się Haluška, być czterdziestoletnim magistrem, rozwodnikiem z porządną wypłatą. Ale go nie ma. Cały dział administracyjny świeci pustkami. Prawdziwi są: prawnik, techniczny i – wciąż jeszcze – dyrektor. Reszta żyje jedynie na papierze i w wyobraźni prawnika. Ale wypłatę dostają. Dlatego prawnikowi nawet do głowy nie przyjdzie, żeby załatwić coś z Rączem oficjalnie. Nie chce wzbudzać niepotrzebnego zainteresowania. Z Rączem można

tylko siłą. Ale on, prawnik, nie wie, czy istnieje coś, czego Rącz mógłby się bać. To raczej wszyscy boją się Racza. Rącz nie boi się nikogo. Prawnik wie, że palacza mogliby pokonać wyłącznie tajniacy, gdyby zaczęli w hotelu sprawdzać wszystkie interesy. Ale to by oznaczało także koniec prawnika. Jadą na jednym wózku.

Dlatego prawnik załatwia sam całą papierkową robotę, dzieli się z menedżerem wypłatami nieistniejących pracowników i stara się jak najmniej zwracać na siebie uwagę. Wierzy, że jego moment dopiero nadejdzie.

Mozoń (Cichy) jest radosny i zadowolony. Jego dźwięczny głos słyhać we wszystkich pomieszczeniach willowej kryjówki. Kiedy zobaczył pieniądze, które przynieśli Šolík (Owsik) i Tupý (Mac), na chwilę oniemiał. Podobnej sumy jeszcze nie widział na oczy. Za taką kwotę będą mogli przeżyć w swojej kryjówce dobrych kilka miesięcy. Do tego czasu atmosfera się oczyści, decyzja o likwidacji Urzędu Bezpieczeństwa straci ważność i Mozoń wraz z podwładnymi będą mogli wrócić do czynnej służby.

– Skąd macie tyle pieniędzy? – pyta Mozoń Tupego (Maca).

Tupý (Mac) przestaje na chwilę liczyć rozłożone na stole stosy banknotów. Ten pomysł z legitymacjami policyjnymi był genialny.

Mozoń (Cichy) poprawia się w fotelu:

– Mówiłem wam. A to dopiero początek! – oznajmia i wygraża pięścią w stronę zasłoniętego kotarą okna. – Jeszcze o nas usłyszą. Po wszystkim będziemy mieć i pieniądze, i zasługi! Kiedy ta demokracja wreszcie się skończy, do władzy znów dojdziemy my – lud pracujący!

– Lud robotniczy! – dodaje Tupý (Mac).

– Robotnicy i rolnicy! – mówi Šolík (Owsik). W pokoju panuje uroczysta atmosfera, tajniakom świecą się oczy.

W dniu, w którym Mozoň (Cichy), Tupý (Mac) i Šolík (Owsik) dostali wypowiedzenie, wydawało się, że świat się kończy. Wszyscy mieli surowe żony, które nawet nie wiedziały, że ich mężowie pracują w służbach bezpieczeństwa. Stąd też nie mogły się dowiedzieć, że mężczyźni po likwidacji tychże służb zostali bez pracy. W nagłym przeblysku inteligencji, w momencie, w którym można było jeszcze coś ocalić, Mozoň (Cichy) zakradł się do archiwum, odnalazł teczki z informacjami o zakonspirowanych mieszkaniach i domach, po czym wyjął akta jednego z nich. Gdyby zniszczył całą teczkę, wzbudziłoby to podejrzenia i nowe władze próbowałyby dotrzeć w inny sposób do informacji o nieruchomościach należących do bezpieki. A tak nikt niczego nie zauważył. Jedna willa w tę czy we w tę. Tak oto Mozoniowi (Cichemu) udało się uratować dla siebie i swoich podwładnych miejsce, gdzie mogli się spokojnie zaszyć i zastanawiać się nad swoją przyszłością. Mozoň (Cichy) codziennie wstawał, jadł śniadanie, ubierał się, poprawiał krawat przed lustrem i z aktówką w ręce wychodził z domu. Przedtem jeszcze całował żonę, która знаła go pod imieniem Ščepán. Żona sądziła, że Mozoň (Cichy), alias Ščepán, jest urzędnikiem w banku. Mozoň (Cichy) wsiadał do trolejbusu i jechał do swojej kryjówki w ekskluzywnej dzielnicy w górnej części miasta. Tak ekskluzywnej, że nikt się tam niczym nie interesował. Dzięki temu nie trzeba się było obawiać ciekawskich sąsiadów. Sąsiedzi też mieli swoje za uszami i kierowali się zasadą: żyj i pozwól żyć innym. I tak się dobrze skończyło, myślał Mozoň, spoglądając przez okno na byłych prominentów władzy, odgarniających śnieg przed swoimi rezydencjami. W głębi duszy czuł, że stanowią jedną wielką rodzinę. Wydawało mu się, że łączy ich wspólna przynależność do jakiegoś bractwa czy sekty. „Jeszcze się wszystko odwróci!”, mawiał w takich momentach i wygrażał pięścią.

Mozoň (Cichy), Tupý (Mac) i Šolík (Owsik) spędzali w willi całe

poranki i znaczną część popołudnia. Nudzili się, ale była to przyjemna nuda. Mozoň (Cichy) godzinami siedział przy oknie i obserwował świat albo zamykał się w toalecie i przeglądał czasopisma pornograficzne. Šolík (Owsik) spał z gazetą na twarzy. Tupý (Mac) sporządzał listę ludzi, których odwiedzi, kiedy to wszystko się skończy. W nawiasach zamieszczał propozycje tortur, które zastosuje po zamknięciu ich w areszcie. Poświęcał tej czynności całe dnie i głośno dawał wyraz swojemu niezadowoleniu i swojej nienawiści do tych, którzy pozbawili go roboty. O wpół do czwartej zbierali się, zamykali willę i szli do domów, udając, że wracają z pracy. Przez pierwsze dni i tygodnie dało się to jakoś wytrzymać. Wszyscy byli przekonani, że to kwestia tygodnia, najwyżej dwóch, winni zostaną ukarani i wszystko wróci do normy. Ale minął miesiąc i nic. Pieniądze się skończyły. Nadszedł czas wypłaty, a wypłaty ani widu, ani słyhu. Wszyscy trzej zdali sobie sprawę, że czekanie na sprawiedliwość może potrwać dłużej. Należało szybko coś wymyślić, żeby nie musieć mówić żonom prawdy. Swoją drogą, to ostatnie było zakazane również z profesjonalnego punktu widzenia.

Na pomysł z legitymacjami wpadł Mozoň (Cichy). Legitymacje bezpieki musieli oddać przed zwolnieniem. Ale wszyscy mieli jeszcze legitymacje milicyjne.

– Tutaj piszą o nielegalnych interesach w okolicy hotelu „Ambassador” – powiedział pewnego razu Šolík (Owsik), nerwowo stukając palcem w gazetę. – A gdybyśmy też zaczęli handlować, naczelniku?

– A niby czym, debilu? – odpowiedział pytaniem Mozoň (Cichy). – Przecież nic nie mamy. Nawet pieniędzy.

Mozoň (Cichy) przypomniał sobie, że jego żona od kilku dni podejrzliwie dopytuje, kiedy przyjdzie wypłata. Mozoň (Cichy) objaśnił Šolíkowi (Owsikowi) i Tupemu (Macowi) swój plan. Musiał

im go przedstawiać dwa razy – dopiero wtedy zrozumieli.

– Naczelniku, to genialny pomysł! – podniecił się Tupý (Mac).

Podwładni Mozoň (Cichego) nie mogli się doczekać momentu realizacji.

Kilka godzin w okolicy hotelu „Ambassador” – spędzonych na staniu pod platanami i wypiciu jednej kawy w hotelowym barze – wystarczyło, aby dzięki wyszkolonemu tajniackiemu słuchowi zorientować się, jaki problem mają sziptarzy, Cyganie i biali cinkciarze. Wszyscy narzekali na nieznanego dobroczyńcę, który elegancko zgarniał im sprzed nosa całą walutę. Bogatsi o tę wiedzę Šolík (Owsik) i Tupý (Mac) wrócili do kryjówki, do swojego dowódcy. Kiedy Mozoň (Cichy) zobaczył, że wrócili bez pieniędzy, wpadł w szal. Šolík (Owsik) i Tupý (Mac) musieli mu wszystko dokładnie wytłumaczyć.

– No to go przyskrzynimy! – zdecydował Mozoň (Cichy). – Tego, co skupuje waluty. Ale to będzie interes!

– Tak, szefie – westchnął Šolík (Owsik). – Tylko gdzie go szukać? W okolicach hotelu się nie pojawia. Tam już dawno by go zlinczowali.

– Ja mam o wszystkim myśleć? – krzyknął Mozoň (Cichy), wstając z krzesła. Długo chodził w tę i w tę po pokoju. W końcu przystanął przy oknie i się zapatrzył. – Już wiem! – powiedział po chwili. – Musimy się dowiedzieć, gdzie ten gość robi swoje ciemne interesy. Znaleźć punkt, w którym kupuje od obcokrajowców walutę. I tam go dorwać. Rozumiecie?

– Tak jest! – zawołał niepewnie Tupý (Mac).

– Nie do końca – przyznał Šolík (Owsik).

– Tępaki – zaśmiał się z zadowoleniem Mozoň (Cichy). – Jak odnajdziemy ten punkt? Odwzorujemy dokładnie tę samą trasę, którą pokonuje turysta z Zachodu. Od przejścia granicznego aż do hotelu. Gdzieś na tej trasie na pewno pojawi się nasz nieznanomy. Złapiecie go

i przyciśnięcie do muru. Tylko skutecznie! Jak mu później zasugerujecie, że może uniknąć tego wszystkiego, czym zagroziecie, będzie was po rękach całował. No, a teraz idźcie już. Jedźcie na przejście graniczne i wepchnijcie się do jakiegoś autokaru. Jak się wylegitymujecie, celnicy nie będą robić problemów. Jeśli nie uda się za pierwszym razem, wysiadacie i jeszcze raz. Od początku! Bez pieniędzy nie macie po co wracać.

Od tego czasu minęło kilka dni, a pieniądze jeszcze są. W kryjówce w willi panuje radość. Od rana aż do fajrantu: delikatesy i szampan. Czekanie na powrót dawnego ustroju w końcu zrobiło się przyjemne! Dźwięczny głos Mozonia (Cichego) słychać we wszystkich pomieszczeniach.

– Tylko się nie posrajcie ze szczęścia i nie zaczynajcie wydawać na pierdoły! – mówi Mozoň (Cichy) dobrotliwie, choć ostro, gdy widzi, jak Tupý (Mac) rozpakowuje pudełko klocków lego za tysiąc sto koron. W głębi serca pogodził się już jednak z naiwną rozrzutnością swoich podwładnych. Czasy są złe. System tak szybko się nie zmieni. On, Mozoň (Cichy), jest zdania, że dopóki efekciarski konsumpcjonizm pomaga zachować ideowo-moralne stanowisko jego podwładnych, to proszę bardzo! Znów powrócił do politycznych dziesięciominutowych pogadanek, które uskuteczniał w pierwszych dniach konspiracji i które zaniedbał po nagłym wzbogaceniu się.

– Skąd macie tyle pieniędzy? – pyta Mozoň (Cichy) i czeka na znaną, wiele razy słyszaną odpowiedź.

– To był genialny pomysł – mówi Tupý (Mac).

– Genialny pomysł z tymi legitymacjami milicyjnymi – potwierdza Šolík (Owsik).

– Tak? Genialny? – ciągnie Mozoň (Cichy). – A wy co robicie? – pyta z wyrzutem. Podwładnych Mozonia (Cichego) przechodzą dreszcze. Ale Mozoň (Cichy) mówi dalej. On, Mozoň (Cichy), robi co

może. Gdyby nie on, pomarliby z głodu. Bo do żadnej roboty ich nie wezmą. Mają mroczną przeszłość. A poza tym niczego nie umieją. On, Mozoň (Cichy), przynajmniej się przyznaje. Nigdy niczego nie umiał. Z wydziału prawa wyrzucili go po dwóch semestrach. Wtedy trafił do bezpieki. Ale tych dwóch semestrów jemu, Mozoniowi (Cichemu), nikt nie odbierze. Był studentem, to fakt, i dlatego to on jest teraz dowódcą, a nie Šolík (Owsik) albo – nie daj Boże – Tupý (Mac). I jako dowódca rozkazuje im, żeby dokądś poszli i coś zrobili.

– Ale co? – pyta Tupý (Mac).

– Możliwości jest wiele – odpowiada Mozoň (Cichy). Mogą ruszyć w teren i sprawdzać, jakie nastroje panują wśród ludu. Mogą podsłuchiwać, o czym ludzie gadają, co im się podoba, a co nie. Albo niech idą do tego hotelu, a nuż uda im się dorwać innego cinkciarza. On, Mozoň (Cichy), nie może ciągle za nich myśleć. Dlaczego sami na coś nie wpadną? Czy on, Mozoň (Cichy), musi ich bez przerwy prowadzić za rękę? Znajdują się na terenie wroga, niech sobie w końcu z łaski swojej zdadzą z tego sprawę! I zachowują się odpowiednio! Walczą jak na wojnie. Na wojnie bez okopów i huków armat. Na wojnie umysłów.

Mozoň (Cichy) znacząco pokazuje na swoje czoło. Šolík (Owsik) i Tupý (Mac) puchną z dumy. Od tej strony jeszcze na swoją smutną egzystencję nie patrzyli.

– Zwycięstwo jest pewne – mówi Mozoň (Cichy) – ale każdy z nas musi aktywnie działać. A przede wszystkim: samodzielnie myśleć. Żeby nie było tak, że myśleć i kombinować muszą tylko ja! Gdzie byście teraz byli beze mnie? Tak, dokładnie tam!

Znów jest rano, a Ráčz znów ma za sobą kawał solidnej roboty. Najpierw chcieli z nim rozmawiać policjanci, którzy patrolują okolice

hotelu „Ambassador”. Pojutrze planowana jest wielka obława na cinkciarzy. Lepiej, żeby Rącz był ostrożny i ostrzegł także swoich ludzi o grożącym niebezpieczeństwie. Jak przyjdzie co do czego, oni, policjanci, nie będą mogli już nic zrobić. Obławę organizuje policja z Pragi. Gruby funkcjonariusz bezradnie rozkłada ręce. Rącz milczy, zastanawia się. Oczywiście, ostrzeże swoich ludzi. Jeszcze nie wie, czy da znać też temu bękartowi, Video-Urbanowi. Ciągłe jest na niego zły, że nie zdradził mu, skąd przez tydzień, codziennie, brał tyle obcej waluty. Ale to już nieważne, od kilku dni wszystko jest po staremu. Autokary przyjeżdżają pod hotel wypełnione walutą, sziptarzy znów mają pełne ręce roboty. Urban gdzieś zniknął. Rącz jeszcze nie zdecydował, czy powie mu o obławie czy odda go w ręce policjantów z Pragi.

Gruby funkcjonariusz kręci się niespokojnie, jakby chciał jeszcze coś dodać.

– No! Co jest? – pyta Rącz.

– Szefie, wie szef... Jak by to panu powiedzieć... Już prawie dwudziesty. Koniec miesiąca.

– I co z tego?

Funkcjonariusz chrząka.

– Obiecał pan, że o nas nie zapomni. Coś na Boże Narodzenie. Dodatek. Trzynastka.

– Rącz nie zapomina – mówi Rącz. Jeśli on, Rącz, coś obieca, to obietnicę spełni. On, Rącz, nie musi wysłuchiwać, jak jakiś biedak przypomina mu o jego zobowiązaniach!

Funkcjonariusz robi się czerwony i podnosi ręce w geście przeprosin. Rącz wyciąga kopertę z kieszeni.

– Proszę. Tu macie dodatek. Podzielcie się.

Rącz idzie do hotelowego baru. Zamawia wódkę i czeka na geszefciarza Khunta. Khunt bierze od Racza klucze do mikrobusu

„Renault”, zapakowanego po sufit podróbkami zegarków „Omega”, „Breitling” i wielu innych. Debile i amatorzy się nabiorą. Trzeba to sprzedać.

– Chcę tyle i tyle – mówi Rącz. Reszta zostaje dla Khunta. Może sobie sprzedawać, za ile chce. Ale to nie wszystko. Rącz wyciąga kartkę papieru. – Mam do sprzedania kasety Denona i Sony – czyta Rącz. – Podróby oczywiście – dodaje. Tanie podróbki z Hongkongu. On, Rącz, się na tym nie zna. Jeśli Khunt jest zainteresowany, mogą się dogadać.

Khunt kiwa głową. Nie mówi „nie”. Ale musi się z tym przespać. Na razie chce zobaczyć zegarki. Jak mu się spodobają, kupi wszystko. Bierze kluczyki od samochodu i wstaje. Idzie obejrzyć zegarki.

Rącz dopija wódkę i zamawia kolejną. Po chwili Khunt jest z powrotem. Wyciąga portfel i odliczone pieniądze. Obaj siedzą zadowoleni.

– Jak będziesz zainteresowany – mówi Rącz – to mogę ci załatwić nieograniczoną ilość tych kaset. Tu na kartce są nazwy i ceny. Nie wykluczam obniżki. Jak zawsze.

Khunt kiwa głową. Zawsze się dogadywali. On, Khunt, chce robić interesy tylko z ludźmi godnymi zaufania. A Rącz właśnie taki jest. To prawda.

Rączowi nawet powieka nie drgnie. Nie ma specjalnie rozwiniętych emocji i nie wie, jak powinien zareagować. Nie będzie skromnie zaprzeczał takim pochwałom, bo w głębi duszy jest przekonany o tym, że Khunt ma rację. Ale też nie potwierdzi. Chrząka i dziwnie ściszym głosem zamawia kolejną wódkę.

Po Khuncie przychodzą drobni cinkciarze z codzienną porcją szylingów i marek. Przysiadają się po kolei i przekazują Rączowi swoje małe skarby. Rącz płaci im od ręki. Przychodzą też sziptarzy. Chcą się dogadać. Rącz odnosi się do nich z sympatią, ale nie wchodzi im w tyłek.

Jeśli może, pomaga im. Jednocześnie daje im jasno do zrozumienia, że on, Rącz, nie życzy sobie, żeby pokazywali te swoje czarne mordy w hotelu. Na zewnątrz, na chodniku – to tak! Ale w środku niech nawet nie próbują tego! Tutaj to on jest panem. Sziptarzy próbują oponować, ale w końcu się zgadzają. Wiedzą, że Rącz ma władzę. Opłaca policję i podporządkował sobie cały personel. Oni, sziptarzy, nie mają żadnych szans.

– Co tam? – zagaja Video-Urban kilka chwil później. Czeka przy stoliku Racza w nowej skórzanej kurtce i zastanawia się, czy może usiąść. Rącz bez słowa wskazuje puste krzesło. Urban siada.

– Dawno cię nie widziałem – mówi Rącz. – Co, może znowu przyjechał ten twój... twój Szwed?

– Co masz na myśli? – pyta przestraszony Urban i powoli zaczyna żałować, że dosiadł się do palacza.

– To, co mówię – odpowiada Rącz. – Co porabiasz, że cię nie widać? Już dawno nie przyniosłeś żadnej waluty.

– I już nie przyniosę. Skończyłem z tym.

– Czemu? – Palacz nie dowierza. – Znalazłeś coś lepszego? Kręcisz już coś tą kamerą, tak jak chciałeś?

Urban potakuje.

Rącz wzrusza ramionami.

– Ja tam nie wiem – mówi. – Komu by się chciało zapieprzać na te wszystkie śluby, chrzciny, tam i z powrotem. Mnie na pewno nie!

Video-Urban kręci głową. On, Urban, nie musi nigdzie zapieprzać. W większości pracuje w domu. To ludzie do niego przychodzą. Rącz nie wierzy. Jak to? Całe wesele przychodzi do Urbana?

– Nie – odpowiada Urban. On, Urban, nie ma nic wspólnego z weselami. Rącz pewnie nie czytał jego ogłoszenia w czasopiśmie „Awizo”?

Rącz kręci głową. On, Rącz, nie czyta gazet. W ogóle niczego nie czyta.

– Gdybyś czytał – mówi Video-Urban – tobyś wiedział.

Rączowi nie chce się dyskutować z rozpuszczonym geszefciarzem. Każdy żyje, jak umie. Skoro Urban myśli, że na tym zarobi więcej, proszę bardzo! Jemu, Rączowi, jest to obojętne. Ale teraz, jak już się tym nie zajmuje, mógłby jemu, Rączowi, zdradzić, skąd miał walutę z tych wszystkich autokarów.

Urban śmieje się, choć przychodzi mu to z trudem. Wspomnienie tych chwil jest wciąż bardzo bolesne.

– Jeździłem na przejście graniczne.

– Na przejście graniczne! – powtarza Rącz.

– Tak, na przejście graniczne – potwierdza Video-Urban. – Ale już nie polecam.

– Czemu? – dopytuje Rącz.

– Za duże ryzyko. Pełno tajniaków.

– Nie żeby mnie to jakoś szczególnie interesowało – mówi obojętnie palacz. On, Rącz, pracuje tylko tu, w hotelu. To, co się dzieje na zewnątrz, zupełnie go nie obchodzi. Ale o jednej rzeczy on, Rącz, wie. Pojutrze planowana jest wielka obława na cinkciarzy, podobno ma przyjechać psiarnia aż z Pragi. Lepiej, żeby Urban uważał. On, Rącz, mówi mu to tylko ot tak, w końcu wie, że Urban już się tym nie zajmuje, więc mu nic nie grozi.

– Masz rację – mówi Urban. On, Urban, już się tym nie zajmuje, to prawda. Jeśli się tu pojawia, to tylko na kawusię z wódeczką. Pieniądze to nie wszystko.

Rącz rozkłada ręce: Urban może mieć swoje zdanie. On, Rącz, się z tym nie zgadza.

– Kim jesteś bez pieniędzy? Nikim. Gównem. Zwykłym zerem.

Video-Urban bierze łyk wódki i milknie. Tak, jasne, myśli. Na biednego nawet pies nie spojrzy. Ale nie powie tego. On, Urban, jest artystą. Nie jest skazany na walutę.

Rącz też myśli swoje o Urbanie. W ostatnim czasie Video-Urban zadziera nosa. Jakby jego gówno nie śmierdziało. Chciałby i zarobić, i być czysty. Ale tak się nie da. Albo jesteś biedny jak mysz, albo musisz sobie ubrudzić ręce. Rącz mimowolnie spogląda na swoje dłonie. Jeszcze nigdy nie były czystsze i bardziej zadbane. Jak będzie miał chęć, to nawet dzisiaj zrobi sobie manicure. Bo czemu nie, skoro mnie stać, myśli palacz.

Przed Bożym Narodzeniem Ráčz czuje, jak za serce chwyta go tęsknota. Wszystkie sprawy załatwia w ciągu jednego dnia. Cyganom zostawia dwudniowy suchy prowiant. Kaže Ďuli wypolerować hotelowy mikrobus „Renault”. Na mapie ustalają trasę do rodzinnej wsi Rácza. On sam tymczasem przygotowuje prezenty: francuskie perfumy dla Erżiki, mydła dla starej Kiššovej i butelkę martella dla Kišša. Pamięta też o wuju Endrem: drugi koniak, tańszy, jest dla niego. Ráčz wsiada do auta i rusza.

Przez całą drogę milczy. Pali papierosy i pije rum prosto z butelki.

Po dotarciu na miejsce jeżdżą najpierw po całej wsi, żeby wszyscy widzieli, jakie Ráčz ma auto. Niestety, nigdzie nie widać Feriego Bartaloša, a Ráčz liczył na to, że teraz on, Ráčz, będzie mógł go w odwecie ochlapać błotem. Palaczowi trochę psuje się humor.

Parkują przed chałupą Kišša. Ďula niesie prezenty.

– To ty? – krzyczy Kišš, podnosząc się hałaśliwie z krzesła. Skądś pojawia się także Kiššová i ciągnięta przez nią za rękę zawstydzona Erżika. Ráčz patrzy już na Erżikę inaczej. Zniknęło dramatyczne zakochanie, drżenie rąk, motyle w brzuchu i wątpliwości. Teraz Ráčz to doświadczony, światowy mężczyzna, a Erżika nie jest znowuż jakąś wyjątkową pięknoscią.

Ráčz rozdaje prezenty.

– Widzę, że ci się powodzi – mówi Kišš. – Co robisz?

– Za palacza w kotłowni – odpowiada Ráčz wymijająco.

– A dobrze płacą? – pyta Kišš i dotyka materiału, z którego uszyty jest, na włoską modłę, garnitur Rácza. Kiššová też dotyka rękawa. Oboje mruczą coś z uznaniem. Kišš łapie Erżikę za rękę i zmusza ją, żeby i ona sprawdziła jakość garnituru. Erżika cofa dłoń, zarumieniona.

– Dobrze płacą – przytakuje Rącz. – I na boku też się da zarobić.

– Jak to: na boku? – Kišš nie rozumie.

On, Rącz, załatwia różne sprawy. Czasem to, kiedy indziej tamto. Zawsze coś mu dodatkowo skapnie.

– To byłeś ty! – krzyczy Kišš i z radością wali pięścią w stół. – To on, to był on!

Rącz nie wie, o co chodzi, ale nie daje tego po sobie poznać. Milczy i czeka. Kišš przestaje się śmiać i dostaje ataku dzikiego kaszlu. Gorączkowo gestykuje. Jego, Kišša, brat jest rzeźnikiem w sąsiedniej wsi, ale to akurat Rącz pewnie wie. Niedawno przywiózł sobie z Austrii mercedesa. Po walutę pojechał do miasta. Odesłali go do hotelu, do jakiegoś pana Racza, podobno bardzo ważnego człowieka, przez wszystkich szanowanego. No więc ten pan Rącz wyjął pieniądze z ogromnego portfela i dał od ręki. Brat Kišša nigdy w życiu nie widział tyle forsy. A przecież jest rzeźnikiem na wsi. Potem opowiedział wszystko Kiššowi. „A co, jak to jest ten twój Rącz, co go do miasta posłałeś?”, spytał. „A gdzie tam!”, zaśmiał się Kišš. Ale wiek się zgadzał, rysopis też. Kiššowi nie dawało to spokoju. Niekiedy budził się w nocy z myślą: A co, jeśli to on?

– Tak – mówi Rącz. – To byłem ja. Nie znam pańskiego brata, szefie. Gdybym znał, dałbym mu zniżkę.

Kišš wciąż nie może uwierzyć. Ďula musi poświadczyć, że jego pan jest najpotężniejszym człowiekiem w hotelu „Ambassador”. Wszyscy muszą go słuchać! Kišš w końcu daje się przekonać, ale nadal kręci głową z niedowierzaniem. Butelkę koniaku chowa do barku. Wypije ją sobie później. Nikomu nie da nawet spróbować. Chcieliby! Kišš wyjmuje w połowie pustą butelkę gruszkówki. Polewa. Wznoszą toast. Rącz, przyzwyczajony do wykwinnych koniaków i delikatnej szkockiej whisky, krztusi się.

– Na pewno jesteś ciekaw, co z twoją świnią, krową i twoim

koniem – mówi Kišš. Rącz w ogóle nie jest tym zainteresowany, zapomniał nawet, że dał rzeźnikowi pod opiekę swoje zwierzęta. Wstaje jednak i idzie za starym do stodoły i chlewika.

– Niczego im nie brakuje – zapewnia Kišš. – A i ciepło mają.

U Racza tak dobrze im nie było. Najlepiej traktowany jest koń. Rzeźnik regularnie go siodła, a potem przebiera się w spodnie jeździeckie i specjalne buty i galopuje – z wiatrem na wyścigi. Tak jest zdrowo, a poza tym ładnie to wygląda. Szlachta też tak robiła, zauważa Kišš. On, Kišš, należy do miejscowej elity, do szlachty. Wie, że bardziej pasowałby tu wierzchowiec, ale taki rasowy rumaczek nie uniósłby napompowanego ciała Kišša. Co innego to bydłatko od Racza. Taki wielki, ciężki koń pociągowy poradzi sobie bez trudu z ciężarem Kišša. Swoją drogą, uświadamia sobie Kišš, Rącz jest teraz częścią rodziny. A więc też należy do miejscowej elity. On, Kišš, dużo o nim słyszał od brata. Tak wiele jeszcze nikt nie osiągnął. Kiedy już Rącz wróci na wieś, będzie mógł przesiadywać w knajpie przy stoliku elity. On, Kišš, jest dumny ze swojego przyszłego zięcia. Będą wszędzie razem chodzić i on, Kišš, każdemu go przedstawi. To jest Rącz, mój zięć.

Racza to w ogóle nie interesuje. Pozwala grubemu rzeźnikowi gadać do woli w ciemnym chlewie. Wychodzi na zewnątrz i łapczywie wdycha świeże powietrze. Kiedy stary Kišš opuszcza chlew, Rącz mówi:

– Może was to ucieszy: koń jest wasz.

Kišš nie posiada się z radości.

– A jeśli chodzi o świnie – dodaje Rącz – trzeba zrobić świniobicie.

– Kiedy? – pyta Kišš.

– Może być i teraz – mówi Rącz. – Na wieczór zaprosimy całą rodzinę i znajomych. Niech wszyscy wiedzą, że przyjechałem.

– Wspaniały pomysł – przytakuje Kišš. – Teraz zaraz. Tylko zawołam jakichś pomocników. Ty możesz iść do domu i poczekać. Zabaw Eržikę. My już sobie jakoś poradzimy! No, wejdz do środka.

Wiadomość o przyjeździe Rácza obiega całą wieś. Po chwili przychodzi wuj Endre.

– Czemu do mnie nie wpadłeś? – pyta Rácza. – Wiesz, gdzie mieszkam.

Rácza milczy. Wzrusza ramionami. Sytuację ratuje Kišš.

– No, już się tak nie denerwuj – mówi rzeźnik. – Trochę go tu przytrzymał. Chłopak nawet chciał iść, ale ja mu gadam: „Co będziesz chodził, on tu sam z siebie przyjdzie”. Nie gniewaj się, Endre, teraz jesteśmy już prawie rodziną!

Piją gruszkówkę. Endre spuszcza z tonu.

– Ja tak tylko... – mruczy pod nosem.

– Pomożesz nam? – pyta Kišš i wskazuje na świnie, którą wypuścili z chlewa, żeby krew zaczęła jej dobrze krążyć. Świnia ryje zamrażającą ziemię. Czuje, że coś jest nie w porządku.

Rácza siedzi w dużym pokoju i wpatruje się w swoje ręce. Naprzeciwko, na krześle, siedzi zawstydzona Eržika i patrzy w dywan. W kącie, w fotelu, siedzi stara Kiššová. Uśmiecha się sztucznie i robi na drutach. Przez wychodzące na podwórze okno, pokryte lodowymi kwiatami, widać Kišša, Endrego i kilku sąsiadów, którzy bezskutecznie próbują złapać świnie.

– To opowiadaj – zwraca się Kiššová do Rácza. – Jak ci się tam żyje w tym mieście?

Rácza wzrusza ramionami, patrzy na Eržikę.

– Dobrze... – odpowiada.

– Podobno wszyscy cię tam słuchają – ciągnie Kiššová.

– Tak, słuchają – mówi Rác.

Zapada cisza, przerywana tylko pobrzękiwaniem drutów Kiššovej i krzykami z zewnątrz.

– Kurwa! – krzyczy Ďula, którego ugryzła świnia.

– A jak tam miejskie dziewczęta? – pyta Kiššová. – Ładne?

Eržika się rumieni. Rác wzrusza ramionami.

– Nie wiem – odpowiada. On, Rác, nie ma czasu oglądać się za dziewczynami.

Kiššová z zadowoleniem kiwa głową i dalej robi na drutach.

Słychać rozpaczliwy kwik uciekającej świni. Zmarznięci mężczyźni pokrzykują.

– A ty, Eržika, co? – zwraca się do dziewczyny Kiššová. – Niczego nie jesteś ciekawa? O nic nie chcesz spytać?

Eržika czerwieni się jeszcze bardziej.

– A gdzie mieszkasz? – pyta Kiššová. – Jest tam jakiś hotel robotniczy?

Rác chrząka i rozsiada się wygodniej. On, Rác, mieszka w samym hotelu.

– A to nie jest drogo? – chce wiedzieć Kiššová.

– Nie. – Rác kręci głową. – Nic nie płacę.

– Czyli coś w stylu hotelu robotniczego – mówi Kiššová.

– No, tak – przytakuje Rác po chwili zastanowienia.

Pod oknem przebiega świnia, wesoło ciągnąc za sobą zawieszony na szyi sznurek.

– Szűsz Mária picsája! – krzyczy Kišš, niezdarnie biegnąc po śniegu.

– A z kim mieszkasz? – dopytuje Kiššová. – Masz jakiegoś współlokatora?

Rác kręci głową. Nie, on, Rác, mieszka sam.

– O rany! – woła Kiššová, kiedy rozlega się bicie zegara. – Już wpół do jedenastej. Będzie powtórka odcinka z wczoraj. Eržika, włącz telewizor.

Świnia Rácza postanowiła, że nie sprzeda tanio swojej skóry. Ucieka na drugi koniec podwórza i wchodzi pod małą, prowizoryczną szopę. Kiedy mężczyźni próbują ją stamtąd wygonić za pomocą długich tyczek do podpierania fasoli, świnia kwiczy i razem z szopą przebiega kilka metrów. Pędząca szopa wzbudza zainteresowanie Rácza do tego stopnia, że Rącz aż przyciska twarz do okna.

Scena telenoweli odgrywa się w kuchni. Jakiś mężczyzna wyjaśnia jakiejś kobiecie, że nie może jej wziąć za żonę. Aktorka płacze histerycznie.

– Tęskniłaś za mną? – pyta Rącz Eržikę półgłosem.

Eržika wzrusza ramionami. Nie wie. Ogląda serial. Druty Kiššovej brzęczą. Świnia rozpaczliwie kwiczy. Zmęczeni i zmarznięci mężczyźni przeklinają. Rozhisteryzowana aktorka pochlipuje.

Wieczorem u Kiššów gromadzą się ludzie. Panuje ścisk i hałas. Kišš wyciąga baniak gruszkówki. Wszyscy muszą pić. Rącz się rozgościł, Eržika się do niego przysiadła. Wszyscy ich obserwują z życzliwymi uśmiechami i minami pełnymi wścibskiego zainteresowania. Rączowi robi się mdło od źle pędzonej, źle wydestylowanej gruszkówki. Wstaje.

– Gdzie mój szofer? – rzuca.

Wszyscy milkną z nabożnym szacunkiem. Z kuchni wybiega upaprany Ďula z kawałkiem mięsa na widelcu.

– Piłeś? – pyta Rącz.

Wszyscy obecni patrzą na Ďulę.

– Nie! – odpowiada Ďula. Spojrzenia kierują się na Rácza.

– Na pewno? – Głos Rácza jest ostry.

Goście przysłuchują się rozmowie Rácza i Ďuli w zupełnej ciszy, jak w teatrze.

– Słowo honoru! – broni się Ďula.

– W takim razie pojedziesz do knajpy na zakupy! – rozkazuje palacz. Trzy beczki musującego wina, trzy kartony czerwonego! Kilka zgrzewek coca-coli! Trzy wagony marlboro! Zrozumiałeś?!

Ďula potakuje i rozgląda się za kluczami do mikrobusu. Kišš urażonym, a zarazem pełnym dostojeństwa głosem mówi, że on, Kišš, ma dość pieniędzy, żeby ugościć zebranych. Niech Rącz, jego przyszły zięć, nie wydaje niepotrzebnie swoich.

Rącz macha ręką. On, Rącz, ma więcej. A dziś jest jego uroczystość. Jego święto. Party – jak się mówi u nich w mieście. Po długim czasie wrócił do domu. Wrócił jako człowiek, który odniósł sukces. On, Rącz, szanuje swoich bliskich. Koniec tematu!

– A gdzie tu jest właściwie knajpa? – przerywa mu zagubiony Ďula.

– Dobra – mówi Rącz. – Pojadę z tobą.

Telepią się przez ciemną wieś. Rącz milczy. Podjeżdżają pod knajpę i wysiadają z samochodu. Rącz tylko rozkazuje, Ďula nosi kartony i beczki. Rącz wyciąga olbrzymi portfel i płaci. Klienci w knajpie milczą, zdumieni.

Kiedy Rącz i Ďula wracają, na nieoświetlonej, śliskiej drodze widzą okutaną postać jeźdźca na koniu.

– To Feri Bartaloš! Dodaj gazu! – mówi Rącz i z niecierpliwością pochyła się do przodu. Ďula posłusznie wciska pedał. W krótkim czasie zrównują się z jeźdźcem. Potężny koń Bartaloša kroczy powoli i bezpiecznie wiezie dumnego Feriego do domu. Feri Bartaloš jest tak opatulony ubraniami, że niczego wokół siebie nie widzi.

– Zepchniemy go! – oznajmia żądny zemsty Rącz.

– Ale, szefie... – próbuje oponować Ďula.

– Jakie „ale”? – pyta natychmiast Ráč. W jego głosie pobrzmiwa groźba. – Jakie „ale”? – Ráč zaciska pięść, jak zawsze, gdy ktoś próbuje mu się sprzeciwić.

Ďula wzrusza ramionami. Na znak kapitulacji. On, Ďula, umywa ręce. Zmienia bieg i zaczyna przysuwać się do krawędzi, spychając jeźdźca na pobocze. Po chwili słychać uderzenie w bok mikrobusu i jeździec wraz z koniem znikają w śnieżnej zaspie. Ráč ogląda się za siebie. Widok leżącego bez ruchu Feriego Bartaloša i czterech potężnych kopyt sterczących w powietrzu napęnia go radością. Ráč nie może oderwać od nich wzroku. Odwraca się, dopiero gdy łapie go skurcz szyi.

W domu Kišša światło świeci się do późnego wieczoru. Ciekawscy stają na palcach i zagląдают w okna. Z szacunkiem rozstępują się przed mikrobusem, żeby zrobić miejsce. Kišš wystawia im baniak gruszkówki. W środku korki strzelają pod sufit. Sączy się czerwone wino. Na stoły wędrują talerze pełne parującej zupy i mięs.

– Spróbuj bąbelków, Eržiko – mówi Ráč i zapala papierosa. – Orzeźwią cię – dodaje. Sam już ma trochę w czubie. Musiał przecież uczcić zwycięstwo nad dumnym Ferim Bartalošem, dlatego jeden po drugim wlał w siebie kilka kieliszków szampana. Teraz Eržika nawet go pociąga. Jest młodziutka, dobrze zbudowana, ma okrągłą twarz. Ráč wyobraża sobie na jej miejscu wymalowaną, pofarbowaną, wystrojoną i pachnącą papierosowym dymem cizię z piersiami wielkości pięciokoronówek, z kroczem szerokim na pięć palców i z długąsnymi, cienutkimi nogami. Już wie, czego chce. Opanowuje chęć złapania Eržiki za udo rysujące się pod bawełnianym fartuchem. W porównaniu z Eržiką, myśli Ráč, Silvia przypomina pajaka z wychodka. Tak samo jak reszta chudzielców z klubu „Ambassador”: Edita, Vanda Tirówka, Anča Jožo czy Eva Rzeżączka. Faj! Dopiero tutaj Ráč czuje się jak w domu. Tutaj mu się dobrze oddycha: między

swoimi!

– A ty, Ďula? Czemu się nie bawisz? – pyta Ráč. Ďula siedzi i pije mineralną. Ráč wstaje i zaczyna nim dyrygować. On, Ráč, każe Ďuli pić! Już nigdzie nie będą dziś jeździć. Dopiero jutro. Później. Potem. On, Ráč, świętuje zaręczyny. Tak, zaręczyny. Będzie narzeczoną. Ďula posłusznie nalewa sobie wina. Eržika też dopija swój kieliszek. Ráč natychmiast jej dolewa.

– Powiedz mi, jak ci się tu żyje? – pyta Ráč Eržikę. Podobają mu się. Jest w niej zakochany i ma na nią ochotę.

– A różnie – odpowiada Eržika ze śmiechem. Czuje, że sztywnieje jej język. – Dużo pracy – dodaje.

Ojciec ciągle goni ją do roboty. Starym babom w ich rzeźni nigdy nic nie pasuje. Ona, Eržika, najchętniej pojechałaby do miasta za pracą, do kombinatu mięsnego. Mieszkałaby w hotelu robotniczym. Do domu wracałaby tylko na sobotę i niedzielę. W mieście jest lepiej. Życie kulturalne, dyskoteki, sklepy. A tu co? Nic.

Ráč się nie zgadza. On, Ráč, jest już, można tak powiedzieć, człowiekiem z miasta. Od jakiegoś czasu mieszka w samym centrum. I bardzo dobrze wie, że nie ma tam niczego, o czym Eržika mogłaby marzyć. On sam najchętniej od razu wróciłby do rodzinnej wsi. Życie toczy się tu, a nie w mieście! Ale on, Ráč, na razie musi tam zostać. Interesy. Wielu ludzi jest od niego zależnych.

– Lubisz mnie w ogóle? – sonduje Ráč Eržikę.

– Ja? – pyta Eržika. – A czemu miałabym nie lubić?

Żadna z jej koleżanek nie ma takiego chłopaka: z samochodem i szoferem. Ona, Eržika, jest z niego dumna.

Ráč uśmiecha się zadowolony. Nalewa sobie kieliszek szampana i wypija na raz.

– On jest nie tylko moim szoferem, ale też moim sługą! – chwali się.

Na potwierdzenie swoich słów prezentuje zdolności Ďuli: każe mu wypić butelkę wody i z kotлетem w ustach wejść pod wszystkie stoły.

Wszyscy się śmieją i biją brawo. Rácz patrzy wyłącznie na Eržikę. Jest taka skromna, młodziutka i świeża! Goście się upili. Niektórzy z nich zaczynają śpiewać smutne, nostalgiczne pieśni. Rácz jedną ręką obejmuje Eržikę. Dolewa jej szampana. Przełyka ślinę. W uszach mu szumi. Krew napłynęła do głowy. Podniecił się.

– Skoro mnie lubisz – mówi ze ściśniętym gardłem – pójdiesz teraz ze mną do stodoły!

Rácz milknie. Boi się, ma wrażenie, że wszyscy usłyszeli jego słowa. Ale goście bawią się w najlepsze. Ktoś zarzygał stół.

– Do stodoły? – pyta Eržika. – A po co?

Szeroka, prosta twarz Rácza wydaje się zmieniona. Oczy wybałuszają się z podniecenia, nozdrza rozszerzają się jak u byka. Szczęka drży. Rácz cały się chwieje. Wie to doskonale: jeszcze nigdy się tak nie czuł. Nawet Silvia nigdy nie wzbudziła w nim takiego tornada uczuć! Może dlatego – myśli Rácz – że wcześniej nie gustowałem w szampanie. Ale nie o to chodzi. Rácz wie, że dzieje się coś wielkiego! Nie to co tam, w hotelu. Kocha Eržikę. Wszystkie uczucia wróciły. Przecież to dla niej pojechał do miasta!

– Po co do stodoły? – powtarza Eržika.

Rácz macha rękami.

– Tam mi pokażesz, jak bardzo mnie lubisz. Tak się robi w mieście. Jak dziewczyna kogoś kocha, musi mu to najpierw udowodnić! – mówi. On, Rácz, już powoli zaczyna mieć wrażenie, że Eržika kocha tylko jego pieniądze! No tak! On, Rácz, ma też pieniądze. Czemu miałby nie mieć. Ale przede wszystkim jest mężczyzną. A mężczyzna potrzebuje czego? Mężczyzna potrzebuje dowodu miłości! Rácz bierze łyk szampana i zmusza Eržikę, żeby zrobiła to samo. Uzupełnia kieliszki i nadstawia swój do toastu. – Za nas –

mówi.

Przy drugim końcu stołu Kišš naraz wstaje i stuka widelcem o kieliszek. Zaczyna przemowę. On, Kišš, jest, można tak powiedzieć, przy groszu. Zarobić to nie grzech, żadna praca nie hańbi. Młody Rącz chciałby jego, Kišša, córkę za żonę. Jedyłą córkę. Rącz to zdolny chłopak. Udowodnił, że odziedziczył same najlepsze cechy swoich tragicznie zmarłych rodziców. Wyruszył do miasta i niesłuchanie szybko się wzbogacił. Trzeba jednak przyznać, że gdyby nie on, Kišš, Rącz by tego nie osiągnął. Dziś rano Rącz podarował mu swojego konia. On, Kišš, podaruje mu z kolei swoją córkę! Tak, jeszcze dziś pójdą do księdza i ustalą zapowiedź ślubną, kończy Kišš i siada. Teraz wszyscy czekają, aż Rącz coś powie. Ale Rącz siedzi uparcie, nie jest oratorem. Najchętniej by się gdzieś schował.

Z pomocą przychodzi wuj Endre. Wstaje i przemawia. Zapewnia Kišša, że Rącz będzie posłusznym zięciem. U nich za wszystko się dostawało w dupę. Rodziców Racza zabiły pieniądze. Kiedy Rącz jechał na pogrzeb, on, Endre, brał udział w podziale majątku. Nie było tego jakoś bardzo dużo. W porównaniu z obecnymi dokonaniem Racza – właściwie nic. Tak wygląda sprawiedliwość: krewni przywłaszczyli sobie pieniądze, które do nich nie należały i które – Endre musi to powiedzieć – zostały młodemu Rączowi skradzione. Tak, tak, podzielili między siebie cudzy majątek. Cóż za haniebny czyn! Ale z drugiej strony, podkreśla wuj Endre, z drugiej strony, czy gdyby nie to, Rącz osiągnąłby taki sukces? Nigdy! Odziedziczyłby pieniądze i zostałby średnio zamożnym wieśniakiem, Kišš dałby mu Erżikę już wtedy i wszyscy żyliby aż do śmierci. A jednak ręka sprawiedliwości sprawiła, że haniebny postępek obrócił się w szczęście. Stał się błogosławieństwem, bez którego Rącz nigdy nie stałby się takim bogaczem, ba, magnatem! Wuj Endre milknie na moment. I z tego powodu, mówi Endre, zwracając się do Racza, on,

Endre, prosi go, w imieniu wszystkich wujów i cioć, o przebaczenie za to, że... że... zrobili z niego bogacza! I w tej chwili on, Endre, wznosi toast za zdrowie zaręczonych. Rácza czuje, że za dużo wypił. Nawet nie bardzo słucha tego, co mówi wuj Endre. Coś o pieniądzach, o jakimś majątku. Co to jest, te kilka groszy! Rácza to nie interesuje. Sztuką nie jest jak najwięcej zaoszczędzić, ale jak najwięcej zarobić! Dlatego też wujowi Endremu i innym krewnym on, Rácza, przebacza!

Znowu wstaje Kišš. On, Kišš, chciałby jeszcze coś powiedzieć przed zebraniem tu gronem. Może się kiedyś w przyszłości tak zdarzyć, że ktoś będzie chciał jemu, Kiššowi, nabruździć. Będzie rozpowiadać o nim plotki i obgadywać go. Nie, on, Kišš, nie chce powiedzieć, że tak będzie na pewno, ale możliwe, że Rácza dowie się od kogoś, że jego, Kišša, córka już dawno, mianowicie kiedy Rácza wyruszył do miasta, zaręczyła się z Ferim Bartalošem. No, cóż... Kišš milknie, a Rácza nieruchomieje. Problem w tym, ciągnie Kišš, że i jest, i nie jest to prawda. On, Kišš, uznał wtedy za stosowne zaręczyć Erżikę, żeby nie była narażona na awanse młodzieńców ze wsi. Przecież, Kišš zwraca się do gości, dziewczyna może się czuć bezpieczniej, kiedy ludzie wiedzą, że ma narzeczonego. Wszyscy potakują z aprobatą. Ale z drugiej strony, ciągnie Kišš, on, Kišš, się pyta: jakim narzeczoną może być Feri Bartaloš? Tak, on, Kišš, może przysiąc: to była tylko zmyłka. Jedyna możliwość na zapewnienie Erżice spokoju w czasie, gdy będzie czekać na Rácza! Niech Rácza się nie boi, do niczego nie doszło. On, Kišš, dopilnował tego osobiście! I dlatego on, Kišš, pyta swojego przyszłego zięcia, Rácza, czy Rácza wybaczy mu to, że on, Kišš, zatroszczył się w ten sposób o bezpieczeństwo swojej córki i o jej przyszłe, szczęśliwe pożycie z Ráczem? Bo Erżika kocha Rácza od zawsze! On, Kišš, miał Ráczowi nigdy nie mówić o tamtych zaręczynach, ale zdał sobie sprawę, że lepiej będzie jednak powiedzieć, a nie czekać, aż Ráczowi napytluje coś jakaś plotkara,

zmija z długim językiem. Jego, Kišša, sumienie jest czyste! Kišš milknie. Patrzy pytająco na Rácza. Ale wzrok Rácza jest skierowany na zawstydzoną twarz Eržiki.

– Skoro tak – mówi Rącz po chwili – wybaczam!

Wszyscy biją brawo. Toasty się skończyły, zabawa znów się kręci.

– To jak? – nie odpuszcza Rącz.

– Co: jak? – nie rozumie Eržika.

– Pójdiesz ze mną do tej stodoły?

Eržika wzrusza ramionami.

– Nie wiem.

Rącz dostrzega w tym geście nadzieję. Łapie Eržikę za udo. Pod stołem. Nikt nic nie widzi. Eržika boi się pisnąć, żeby nie zwrócić na siebie uwagi.

– No chodź – nalega Rącz stłumionym głosem.

Eržika wstaje z westchnieniem. Rącz za nią.

Nikt niczego nie zauważył.

Na zewnątrz jest ciemno. Podwórze rozjaśniają tylko światła z okien. Ciekawscy wypili już baniak gruszkówki i bez ruchu leżą w śniegu. Pomieszczenia gospodarcze nikną w mroku. Gwiazdy mrugają wysoko na czarnym niebie. Rącz bierze Eržikę za rękę i ciągnie ją do stodoły. Szampan szumi mu w głowie. Czuje, że cały jest napięty i sztywny.

– Spójrz – mówi Eržika – dookoła księżycy zrobiły się kręgi.

Ale Rącz ma w poważaniu kręgi dookoła księżycy. Bekając, otwiera drzwi do stodoły. Smuga światła z zewnątrz pada na stos siana. Po deskach biegają szczury. Oczy świecą im czerwono.

Przestraszona Eržika przyciska się do Rácza, już bardzo podnieconego.

– Brr! – mówi z trudem. – Ale tu zimno!

Rącz jej nie słucha. Popycha ją na siano i rzuca się na nią.

– Nie! Nie! – broni się Eržika i ściska kolana ze wszystkich sił.

Rącz wsadza rękę pod jej fartuch. Jednym ruchem rozrywa przedpotopowe majtki i wyrzuca je za siebie. Przyciska kolanem jedną nogę Eržiki, a drugą stara się odciągnąć ręką. Mięśnie niemal mu pękają. Rozpina wilgotny rozporek i wyciąga członek. Kiedy dotyka nim nagiego uda Eržiki, przerażona dziewczyna wydaje z siebie krzyk.

– Zamknij mordę, głupia! – syczy Rącz i przesuwa się wyżej. Eržika krzyczy jeszcze raz. Psy na zewnątrz zaczynają szczekać. Rącz uderza Eržikę w twarz.

– Rącz nie lubi, jak ktoś mu stawia opór – chrypi Rącz.

Wchodzi w bezsilne ciało Eržiki i głośno wypuszcza powietrze. Eržika szczeka zębami z zimna.

– Boli? – pyta zniecierpliwiony Rącz. Eržika potakuje. Leży bez ruchu, z przygryzionym językiem. Rącz zaczyna się ruszać. Przyspiesza. Eržika leży jak martwa. Rącz kończy i wysuwa się z dziewczyny. Ejakuluje w jednostajnych odstępach, pomagając sobie ręką.

– Uch, uch, uch – wzdycha. Pozbywa się nasienia szybko i energicznie. Po wszystkim przewraca się na siano.

Eržika siada z trudem i garstką siana wyciera jeszcze gorące nasienie ze swoich piersi, twarzy i włosów. Rącz wyciera się w jej fartuch. Już może normalnie myśleć. Ostatni strzał nasienia jakby odpompował mu krew z głowy i go uspokoił. Teraz Rącz wreszcie rozumie: rodzina okradła go z majątku jego rodziców i jeszcze każe mu się z tego cieszyć. Kišš oddał swoją córkę Feriemu Bartalošowi, ledwo Rącz zniknął za zakrętem, i wmawia Rączowi, że to dla jego dobra. Eržika jest zwykłą wiejską babą. Głupią jak gęś. I jest gruba. On, Rącz, ma porównanie z miasta. Stare, czterdziestoletnie, nawet pięćdziesięcioletnie pasztety. Ale jak się toto wymaluje i wystroi,

każdemu chłopu stoi jak świeczka. A Eržika? Nie ma nawet dwudziestu lat. Po trzydziestce będzie dwa razy grubsza niż teraz. Urodzi mu trójkę dzieci i już go nie puści. Do śmierci będzie chodzić w dwóch rodzajach ubrań: w białym fartuchu – w sklepie mięsny – i w fartuchu w kwiatki – po domu. Do końca życia będzie przeżuwać pestki słonecznika jak jej matka, aż jego, Rącz, zacznie świerzbic dłoń. On, Rącz, ma przed sobą jaśniejszą przyszłość. Nie, on, Rącz, nie ma na myśli dziwki takiej jak Silvia. Jej też pewnego dnia da kopa w dupę. Jak się jej nazbiera. On, Rącz, znajdzie sobie dziewczynę z miasta. Młodą, taką, która go będzie kochać. Czy to takie trudne pokochać człowieka jak on, Rącz?

Eržika chce się całować. Nadstawia półotwarte usta i zamyka oczy. Ale Rącz ją odpycha.

Eržika otwiera oczy.

– Taki jesteś! Taki!

– No, jaki? – krzyczy Rącz i zaciska pięści.

– Tylko tego chciałeś? – płacze Eržika. – Ty świnió!

Na jej okrągłej twarzy pojawia się grymas, który ją upodabnia do chińskich bożków. Rącz nigdy nie widział chińskiego bożka, ale i tak czuje do Eržiki głęboki wstręt. Odsuwa się jeszcze dalej, żeby płacząca narzeczona nie zamoczyła go swoimi łzami i smarkami.

– Nawet uczciwa ze mną nie byłaś! – mówi Rącz z odrazą. – Zero błony dziewiczej. Zero krwi. Kurwa. Kto wie, komu dupy dawałaś, jak Rącz na ciebie zarabiał! Całej wsi? Połowie? Czy tylko Feriemu Bartalošowi? To na pewno!

Rącz wstaje i teatralnym gestem wali się w czoło. Jak mógł się nie domyślić? Przecież Feri Bartaloš był niby jej narzeczonym! Niby! Rącz dopiero teraz rozumie, jak to było z tym „niby”! Żona Racza musi być dziewczicą! Najchętniej by jej teraz przypierdolił. Ale on, Rącz, powinien być ostrożny. Jeden strzał i śmierć na miejscu. On, Rącz, nie

chce trafić do więzienia. I tak stał się już pośmiewiskiem wszystkich. Ech! Rącz wychodzi ze stodoły i wraca do chaty.

– Połakomiłeś się na moje pieniądze? – wrzeszczy do Kišša, rzygającego przy bramie. Rzeźnik patrzy na niego wodnistymi oczami i wydaje z siebie kilka nieartykułowanych dźwięków. Jest pijany, nie wie, co się dzieje. W chacie Kišša świeci się światło. Rącz energicznie wchodzi do środka.

– Ďula! – krzyczy dzikim, obcym głosem. – Ďulaaa! – powtarza, kiedy nie słyszy odpowiedzi.

– Co jest, szefie? – Ďula stoi w drzwiach do kuchni, z kieliszkiem szampana w dłoni. Koszulę ma wyciągniętą na spodnie. Ubranie brudne i wymięte. Zatacza się i głupio uśmiecha.

Rącz jest wkurzony. Wytrąca Ďuli kieliszek z ręki. Szkło się rozbija.

– Jedziemy! – rozkazuje.

– Dokąd? – pyta Ďula.

– Do domu! Do hotelu, debilu! – wydziera się Rącz.

– Ale ja piłem! – oponuje Ďula.

– Nie obchodzi mnie to! – odpowiada Rącz. – Ruszaj się! Jedziemy!

Ďula rozgląda się bezradnie, ale wszyscy są pijani i śpiewają piosenki. Nikt nie zwraca uwagi na Racza ani na Ďulę.

– Wytrzeźwiejesz po drodze! – mówi Rącz. – Tylko już, wynosimy się stąd!

Ďula patrzy zakłopotany.

– Zbieraj się, szybko! – krzyczy Rącz i kieruje się ku drzwiom.

Mikrobus „Renault” na zgaszonych światłach odjeżdża z podwórka. Kilka razy rusza i gaśnie, zanim wykręci przodem do bramy, wciąż zamkniętej. Ďula wrzuca dwójkę i dodaje gazu. Włącza światła. W ich blasku widać Eržikę biegnącą samochodowi naprzeciw.

Erżika rozpościera ramiona, jakby chciała zatrzymać Rácza.

– Odsuń się, zmijo! – krzyczy do niej Rącz przez otwarte okno. – Jedź na nią! – nakazuje Ďuli. Ďula jednak wymija Erżikę i wyważywszy bramę wraz z częścią płotu, wyjeżdża na ciemną ulicę. Przyśpiesza z piskiem opon. Auto pędzi przez zaspaną wieś. Co jakiś czas zjeżdża na pobocze albo wpada do rowu.

Rącz milczy. Pali papierosa. Kilka razy wydaje mu się, że widzi przed sobą jeźdźca na koniu, ale ilekroć się do niego zbliża, okazuje się, że to jakiś krzak albo że w tym miejscu w ogóle nic nie ma.

– Babilon! – krzyczy szalencie na chodniku, podnosząc wychudzone ręce nad głowę. – Nierządnicza babilońska! – powtarza ostro.

Vanda Tirówka, uwieszona na ramieniu starszego Austriaka, długimi krokami zmierza w stronę białego mercedesa stojącego przed hotelem. Nie zwraca uwagi na brudnego szaleńca. Wariat dziko gestykuluje.

– Hosanna, mówię wam, zbliża się koniec! Jeszcze jest czas na pokutę!

Przechodnie oglądają się za nim, ale żaden z nich nie odgadłby, że uliczny prorok to Fredy Szparszwajn, niegdyś okrągłutki i zawsze zadowolony z siebie. Wychudzony, zarośnięty i pokryty kilkutygodniowym brudem Fredy zmienił się nie do poznania. Kiedy postawili mu na parkingu jarmark bożonarodzeniowy, Fredy upił się i zdemolował bar w hotelu „Ambassador”. A później codziennie przychodził pod hotel i z chodnika uważnie obserwował, co się dzieje na jego parkingu. Nerwowo liczył w myślach, ile pieniędzy traci. Sprzedawcom karpia, owoców i właścicielom prowizorycznie skleconych budek z piwem spodobało się to miejsce. Nie wynieśli się z parkingu, nawet kiedy minął ustalony termin wynajmu. Żywe

zainteresowanie klienteli tylko im w tym pomogło. Zaproponowali miastu kilkakrotnie wyższy czynsz niż ten, który płacił Fredy. Sprawa była jasna. Szparszwajn został z niczym. Przeżył bardzo ciężko tę osobistą tragedię. Dostał udaru mózgu. On, Fredy Szparszwajn, uczciwie płacił czynsz i podatki. Nikogo nie krzywdził. I za co to wszystko? Przez chwilę jeszcze próbował zarabiać w ten sposób, że pobierał opłaty od kierowców parkujących na chodniku. W tym przeszkodzili mu policjanci. Powiedzieli, że wsadzą go do więzienia, jeżeli natychmiast nie przestanie się nielegalnie wzbogacać. „To oddajcie mi mój parking”, wykrzyczał zdenerwowany ochroniarz chodnika. Funkcjonariusze mocniej ścisnęli rękojeści policyjnych pałek, po czym, unosząc brwi i wyciągając szyje, dali Fredy’emu do zrozumienia, jak bardzo interesuje ich jego zdanie. Przestraszony strażnik spuścił wzrok i ze źle skrywanym pośpiechem opuścił scenę. Można go było zobaczyć, jak przepija pieniądze, żłowiąc wino przed jedną z postawionych na szybko budek na jego dawnym parkingu. Do baru „Ambassador” po raz drugi go nie wpuścili. Poza tym tam było za drogo. Jak na portfel Szparszwajna. W drewnianej budzie też było drogo, ale nie aż tak. Fredy, gdy się upił, płakał. Łapał przypadkowych przechodniów za guziki płaszczy i prosto w twarz wyplakiwał im swój ból. Swój krzyż. On, Fredy Szparszwajn, uczciwie pilnował parkingu. Tu kiedyś znajdował się parking. Dawno temu. To była jego, Fredy’ego, jedyna radość. On, Fredy, spędzał tu całe dni. Był szczęśliwy. Potem przyszła ta cipa z urzędu miasta. Że niby tylko na święta. Jarmark. On, Fredy, zgodził się. Postawili to tutaj i teraz im szkoda burzyć. Za chwilę będzie Nowy Rok. I co? Budy stoją. Podobno na zawsze! On, Fredy Szparszwajn, stracił wszystko!

Kiedy Fredy Szparszwajn wypowiada to zdanie, zawsze wybucha płaczem. Nie ma pieniędzy. Zostało mu kilka koron. Oszczędności poszły na pokrycie szkód w barze. Policzyli sobie za wszystko, co im

się zepsuło w ciągu poprzednich pięciu lat. On, Fredy, boi się wrócić do domu. Rodzice chcą pieniędzy. Że niby na jedzenie i rachunki. On, Fredy Szparszwajn, nie ma pieniędzy. Zjada to, co inni zostawią na papierowych tackach. Jest tego mało, klienci są łakomi i pożerają wszystko. A ostatnim kawałkiem chleba wycierają tackę do czysta. On, Fredy Szparszwajn, jest przekonany, że nie o to walczyli nasi dziadkowie.

Ale po pewnym czasie już nikt nie chciał słuchać Fredy'ego Szparszwajna. Zewsząd go wyganiali. Śmierdział. Nie mył się. Ubrania mu się podarły. W przyczepie odłączyli mu prąd. Nie płacił. Nie miał z czego. Całymi nocami trzął się z zimna. Siedział lub leżał i myślał. Zniknął na kilka dni. Sprzedawcy z targowiska przypuszczali, że umarł w swojej przyczepie. Ale nikt tam nie zajrzał. Po pierwsze, brzydził ich smród, jaki zapewne panował w przyczepie, a po drugie, nikomu nie chciało się biegać na policję podpisywać protokołów.

– Jeśli żyje, to chuj z nim! – powiedział jeden ze sprzedawców. – Jeśli nie żyje, to też! Przy takim mrozie powinien długo wytrzymać. Będziemy się martwić, jak zacznie śmierdzieć. Ale na razie nie śmierdzi, nie? Co on nas obchodzi? To żadna rodzina.

Jakież było ogólne zdziwienie, kiedy po trzech dniach w drzwiach przyczepy stanął Fredy Szparszwajn! Między jego wąsami a brodą pojawił się pogardliwy uśmiezek, a wybałuszone oczy nabrały uduchowionego wyglądu.

– Módlcie się, grzesznicy! – krzyknął głośno Fredy i uniósł ręce w górę. – Sąd Ostateczny jest blisko! – dodał, wchodząc między zszokowanych sprzedawców i pijanych klientów.

Od tego dnia Fredy zaczął wieść nowy żywot, na który składało się głównie wygrażanie, podnoszenie rąk i codzienne przypominanie o karach, jakie czekać będą grzeszników. Fredy żywił się poźółkłym śniegiem z okolicznych zasp, resztkami jedzenia i gniewem. Stał się

obląkanym pustelnikiem, postacią rozpoznawalną dla wszystkich z okolic hotelu „Ambassador” – tak jak wtedy, gdy z błyszczącą od podniecenia twarzą, zadyszką i czerwoną saszetą biegał po parkingu i pobierał opłaty od kierowców.

– Mówię wam – krzyczy Fredy. – Pan będzie groźny w swoim gniewie! Zmiecie wszystkich grzeszników!

Starszawy Austriak zatrzymuje się i rozgląda. Prorok jest odziany w wór po ziemniakach. Stopy ma zawinięte w szmaty i przewiązane sznurkami, a gołe kolana – zbiełałe od mrozu. Szurając, nawiedzony biegnie po obsypanym solą chodniku.

– Ty też, nierządniczo babilońska – krzyczy na Vandę Tirówkę, a z ust wydostaje mu się strużka śliny, która natychmiast zamarza. – Ty też będziesz ukarana! Twoje białe grzeszne ciało będzie się smażyć w ogniu, a twoje męki będą trwać wiecznie!

– Was ist das? – pyta Vandę zaniepokojony klient.

– Niks – odpowiada prostytutka. – Gar niks. Ajn trotl.

Klient śmieje się ze zrozumieniem:

– Ja, ich verstehe schon. Ein depp.

Wsiadają do samochodu i odjeżdżają, ochlapując szaleńca brudnym błotem od stóp do głów. Szalenie kuli się w sobie. Zamyka oczy i skupia się na wodzie spływającej po skołtunionych wąsach i brodzie. Tak, zasłużył na to! On, boży człowiek, też musi cierpieć. Odpokutować swoje grzechy. Tak!

Cierpienie jest słodkie! Oczami wyobraźni widzi długie i białe ciało Vandy Tirówki płonące w ogniu piekielnym. Tak jak oddaje się swoim kochankom, tak samo odda się palącemu bólowi, myśli Fredy. Odczuwa chwilową przyjemność płynącą z tej wizji. Dziwka będzie cierpieć, żeby odpokutować swoją rozwiązłość. Fredy zwraca swoje wybałuszone i przekrwione białka oczu w stronę drewnianych bud stojących na miejscu jego dawnego parkingu. Kilku zmarzniętych, ale

upartych klientów stoi przy jednej z nich i sący grzane wino. Szaleniec przygląda im się zaczerwienionymi oczami. Oni też powinni ponieść karę! – postanawia i rusza w stronę budy.

– Co tam, Fredy? – zagaduje przyjacielsko sprzedawca. – Dobrze spałeś? – Po czym tłumaczy klientom ściszym głosem: – Zabrali mu parking i od tego oszalał.

Obłąkany podchodzi bliżej.

– Porzućcie mamonę! – krzyczy patetycznie, wyrzucając ręce nad głowę. – Pozbądźcie się brudnych papierków, albowiem koniec jest bliski. Powiadam wam, wody Babilonu wystąpiły z brzegów i cuchną grzechem! Bóg przyjdzie i ukarze Sodomę i Gomorię!

Klienci słuchają i mrugają do siebie rozbawieni.

– A teraz, Fredy... – zaczyna sprzedawca i mruga do klientów, jakby chciał im szepnąć: „Słuchajcie, teraz będzie dobre”. – Fredy, powiedz nam coś o kurwach.

Fredy Szparszwajn się rozkręca. On, święty mąż, jest tu po to, żeby wszystkich ostrzec! Tylko dla kobiet sprzedających swoje ciała nie ma ratunku! On, boży człowiek, wie dokładnie, jakie męki je czekają za to, że kupczą swymi ciałami. Będą nabijane na pał, patroszone za życia, gotowane i smażone! Nic im już nie pomoże, choćby nawet teraz stały się wzorem pobożności! Należy im się! Fredy dostaje zadyszki i milknie.

– A ty kto jesteś? – pyta go jeden z pijanych. – Jehowy czy franciszkanin? – dopytuje, żeby pokazać swoim towarzyszom, że się zna na takich sprawach.

– Ja przychodzę od Boga! – odpowiada Fredy. – Pan mi się objawił i przykazał głosić, że nadciąga koniec świata!

– Masz – zwraca się do Fredy’ego sprzedawca i mruga porozumiewawczo do reszty. – Napij się! Dobrze, z cynamonem i goździkami! Nie chcesz?

– Dla ciebie też już nie ma ratunku! – krzyczy obłąkaniec. – Skończysz w mękach ognia piekielnego! – dodaje i jednym ruchem strąca na śnieg wszystkie kufle z grzanym winem.

Mężczyźni się denerwują.

– Tak być nie będzie! – krzyczy pijak w ubraniu roboczym i zielonej kurtce. Chwyta szaleńca pod brodę i rzuca w zaspę.

Fredy gramoli się z brudnego śniegu. Wstaje i w złości wznosi ręce ponad głowę. On, boży człowiek, przyszedł ich tylko ostrzec. Ale nie ma ratunku dla tych, którzy słuchać nie chcą. On, święty człowiek, już sobie pójdzie. Musi głosić nowinę o zbliżającym się końcu! Szaleniec odchodzi, człapiąc szmacianymi butami.

– I tak jest ciągle – wzdycha sprzedawca i nalewa sobie grzanego wina. – Czasami to jest nawet śmieszne. Kiedy indziej wcale.

Absolutna dyskrecja nie oznacza tylko niezadawania głupich pytań. Oznacza, że zawsze i w każdej sytuacji trzeba się zachowywać, jakby nic się nie działo, jakby wszystko było zupełnie zwyczajne i normalne. Video-Urban postanowił opanować swoje ludzkie odruchy. Przecież tu chodzi o pieniądze – nie można wywalać gał, dziwić się ani patrzeć z obrzydzeniem. W swoim ogłoszeniu Video-Urban oferuje absolutną dyskrecję, a więc powinien ją rzeczywiście zapewnić.

Niekiedy musi dokąś pojechać, ale na szczęście nie za często. Komu by się chciało zapieprzać z kamerą i wszystkimi sprzętami gdzieś do Petrzałki? W większości przypadków udaje mu się przekonać klientów przez telefon, żeby to oni przyjechali do niego. Jest to nie tylko wygodniejsze dla samego Urbana, ale też lepsze ze względu na jakość zdjęć. Urban zrezygnował ze swojej sypialni i urządził tam filmowe atelier. Pośrodku pokoju znajduje się wielkie francuskie łóżko. Oprócz niego są tam: statyw, kamera i lampy

w kształcie kropelek deszczu, rozpraszające światło. Jak w Hollywood.

Ludzie są różni i mają różne hobby. Najczęstszymi klientami Video-Urbana są małżeństwa albo kochankowie, którzy chcą uwiecznić chwile spółkowania. Czasami nic się nie udaje, bo w konfrontacji z kamerą któreś z nich, najczęściej kobieta, chce zrezygnować. Kiedy indziej odwrotnie: obecność obcego mężczyzny, Video-Urbana, zmienia kobietę w dziką i podnieconą bestię, przy której jej partner wygląda jak stare i zaschnięte krowie łajno. On, Urban, widział już wiele.

Przychodzą też pedały. Video-Urban przypomina sobie Hurenszona. Robi mu się niedobrze, ale nie pokazuje tego po sobie. Jest przecież profesjonalistą, a klienci nie płacą mało. Niektórzy nawet nie zwracają na niego uwagi, jest dla nich tak samo martwym przedmiotem jak statyw albo obraz nad łóżkiem.

Wyjątkiem nie są też kobiety, które proszą, by sfilmować je w trakcie masturbacji. Czasem mają ze sobą różne gadzety. Jedna z nich przyznała mu się: mąż pojechał do Libii budować drogi i poprosił ją o kasetę wideo.

– Dzięki temu mogę mieć przynajmniej jaką taką pewność, że mi tam nie będzie biegał za kurwami – powiedziała i włożyła półgodzinne nagranie do torebki.

Innym razem na umówioną wizytę przyszła eteryczna piękność z seterem irlandzkim na smyczy. Video-Urbanowi nawet powieka nie drgnęła, kiedy usłyszał wymagania kobiety. Przynajmniej się nie nudzi. Ludzie są różni i mają różne zainteresowania.

Jest zimno. Niebo zaciągnęło się chmurami i zaraz znów spadnie śnieg. Urban wygląda przez okno. Na dole, cztery piętra niżej, spacerują przechodnie, człapią w śniegu. Urban opanowuje chęć splunięcia im na głowy i chowa się do środka, do ciepła. Zamyka okno. Od jakiegoś czasu obrzydza go jego mieszkanie. Tak jakby każdy

z klientów zostawił mu tu po sobie odrobinę brudu. To nic, że płacą po królewsku. To nic, że wszystko, co on, Video-Urban, zje, wypije, co sobie kupi dla przyjemności i co wyjeździ swoim autem, pochodzi z ich pieniędzy. Wstręt to wstręt. On, Urban, powinien był się zdecydować na te durne śluby, głupie jubileusze i idiotyczne uśmiechy dzieci. Albo zrobić licencję taksówkarza. Nawet interesy z walutą nie wywoływały w nim takiego obrzydzenia. Czego mu brakowało? Zarabiał, ile potrzebował, a jak mu się już nie chciało, zawsze mógł liczyć na te dwa tysiące za pracę w domu towarowym. Bywał między ludźmi. Ci, którzy go odwiedzają, odkąd rozkręcił własną działalność, budzą w nim obrzydzenie. Są to albo różnej maści zbrojeńcy obu płci, albo dziwacy. Jemu, Urbanowi, już się nawet śnią. Tyle dobrego, że są anonimowi, milczący, zdystansowani i nie próbują wciągnąć jego, Urbana, do swojego życia. On, Urban, w trakcie filmowania czuje się jak lekarz. W ogóle go to nie podnieca.

Od kiedy jego ogłoszenie pojawia się regularnie w każdym numerze „Awiza”, Urban nigdzie nie może wyjść. Wciąż siedzi na telefonie. Automatyczna sekretarka okazała się mało skutecznym rozwiązaniem. Urban musi osobiście ustalać daty i terminy z anonimowymi klientami i klientkami. Często pada ofiarą żartu – umawia się na jakiś dzień, ale nikt nie przychodzi. Czasem z kolei ktoś go wyzywa przez telefon. Video-Urban wie, że to część jego pracy. Ale takie wytłumaczenie nie poprawia mu humoru. Dobrze, że przynajmniej są z tego pieniądze, aczkolwiek bywały czasy, kiedy zarabiał lepiej. Plus jest taki, że tej forsy nie zabierze mu żaden policjant. Urban płaci podatki, więc policji nic do tego!

Video-Urban bierze do ręki telefon. Waha się przez sekundę, ale w końcu wykręca numer suchej Lenki.

– Co robisz? – pyta.

– To ty? – mówi Lenka, a Urbanowi wydaje się, że nawet się

ucieszyła. – Dawno się nie odzywałeś. Co się z tobą działo?

– Nic – odpowiada Urban. – Dużo pracuję. Założyłem firmę.

Lenka nie reaguje tak, jak sobie wyobrażał, więc Urban pyta:

– A ty?

– Mam ferie.

– Ale ci zazdroścę!

Lenka się śmieje.

– Trzeba było się nie dać wyrzucić ze studiów – mówi.

– Było, minęło – wzdycha Urban. – Pójdziemy gdzieś razem?

– Gdzie? – pyta Lenka.

– Zapraszam cię do kina – odpowiada Urban. – A potem na kolację. Zgadzasz się? – Urban przysuwa bliżej gazetę i przerzuca ją lewą ręką. – W „Slávii” grają *Słodkie życie* – dodaje.

– To Fellini? – pyta Lenka. – Już na tym byłam.

– *Słodkie życie* to film nad filmami – przekonuje Video-Urban. – Trzeba go zobaczyć więcej niż raz. To najlepszy film Felliniego!

Sucha kurwa Lenka marudzi. Twierdzi, że w sumie nie ma teraz czasu. Ale w końcu daje się namówić. Urban odkłada słuchawkę i rozgląda się za jakimiś modnymi ciuchami. Życie nabrało sensu, przynajmniej tego wieczoru. I tak cię kiedyś przelecę, myśli Urban, wiążąc krawat. Znam takie cnotki. Wszystko to kwestia dobrego momentu. On, Urban, to wie.

– Co robisz w Sylwestra? – pyta Urban niby mimochodem, kiedy siedzą już w chińskiej restauracji, do której poszli po seansie.

– Chciałam cię spytać o to samo – mówi Lenka, a Urban zamiera. – Pewnie zamierzałeś mnie dokądś zaprosić, ale ja już mam plany. Idę na imprezę do kolegi z roku.

Video-Urban smutnieje. Nerwowo rozgląda się za kelnerem. Prawą dłonią bębni po stole. Patrzy na Lenkę. Podoba mu się, co by

się miała nie podobać. Może nawet się zakochał. Może nawet na pewno.

– Będziesz się ze mnie śmiał, ale... – zaczyna Lenka.

– Nie, nie! – zapewnia Urban i zdecydowanie kręci głową.

– Będziesz się ze mnie śmiał – kontynuuje ona – ale chciałam cię spytać, czy nie poszedłbyś tam ze mną.

Urban siedzi nieruchomo.

– Wiesz – mówi Lenka. – Żeby to wyglądało, że jesteście razem. Rozumiesz?

– Tak. Chociaż właściwie to nie.

Lenka kręci się nerwowo.

– W skrócie: żeby nikt niczego nie próbował. To znaczy żeby myśleli, że mam chłopaka.

Urban potrzebuje chwili, żeby odzyskać głos. Oczywiście, dla niego, dla Urbana, to sama radość i przyjemne zadanie do wykonania. On chciał ją zaprosić do klubu w hotelu „Ambassador”. Swoich kolegów z roku Lenka pewnie zna na wylot i nikt jej nie zaskoczy. On, Urban, pozwala sobie twierdzić, że z ich strony i tak nic by jej nie groziło, nawet gdyby Urban nie udawał jej chłopaka. Oni wszyscy to mole książkowe z impotencją.

– Nieprawda! – protestuje Lenka. – Nie znasz Krnáča i Taragela!

Urban kiwa głową. Tu się musi zgodzić, nie zna ich. Ale on, Urban, chciał jej pokazać coś, czego ona z kolei nie zna: inną twarz tego miasta, można by powiedzieć. Video-Urban jest dumny z własnego porównania. Inna twarz tego miasta. Na Lence jednak inna twarz tego miasta nie robi wrażenia.

– Pewnie chciałeś mnie poznać z tymi swoimi skretyniałymi kolegami, debilnymi cinkciarzami – mówi oskarżającym tonem.

Skośnooki kelner przynosi rozgrzane ceramiczne podstawki, a po

chwili także i dania. Urban i Lenka milczą. Jedzenie przyjemnie pachnie.

– Niech mi pan przyniesie sztucce, proszę – mówi Urban i odkłada na bok pałeczki.

Kelner się kłania. Po chwili wraca ze sztuccami na tacy. Na twarzy Azjaty pojawia się pogardliwy uśmiezek.

– Nauka jedzenia pałeczkami to kwestia kilku minut – mówi Lenka, kiedy kelner odchodzi. – Nie umiem sobie wyobrazić, że miałabym jeść chińszczyznę sztuccami.

Lenka z wdziękiem bierze pałeczki do rąk i zgrabnie nimi stuka.

– No, patrz – mówi. – Nauczę cię.

– Nie chcę – odpowiada Video-Urban. – Mam sztucce.

– Przynieść ci pałeczki? – pyta Lenka.

Urban kręci głową.

– Już kazałem je zabrać – odpowiada. – Nie będę teraz tego odkręcał. Pomyślą, że jestem jakimś idiotą.

– Co cię obchodzi, co o tobie pomyślą jacyś kelnerzy? – pyta Lenka i podnosi groźnie pałeczki. – Czy ważniejsze nie jest to, co ja sobie o tobie myślę?

– Słuchaj, dogadamy się. – Video-Urban zmienia temat. – Pójdę z tobą na tę imprezę i będziemy udawać, że jestem twoim chłopakiem. Ale jak zacznie być nudno, wstajemy i wychodzimy do „Ambassadora”.

Urban się uśmiecha. On, Urban, ma tam zaproszenie, i to nie od byle kogo. Od samego Racza.

– Kim jest Racz? – pyta Lenka niechętnie.

– Nie da się tego wytłumaczyć – mówi Urban. – Nie da się tego opisać. To trzeba zobaczyć na własne oczy. Jestem pewien, że to będzie dużo ciekawsze niż twoi zblazowani koledzy, impotenci

opowiadający swoje nudne bzdury. Istnienie, byt, pryncypia, dyskurs, tożsamość i inne pierdoły.

– Ty mi po prostu zazdrościsz! – mówi Lenka.

– Ja? – dziwi się Urban. – A czego właściwie miałbym ci zazdrościć?

– Tego, że gdybyś nie był głupi, mógłbyś teraz ciągle studiować. A w przyszłym roku się bronić.

– I do trzydziestki mieszkać z kochanymi rodzicami! – parska Video-Urban. – I zarabiać tysiąc dwieście brutto. Tak, jasne!

– Aha, bo teraz twoi rodzice są na pewno z ciebie dumni! – mówi Lenka.

Urban wpada w złość.

– W ciągu jednego dnia zarabiam więcej niż mój ojciec przez cały miesiąc! To nie wystarczy?

– Kim jest ten Rącz? – pyta Lenka po chwili.

Urban się zastanawia.

– To żywiol – odpowiada. – Maszyna do robienia pieniędzy.

– Czyli kolejny cinkciarz? – pyta rozczarowana Lenka.

Urban kiwa głową. Zastanawia się.

– To najgłupszy i najbardziej prymitywny z ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem – odpowiada w końcu. – Jest głupi jak but. Ale potrafi się niesamowicie dostosować. To dzikus.

Urban już wie, czego chce Rącz. Wszystkiego. Rącz to katastrofa przyrodnicza. Urban patrzy na Lenkę. On już dawno by ci przeczyścił komin, myśli. Urban wyobraża sobie delikatne ciało Lenki w ramionach palacza. Należy ci się, dodaje w duchu.

Najgłupszy i najbardziej prymitywny z ludzi, jakich Video-Urban

kiedykolwiek spotkał, siedzi w swoim apartamencie i w milczeniu ogląda telewizję. Jest ranek. Za oknem widać zachmurzone niebo. Na ekranie olbrzymi mięśniak biega z dwumetrowym mieczem, z którego lecą iskry.

Đula puka do drzwi i wchodzi.

– Jestem, jak szef kazał – oznajmia. – Tu ma szef listę – dodaje i wręcza Rączowi kawałek papieru. – Przepisałem na maszynie, tak jak szef sobie życzył.

Rącz bierze kartkę do ręki i czyta, mrużąc z zadowoleniem.

– Od razu to inaczej wygląda – mówi z lekkim wyrzutem. – Jeszcze trzeba prawnika dopisać.

– Nic o nim nie wiem. Kim jest, czego się możemy po nim spodziewać. To skryty facet. Trzyma się na uboczu.

Rącz patrzy na Đulę.

– Jego też zaprosimy – mówi. – Załatw to, jasne?

– Pytanie, czy przyjdzie – odważnie zauważa Đula. Wspólna podróż do rodzinnej wsi Racza wzmocniła jego wyobrażenia o silnej więzi łączącej go z palaczem. – Może mieć już inne plany – rzuca ze znanstwem.

– Przyjdzie, to przyjdzie. Nie przyjdzie, to nie. Przejrzyjmy tę listę jeszcze raz.

On, Rącz, i Silvia. Jej koleżanka Edita. Đula. Vanda Tirówka. Video-Urban z osobą towarzyszącą. Khunt, który od niego, Racza, kupił zegarki, też z osobą towarzyszącą. Dwóch przedstawicieli sziptarów: Bekim Bahmuci i Ahmed Soczila z osobami towarzyszącymi. Kilka dziwek z klubu: Anča Jožo, Eva Rzeżączka i inne. Kilku ważniejszych gości hotelowych. W skrócie: wszyscy ci, dla których zaszczytem i honorem będzie móc zasiąść przy jednym stole z nim, Rączem.

Đula gorliwie potakuje.

– Wielkim zaszczytem! Wielkim zaszczytem! – powtarza.

Rącz wstaje.

– A teraz idź – mówi – i przyprowadź mi kierownika restauracji!

Tymczasem wraca Silvia. Była na zakupach. Ściąga futro i zostaje w samej minisukience. Włożyła wysokie kozaki nad kolano, prezent świąteczny od Racza. Kupił je dla niej, ale nie podobają mu się. Wyglądają jak rybackie gumiaki. Ale są teraz modne. Każda kurwa z „Ambassadora” ma takie. Silvia odkłada torby na podłogę.

– Gdzie byłaś? – pyta Rącz.

– W „Tuzeksie” – odpowiada Silvia.

– I co?

– Kupiłam sobie świetny płaszcz na wiosnę.

– Po co ci płaszcz na wiosnę, jak jest zima? – pyta Rącz.

– Po zimie przyjdzie wiosna – mówi Silvia z przekonaniem.

– Byłaś z Editą?

– Tak. Czemu pytasz?

– Tak sobie – odpowiada Rącz. Jemu, Rączowi, wydaje się, że coś za dużo czasu spędzają ze sobą. On, Rącz, uważa, że to trochę dziwne. Słyszał o takich kobietach, niby to koleżankach, co to się ze sobą pieprzą! On, Rącz, naprawdę nie wie, co o tym myśleć!

Ktoś puka do drzwi.

– Wejść! – woła Rącz.

To kierownik restauracji „Ambassador”. Rącz prosi go, by usiadł. Przedstawia mu w skrócie swój plan na świętowanie Sylwestra w kręgu najbliższych znajomych. On, Rącz, chce mieć wynajętą salę. Tylko dla siebie i dla nich.

Kierownik nieśmiało oponuje. Oczywiście, to dla niego zaszczyt i przyjemność gościć szefa wraz z szacownym towarzystwem, jednak sala jest już, niestety, wynajęta.

– Wynajęta? – pyta Rącz. – To odwołajcie rezerwację! W czym problem, bo nie rozumiem?

Kierownik chrząka, żeby zyskać na czasie.

– To nie takie proste – mówi. – Salę jeszcze przed świętami zarezerwował doktor Renceš.

– A kto to jest? – pyta Rącz.

– Szef nie zna doktora Renceša? – dziwi się kierownik restauracji.

– Nie – mówi Rącz. – Rącz nigdy nie choruje.

Kierownik jest niebotycznie zdumiony, ale nie daje tego po sobie poznać.

– Pan doktor Renceš jest prezydentem naszego miasta! – oznajmia drżącym głosem.

Rączowi nawet powieka nie drgnie. Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia.

– Z pewnością rozumie pan – tłumaczy kierownik restauracji – że przy całym szacunku do pana nie ma absolutnie żadnych szans, by odwołać rezerwację pana prezydenta.

– Nie, nie rozumiem – odpowiada Rącz. – Dlaczego nie ma szans?

Kierownik bezradnie rozkłada ręce. Rącz traci cierpliwość.

– Proszę posłuchać – mówi, po czym wstaje. – Albo odwoła pan rezerwację, albo przekaże prezydentowi, że ma się elegancko ubrać. I jego towarzystwo też!

Kierownik restauracji blednie. Zszokowany siada na krześle.

– Nie może nam pan tego zrobić! – prosi, wpatrując się w triumfującego palacza.

– Oczywiście, że mogę! – mówi Rącz. – Co bym nie mógł?

– To nas zniszczy! – jęczy kierownik restauracji.

– Powiedziałem już, co miałem do powiedzenia – kończy rozmowę Rącz. Podchodzi do drzwi i je otwiera. – Rącz się nigdy nie

powtarza – dodaje.

Kierownik restauracji ma przerażenie w oczach.

– To jak? – pyta Rącz, stojąc w drzwiach. – Mogę liczyć na salę?

– Niech mi pan powie, jak mam to rozwiązać! Co ja mogę zrobić? – Kierownik zamyśla się na chwilę. – Nie – mówi w końcu. – To niemożliwe. Wykluczone! – Nagle kierownik się łamie. Klęka i składa ręce jak do modlitwy. – Na kolanach pana błagam, proszę nas nie rujnować!

Rącz się prostuje.

– Jak: nie rujnować? – pyta ze złością w głosie. Jeżeli on, Rącz, będzie chciał coś zrujnować, to to zrobi. A teraz won stąd! On, Rącz, powiedział już wszystko, co było trzeba. Decyzja należy do kierownika restauracji!

Kierownik wychodzi jako człowiek, którego życie zostało zniszczone. Rącz zamyka za nim drzwi. Z sypialni wyłania się Silvia, ubrana tylko w czarną koronkową bieliznę. Podchodzi do Racza i obejmuje go.

– Jak ci się podoba? – zagaduje szeptem.

– Co? – pyta Rącz, który wciąż jeszcze myśli o kierowniku restauracji „Ambassador”.

– No, jak wyglądam – odpowiada Silvia.

– Hmm, ładnie – ocenia Rącz i obiema rękami chwyta Silvię za pośladki.

– Podobam ci się? – dopytuje Silvia, wkładając mu dłonie pod sweter.

– Tak – odpowiada Rącz. Czuje, jak podnosi mu się ciśnienie.

– Jak bardzo? – kontynuuje Silvia. Pozwala Rączowi poprowadzić się do sypialni.

– No, bardzo mi się podobasz – mówi Rącz i łapie Silvię za biust.

Silvia jęczy z rozkoszy. Rącz bierze ją na ręce i zanosí do łózka.

– Ostrożnie – śmieje się Silvia. – Podrzesz mi rajstopy. Wiesz, ile kosztowały?

– Ile? – pyta Rącz.

– Nie chcesz wiedzieć!

– Pytam, to odpowiadaj! – mówi Rącz i zatrzymuje się w połowie drogi. Silvia podaje kwotę. Rącz nieruchomieje.

– Koron?

– Nie, bonów.

Rącz otwiera usta ze zdziwienia. Podniecenie zniknęło. Palacz zaciska pięści. Silvia spada na podłogę. Dotyka kręgosłupa i stęka.

– Cham! – wykrzykuje.

Rącz stoi nad nią z czerwoną twarzą i wybałuszonymi oczami. On, Rącz, ma pieniądze, ale nie na głupoty! Żeby tyle pieniędzy wydać na jebane rajtki! On, Rącz, nawet nie będzie pytał, ile kosztowały te koronkowe fatałaszki, które Silvia ma na sobie!

Silvia uderza w płacz. Wstaje, kładzie się na sofie i przyciska rękę do kości ogonowej. Stęka z bólu. Wreszcie przechodzi do ataku. A ile kosztuje jej czas, który spędza z Rączem?! Ile kosztują jej dnie i noce? I praca, która sprawiała jej radość, a którą musiała dla Racza porzucić? Czy on, Rącz, widział się kiedykolwiek w lustrze? A poza tym dla kogo kupiła te drobiazgi? Dla siebie? A może dla recepcjonisty?

– Ha, drobiazgi! – krzyczy Rącz. – Drobiazgi!!!

Rącz podnosi pięść jak granat przeciwpancerny.

Ale Silvia nie zamierza przestać. Rącz jest nudnym sponsorem! Gburem i chamem! I beznadziejnym kochankiem!

Rącz wychodzi z siebie. Z wściekłości wpycha sobie pięść do ust, żeby jej, tej kurwy, nie zabić.

Rącz, mówi Silvia, powinien wiedzieć, że o ile u nich na wsi może tak nie jest, o tyle kobiety w mieście też chcą mieć jakąś przyjemność z seksu, przeżyć coś, co się nazywa „orgazm”!

Rącz wyciąga pięść z ust.

– Jaki organizm? Co za organizm?

On, Rącz, zaraz tak ją, kurwę jedną, strzeli, że ona, dziwka, będzie mieć od razu dwa organizmy! On, Rącz, ją utrzymuje. Silvia ma wszystko, czego tylko zapragnie. On, Rącz, w zamian nie chce nic, tylko tyle, żeby była dla niego choć trochę miła! Nie podoba się? Proszę bardzo! On, Rącz, nie każe jej siedzieć sobie na karku! On, Rącz, wziął ją z ulicy i zrobił z niej swoją kochankę! Jeżeli Silvia chce znowu wystawać na ulicy i robić hopsasa w klubie „Ambassador”, to droga wolna!

Silvia wstaje z sofy. Dwa razy jej tego nie trzeba powtarzać! Wcale! Silvia wyjmuje z szafy ubrania i szybko narzuca coś na siebie. Przez łyż niewiele widzi. Boli ją tyłek. Ubiera się, wkłada buty, bierze torebkę i z całej siły zatrzaskuje za sobą drzwi.

Rącz wybiega za nią na korytarz.

– Nie trzaskaj drzwiami, bo jak ja cię trzasnę!

Ale Silvia już zbiega po schodach. Stukot jej obcasów przypomina trzepot skrzydeł ptaka wylatującego z klatki.

– Wypierdalaj, jak ci się nie podoba! – krzyczy za nią Rącz i trzaska drzwiami, aż trzęsie się cały budynek. Rącz wraca do apartamentu i siada ze szklanką whisky. Co za tupet, myśli. Co ona sobie wyobraża? On, Rącz, nie jest pierwszy lepszy. On, Rącz, jest kimś. Kimś!

Wchodzi Ďula.

– Szefie, co się stało? – pyta.

– Nic – odpowiada Rącz. – Siadaj i pij!

– Nie, dziękuję, szefie – odpowiada Ďula. – Będę dziś jeszcze prowadzić. Muszę przywieźć dwadzieścia nowych krzeseł z meblowego. Ostatnio coś dziwnie znikają.

– Siadaj na dupie i pij chivasa regala! – komenderuje Ráč. – Nikt od tego nie umrze. Niech siedzą na ziemi, jak nie mają krzeseł!

Ďula siada niechętnie i chwyta za szklanę.

– Na zdrowie – mamrocze i wypija whisky.

– Zdrowie – odpowiada Ráč w zamyśleniu. – Jeszcze tu wróci! – dodaje z pewnością. – Ale wykreśl ją z listy – zwraca się do Ďuli. – I tę jej Editę też! Już ja im pokażę! – Ráč grozi pięścią.

Po chwili butelka jest pusta. Większość wypił Ráč, Ďula tylko kosztował. Ráč ma mocną głowę. Niczego po nim nie widać. Siedzi i patrzy. Od czasu do czasu bełkocze jakieś przekleństwo w obcym języku. Ale mimo wszystko można zauważyć, że butelka szkockiej trochę go uspokoiła. Palacz myśli już o czymś innym, uśmiecha się nawet.

– Nic się nie bój, Ďula – mówi. – Będziemy się świetnie bawić! Uuu, ale imprezę sobie zrobimy w Sylwestra! Z Silvią lub bez. Lepiej bez!

Ďula energicznie potakuje. To dla niego zaszczyt, że może tak sobie siedzieć z szefem, popijać szkocką whisky – nawet jeśli ta mu nie smakuje – i w ogóle mieć z szefem taką bliską relację. Ráč odstawia pustą szklanę i wstaje. Ďula też.

– Masz klucze do kotłowni? – pyta palacz.

Ďula kiwa głową. Wyciąga klucze i patrzy pytająco. Ráca już dawno tam nie było. Jedzenie Cyganom zanoszą on, Ďula. Czasem o tym zapomina, kiedy indziej mu się nie chce albo nie ma czasu. Jeśli Berki i Šípoš marudzą, Ďula grozi im, że przyjdzie Ráč i będzie ich torturował gorącym pogrzebaczem. Cyganie wtedy milkną. Cieszą się, że chociaż czasem mogą się najeść.

– Po co klucze? – pyta Ďula.

– Zobaczysz – odpowiada Ráč. – Muszę coś załatwić. Coś bardzo ważnego.

To musi być naprawdę coś, myśli Ďula. SzeF się uśmiecha, a normalnie nigdy tego nie robi. Bo i po co?

Wychudzeni Cyganie patrzą na nich wielkimi oczami. Kłaniają się Ráčowi na wyścigi.

– O, drogi szefie! – mówi Berki z szacunkiem. – Na pewno szef przyszedł, żeby wypuścić mnie do żony i dzieci! Oj, ile radości dla biednego Roma!

Obaj Cyganie się cieszą.

– Zamknij mordę, brudna świnió! – zwraca się Ďula do Berkiego. – SzeF was puści, jak mu się zechce. A jak mu się nie zechce, będziecie gnić tu na zawsze.

Ráč stoi w milczeniu przy schodach. Nie zwraca uwagi na Cyganów. Ogląda kotłownię. Kiedy to było, jak tu żył i pracował? Już nawet nie pamięta.

Šípoš zabiera głos:

– Wielmożny panie! Ja to zwykły Cygan, romano, wolny ptak. Nie mam nic poza żoną i gromadką dzieci, choler jednych. To on – tu Šípoš wskazuje na Berkiego – jest złym Cyganem. Ja, Šípoš, jestem dobry Cygan. Dwóch nas w kotłowni nie trzeba. Jeśli wielmożny pan mnie wypuści, Berki sobie sam doskonale poradzi.

– Ty baro kar! – krzyczy Berki i zaciska pięści. – Haz jeg na mindž?

Już, już ma się rzucić na Šípoša.

– Cisza! – krzyczy palacz. – Jeżeli jeden z was tu sobie sam poradzi, to drugiego mogę wypuścić. Ale tędy. – Ráč pokazuje rozpalony kocioł. – Przez komin!

Cyganie milkną. Trzęsą się ze strachu.

– Nikt was tu, do kotłowni, nie zapraszał – mówi Rącz. – Sami przyleźliście! I nagle wam się nie podoba? Przecież niczego wam tu nie brakuje. Zimno wam? Nie macie co jeść? Ciężko pracujecie?

– Dla cygańskiej świni każda robota jest ciężka – mówi Ďula i wygraża Cyganom pięścią. – A teraz zamknąć mordy i ustawić się tam pod ścianą. Nie przyszliśmy tu do was.

Ďula zerka na Racza. Rącz pokazuje na zawory.

– Zakręć trzeci z lewej – mówi.

Ďula pstryka palcami na Cyganów.

– Słyszeliście? – krzyczy.

Cyganie biegną do zaworów. Łachmany, które kiedyś były drogimi skórzanymi kurtkami, włoskimi koszulami i szytymi na miarę modnymi spodniami, fruują wokół ich wychudzonych ciał.

– Trzeci zawór z lewej zakręcić! – rozkazuje Ďula.

Cyganie kręcą, jakby od tego zależało ich życie. Kiedy kończą, Ďula dokręca zawór kluczem.

– Cyganie się dziś nagadali. Za karę nie będą zreć!

– Oczywiście, szefie! – przytakuje z radością Ďula. – To ich nauczy, żeby nie otwierać gęby, jak nikt ich nie prosi! Szefie, czy mogę spytać – ciągnie Ďula, gdy stoją już za blaszanymi drzwiami. – Mogę spytać, co właściwie teraz zrobiliśmy?

Przez okna kuchni wyglądają pomoce kuchenne, pomywaczki. Jest między nimi też Ribana. Pokrzykują na Racza i Ďulę.

– Czego one chcą? – pyta Rącz, bo nie rozumie.

– Żebyśmy przyszli je odwiedzić – odpowiada Ďula.

– No to chodźmy – decyduje Rącz, który wpadł w sentymentalny nastrój.

– Szef tak na poważnie? – Ďula nie może uwierzyć.

– Idziemy! – mówi palacz i kieruje się w stronę tylnego wejścia do kuchni.

W środku wita go znajomy zapach gotowanego jedzenia, środków do dezynfekcji i wilgotnego zaduchu. Szef kuchni prawie mdleje, widząc Rácza spacerującego między garami w towarzystwie Ďuli. Wyrzuca peta i staje na baczność. Ale Rącz nie zwraca na niego uwagi. Zagląda pod podskakujące pokrywki, sprawdza patelnie i piekarniki.

– No – zwraca się do Ďuli. – Co zjemy?

Ďula wzrusza ramionami. Rącz chwytą nabierak i wyławia wielki kawał gotowanego mięsa.

– Talerz dla szefa! – krzyczy Ďula.

Rącz je w szatni pomywaczek. Wchodzi Ribana z butelką wina od szefa kuchni. Rącz przygląda się etykietce na butelce, a następnie Ribanie. Cyganka jest brzydka i wychudzona. Pod fartuchem rysują się smętnie wiszące piersi. Ręce ma zdarte od zmywania naczyń – ale to wszystko nie przeszkadza Rączowi się podniecić.

– Chcesz zamoczyć? – pyta Cyganka.

– Co? – Rącz odstawia butelkę na stół.

– No czy chcesz to zrobić? – wyjaśnia Ribana.

– Masz na myśli... – Palacz zrozumiał.

Cyganka potakuje z wysuniętym językiem. Rącz bierze kęs mięsa i wstaje. Ribana opiera się łokciami o stół i wypina tyłek. Rącz, żując mięso, podchodzi do niej i podnosi fartuch, pod którym Ribana nie ma nic poza gołym tyłkiem. Rącz rozpina spodnie. Prącie sterczy do przodu, lekko zadarte. Palacz przesuwa po nim parę razy ręką, po czym wchodzi w Cyganke. Spółkują intensywnie, choć krótko. Potem Rącz nieruchomieje, przestaje przeżuwać i głośno wypuszcza powietrze. Krztusi się. Kaszle.

– Fajnie, nie? – pyta Ribana. – Ze mną możesz zawsze, jak będziesz miał ochotę.

Ribana śmieje się, ukazując niepełne uzębienie. Ona, Ribana, wie, że Ráčz jest tu teraz wielkim szefem i że baby ma na każdym kroku. Ale w razie czego po nią, Ribanę, może posłać w dowolnym momencie.

Ráčz i Ďula wychodzą z kuchni na podwórze.

– Niech się szef nie gniewa, ale wciąż nie wiem, co właściwie zrobiliśmy w kotłowni.

Ráčz się zatrzymuje i spogląda na Ďulę.

– Zaczęliśmy tam imprezę sylwestrową, debilu! – mówi. Ďula nie rozumie, ale milczy. – Jak myślisz, dlaczego jedliśmy obiad w kuchni, a nie w restauracji?

– Nie wiem – przyznaje szofer.

– To się tam przejdź. Poczekam na ciebie w recepcji.

Ďula wraca po chwili. Śmieje się od ucha do ucha.

– Szefie, oni tam mają noc polarną! Restauracja jest pusta, goście zawracają od drzwi. Kelnerzy grzeją się w kuchni. To przez ten zakręcony zawór? – pyta Ďula.

Ráčz nie odpowiada. Siedzi w fotelu przy recepcji i rozkoszuje się swoim zwycięstwem.

– I co teraz, szefie? – dopytuje Ďula.

– Nic. Czekamy, aż kierownik restauracji przyjdzie nam powiedzieć, że sala restauracyjna jest już wolna.

Mozoň (Cichy), Šolík (Owsik) i Tupý (Mac) mają się wyśmienicie. Kupili sobie wideo i komputer, nie nudzą się. Całymi dniami grają w bombardowanie Moskwy. Mozoň (Cichy) nie musi się już ratować gazetkami pornograficznymi, co chwila ktoś przynosi nową kasetę z filmem. Żony są zadowolone. Pieniądzy nie brakuje. A jeśli zaczyna brakować, Šolík (Owsik) i Tupý (Mac) ruszają w okolice hotelu

„Ambassador” lub innego, wynajdują młodego, niedoświadczonego cinkciarza i wciskają mu pod nos swoje legitymacje. Pieniądze zmieniają właściciela. Łupy są duże, ale nie tak wielkie, jak ten za pierwszym razem, taki już się nie powtórzył. Ostatnio byłym funkcjonariuszom już się nie chce siedzieć bez przerwy w willi. Spotykają się rano. Przez jakiś czas oglądają filmy na wideo. Później grają na komputerze. Potem już nie mają co robić. Mozoň (Cichy) patrzy przez okno, Šolík (Owsik) śpi z gazetą na twarzy. Tupego (Maca) przestało cieszyć sporządzanie listy ludzi, których wysła do więzienia, gdy karta się odwróci, więc siedzi i patrzy w pustkę. Kiedy na jego dolnej wardze pojawia się strużka śliny, odruchowo wyciera ją wierzchem dłoni.

– Może byśmy poszli dokądś na kawę? – proponuje Mozoň (Cichy). Jego podwładni nieruchomieją.

– Tak – ciągnie Mozoň (Cichy). – Chodźmy na kawę. Baczność!

Mozoň (Cichy) wstaje, a pozostali wraz z nim.

– Tylko dokąd, naczelniku? – pyta Šolík (Owsik).

– Dokąd? – powtarza sarkastycznie Mozoň (Cichy). – Tam, gdzie możemy też coś zarobić. Pójdziemy na kawę, że tak powiem, służbowo! Do hotelu „Ambassador”!

Mozoň (Cichy), Šolík (Owsik) i Tupý (Mac) nie mają samochodu. Dobrze, że choć willę udało im się uratować. Do centrum jadą trolejbusem. Ale biletów nie kupują. Gdyby pojawił się kanar, pokażą mu legitymacje wydziału kryminalnego. Do wyboru, do koloru.

W barze hotelu „Ambassador” jest mało ludzi. Mozoň (Cichy), Šolík (Owsik) i Tupý (Mac) siadają i zamawiają kawę. Milczą i dyskretnie obserwują pomieszczenie. Kelner porusza się bezszelestnie. W rogu siedzi potężny zachmurzony facet w drogiej skórzanej kurtce o dziwnym kroju. Naprzeciwko niego dobrze ubrany mężczyzna w typie bałkańskim przelicza pieniądze. Przesuwa je po

stole w stronę zachmurzonego, który bez liczenia wkłada je za pazuchę. Bałkaniec żegna się i szybko opuszcza bar. Zachmurzony siedzi jeszcze przez chwilę, dopija drinka i też szykuje się do wyjścia.

– Za nim! – mówi szeptem Mozoň (Cichy) Šolíkowi (Owsikowi) i Tupemu (Macowi). – I nie wracajcie bez pieniędzy!

Ráčz akurat wychodzi z toalety i zapina rozporek, kiedy nagle przed jego twarzą pojawia się legitymacja policyjna.

– Co to ma być? – pyta zaskoczony dwóch uśmiechniętych młodzieńców z legitymacjami.

– Proszę iść z nami i niech pan nie robi scen – mówi jeden z nich cicho, ale stanowczo.

– Ale po co? – pyta Ráčz.

Młodzieńcy zastanawiają się, jak odpowiedzieć na tak postawione pytanie.

– Proszę okazać dowód osobisty! – mówi nagle jeden z nich.

Ráčz wyciąga dowód, ale nie wypuszcza go z ręki.

– Ja tu pracuję! – oznajmia.

– Tak? – pyta jeden z tajniaków z groźbą w głosie.

– A czym się pan zajmuje? – pyta ten dobry.

– Jestem palaczem! – mówi Ráčz. – Tu mam pieczętkę: Interhotel Ambassador, widzicie?

Dowód osobisty znika w kieszonce koszuli Ráčza.

– Proszę pokazać zawartość wszystkich kieszeni! – mówi ten zły.

– Pojebało was? – Ráčz wybałusza oczy. – Co jest? Za mało wam płacę, że sobie jaja robicie? Z jakiego wydziału jesteście? Nowi?

– To jak będzie z tymi kieszeniami? – krzyczy ten zły i mruga do tego dobrego. Dobry w jednej chwili łapie palacza z tyłu za rękę. Ten zły rozpina Ráčzowi zamek w kurtce i sięga za pazuchę.

Ráčz robi unik i czerwienieje na twarzy. Wielkimi ze zdziwienia

oczami patrzy na tajniaka i powoli wyswobadza się z uścisku. Prawą dłonią łapie tego złego za rękę, wyciąga ją ze swojej kieszeni i wykręca do tyłu. Zaciska pięść i wali tajniaka w twarz. Uderzenie jest tak silne, że obaj bezpieczniacy padają na podłogę. Leżą i niczego nie rozumieją. Tego jeszcze nie było. Ten dobry ma usta pełne krwi, plomb i koronek, które mu wypadły. Ale Rącz nie czeka, aż dojdą do siebie, i szybko opuszcza toaletę. Tupý (Mac) z trudem staje na nogi. Kręci mu się w głowie. Pluje krwią, plombami i koronkami. Bierze do ręki olbrzymi pistolet policyjny i celuje w stronę znikającego Racza.

– Nie! – krzyczy Šolík (Owsik) z podłogi. – Nie strzelaj!

Ale jest już za późno. Słysząc strzał, a korytarz wypełnia się szczypiącym w oczy dymem. Szklane drzwi, za którymi zniknął palacz, rozsypują się w pył. Świszcząca kula leci przez recepcję i wbija się w ścianę nad wystraszonym i kurczowo trzymającym się lady Torontálem. Po chwili otepienia starzec zdaje sobie sprawę ze swojej sytuacji i mdleje. Ale jego pragnienie, aby być w centrum uwagi, nie zostaje spełnione. Nikt na niego nie patrzy, wszyscy z recepcji pędzą do baru. Z piskiem usuwają się z drogi Tupemu (Macowi), który wpada do holu, mierząc do wszystkiego z dymiącego pistoletu. Tajniak wybiega z hotelu, a jego kolega za nim.

– Oszalałeś? – krzyczy Šolík (Owsik) do Tupego (Maca). – Uciekamy!

Mężczyźni chowają się za rogiem. Tupý (Mac) wkłada pistolet do kabury i zapina kurtkę. Jak gdyby nigdy nic idą na przystanek trolejbusowy, zostawiając swojego przełożonego w barze hotelu „Ambassador”.

– Poszsałuję tego! – cedzi Tupý (Mac) i pluje krwią w śnieg. – Poszsałuję tego! Srobię mu w bszuchu taką ziurę! – ciągnie, pokazując za pomocą dwóch kciuków i palców wskazujących średnicę planowanej dziury.

Mozoň (Cichy) wciąż siedzi w barze hotelu. Nawet w trakcie wszechobecnego zamieszania niczego nie dał po sobie poznać.

– Pan z nimi siedział – zwraca się do Mozonia (Cichego) kelner.

– Ja? – pyta Mozoň (Cichy). – Siedziałem, ale ich nie znam.

On, Mozoň (Cichy), tylko się do nich przysiadł. Nie wie, kim są.

Kelner patrzy na niego z niedowierzaniem.

– Niech pan tu poczeka! – mówi – Za chwilę przyjdzie zastępca dyrektora hotelu i zdecyduje, co z panem zrobić!

Mozoň (Cichy) nie boi się niczego. Na wszelki wypadek po kryjomu chowa do kieszeni pistolet gazowy, który w razie potrzeby pozwoli mu szybko się ulotnić. Dopija kawę.

Przez roztrzaskane drzwi wchodzi hotelowy prawnik. Udało się go złapać w jednej z tych cennych chwil, w czasie których przebywa w hotelu. Od kilku dni siedzi non stop w swoim gabinecie i odbiera telefony. Sprzedał już pięć škod favorit. Nie mógł się teraz wycofać. Prawniki wie, że hotel bez niczyjej pomocy działa jak dobrze naoliwiona maszyna. Zarząd sam wszystkiego dopilnuje. Ale wyjątkowe zdarzenia, jak ta strzelanina, to już nie takie hop-siup.

Jeśli nic innego nie da się zrobić, trzeba to przynajmniej wyciszyć. Prawniki nie może sobie pozwolić na to, żeby hotel „Ambassador” przyciągał większą niż dotychczas uwagę, zwłaszcza że te nieszczęsne škody były zamawiane przez hotel.

– Dobrze, załatwię to z nim – mówi prawniki, kiedy słyszy o sprawie nieznanego pijącego kawę w barze „Ambassador”. – Trzeba z tym zrobić porządek. Umyć korytarz z krwi. Czyja to krew, Rácza? – pyta pełen nadziei.

– Nie – odpowiada kelner. – Szefowi nic się nie stało.

Prawniki podchodzi do Mozonia (Cichego). Kelner ciekawie nadstawia uszu.

– Dzień dobry – mówi prawnik.

– Dzień dobry – odpowiada Mozoń (Cichy).

– Mogę pana prosić do mojego gabinetu? – pyta prawnik celowo głośno, żeby kelner to usłyszał. – To tylko formalność.

– Nie ma problemu – mówi Mozoń (Cichy) i wstaje.

Prawnik wskazuje mu drogę.

– Proszę bardzo.

– Kurwa, ile myśmy się już nie widzieli? – odzywa się Mozoń (Cichy) w windzie.

– Dziesięć lat? – zastanawia się prawnik.

– Może być – odpowiada Mozoń (Cichy). – Ty tu jesteś zastępcą dyrektora?

– Prawnikiem hotelowym. Dyrektor jest... chory, więc go zastępuję. A ty co? Dobrze pamiętam, że jak cię wyrzucili ze studiów, to poszedłeś do szkoły policyjnej? Pracujesz tam jeszcze?

Mozoń (Cichy) robi tajemniczą minę. Kiwa głową.

Winda zatrzymuje się na drugim piętrze. Mężczyźni idą korytarzem, prawnik otwiera drzwi do gabinetu. Wchodzą.

– Napij się wódki? – pyta prawnik.

Mozoń (Cichy) kiwa głową.

– Człowieku, ale się cieszę, że się spotykamy po tylu latach – mówi prawnik i rozlewa wódkę do kieliszków. Wznoszą toast i prawnik uzupełnia kieliszki.

– To jak? – pyta po piątej kolejce. – Jesteś tu służbowo?

– Co? – Pijany Mozoń (Cichy) macha ręką. – Wszystko jest do dupy. Wszystko!

On, Mozoń (Cichy), przez całe życie wiernie służył ludowi. A w nagrodę spotkała go taka niewdzięczność! Nikogo nie obchodzi na przykład to, czy Mozoń (Cichy) ma jakąś rodzinę! On, Mozoń (Cichy),

nigdy nikogo nie skrzywdził. A jeśli nawet kiedyś kogoś walnął w ryj, to z pewnością był to jakiś śmieć: dysydent, studencina, pisarz. Nie damy zniszczyć republiki! I co jego, Mozonia (Cichego), za to spotkało? Został wyrzucony razem z resztą na zbity pysk.

– Byłeś tajniakiem? – pyta ucieszony prawnik. Wszystkie jego obawy zniknęły.

On, Mozoń (Cichy), jest też prawnikiem! Skończył prawo w szkole milicyjnej. Przez dwa lata chodził tam jak debil w każdą środę. Niech mu były kolega z roku naleje! Na zdrowie!

Mozoń (Cichy) dopija wódkę. On, Mozoń (Cichy), jest takim fachowcem od prawa jak każdy inny policjant! Ale kiedy go zwolnili i Mozoń (Cichy) szukał pracy, wszędzie mu mówiono, że tym dyplomem może sobie dupę podetrzeć! I gdzie tu jest sprawiedliwość?

– A z czego żyjesz? – pyta prawnik.

Mozoń (Cichy) robi tajemniczą minę. Ścierają się w nim sprzeczne uczucia. Z jednej strony głęboko zakorzeniony nawyk konspiracyjnego zachowania i dotrzymywania służbowych tajemnic, z drugiej – pragnienie udowodnienia staremu znajomemu, że on, Mozoń (Cichy), nie jest żadnym śmieciem.

– Gdzie pracujesz? Jesteś prywatnym detektywem? – dopytuje prawnik.

Mozoń (Cichy) wzrusza ramionami.

– Coś w tym stylu – mówi. – Chodź, coś ci pokażę!

– Daleko to? – pyta prawnik.

– Pojedziemy taksówką! – mówi Mozoń (Cichy) i poklepuje portfel.

Prawnik się zgadza. Mimo że jest już trochę podpity, coś mu mówi, że stary znajomy ze studiów prawniczych może mu się do czegoś przydać. Tak podpowiada mu jego wewnętrzny głos.

– Idziemy? – pyta Mozoń (Cichy), z trudem wstając z krzesła.

– Dobra, chodźmy! – mówi prawnik i bierze ze stołu klucze do gabinetu. Butelkę chowa do kieszeni płaszcza.

Milczący taksówkarz wiezie ich do willi. Mężczyźni śpiewają. Wesóło poklepują się po plecach. W swoich wyobrażeniach są od zawsze najlepszymi przyjaciółmi. Mozoń (Cichy) potrzebuje przyjaciela. Kogoś, kogo by lubił i kto też lubiłby jego. Przyjaźń to rzecz święta.

– Kobiety to kurwy – oznajmia prawnikowi szeptem, jakby się bał, że zaraz po tym, jak wysiądą z auta, taksówkarz pójdzie to powiedzieć jego żonie.

Prawnik potakuje. Rozwiódł się, wie, jak jest. Alimenty płaci uczciwie. Na troje dzieci. Ale on, prawnik, nie pozwoli się ograbić. Pensję ma niską, nie da się z niej dużo ściągnąć. Dorabia na boku. Jego była żona, hetera, nie może się o tym dowiedzieć. Najchętniej by jego, prawnika, puściła z torbami.

Butelka kursuje od prawnika do Mozonia (Cichego) i z powrotem. Kiedy jest już pusta, mężczyźni wyrzucają ją przez okno taksówki. Po chwili są na miejscu. Zza muru z piaskowca widać willę. Mozoń (Cichy) płaci za taksówkę i czeka, aż kierowca wyda mu resztę co do grosza.

Šolík (Owsik) i Tupý (Mac) w milczeniu i z napięciem rysującym się na twarzach przyjmują burę od pijanego Mozonia (Cichego). On, Mozoń (Cichy), wiedział, że jego podwładni są debilami, ale nie przypuszczał, że aż takimi. Ich głupota woła o pomstę do nieba! Nie umieli sobie poradzić z jednym durnym cinkciarzem. Jakby to pierwszy raz w życiu robili! Jak tak dalej pójdzie, będą mogli pożegnać się z obecnym życiem i zacząć żywić się korzonkami!

Mozoń (Cichy) upaja się swoim gniewem. Chce, żeby kolega zobaczył, jaką dysponuje władzą. Prawnikowi robi się głupio. Jest

świadkiem sceny, której najchętniej w ogóle by nie oglądał. Ale dwóm tajniakom najwidoczniej to nie przeszkadza. Z zainteresowaniem przyglądają się prawnikowi: gości jeszcze tu nie mieli. Przemowę Mozonia (Cichego) wpuszczają jednym uchem i wypuszczają drugim.

– To oni strzelali w hotelu. – Mozoň (Cichy) wciąga prawnika w rozmowę. – Debile! Jakby nie zdawali sobie sprawy, że jeśli ktoś ich złapie, to już po nich! Poruszamy się przecież w szarej strefie, idioci! – zwraca się do Šolíka (Owsika) i Tupego (Maca). – W szarej strefie!

– Falnął mnie pięścią w tfasz – broni się Tupý (Mac). – Fotem saczał usiekać. Chciałem go zaszywać. Szeby nie uciekł!

Šolík (Owsik) przychodzi mu z odsieczą:

– Nie chciał nas słuchać, naczelniku! Nie chciał pokazać, co ma w kieszeni! Powiedział, że pracuje w hotelu i jest palaczem! Na próbę obezwładnienia go w celu rewizji zareagował przemocą.

Prawnik włącza się do dyskusji.

– Koledzy – zaczyna. – Nie bardzo wiem, o co chodzi i nawet mnie to nie interesuje! Ale powiedzcie mi, za jaką cenę bylibyście w stanie wrócić do hotelu i pozbyć się tego palacza. Nie musi to być dziś ani jutro. Wystarczy mi pewność, że dni palacza w hotelu są policzone. Da się to załatwić?

Trzech tajniaków się rozpromienia, rysy twarzy im łagodnieją, jakby nagle usłyszeli starą, dawno zapomnianą melodię.

Mozoň (Cichy) chrząka.

– Wszystko się da załatwić – mówi. – Ale najpierw powiedz, jaki masz interes w zlikwidowaniu zwykłego, normalnego cinkciarza?

– Zwykłego cinkciarza?! – wykrzykuje prawnik i w skrócie wyjaśnia tajniakom, jak potężnym zawodnikiem jest Rącz. Trzyma w garści cały hotel i okolicę. Wszyscy się go boją! Cinkciarze we wszystkim go słuchają, jest ich niekoronowanym królem. On, hotelowy prawnik, ma wielkie plany związane z hotelem

„Ambassador”. Musi mieć wolną rękę, żeby móc je zrealizować. Zarząd hotelu z pewnością chętnie wybrałby go na dyrektora zamiast tego starego, który niczego nie potrafi załatwić. Ale ludzie boją się palacza, bo on wszystkich terroryzuje. W każdej chwili może wyłączyć ogrzewanie. Pieniędzy ma jak lodu. Prawnik boi się, że w tej sytuacji zarząd hotelu mógłby wybrać na dyrektora właśnie Rácza. Dlatego on, prawnik, daje swoim nowym przyjaciołom sto tysięcy za zlikwidowanie palacza!

– Sto tysięcy to piękna kwota – mówi Mozoň (Cichy) i siada. – Nie ma potrzeby, żebyśmy go zabijali. Wystarczy, jeśli na kilka miesięcy zniknie ze sceny. Po powrocie będzie tak obsrany, że będzie marzył tylko o tym, żeby wrócić do swojej wsi.

On, Mozoň (Cichy), ma do tego odpowiedni sprzęt. W piwnicach willi znajduje się kilka bardzo przestronnych cel. Nikt z nich jeszcze nigdy nie korzystał, ale Mozoň (Cichy) czuje, że ich czas właśnie nadszedł. Niewygodny palacz stanie się na jakiś czas mieszkańcem jednej z nich. O chlebie i wodzie będzie miał okazję do zastanowienia się nad tym, czy przeprowadzka do miasta była dobrym pomysłem. On, Mozoň (Cichy), sądzi, że dwa, trzy miesiące odosobnienia powinny palaczowi wystarczyć.

Mozoň (Cichy) wstaje i gestem zaprasza prawnika na dół. Otwiera jakieś drzwi. Za nimi panuje ciemność. Mozoň (Cichy) włącza światło i prawnik widzi korytarz z długim rzędem blaszanych drzwi po obu stronach. W każdych drzwiach znajduje się małe okienko z klapką.

– No, i co na to powiesz? – pyta Mozoň (Cichy). Prawnik kiwa głową z aprobatą. – Wsadzimy go tutaj! Nic się nie bój, przejdzie mu ochota do zabawy w niekoronowanego króla hotelu „Ambassador”! Chcesz zajrzeć do środka? – Prawnik kręci głową. Trzęsie się z zimna. Mozoň (Cichy) gasi światło i zamyka drzwi. – Sto tysięcy, powiadasz? – pyta prawnika.

– Sto tysięcy! – potwierdza prawnik. – Plus koszty trzymania go tutaj.

Mozoň (Cichy) przytakuje.

– Gorzej będzie ze złapaniem go – mówi prawnik po powrocie z piwnicy. Rącz ani na chwilę nie zostaje sam. Wciąż ktoś się wokół niego kręci. Ma chłopca na posyłki – to hotelowy kierowca i dostawca. Poza tym ma też kochankę – była tancerkę z klubu. Dziwkę. On, prawnik, proponowałby, żeby pod jakimś pretekstem wywabić Racza z hotelu. Nie będzie łatwo, ale może jakoś się uda. Mozoň (Cichy) i jego podwładni będą czekać w umówionym miejscu. Ogłuszą Racza i go porwą. Tak to sobie wyobraża prawnik.

Mozoň (Cichy) chrząka. Wciąż kręci mu się w głowie, ale pod wpływem intensywnego myślenia i wizji wielkich pieniędzy jego alkoholowe upojenie wyparowało.

– To nie takie proste – mówi. On, Mozoň (Cichy), ma w tym pewne doświadczenie. Żeby porwanie się udało, musi zostać poprzedzone dokładnymi przygotowaniem. Analizą terenu. Niczego nie można zostawić przypadkowi. Najlepiej będzie, jeśli on, Mozoň (Cichy), kilka dni wcześniej zamieszka incognito w hotelu. Rozezna się we wszystkim. Będzie udawać turystę z Zachodu. W ten sposób postara się wzbudzić zainteresowanie palacza. Zaprzyjaźni się z nim. Dzięki temu później będzie łatwiej.

– O, tu jest! – Mozoň (Cichy) otwiera szafę i wyciąga z niej bakelitowe pudełko. Wyjmuje igłę zakończoną niewielkim przezroczystym balonikiem. – To bardzo silny narkotyk – mówi do prawnika. – Jeżeli uda nam się go tym ukłuć, przez godzinę będzie nieprzytomny. W tym czasie musimy go tu przetransportować i zamknąć w celi.

Mozoň (Cichy) milknie i patrzy na resztę. Prawnikowi pomysł się spodobał. Šolík (Owsik) i Tupý (Mac) spoglądają z podziwem na

swojego szefa.

– Poza tym – ciągnie Mozoň (Cichy) po włożeniu pudełka z powrotem do szafy – oprócz tych stu tysięcy koron moglibyśmy też dostać dodatkowe pieniądze z okupu. Pomogłyby nam przeczekać ten najgorszy okres. Los się wkrótce odmieni, jestem o tym przekonany. Władza znów trafi do rąk ludu pracującego. Ale do tego czasu musimy się jakoś trzymać! Zwycięstwo jest tuż-tuż! Byle nie przestawać być czujnym, towarzysze!

Šolík (Owsik) i Tupý (Mac) klaszczą zachwyceni. Cieszą się z pieniędzy, które wyciągną z prawnika i palacza. Prawnik też ma powody do zadowolenia. Czym jest sto tysięcy w porównaniu z bogactwem, które zarobi na hotelu, gdy Ráč nie będzie mu już przeszkadzał...

– Rany! – mówi nagle Šolík (Owsik), patrząc na zegarek. – Pięć po wpół do czwartej. Fajrant!

Tajniacy ubierają się szybko i pakują swoje aktówki.

– Nic się nie bój, doktorku – mówi Mozoň (Cichy) do prawnika, zamykając drzwi do willi. – Nie zostawimy cię na lodzie! My ci pomożemy.

Zmierzcha się. Mężczyźni idą powoli na przystanek.

Ráč to człowiek bez mimiki. Na jego smagłej twarzy z kilkugodzinnym zarostem nie drży ani jeden mięsień. Ráč pokazuje emocje oczami, czasem wybałuszonymi, kiedy indziej zupełnie nieruchomymi lub przymkniętymi z zadowolenia. Dostał kiedyś od kogoś okulary przeciwsłoneczne i od tego momentu nigdzie się bez nich nie rusza. Niekiedy zdarza mu się zdjąć je na ułamek sekundy i pokazać światu swoje ostre, szarobłękitne spojrzenie. Później znów, teatralnym gestem, skrywa je za czarnymi szklami. Niewielu potrafi

wytrzymać wzrok Rácza. Drobne kręgi zmarszczek wokół oczu sprawiają, że gładka skądinąd twarz nabiera inteligentnego wyrazu.

Popiół z kotłowni już dawno wypłukał się ze skóry Rácza, a odciski na stopach zniknęły dzięki miękkim włoskim mokasynom czy kowbojkom z krokodylej i wężowej skóry. Rącz lubuje się w luźnych garniturach w stylu *Policjantów z Miami*. Skórzane kurtki – czarna, popielata, brązowa i bordowa – też są o kilka numerów za duże. Rącz ma szerokie ramiona. Włosy mu odrosły i zaczęły się kręcić. Postanowił je przyciąć, ale tylko z przodu i wokół dużych uszu. Nosi fryzurę na czeskiego metala. Niekiedy używa pomady i zaczesuje włosy gładko do tyłu. W lewym uchu ma kolczyk – niewielki brylant. Silvia go namówiła. Przekłuła Rączowi ucho specjalnymi kleszczami, nawet nie bolało. Z czasem i jemu zaczęło się to podobać. Kolczyk w dyskretny sposób wskazuje na jego status majątkowy.

Bystry obserwator od razu by zauważył, że odkąd Silvia zostawiła Rácza, ten trochę się opuścił pod względem stylu. Na szczęście zdążył zapamiętać kilka sprawdzonych kombinacji i teraz nosi je na zmianę. Nie zdarza się więc, żeby włożył wysokie czarne adidas do dwurzędowego garnituru.

Pies jest mały, chudy i linieje. Nasłuchuje dużymi uszami. Śmiertelnie boi się każdego podejrzanego szmeru. Noc jest jasna. Śnieg w podwórzu hotelu „Ambassador” lśni w świetle księżyca. Dyrektor stoi w cieniu i wstrzymuje oddech. Pies powoli zbliża się do przynęty, olbrzymiej wygotowanej kości. Wciąga powietrze. Węszy. To szpic. Średniej wielkości. Dyrektor truchleje. Oczy świecą mu w ciemności. Pies łapczywie wgryza się w kość. W ułamku sekundy dyrektor zarzuca mu lasso na szyję. Pies charczy duszony przez sznur. Dyrektor wychodzi ze swojej kryjówki z liną w ręce. Im mocniej pies się szarpie,

tym ciaśniej zaciska się sznur wokół jego szyi. Szpic patrzy z ukosa na zbliżającego się dyrektora.

Dyrektor kuca. Wyciąga w stronę psa dłoń w grubej, ochronnej rękawicy. Szpic bez wahania wbija w nią zęby. Po chwili wisi już w powietrzu, kilkadziesiąt centymetrów nad chodnikiem, i rozpaczliwie macha łapami. Dopiero kiedy zaczyna tracić świadomość i nieruchomieje, kierownik opuszcza go z powrotem na śnieg. Pies przywiera do ziemi. Poddaje się. Dopiero niedawno został wyrzucony na ulicę. Jeszcze nie zapomniał, jak się zachowywać w towarzystwie ludzi. Dyrektor częstuje go kawałkiem suszonego mięsa. Pies jest wygłodniały. Dyrektor czeka, aż zwierzę połknie mięso, po czym szarpie za sznur. Pies wstaje i posłusznie idzie za swoim nowym panem.

Dostać się do hotelu „Ambassador” tak, żeby czytający gazetę recepcjonista niczego nie zauważył, jest trudne, ale nie niemożliwe. Dyrektor niepostrzeżenie wślizguje się do środka razem z psem. Przyciska się do ścian, unikając oświetlonych miejsc, aż wreszcie trafia do swojego gabinetu. Wewnątrz wita go radosna sfora dużych i małych psów. Niektóre z nich są rasowe, inne to różnej maści mieszańce. Jest dog z olbrzymim mądrym łbem i ratlerek rozpaczliwie przebierający cieniutkimi łapkami. Dyrektor wpuszcza pomiędzy psy swój nowy nabytek. Psy obwąchują się i obszczekują. Szczerzą zęby. Dyrektor obserwuje je przez jakiś czas. Doskonale rozumie, że on, dyrektor hotelu, musi jak najszybciej przystąpić do realizacji swojego genialnego planu. Wkrótce skończy się suszone mięso i psy zdechną z głodu. Na chwilę siada przy palenisku pośrodku gabinetu i dokłada do ognia nogę od krzesła. W hotelu pojawiło się więcej krzeseł. Świetnie się palą. Płomień rozświetla całe pomieszczenie, siedzącego na podłodze dyrektora i zafascynowane nim psy.

Ale odpoczynek trwa krótko. Kiedy dyrektor hotelu czuje, że ze

zmęczenia zaczyna mu opadać głowa, zrywa się na równe nogi. Wychodzi na ciemny korytarz i idzie w dół po schodach. Niezauważony przez nikogo opuszcza hotel i rusza w długą trasę. Na terytorium wroga, myśli sobie.

Gwiazdy powoli gasną i niebo robi się jaśniejsze, kiedy dyrektor dociera daleko poza granice miasta, do podnóża gór, które podczas całej jego drogi majaczyły na horyzoncie. Zaczyna świtać. Dyrektor spaceruje i patrzy na śnieg. Wie, że znajduje się w dobrym miejscu. Zbocze jest poznaczone śladami nart i sanek. Dyrektor to profesjonalista. W trakcie swoich wypraw myśliwskich w okolicy hotelu „Ambassador” nauczył się doskonale tropić ślady. Potrafi też nieruchomo czatować kilka godzin w ukryciu. Umie wtopić się w otoczenie. Teraz, schowany w krzakach, rozgląda się wokół. Na tle ponurego nieba fruwały ptaki. Wieś w dolinie jest pogrążona we śnie. Z kominów leci dym. Mijają godziny. Niebawem mroźne zimowe powietrze wypełnią dobiegające z oddali dziecięce głosy. Dyrektor czuwa, niewidzialny wśród gałęzi.

Dzieci zjeżdżają na sankach. Dyrektor dokonuje wyboru. Tak, podejmuje decyzję. Tamta dziewczynka w żółtej kurteczce. Zjeżdża z górki na dużych, ale lekkich sankach. Sanki suną, dziewczynka się śmieje. Dzieci piszczą! Dyrektor nie waha się dłużej. Teraz! Odgarnia gałęzie i wychodzi z ukrycia. Dzieci się boją. Dyrektor hotelu jest zarośnięty, brudny i ma nieudolnie zszyte futro. Dzieci nieruchomieją, kiedy dyrektor wrzeszczy i z rozłożonymi rękami biegnie w stronę dziewczynki w żółtej kurtce. „Ooo!”, krzyczy. Dzieci porzucają sanki i z płaczem rozbiegają się we wszystkie strony. Dyrektor goni je przez chwilę, robiąc groźne miny. Kiedy wszystkie znikają za zakrętem drogi prowadzącej do wsi, dyrektor się zatrzymuje. Zawraca. Zabiera porzucone sanki i ucieka. Wybiega na jezdnię i pędzi po obsypanym solą asfalcie. Na dźwięk nadjeżdżającego samochodu rzuca się do

rowu i przeczekuje. Potem znów wstaje i gna w stronę potoku. Włazi do płytkiej, ale lodowatej brudnej wody i kilka metrów brodzi pod prąd z sankami pod pachą. Wychodzi na brzeg. Z sankami na plecach wdrapuje się na wysoki, rozłożysty kasztanowiec. Siada na dużej gałęzi, gdzie postanawia poczekać, aż się ściemni.

Dyrektor siedzi na drzewie cały dzień i cichutko sobie śpiewa. Wie, że jeszcze za wcześnie na zwycięstwo. Żuje suszone mięso. Po obiedzie chwilę drzemie, kurczowo trzymając się gałęzi. Mięśnie twarzy mu drgają. Krzyczy coś przez sen i się budzi. Zaczęło padać. Śnieg pokrył pola białą, wilgotną warstwą.

Pod drzewem kilka razy przechodzi grupa mężczyzn z psami, pochodniami i bronią. Nie dostrzegają dyrektora. Na śniegu psy zgubiły trop. Ciągną skórzane smycze i skomlą. Zrywa się wiatr i roznosi wszędzie śnieg. Potem się ściemnia. Księżyc nie widać, niebo jest czarne jak smoła. Świeży śnieg trochę poprawia widoczność. Dyrektor po chwili wahania spuszcza sanki i złazi z drzewa. Rozciąga zeszywniałe mięśnie. Ma przed sobą nocną wędrówkę przez terytorium wroga. Rusza energicznym krokiem, wlokąc za sobą zdobyczne sanki.

Tuż przed północą Urban i Lenka wchodzą do baru w hotelu „Ambassador”. Zabawa trwa w najlepsze. Video-Urban rozgląda się po pomieszczeniu. Towarzystwo podzieliło się na małe grupki, kluby dyskusyjne. Urban zna z widzenia większość gości, niektórych osobiście. Sziptarów i dziwki nawet bardzo dobrze. Ale Lenka widzi ich wszystkich pierwszy raz. Trzyma Urbana mocno za rękę.

Rącz siedzi nieruchomo u szczytu stołu i pije. Na widok Urbana wstaje.

– Wiedziałem, że przyjdiesz – zaczyna. – Dobrze, że jesteś.

Wszystkiego pod dostatkiem, jedzenia i picia.

Zauważa Lenkę i stoi jak rażony piorunem.

Lenka przez kilka chwil też nie może oderwać od niego oczu.

– Poznajcie się – mówi Video-Urban. – Lenka, to jest Rącz. Rącz, to jest Lenka – dodaje i się odsuwa. Rącz prezentuje jeden ze swoich uśmiechów. Całuje dłoń Lenki. Lenka uśmiecha się bezradnie. Nie przeszkadza jej to staroświeckie przywitanie. Video-Urban jest zdziwiony, ale nie daje tego po sobie poznać. Nigdy by się nie spodziewał po palaczu takiej niezdarnej elegancji.

Rącz sadza swoich gości za stołem, obok siebie.

– Cieszę się... – mówi. – Cieszę się, że przyszliście. Uratowaliście mnie. Nie miałem tu z kim rozmawiać. Wszyscy przyszli się tylko nażreć i nachlać!

Rącz macha ręką, uśmiecha się ponownie i wgapia w Lenkę.

Lenka czuje się niezręcznie pod magnetycznym, metalicznym spojrzeniem potężnego i dobrze zbudowanego mężczyzny. Z jego szerokiej twarzy promieniuje nieznanego jej rodzaju energii.

– Prawdziwych przyjaciół dziś ze świecą szukać! – oznajmia Rącz sentencjonalnie i chwyta trzy kieliszki.

Video-Urban stara się nie zwracać na niego uwagi. To jakiś kolejny trik, myśli. Rącz otwiera szampana. Jest profesjonalistą, nie roni ani kropelki. Lenka uświadamia sobie, że dziwny kolega Urbana najwyraźniej pije szampana częściej niż raz do roku, w Sylwestra.

– Za przyjaźń! – mówi palacz i podnosi kieliszek.

Urbana kusi, żeby rzucić jakąś zjadliwą ripostę, ale powstrzymuje się. Co Rącz wie o przyjaźni? – zastanawia się. On, Urban, bardzo dobrze pamięta, jak Rącz kazał go śledzić, żeby dotrzeć do źródła jego, Urbana, sukcesu. Co więcej, nie wiadomo, czy to przypadkiem nie on, żądny zemsty Rącz, nasłał na Urbana tych tajniaków albo policjantów. Urban rozgląda się nerwowo. Rącz z ochotą pije swojego szampana

i odstawia kieliszek na stół. Strasznie szybko, myśli Lenka.

Milczą. Z restauracji dobiegają stłumione głosy, śmiech i muzyka grana przez wynajętą kapekę. Sziptarzy na drugim końcu stołu kłócą się o coś w swoim niezrozumiałym języku pełnym dziwnie brzmiących wyrazów. Ďula wznosi toast z pijanym Khuntem. Kurwy zostawiły niedopite kieliszki i poszły w stronę baru. Trudno nie pracować w taki dzień jak dziś!

– Urban mi zdradził, że jest pan niekoronowanym królem hotelu – mówi Lenka, uśmiechając się.

Rącz kiwa głową.

– No tak. Jestem. Mam posłuch.

W głosie Racza nie ma nawet odrobiny przechwałki. Odpowiada jak ktoś, kogo właśnie zapytano, czy to prawda, że lubi bułki z serem.

– Widać, że nie brakuje panu pewności siebie – mówi Lenka.

– Nie brakuje – zgadza się Rącz. – Na brak pewności nie narzekam. Ale dlaczego pani nic nie pije?

– Nie przepadam za alkoholem – odpowiada Lenka.

– Jest pani dziewczyną Urbana? – pyta palacz po chwili milczenia.

Lenka kręci głową. Nie, z Urbanem łączy ich tylko przyjaźń. Między nimi nie ma nic. Lenka patrzy na Urbana.

– Jesteśmy raczej jak brat z siostrą, nie? – mówi.

Urban nerwowo potakuje i patrzy na zegarek. Wpół do dwunastej.

– A pan ma żonę? – pyta Lenka palacza.

– Nie – Rącz kręci głową. Nie, on, Rącz, jest wolny. Wolny i rozczarowany miłością. Dziewczyna go zostawiła. To było coś, po czym trudno się pozbierać. Ale było, minęło. On, Rącz, wie teraz na pewno, że tamta była z nim tylko dla jego, Racza, pieniędzy. I jego, Racza, władzy. On, Rącz, chciałby poznać dziewczynę, która pokocha

go za to, jaki jest. On, Rącz, wie, że to nie jest niemożliwe.

Lenka się uśmiecha.

– To prawda – mówi. Ona, Lenka, nie ma wątpliwości, że Rącz kiedyś znajdzie taką dziewczynę. Bierze łyk szampana. Smakuje jej. Nie protestuje, kiedy Rącz dolewa, dotykając delikatnie jej ramienia.

Urban ma powyżej uszu gadania Rączka. Kogo ten bałwan właściwie udaje? Co to za idiotyczny teatrzyk? Czy palacz chce się na nim, Urbanie, zemścić w ten sposób, że ukradnie mu dziewczynę? On, Urban, jest przekonany, że nadejdzie taki czas, w którym zostanie nagrodzony za swoją cierpliwość i swoje poświęcenie. Lenka będzie jego. Inaczej po co by z nią spędzał tyle czasu? Co ona powiedziała? Jak brat z siostrą! Idiotka głupia, pseudointelektualistka! Jakby nie widziała jego, Urbana, spojrzeń! Jakby nie widziała, w jaki sposób reaguje każdy centymetr jego ciała, gdy on, Urban, przypadkowo jej dotknie!

– Nie chcesz zatańczyć? – pyta Lenkę.

Lenka odwraca wzrok od twarzy Rączka.

– Nie, nie mam ochoty – odpowiada. – Wygodnie mi tu.

Video-Urban nalewa sobie szampana i wypija go na raz.

– Jest coś mocniejszego? – pyta palacza.

– Zamów sobie w barze to, na co masz ochotę – mówi Rącz. – Niech mi dopiszą do rachunku.

Urban wstaje. Na wódkę jeszcze go stać. Odwraca się i idzie w stronę drzwi. Rącz łapie go już na progu.

– Co z tobą? – pyta z otwartymi ramionami. – Jesteś moim gościem, to pij na mój rachunek. Nie obrażaj mnie! – Rącz się uśmiecha. – Wkurza cię, że z nią rozmawiam? Przecież to nie jest twoja dziewczyna. Gdyby tak było, nawet bym na nią nie spojrzał. Dziewczyny moich przyjaciół są dla mnie tematem tabu. Mam wiele możliwości, ale ta jedna nie wchodzi w grę!

Palacz obejmuje Urbana za ramię i wskazuje na wnętrze restauracji, kapełę i parkiet.

– Spójrz – mówi. – Bab tu jak psów. Poderwij sobie jakąś. Baw się. Pij, jedz. Wszystko na mój rachunek. Stać mnie. Tylko się nie obrażaj! – Rącz puszcza Urbana i popycha w stronę restauracji. – Ona nie jest twoją dziewczyną ani siostrą. A mnie się podoba. Przyszła z tobą, ale twoja nie jest!

Video-Urban macha ręką.

– W porządku – mówi. Odpuszcza. Przy barze stoi Vanda Tirówka i szczyrzy do niego zęby. Długie nogi w czarnych rajstopach są skrzyżowane i wysyłają trudny do zignorowania sygnał.

– Ktoś tam do ciebie macha! – odzywa się Rącz. – Idź do niej i zamówcie sobie coś dobrego. – Palacz zerka na zegarek. – Przywitajcie wspólnie Nowy Rok. Zaprosiłem Vandę Tirówkę tylko ze względu na ciebie.

Rącz wraca do stołu. Nalewa szampana sobie i Lence.

– Dobry chłopak z tego Urbana – mówi i się uśmiecha. – Znamy się nie od dziś. Tylko ostatnio chodzi jakiś podenerwowany. To przez pracę. Pani nie wie, czym on się zajmuje? – dziwi się palacz. – Jak by to powiedzieć...

Lenka słucha z rosnącym przerażeniem i obrzydzeniem.

– Mnie to też obrzydza! – przytakuje Rącz. – Do tego trzeba mieć mocny żołądek!

On, Rącz, jest porządnym przedsiębiorcą. Czasem, owszem, zdarza mu się omijać prawo, ale tylko dlatego, że nie jest ono elastyczne. Kiedy się zmieni, Rącz nie będzie miał powodów, by wyszukiwać kruczki prawne. Gdzie byśmy byli, gdyby wszyscy przestrzegali idiotycznych praw i rozporządzeń? Wciąż mieszkalibyśmy w jaskiniach! Rącz patrzy na zegarek. Dochodzi dwunasta. Zerka na Lenkę.

– Lenko – mówi. – Mogę tak do pani mówić?

Lenka się uśmiecha.

– Tak – odpowiada.

– Ufasz mi? – pyta Rącz.

– Nie rozumiem.

Rącz nie wie, co robić. Za chwilę północ. Nowy Rok. On, Rącz, chciałby zaprosić Lenkę na pokaz fajerwerków. Z okna swojego apartamentu ma doskonały widok. Mieszka na samej górze, na ostatnim piętrze. On, Rącz, chciałby wiedzieć, czy Lenka pójdzie z nim na górę czy też może uważa, że on, Rącz, jest podobny do Video-Urbana.

Lenka kręci głową. Nie, ona, Lenka, wie, że Rącz jest inny. Ona, Lenka, z chęcią obejrzy pokaz fajerwerków.

– Winda dla szefa! – krzyczy recepcjonista na widok Rączka i Lenki wychodzących z restauracji i kierujących się w stronę wind. Rącz niesie zmrożoną butelkę wina musującego i kieliszki. Wsiada z Lenką do windy. Oboje milczą. Rącz patrzy na Lenkę swoimi stalowymi oczami.

– A więc tak mieszkam – zagaja Rącz po wejściu do apartamentu. Lenka rozgląda się wokół. Rącz odsłania zasłony. – Wydaje mi się, że powinniśmy zgasić światło – dodaje. – Nie masz nic przeciwko, Lenko?

– Nie – odpowiada Lenka. Wybija północ. Słysząc huk fajerwerków i krzyki dobiegające z restauracji. Rącz wprawnym gestem napełnia dwa kieliszki białą szampańską pianą. Wznoszą toast. Rącz gasi światło. Za rzeką rozbłyskują sztuczne ognie i petardy. Świeące punkciki wznoszą się wysoko w niebo, odbijają się w wodzie i gasną.

– Piękne – mówi Lenka.

– Podoba ci się? – pyta Rącz.

– Tak. Czyli mieszkasz tutaj? – pyta, gdy fajerwerki gasną i gdy Rącz zapala światło.

– Tutaj. Jeszcze szampana?

– Poproszę. – Lenka kiwa głową. – Ale tylko troszeczkę.

Rącz przez chwilę zastanawia się, czy powiedzieć, co myśli. Nie może się opanować.

– Kiedyś cały ten hotel będzie należał do mnie – oznajmia stanowczo.

– Naprawdę?

– Naprawdę – potwierdza Rącz. Lenka wkrótce się o tym przekona. On, Rącz, wykupi tu wszystko, co tylko jest do kupienia!

– Na to potrzeba dużych pieniędzy – zauważa Lenka, której szampan zaczyna uderzać do głowy.

– Pieniądze to nie problem – mówi Rącz. – Ja forszę mam. Nie jestem takim nieudacznikiem jak Video-Urban!

– Może już wrócimy na dół? – pyta Lenka.

– Jasne – zgadza się Rącz i przestaje się popisywać. Szuka portfela.

– Chciałabym już pójść do domu – stwierdza Lenka w holu. Z restauracji dobiega głośna muzyka, hałas, piski i dźwięki stukających kieliszków.

– Już? – pyta palacz. – Przecież jeszcze nawet porządnie sobie nie porozmawialiśmy! Jeszcze ci nie pokazałem, jak mnie tu wszyscy szanują – mówi wyraźnie rozczarowany Rącz.

Lenka uśmiecha się zmęczona.

– Dziękuję za przyjemny wieczór. I za pokaz fajerwerków.

Rącz macha ręką.

– Nie ma za co. Zadzwońię po taksówkę.

Lenka oponuje. Nie, ona, Lenka, mieszka blisko. Bardzo mu

dziękuje.

Rącz jest nieprzejednany. Na ulicach o tej godzinie kręci się pełno różnych dziwnych ludzi. Taksówka odwiezie Lenkę pod sam dom. Lence nic nie grozi.

– Taksówka dla tej damy – zwraca się Rącz do hotelowego boya. – Ale już!

Palacz odprowadza Lenkę do szatni i pomaga jej włożyć płaszcz. Oboje wychodzą z hotelu. Noc jest mroźna. Taksówka już czeka.

– Spotkamy się jeszcze? – pyta Rącz.

Lenka się uśmiecha.

– Zobaczymy.

– Chciałbym – mówi Rącz i smutnieje.

Lenka wyciąga z torebki kawałek papieru i chińskie pióro. Zapisuje kilka cyfr.

– To mój numer telefonu. Zadzwoń do mnie kiedyś. Może będę mieć czas. – Lenka podaje Rączowi karteczkę.

– Tak – mówi Rącz. – Zadzwonię na pewno.

Składa karteczkę kilka razy i czule chowa ją do kieszeni na piersi.

Lenka dopiero teraz zdaje sobie sprawę, że Rącz jest w cienkim smokingu.

– Zmarzniesz – mówi. – Idź już.

– Ja? Zmarznę? – rechocze palacz. On, Rącz, przeżył już gorsze zimy. W wojsku. Boletice, Jince! Wszyscy odchodzili od zmysłów, tylko on, Rącz, się śmiał. Jeśli Lenka będzie chciała, Rącz może nawet zdjąć smoking i rozpiąć koszulę.

– Patrz! – wykrzykuje. On, Rącz, jest wytrzymały. Jest prawdziwym mężczyzną! Zima mu niegroźna! Kiedy stoi z taką dziewczyną jak Lenka, na dworze może być nawet i minus sto stopni! A i tak będzie cały rozpalony!

Lenka chichocze.

– Wariat jesteś – mówi. – Ale uroczy! – dodaje. Dziewczyna dotyka go delikatnie w ramię i wsiada do taksówki. – Ubierz się!

– Na mój rachunek – krzyczy Rącz do taksówkarza. – Po tym kursie wróć do hotelu i mnie znajdź! Wiesz, kim jestem?

Taksówkarz potakuje.

– Jasne, szefie! Kto by pana nie znał!

Rącz mruczy zadowolony. Odsuwa się od samochodu i macha. Taksówka rusza.

Rącz poprawia muszkę i zakłada smoking. Będziesz moja, gołąbeczko, myśli, patrząc za odjeżdżającym autem. Jak Boga kocham! Będziesz moja, a ja nauczę cię tańczyć, jak ci zagram!

Po powrocie do restauracji palaczowi zastępuje drogę Video-Urban. Twarz ma czerwoną od alkoholu.

– O co chodzi? – pyta Rącz.

– Pojechała do domu? – chce wiedzieć Urban.

– Tak, taksówką – potwierdza Rącz.

– Była u ciebie na górze? – dopytuje Urban.

– A nawet jeśli? – odpowiada pytaniem Rącz.

– Skrzywdziłeś ją? – Urban zaczyna się denerwować.

Rącz się śmieje, odsuwa Urbana i idzie dalej.

– Mówię poważnie. Nie dam ci jej skrzywdzić. Ona nie jest jak te dziwki z klubu. To nie jest dziewczyna dla ciebie!

Palacz się odwraca. A dlaczego on, Rącz, miałby mieć tylko kurwy z hotelu? Czy gdzieś jest napisane, że nie może się zakochać w porządnej dziewczynie? Kto zdecydował o tym, że Rącz nie ma prawa do miłości? Kto powiedział, że Rącz może mieć tylko Cyganki i kurwy? Niech mu Urban da święty spokój! Urban chyba nie zdaje sobie sprawy, że sam jest dla Lenki nikim! Nie bez powodu się z nim

nie pożegnała! To mało? On, Rącz, nawet jej nie dotknął. Pojechali na górę oglądać pokaz fajerwerków. Romantycznie. Dała mu swój numer. Czemu nie? A Urban niech się lepiej przestanie zachowywać, jakby był jej rodziną! Bo nie jest! Urban jest jego, Rącz, gościem. Więc niech się bawi, tańczy! Niech je i pije, ile tylko chce. Może sobie nawet zaruchać, Vanda Tirówka tylko na to czeka! Ale niech się nie wtrąca w jego, Rącz, sprawy! Mógłby tego kiedyś pożałować! To nie groźba, ale przyjacielskie ostrzeżenie!

Wypełnione złością stalowe oczy Rącz błyszczą. Dłonie zaciskają się w pięści. Rącz obserwuje podskakującego Urbana. Po chwili zmienia ton. Uśmiecha się. Podchodzi do Urbana i przyjacielsko klepie go po plecach.

– Ale co tam! Przecież nie będziemy się tu kłócić! – mówi. – Jesteśmy przyjaciółmi. Mało to targów dobiliśmy razem? Ile się znamy? Po co to wszystko? Przez jedną babę? Jeszcze się okaże, że z żadnym z nas się nie bzyknie!

Przychodzi taksówkarz. Rącz mu płaci.

– Reszta dla ciebie – oznajmia szczerze. On, Rącz, chce znać adres dziewczyny.

– Nie podała mi go – mówi taksówkarz. – Kazała się zatrzymać za mostem i wysiadła.

– No dobra – powiada Rącz i zwraca się do Urbana: – Ty mi go podasz. Chcę jej posłać kwiaty. Najdroższe. Sto orchidei. Tylko nie wiem, gdzie mieszka.

Urban milczy. Rącz obejmuje go ramieniem i popycha w stronę baru.

– Nie musisz teraz – mówi przyjacielsko. – Kwiaty mogą poczekać. Napijmy się. Dwa razy chivas regal! – krzyczy. Zmusza Urbana do wypicia alkoholu jednym haustem. Mocnymi zębami gryzie lód jak orzeszki. Zamawia następną kolejkę. Macha Vandzie

Tirówce. – Zajmij się nim porządnie – mówi. – Zrób mu wszystko, czego tylko będzie chciał! – Rác z wyciąga dwa banknoty stumarkowe i wciska je prostytutce za dekolt. Jego, Rácza, na to stać. Kilka stów to dla niego nic! A zwłaszcza dziś!

– Pijemy! – krzyczy Rác do Ďuli i Khunta, obzerających się w restauracji. – Przynieście trzy butelki szampana! – woła do kelnera. – Dla każdego po jednej!

Ďula i Khunt cieszą się jak dzieci. Lubią chlać, póki się nie porzygają. Wtedy nawet dziewczyny ich nie interesują. Z kolei Rác ma mocną głowę. Siedzi i pije. Jego towarzysze trzymają się wprawdzie prosto, ale oczy zasły im mgłą. Już zresztą wymiotowali. Pojawia się coraz więcej pustych butelek. Kiedy kelner przynosi kolejne trzy wina musujące, Rác nie wytrzymuje. Jednym ruchem ręki strąca je ze stołu. Brzęk tłuczonego szkła budzi wszystkich.

– Wystarczy tej wody do bekania! – krzyczy Rác do kelnera. – Przynieś whisky! Chivas regal!

Ďula zwraca pod stół na sam dźwięk tych słów. Khunt nie, ponieważ jest nieprzytomny. Siedzi z otwartymi oczami i nieobecnym wyrazem twarzy. Rác kilkakrotnie spluwa mu na twarz, ale Khunt nie reaguje.

– Do chuja! – mówi rozczarowany Rác, który ma dziś ochotę na zabawę. Czuje się szczęśliwy! Nie, nie ma co wybiegać w przyszłość. Ale poznał dziewczynę ze swoich snów. Nie jest ani kurwą, ani wiejską dziewczuchą. A on, Rác z, też nie jest jej obojętny. Ma wrażenie, że się spodobał. On, Rác z, nie wie tego na pewno, ale wydaje mu się, że się zakochał. W dziewczynie z miasta, inteligentnej. Rác z czuje do niej coś zupełnie innego niż do Silvii. Silvia to zwykła kurwa. A Eržika? Dopiero teraz Rác z rozumie, że to, co czuł, to w ogóle nie była miłość. On, Rác z, dał z siebie zrobić debila. Przed całą wsią. Silvia? Zwykła sprzedajna kurwa. Poleciała na jego, Rácza, pieniądze. Ale ona nie jest

mu nie winna, wszystko, co na nią wydał, przeruchał. Czy Ďula go w ogóle słuca?

Ráč z wali śpiącego pięścią w czoło. Ďula otwiera oczy. On, Ráč, poradzi sobie i bez Silvii. Tylko Silvia musi mu zwrócić wszystkie prezenty, które od niego dostała. Futro, buty, zegarek, złoto i tak dalej. A on, Ráč, już zadba o to, żeby jej nie przyjeźli z powrotem do klubu „Ambassador”. On już o to zadba! Edita pojedzie z nią na tym samym wózku. Przynajmniej będą miały czas, żeby biegać po sklepach jak kot z pęcherzem. Ale już nie za jego, Ráca, pieniądze! Koniec z tym! Czy Ďula go w ogóle słuca?

Ďula podnosi głowę.

– Oczywiście, szefie.

– To o czym mówiłem? – pyta palacz ostro.

– Że koniec z tym – odpowiada Ďula.

– Właśnie tak. Koniec!

On, Ráč, już nie będzie dojną krową. Już się nie będzie dawał oskubywać pasożytom! Teraz dopiero się zacznie! A z drugiej strony taka Lenka. Ráč bierze łyk wódki. Ona w nim, Rácu, widzi coś więcej niż pieniądze. Oczywiście, jego majątek i władza też jej imponują. Ale to coś innego. Kobietom zawsze będą imponować mężczyźni sukcesu. A on, Ráč, jest mężczyzną sukcesu. Wszystkiego, co ma, dorobił się sam. Tymi oto rękami i tą oto głową. Czy taki Video-Urban może się z nim równać? Miejski debil! Oszust! Śmieć! Takie wydelikaczone inteligenckie chujki zawsze zgarniają najlepsze baby, a prawdziwym mężczyznom, jak Ráč, zostają już tylko kurwy, jak Silvia, i wiejskie świnię, jak Eržika! Niedoczekanie!

Ďula leży na stole.

– Muzyka! – krzyczy Ráč i wali pięścią w stół. – Ráč chce się bawić! A tu atmosfera jak w kostnicy, hétszentségét!

Muzykanci biegną, złani potem. Ráč wstaje, chodzi od jednego do

drugiego i przykleja im do czoła banknoty tysiąckoronowe.

– Moją ulubioną! – rozkazuje i podnosi ręce nad głowę. – *Rivers of Babylon!*

Cyganie patrzą po sobie, odliczają takt w metrum czardasza i zaczynają grać na klarnetach. Ich oliwkowe twarze błyszczą. Rącz tańczy z rękami w górze i półprzymkniętymi powiekami. Nie śpiewa, milczy. Podbiega do stołu i dopija resztę whisky prosto z butelki. Bierze rozmach i rozbija opróżnioną butelkę o ścianę. Cyganie już grają inną piosenkę. Rącz rusza w prysiuły.

– Hej! Hej! Hej! – krzyczy do rytmu. Świat wokół wiruje.

Wszyscy goście już poszli. Restauracja i klub są puste. Na stołach walają się butelki, talerze z resztkami jedzenia, kolorowe konfetti, pełne popielniczki. Kelnerzy stoją przy barze i liczą utarg. Muzykanci pakują instrumenty i wychodzą. Tylko od strony stolika, przy którym siedzi Rącz, dobiega cygańska muzyka i śpiew palacza. Rącz, sam jeden, pije i tańczy. Tańczy i pije. Zakochał się.

Kilka dni po Nowym Roku do hotelu „Ambassador” przyjeżdża pan Mugambia Bwawenu. Jest czarny jak węgiel. Białka oczu świecą. W recepcji legitymuje się paszportem obywatela Republiki Mayombé. Stacza bój o swój bagaż z boyem Torontálem, ale po chwili ustępuje. Uradowany starzec obłapia pajęczymi palcami uchwyt walizki i z ciężkim dyszeniem niezdarnie rusza w stronę wind.

W pokoju stawia walizkę na podłodze i cierpliwie czeka na napiwek. Nerwowo zaciska i rozluźnia suche dłonie. Pan Bwawenu sięga do kieszeni spodni i wyciąga dwie korony. Wręcza chciwemu starcowi. Torontál robi rozczarowaną minę.

– Więcej nie mam – mówi Murzyn. – Jeszcze nie byłem w banku. Poza tym przyjechałem z biednego kraju Trzeciego Świata. Są tam

tylko muchy i piasek. Tak, mówię po słowacku – dodaje Bwawenu, widząc zdziwienie Torontála. – Studiowałem tutaj. Jestem Murzynem, ale po studiach!

Torontál odchodzi, mamrocząc coś gniewnie.

Mozoň (Cichy) opada na fotel. Łapie się za głowę. Najchętniej trzepnąłby kogoś w łeb. Jeszcze nawet porządnie nie zaczął, a już popełnił tyle błędów! Jak tak dalej pójdzie, niczego się nie dowie. On, Mozoň (Cichy), zachowuje się jak amator!

Mozoň (Cichy) patrzy na swoje ręce. Czarna farba zaczyna schodzić. Jest marnej jakości. Dobrze, że zostało jeszcze całe opakowanie. On, Mozoň (Cichy), i tak ma nadzieję, że długo tu nie zabawi. Dzień, najwyżej dwa. Zorientuje się, co palacz porabia całymi dniami, dokąd chodzi i kiedy jest sam. Šolík (Owsik) i Tupý (Mac) pełnią wartę na zewnątrz, przed budynkiem. Mozoň (Cichy) zawoła ich natychmiast, gdy tylko wstrzyknie palaczowi środek nasenny. Wspólnie przeniosą Rácza do gabinetu prawnika. Tam zdecydują, co dalej. Mozoň (Cichy) ma dwie koncepcje. Albo przetransportują Rácza do willi i tam zamkną, albo od razu, jeszcze w hotelu, zabiją – tak jak chciał prawnik. Jeśli chodzi o ciało, będą je wynosić w częściach. On, Mozoň (Cichy), jest przeciwnikiem zabijania, powiedział to prawnikowi. Ale z drugiej strony, jeśli Rácza wypuszczą, istnieje ryzyko, że żądny zemsty palacz na nich doniesie. Tego jednak nie wiadomo. Palacz także ma swoje za uszami, więc gdyby po wypuszczeniu pobiegł na policję, ukreśliłby też bat na samego siebie. No nic, myśli Mozoň (Cichy). On, Mozoň (Cichy), jeszcze zobaczy.

Były tajniak wyciąga opakowanie czarnej farby, odrywa kłębek waty, po czym smaruje twarz i ręce. Opakowanie starannie zamyka i chowa z powrotem do walizki. Dwa dni, myśli sobie. Wytrzyma to bez problemu. Zauważa, że na wszystkim, czego dotyka, zostają czarne ślady. To był kretyński pomysł! Udawać Murzyna. On, Mozoň

(Cichy)! Musiał powiedzieć żonie, że wyjeżdża w delegację. Konwojować ważny transport z banku. Mozoň (Cichy) nie lubi kłamać. Nie chodzi o względy moralne czy inne tego typu głupoty! Nie lubi kłamać, bo wie, że dobry kłamca musi mieć doskonałą pamięć, żeby zapamiętać wszystko, co komu mówi. A on, Mozoň (Cichy), nie ma takiej pamięci. Choć, z drugiej strony, jego życie to jedno wielkie kłamstwo. Nawet jego żona i dwójka dzieci znają go jako Ščepána. Pod takim imieniem funkcjonuje w życiu prywatnym. Urzędnik bankowy Ščepán przestrzega instrukcji. Już za późno, żeby to zmieniać. Mozoň (Cichy) nie umie sobie wyobrazić, jak zareagowałaby jego żona, gdyby powiedział jej prawdę. Od zawsze ma go za Ščepána.

No trudno, myśli sobie Mozoň (Cichy). On, Mozoň (Cichy), wybrał się na wojnę, więc musi walczyć. Opuszcza pokój i schodzi do holu. Przy recepcji stoi mnóstwo nowych gości hotelowych. Šolík (Owsik) i Tupý (Mac) siedzą w wygodnych skórzanych fotelach. Czytają gazetę. Przez wycięte otwory dyskretnie obserwują otoczenie. Bwawenu siada niedaleko. Zakłada nogę na nogę.

– Pojebało was? – mówi półgębkiem, patrząc obojętnie w drugą stronę. Jego podwładni robią zakłopotane miny. Odkładają gazety. Obydwaj mają czarne okulary. Šolík (Owsik) dokleił sobie gęste wąsy, a Tupý (Mac) długą sztuczną brodę.

– Wyglądacie jak idioci – wyjaśnia Bwawenu, wpatrując się w ścianę.

– Szemu, naszelniku? – pyta z wyrzutem Tupý (Mac) i zerka w stronę recepcji.

Bwawenu wzdycha. Rozgląda się wokół.

– Wynocha stąd! – rozkazuje cicho, ale ostro. Šolík (Owsik) i Tupý (Mac) poprawiają się w wygodnych fotelach. Nie chcą wychodzić. Na zewnątrz panuje ziąb, a w środku jest przyjemnie ciepło.

– Ogłuchliście? – mówi Bwawenu wciąż niby to do ściany. – Wynocha! I wyrzucicie po drodze te sztuczne wąsy i okulary. Genialny kamuflaż, nie ma co. – Bwawenu odwraca się w stronę swoich podwładnych. – Słyszeliście, co powiedziałem?

– Ale tam jest zimno, naczelniku – mówi Šolík (Owsik).

– To idźcie do bufetu przed hotelem i zamówcie sobie gorącą herbatę! – radzi Bwawenu. – Ale macie być na zewnątrz! W razie czego dam wam sygnał przez okno! Won, wy debilni debile!

Podwładni Mozonia (Cichego) niechętnie wstają z wygodnych foteli i powoli idą w stronę wyjścia, jakby jeszcze mieli nadzieję, że ich przełożony w ostatniej chwili się rozmyśli. Ale Bwawenu nie zwraca na nich uwagi.

Przygląda się dobrze zbudowanemu mężczyźnie w skórzanej kurtce i z kolczykiem w uchu. Facet właśnie wysiadł z windy; wszyscy kłaniają mu się z szacunkiem. To musi być on, Rącz, myśli Bwawenu. Oto jego, Mozonia (Cichego), ofiara! Bwawenu wstaje i niepostrzeżenie rusza za palaczem.

U Video-Urbana trwa orgia. Muzyka dudni na cały regulator. Urban ma zły nastrój. Co gorsza, zdał sobie sprawę, że jest zakochany w Lence. Ale już za późno. Rącz tak długo męczył go o jej adres, że Urban w końcu się poddał. Nie potrafił odrzucić propozycji Racza. Tysiąc koron to tysiąc koron. Teraz tego żałuje. Rącz naprawdę wysłał Lence sto orchidei.

Video-Urban spółkuje zawzięcie, zachmurzony. Vanda Tirówka nie rozumie powodów jego złego humoru.

– Co się dzieje? – pyta, gdy leży pod nim z rozłożonymi nogami.

– Nic! – odpowiada Urban. Przerywa kopulację i zapala papierosa.

Vanda Tirówka wyciera się ręcznikiem i wstaje.

– Dokąd idziesz? – pyta ją Eva Rzeźączka.

– Wysikać się! – odpowiada Vanda Tirówka.

W fotelu przy stoliku konferencyjnym siedzi nagi Hurensso. Oklapnięty penis zwisa mu między udami. Hurensso popija whisky. Wrócił. Znowu trochę zaoszczędził, trzeba się zabawić. Kurwy, które załatwił Urban, są okej. Pozwalają na wszystko. I wszystko zrobią. A oglądanie Urbana z Wandą Tirówką też było niczego sobie.

– Put the music out – zwraca się Hurensso do Urbana. – I have a headache.

– Czego chce? – pyta Vanda Tirówka, wchodząc do pokoju.

– Głowa go boli – mówi Urban. – Chce, żeby przestało grać.

Urban wyłącza sprzęt.

– That's fine! – mówi Hurensso z ulgą. – I hate that kind of jazz you like! – dodaje.

– A teraz o co mu chodzi? – pyta Vanda Tirówka, żując kanapkę.

– Że nie lubi jazzu – odpowiada urażony Urban.

– What about jazz? – Hurensso nie rozumie.

– They do not like jazz, too – mówi Video-Urban. – And so do I. You know, man, I mean the word „jazz” in phonetical form. Like DŻ-E-Z, as is usual in our language, dig it?

Hurensso myśli.

– So you don't like your language? – pyta.

– Oh God, no! – Urban kręci głową. – I only do not like the way some people write the word „jazz”. Something like „d-zhass”.

– But I don't like the jazz itself – mówi Hurensso. – And I don't give a fuck about the way other people call it.

– Co on gada? – pyta Vanda Tirówka.

– Że nie lubi jazzu – powtarza Urban.

- To już powiedziałeś wcześniej – drażny Vanda Tirówka.
- No bo on w kółko o tym samym. – Urban wzrusza ramionami.
- A mówił coś o nas? – pyta Eva Rzeżączka.
- Nie, o was nic nie mówił.
- What are they talking about? – pyta Hurensso.

– They think you are speaking about them – odpowiada Urban. – Chcecie jeszcze wina? – zwraca się do prostytutek. Obie kiwiają głowami. Urban przynosi kolejną butelkę. Otwiera i rozlewa do kieliszków. – Gunnar? – pyta z butelką w ręce.

– Thanks. I'd rather stay by my whisky. – Hurensso bierze łyk i dolewa do szklanki. – But the girls are really very fine – dodaje. – Very pretty, both. Especially that tall one. Somehow unusual. Almost exotic. Really fine. And both have great drive.

Urban się śmieje:

– In our country people call it „turbo”. Do you understand? Turbo fucking.

Szwedowi się to podoba.

– Yes, yes, turbo fucking. I like it! The girls are both „turbo”! – mówi z galanterią.

– Co on mówi? – pyta Vanda Tirówka, drapiąc się po udach długimi polakierowanymi paznokciami.

– Że obie jesteście turbo – odpowiada Urban.

– Generally, I like your hookers – kontynuuje Hurensso. – But they all make one great mistake. They are not professional enough, you know? They all just want to marry somebody from Western countries. We call them „Russian brides”, you know? Who is such a fool to marry a prostitute from East? – Hurensso chichocze. Tak, Słowaczki są piękne. On, Hurensso, chętnie tu przyjeżdża. Jest tu już trzeci raz. Lubi kopulować ze słowackimi kurwami. On, Hurensso,

musi przyznać: nigdzie nie ma tylu pięknych kobiet co tu. Słowacy muszą być tego świadomi i pewnie są z tego dumni. Wciąż zapewnniają się o tym nawzajem. On, Hurensso, słucha radia. Wie o istnieniu różnych piosenek propagujących te przekonania. Nie rozumie tekstów, ale może się domyślić. Nauczył się już kilku słów: „dziewczyna”, „bzykać się”, „kurwa”, „płacić”, „nie ma”, „zamknięte”, „pedał”. A teraz jeszcze „turbo”. „Turbo kurwa”. Piękne dziewczyny to jedna z niewielu rzeczy, z których Słowacy mogą być dumni. Choć z drugiej strony on, Hurensso, nie rozumie, gdzie tu jest powód do bycia dumnym. Uroda dziewczyn to przecież coś, na co Słowacy nie mają wpływu. Żadnego. Jeśli ktoś bierze za żonę piękną kobietę, wtedy tak – to jest powód do dumy. Wszyscy mu zazdroszczą i wyobrażają sobie, że uprawiają z nią seks. A tak naprawdę tylko on, ten mąż, może to robić. On, Hurensso, myśli sobie, że abstrakcyjna duma Słowaków z urody Słowaczek nie ma sensu. To tak, jakby Arabowie budowali swoją dumę narodową na fakcie, że mają najwięcej piasku na świecie. A Finowie – z powodu dużej liczby jezior. On, Hurensso, nie spotkał jeszcze żadnego Fina, któremu ten fakt podniósłby samoocenę. Czy to nie śmieszne?

Video-Urban nie wie, co odpowiedzieć. Milczy. Kurwy znalazły odtwarzacz wideo, włączyły go, wsadziły kasetę i oglądają bajkę Disneya. Chichoczą rozradowane i klepią się po udach. Piersi im skaczą.

Hurensso bierze łyk whisky. On, Hurensso, chętnie sypia ze Słowaczkami. Ale nic więcej! Za żonę by żadnej z nich nie wziął. Czy Urban chce wiedzieć dlaczego? Ożenić się z taką kobietą oznacza też dać jej swoje nazwisko i zrobić ją matką swojego potomka czy potomków. Złączyć się z nią w jeden organizm, powielić geny. A kobiety stąd, nie tylko na Słowacji, ale też w NRD, na Węgrzech, w Polsce czy w Rosji – on, Hurensso, kopulował z prostytutkami ze

wszystkich tych krajów – mają organizmy zatrute przez świństwa, które przez czterdzieści lat wciskali im bolszewicy. Jedzenie, picie, powietrze. Paskudztwa, którymi zaraziły się w trakcie kąpeli albo tak po prostu, na spacerze. Gdyby on, Hurenssoon, wziął sobie którąś z tutejszych, wprawdzie pięknych, kobiet, wystawiłby swoich potomków na ryzyko – o wiele większe niż w innym przypadku – że odziedziczą oni wadliwe geny. A nawet jeśli żadne złe geny nie dadzą o sobie znać – jaką on, Hurenssoon, może mieć pewność, że jego piękna Słowaczka nie zachoruje w przyszłości? Skutki życia w tak nieprzyjaznym środowisku pojawią się prędzej czy później, a on, Hurenssoon, utonie wtedy w rachunkach od onkologów. Nie, on, Hurenssoon, podziękuje! Chętnie przyjedzie przespać się ze słowackimi kurwami. Ale żenić się ze Słowaczką? To już woli sobie wziąć brzydką Szwedkę ze zdrowym sercem, bez ołowiu w kościach, aluminium w mózgu i rtęci w narządach wewnętrznych.

Urban nic nie mówi. Nigdy nie patrzył na to z tej perspektywy. Może powinien czuć się urażony, ale tak nie jest. Wszystko po nim spływa. On, Video-Urban, jest sam. Z nikim nie tworzy żadnego „my”. Ołów w kościach i aluminium w mózgu może ma i on sam, ale teoria Szweda wydaje mu się głupia. Wystarczy przecież spojrzeć na niego, Urbana, albo na te dwie piękne gołębice i porównać całą trójkę do chuderlawego Hurenssoona. Już na pierwszy rzut oka widać, kto tu jest bardziej zdegenerowany.

Urban chce zmienić temat, ale Vanda Tirówka znów draży:

– Co on tam znowu gada?

Urban macha ręką.

– Wyjaśnia, czemu się z wami nie ożeni – tłumaczy. Prostytutki się śmieją.

– Pojechało go? – pyta Eva Rzeżączka.

– What they say? – Hurenssoon nie rozumie.

– They say that’s a very funny party – odpowiada Video-Urban.

– It’s just going to be one! – mówi Hurensso. Odstawia szklanę, wstaje i z kieszeni marynarki wyciąga niewielkie zawiniątko. W środku znajduje się kupka białego proszku wielkości paznokcia.

– Co to jest? – chce wiedzieć Vanda Tirówka.

– That’s coke. – Tym razem Hurensso zrozumiał pytanie.

– Co mówi?

– Że to kokaina – odpowiada Urban.

– Kokaina? – pyta Eva Rzeźączka.

Hurensso wysypuje szczyptę białego proszku na lakierowany blat stolika konferencyjnego. Wyjmuje srebrną rurkę grubości filtra od papierosa i wkłada jej końcówkę do dziurki w nosie. Drugą dziurkę zatyka palcem. Pochyla się nad stolikiem i jednym mocnym wdechem wciąga proszek. Ogromne jądra i długi oklapnięty penis chwieją się śmiesznie. Hurensso odsypuje kolejną porcję i podaje rurkę Evie Rzeźączce. prostytutka wciąga narkotyk. Kicha, a oczy zaczynają jej łzawić. Teraz kolej na Wandę Tirówkę. Na samym końcu kokainą częstuje się Video-Urban. Z ciekawości. Przez jakiś czas wszyscy siedzą i milczą. Hurensso wygląda, jakby się modlił. Reszta go obserwuje. Boją się przerwać ciszę, która nagle zapadła w pokoju. Video-Urban próbuje doszukać się jakichkolwiek oznak działania narkotyku. Skupia się, ale na razie niczego nie czuje. Tylko tyle, że pęcznieje mu członek. Po chwili napięcie w kroczu zbliża się do granicy bólu. Urban ma straszną ochotę na Evę Rzeźączkę. Bierze ją za rękę. Dziwka wstaje, podciąga wyżej pas do podwiązek i czarne koronkowe pończochy, po czym siada Urbanowi na kolanach i pomagając sobie ręką, wprowadza jego penis do pochwy. Kołysze się powoli z półprzymkniętymi powiekami i rozpaloną twarzą. Vanda Tirówka w tym czasie próbuje ożywić męskość Szweda i po dłuższych ćwiczeniach jej się udaje. Biorą się za ręce i idą do łóżka. Hurensso

kładzie się na plecach, a Vanda siada na nim. Pieprzą się zachłannie. Na ich twarzach błyszczy pot.

Eva Rzeźączka specjalnie porusza się jak w zwolnionym tempie. Urban chciałby się pozbyć dokuczliwej bolesti, więc łapie dziewczynę za biodra i zmusza ją do wykonywania szybszych ruchów. prostytutka otwiera oczy. Wygląda, jakby Video-Urban wybudził ją z przyjemnego snu.

– O co chodzi? – pyta.

– O nic – odpowiada Urban. – Dawaj.

Eva zamyka oczy i porusza się dalej.

Vanda Tirówka krzyczy. Po chwili znowu. Próbuje jak najszybciej zejść z Hurenszona, ale ręce ślizgają jej się po spoconej piersi Szweda. Piszczyci przestraszona. Hurensson leży nieruchomo na wznak. Oczy ma zamknięte.

Urban odtrąca Evę Rzeźączkę i wstaje. Podchodzi do łóżka. Hurensson nie oddycha. Leży: jego stężała twarz nabrała dostojnego wyrazu.

– Zrób coś! – krzyczy Vanda Tirówka do Urbana. – Zrób coś!

Urban niezdarnie przykładą ucho do klatki piersiowej Hurenszona. Vanda Tirówka cichnie. Urban nasłuchuje, ale nic nie słyszy. Krople potu zasychają na owłosionym ciele Szweda. Urban się podnosi.

Wszyscy troje stoją wokół stygnącego ciała. prostytutki w seksownej bieliźnie, Urban z opadającym członkiem. Członek Hurenszona nie opada. Sterczy w górę jak peryskop łodzi podwodnej pośrodku oceanu. Vanda Tirówka zaczyna płakać. Jęczy, wycierając łzy grzbietem dłoni.

– Co się właściwie stało? – pyta Urban.

– Nie wiem! – odpowiada Vanda. Ona, Vanda, ujeżdżała go, kiedy ten nagle wybałuszył oczy, zaszczekał zębami, zeszywniał, jakby go

strzelił piorun, a potem przestał się ruszać. Ona, Vanda, go nie zabiła!

– Wiadomo, że nie – mówi Urban. – Szlag go trafił.

– Dzwonimy po karetkę, dzwoniemy po karetkę, dzwoniemy po karetkę! – płacze Vanda Tirówka.

Urban potrząsa jej ramionami.

– Odwaliło ci?! – krzyczy. – I co im powiemy? Że mieliśmy orgię i że on w trakcie dostał zawału? Zastanów się!

Vanda Tirówka płacze jeszcze donośniej. Długim językiem zlizuje łzy.

– Musimy zadzwonić po karetkę – mówi Eva Rzeźączka. – Co jeśli on ciągle żyje?

Urban patrzy najpierw na Evę, a później na Szweda: przygląda się jego podwiniętym palcom u stóp i spiczastemu nosowi.

– Nie dzwoniemy po żadną karetkę! – mówi zdecydowanym głosem. – Zbadają go i zobaczą, że ćpał. I będziemy w dupie! Poza tym i tak jest sztywny jak widły!

Prostytutki otrząsają się z zamroczenia. Idą do łazienki ubrać się i poprawić makijaż. Nagle wszystkim robi się chłodno. Video-Urbanowi też. Urban nalewa sobie wódki, ale nawet nie wie, co pije. Zastanawia się. Prostytutki wracają. Vanda Tirówka znów się chichra. Zakrywa usta dłonią. Taka już jest ta Vanda. Jej ojciec też zmarł w domu. Była wtedy panną. Nazywała się Prepichová.

Eva Rzeźączka wybucha śmiechem.

– Sztywny jak co? – pyta.

– Słuchajcie – mówi Urban, wstając. – Mam pomysł. Musimy najpierw ubrać faceta. Rozumiecie? Ubrać. No co jest?! – Urban klaszcze w dłonie. – Ubierać trupa, raz-dwa!

Prostytutki niechętnie zabierają się do pracy. Każda z nich zakłada Szwedowi po skarpetce. Twarz Hurenszona wyraża spokój. Video-

Urban pomaga kobietom. Wciągają Szwedowi spodnie, zakładają bezrękawnik i koszulę. Garnitur. Krawata nie miał. Tylko chustkę zawiązaną wokół szyi.

– Chuj z nią! – niecierpliwi się Urban, kiedy żadnemu z nich nie udaje się jej porządnie zawiązać.

– Co teraz? – pyta Vanda Tirówka.

Urban myśli.

– Musimy go gdzieś podrzucić. Rozumiecie?

Urban ma plan: biorą trupa i jak gdyby nigdy nic zostawiają go gdzieś w lesie. Że niby dostał tam zawału.

– No, dziewczyny, może tak być?

Prostytutki kiwiają głowami. Podoba im się taka koncepcja. Tylko wizja tego, że będą musiały wieźć się z trupem przez całe miasto, nie bardzo im pasuje.

– Najgorsze jest to, że musimy iść na piechotę – mówi Urban. – Piłem i ćpałem. Jak nas złapie policja, mamy przejebane.

– Na piechotę? – pytają przerażone prostytutki. Na nogach mają cieniutki szpilki.

– Chyba nie chcecie z nim jechać taksówką? – odpowiada Urban groźnie.

– A czemu nie? – Eva Rzeźączka wzrusza ramionami. – Będziemy udawać, że jest pijany. Gadać z nim, mówić do niego. Znaczący, ty z nim będziesz gadać. Taksówkarz się nie zorientuje. Nie płacimy mu za to, żeby był spostrzegawczy.

Video-Urban zgadza się po chwili wahania. Ale nie może to być żaden ze znajomych!

Trup leży w ubraniu i wygląda na znudzonego.

– Musimy się śpieszyć, żeby nam nie zeszywniał! – ponagla Urban. Podchodzi do telefonu i wykręca numer firmy taksówkarskiej.

Podaje adres. – Chciałbym zamówić taksówkę. Na już. Ale musi to być mercedes. Albo sierra. Macie takie? Tak, mirafiori też może być. Do usłyszenia. – Urban odkłada słuchawkę. Jest już spokojny. Jak się powiedziało „a”, to trzeba powiedzieć „b”.

– Dlaczego ma być akurat mercedes albo mirafiori? – pyta Eva. – Jemu to już chyba jest obojętne.

Urban się śmieje.

– Jemu tak. Ale nam nie. Nikt z moich znajomych nie jeździ mercedesem, sierrą czy fiatem mirafiori, rozumiesz?

Prostytutki milczą. Video-Urban sięga trupowi do marynarki i wyciąga portfel. W środku znajduje się gruby plik pieniędzy.

– Podzielmy na trzy części – proponuje. – Jest tego dużo. Hurenssoon już nie będzie potrzebować forsy.

– Ja tych pieniędzy nie chcę! – krzyczy Vanda Tirówka z obrzydzeniem.

– Nie bądź pizdą! – upomina ją Eva Rzeźączka. – Kto ci dziś da cokolwiek za darmo? Nikt!

Urban szeleści jej banknotami przed nosem.

– Bierz tę kasę, wszyscy jesteśmy w tym tak samo umoczeni. Potrzebujesz tych pieniędzy. Nie histeryzuj.

Urban sprawdza kolejne przegródki w portfelu nieboszczyka. Paszport, prawo jazdy, karta przeglądu samochodu.

– Zapomniałem, że przecież przyjechał samochodem. Nie możemy pozwolić, żeby auto stało przed domem. Najpierw załatwimy to, co mamy załatwić, a później zadzwonię do Khunta, żeby skombinował jakiś garaż, przemalował furę i wybił nowe blachy. Sprzedamy mu ją – mówi Urban. Zostawia sobie kartę przeglądu samochodu i skórzany portfel. Dokumenty lądują w koszu na śmieci.

– Ile jest warte takie volvo? – pyta Eva Rzeźączka.

– Krzyknijmy sobie trzysta tysięcy – odpowiada Urban. – Więcej się nie da. Cokolwiek by mówić, to kradziony samochód. Podzielimy się po równo. Ja wszystko załatwię, wy musicie tylko trzymać język za zębami.

Vanda Tirówka też się zgadza. Nawet w miesiąc nie zarobi tylu pieniędzy. To nie było takie głupie!

Zakładają martwemu buty. Vanda Tirówka puszcza nogi Hurenszona: stopy uderzają o drewnianą podłogę. Vanda się śmieje, znów podnosi nogi Szweda i znów je puszcza.

– Nie rób sobie jaj! – wścieka się Urban, podnosząc Szweda z łóżka. Dziewczęta zawiązują nieboszczykowi szalik i wciągają elegancki zimowy płaszcz. Urban jedną ręką zakłada mu kapelusz. – Idziemy! – komenderuje.

Vanda Tirówka otwiera drzwi na korytarz, a Urban z Evą Rzeźączką wychodzą na klatkę. Trup nie chce stać. Kiwa mu się głowa. Kapelusz spada.

– Podnieś go! – nakazuje Urban Vandzie. Znów muszą przystanąć. Martwy zaczyna sztywnieć, nie zgina już kolan.

– Dokąd właściwie jedziemy? – pyta Eva.

– To oczywiste – mówi Urban. – Gdzie mieszkał? W „Ambassadorze”, nie? Zostawimy go przed hotelem.

Taksówka już czeka. Kierowcy nikt nie zna, chyba jest nowy. Pali papierosa. Urban z Hurenssonem i Evą siadają z tyłu. Vanda zajmuje miejsce obok kierowcy.

– Żeby mi tapicerki nie zarzygał – mówi taksówkarz, zerkając w lusterko wsteczne. – Gdzie się tak porobił?

– Mała impreza – odpowiada Urban obojętnym głosem.

Taksówkarz marudzi coś pod nosem i wrzuca jedynkę.

– Dokąd?

– „Ambassador” – mówi Vanda Tirówka.

Po krótkiej nocnej podróży przez miasto zatrzymują się przed hotelem „Ambassador”. Vanda Tirówka płaci. Urban z Evą Rzeźączką wyciągają Hurenssona z samochodu i odpoczywają na chodniku. Taksówka odjeżdża.

– Gdzie go zostawiamy? – pyta Vanda Tirówka.

– Na dawnym parkingu – odpowiada Video-Urban. – Tam nas nikt nie zobaczy. Znajdą go rano i wszystko będzie jasne. Alkohol, zawał, mróz. Idziemy!

Vanda pomaga im nieść trupa. Szpilki ślizgają się na śniegu.

– Kurwa! – syczy wściekle Vanda.

Powoli suną zamarzniętym chodnikiem. W pewnym momencie Vanda Tirówka traci równowagę i upada na tyłek. Urban nie wytrzymuje naporu nieboszczyka i też się przewraca – razem z nim.

– Uch! – wzdycha Szwed.

Vanda i Eva piszczą.

– On żyje! – krzyczą

Urban wpada w popłoch. Potrząsa Hurenssonem. Ciało jest zimne i sztywnieje w oczach.

– To tylko powietrze, które miał w płucach! – wyjaśnia. – Pomóżcie mi. Idziemy dalej!

Dawny parking Szparszwajna jest nieoświetlony. Otaczają go wielkie kwietniki z eternitu, które uniemożliwiają wjazd samochodom. Po brudnym śniegu walają się plastikowe tacki, kubeczki i talerze. Wiatr hula pomiędzy drewnianymi budami i roznosi śmieci wokół całego hotelu „Ambassador”.

– Tu go zostawimy – oznajmia Video-Urban i z ulgą puszcza trupa na ziemię. Przez moment Hurensson jakby stoi na własnych nogach, ale zaraz upada jednak twarzą w śnieg. Kapelusz ześlizguje mu się

z głowy i toczy się pod drewniane budy. – Ariwederczi – mówi Video-Urban.

– Zły nie był – podsumowuje Eva Rzeźączka.

– Zawsze taki hojny – dodaje Vanda Tirówka.

– A po śmierci jeszcze bardziej – stwierdza Urban. – Co teraz? – pyta, kiedy docierają do drzwi klubu „Ambassador”. – Ja bym już poszedł do domu. Wszystkiego mam po dziurki w nosie.

Prostytutki zastanawiają się przez chwilę, co robić.

– A, co tam – mówi Urban po chwili. – Chodźcie do mnie. Zrobimy sobie przyjemną atmosferę. Obejrzyście do końca tego Disneya. Co wy na to?

Kurwy się cieszą. Biorą taksówkę i jadą z powrotem do Urbana. Na miejscu Video-Urban dzwoni do waluciarza Khunta. Khunt przyjeżdża po półgodzinie. Jest z kolegą.

– On poprowadzi samochód, którym tu przyjechaliśmy – wyjaśnia Khunt, widząc pytające spojrzenie Urbana. – Przecież ci go tu nie zostawię pod blokiem.

Urban się zgadza.

– Obejrzymy to volvo? – pyta.

Khunt kręci głową. Na to jeszcze przyjdzie czas, jutro w garażu. On, Khunt, sprawdził je pobieżnie, zanim weszli na górę do mieszkania Urbana.

– Zostań sobie spokojnie w domu – mówi przyjacielskim tonem, spoglądając na dwa damskie płaszcze powieszony na wieszaku. – Rozgrzej się – dodaje z ironią. – A ile właściwie za niego chcesz? – pyta.

Urban się zastanawia.

– Zakładając, że nowy samochód kosztuje od dziewięciuset tysięcy do miliona, myślę, że jakieś trzysta tysięcy będzie w porządku.

Khunt się śmieje.

– Trzysta tysięcy za kradzione auto to za dużo – mówi. – Dam ci dwieście.

– Dwieście pięćdziesiąt! – oponuje Urban.

Khunt milczy przez chwilę.

– Dobrze. – Przybiera ton, jakby robił Urbanowi wielką przysługę. – Spakuj kluczyki i przegląd techniczny!

Urban spełnia prośbę.

– No, no, trafiło ci się! Dobra fura prawie za darmo! – drażni się z Khuntem, ale ten nie reaguje. Kiwa tylko na swojego towarzysza, który wciąż stoi w drzwiach, po czym obaj wychodzą.

– Kiedy będą pieniądze? – pyta Urban na odchodne.

– W tym tygodniu – odpowiada Khunt. – Jeszcze nie wiem, w jakim stanie jest samochód.

I tak go sprzedasz za sześćset tysięcy, ty śmieciu, myśli Urban, gdy za mężczyznami zamykają się drzwi. Ale, co tam! Pieniądze spadły nam z nieba. A kurwom wystarczy po pięćdziesiąt tysięcy. prostytutki biorą wspólnie prysznic. Łazienka zaparowała.

– Chodź do nas – zachęca Vanda Tirówka, masując łono namydloną gąbką. Mokra włosy wiszą w długich strąkach. Urban rozbiera się i ze śmiechem wchodzi pod prysznic. Jest ciasno. Na każdym fragmencie swojego ciała czuje dotyk gorącej kobiecej skóry, szczupłych ud, sprężystych piersi.

– Przeprowadźcie się do mnie! – proponuje nagle. Przecież, tłumaczy, i tak wynajmują różne piekielnie drogie prywatne mieszkania. U niego, Urbana, nic by nie musiały płacić. Przynajmniej nie czułby się samotny. Żyliby sobie razem. On, Urban, pomagałby im. Broniłby ich, gdyby ktoś chciał je skrzywdzić. Ludzie to świnię. Kobiety potrzebują kogoś, kto by się o nie troszczył. Urban wie, że one, Eva i Vanda, nikogo takiego nie mają. On, Urban, jest im

przeznaczony.

Prostytutki się śmieją i nadal mydlą swoje ciała.

– Musimy się porządnie zastanowić – mówi Vanda Tirówka. To prawda, że ona, Vanda, wynajmuje mieszkanie od jednego chciwca. Kiedyś miała swoje mieszkanie, ale po tym, jak Polgár, jej mąż, się zabił, eksmitowali ją z tego mieszkania. Nie była pracownicą wodociągów. Kierownik zakładu jest głupim chujem! Nawet mu to powiedziała. Psychopata. Biurokrata.

Video-Urban się podniecił. Członek sterczy mu jak teleskop. Eva Rzeźączka masuje go płynnymi ruchami. Gorąca woda wiruje przy odpływie. Prysznic szumi. Dźwięki kobiecych głosów i spadającej wody wprawiają Urbana w nostalgiczny nastrój. Przypomina sobie trupa leżącego na mrozie przed hotelem „Ambassador”. Obejmuje obie kobiety naraz, jakby ten dotyk miał za zadanie przekonać go, że on... że oni wszyscy są wciąż jeszcze szaleńczo żywi.

Ráčz z rozkoszą wyleguje się w łóżku. Jest rano, za oknem już dzwonią pierwsze tramwaje. Dziś wieczorem idzie z Lenką do teatru. Do opery. On, Ráčz, nie może znieść tego wycia, ale Lenka bardzo to lubi. Dla niego, Rácza, ten dzień jest w pewnym sensie historyczny: po raz pierwszy wybierze się do centrum miasta. Słyszc pukanie do drzwi. Po chwili staje w nich Ďula.

– Dzień dobry, szefie – mówi, wchodząc do środka. – Szef prosił, żeby obudzić go o dziewiątej. Jest już krawiec. Czeka w salonie.

Ráčz zrywa się na nogi. Wykonuje kilka energicznych ćwiczeń. Chwyta za gumę treningową i naciąga ją kilkakrotnie. Wchodzi do łazienki i bierze zimny prysznic. Po nim ciepły. Pod prysznicem myje też zęby. Ďula czeka z przygotowanym ręcznikiem. Ráčz zabiera mu go z rąk i się wyciera. Zaczesa włosy do tyłu.

– Gumkę! – komenderuje. Ďula od razu wie, o co chodzi. Podchodzi do marmurowej półeczki pod lustrem i zdejmuje z niej zwykłą, czerwoną gumkę do włosów, po czym podaje ją palaczowi. Rącz spina włosy nad karkiem.

– Przygotować wodę do golenia, szefie? – pyta Ďula.

Rącz dotyka twarzy. Od wczoraj wyrosło na niej gęste czarne ściernisko, sięgające aż po worki pod oczami.

– Nie! – odpowiada palacz. – Od dziś będziemy się golić co trzeci dzień. Niech wyglądamy jak artysta. Przecież nim jesteśmy!

Rącz wkłada kolorowy szlafrok i energicznie otwiera drzwi do salonu.

– Przyniosłem smoking, panie profesorze – mówi drobny staruszek o ptasiej twarzy. Wręcza palaczowi wieszak z ubraniem. Rącz mamrocze coś pod nosem, zadowolony. – Gdyby były potrzebne jeszcze jakieś drobne poprawki, spokojnie ze wszystkim zdążymy do wieczora. Proszę, niech pan przymierzy. Sam jestem ciekaw.

Rącz przebiera się w sypialni. Smoking leży na nim jak ulał. Nawet nie jest za wąski w ramionach. Rącz wraca do krawca.

– Znakomicie! – zachwyca się starzec. – Szyć dla pana profesora to sama radość! Wspaniała figura!

Rącz przegląda się w wielkim lustrze. Smoking jest doskonały. Rącz się uśmiecha.

– Dobra robota! – chwali krawca. – Ile jestem winien?

Krawiec wyciąga kartkę papieru.

– Proszę – mówi.

Rącz bierze kartkę do ręki.

– No, mało to to nie jest. Ale człowiek nie szyje sobie smokingu codziennie, hétszentségét!

Otwiera szufladę w biurku i wyciąga pieniądze. Rzuca je na stół.

– Reszta za fatygę.

Starzec w głębokich ukłonach opuszcza apartament Rácza.

Wchodzi kelner. Przed sobą pcha stolik ze śniadaniem. Czeka. Rácz od niechcienia rzuca mu monetę. Zerka na Ďulę.

– Dziś wieczorem żadnych planów – oznajmia. Wieczorem on, Rácz, idzie ze swoją narzeczoną, bo tak ją odtąd będzie nazywał, do opery. Potem do restauracji. Na późną kolację. – Po co ciągle siedzieć tu, w hotelu! – wykrzykuje z przekonaniem i zasiada do śniadania.

Ďula przykłada palec do ust i skrada się do drzwi. Otwiera je jednym szarpnięciem. Korytarz jest pusty. Za zakrętem słychać kroki kelnera.

– Co się dzieje? – pyta Rácz, stukając w skorupkę jajka.

– Nic, szefie – odpowiada Ďula. – Ostatnimi czasy mam takie dziwne przeczucie...

– Chuj z przeczuciami – przerywa mu palacz. – Przeczucia są dla starych bab.

– Szeptali o czymś, szefie – mówi Ďula. – Na schodach. Dziś rano. Rácz je.

– A niech sobie szepczą – bełkocze z pełnymi ustami.

Ďula siada do stołu. Kiedy on, Ďula, przechodził obok nich, ucichli. Ale on, Ďula, trochę podsłuchał. W hotelu jest nowy gość. Afrykanin. Czarny. Pokojówki dziwią się, gdy muszą u niego sprzątać, bo wszystko tam jest czarne. Nawet piżama i pościel jest pobrudzona na czarno. Pokojówkom i jemu, Ďuli, też wydaje się to dziwne.

Rácz wpycha sobie do ust chleb z masłem i dżemem. Popija go gorącą herbatą.

– Co w tym dziwnego? – pyta. – Jak jest czarny, to wszystko brudzi na czarno.

On, Rácz, jest przedsiębiorcą. Nie ma uprzedzeń. Biały, czarny –

obojętne. A pokojówkom płaci się za to, żeby sprzątały.

Řdula próbuje oponować. Jak ktoś jest Murzynem, to nie znaczy, że wszystko farbuję. Murzyn to Murzyn. Kolor się go trzyma.

Rącz zjada jajko na twardo, a potem jeszcze chleb. Chmurzy się. Řdula czeka, aż palacz połknie.

– A jak myślisz, Řdula, dlaczego Murzyni w Afryce chodzą tylko w sukienkach z trawy? – pyta po chwili swojego szofera. – Dlaczego nie mają mebli? Pościeli? Umiesz mi na to odpowiedzieć? – ciągnie Rącz, sięgając do koszyczka po kolejną kromkę chleba. Řdula nie wie. Milczy. Rącz uśmiecha się zwycięsko. – No, jak myślisz? – Tu robi znaczącą pauzę. – Żeby tego wszystkiego nie ubrudzić na czarno! – oznajmia triumfalnie i puka się w czoło. – Co nie?

Řdula się zawstydził.

– Głowa do góry, Řdula! – mówi Rącz. On, Rącz, przyjrzy się temu Murzynowi. Ostrożności nigdy za wiele. Ale dziś on, Rącz, nie ma czasu. Idzie do opery. A później na kolację. Ma dziś jeszcze dużo obowiązków. Dziś on, Rącz, chce się cieszyć przez cały dzień!

Kiedy Řdula wychodzi załatwiać swoje sprawy, Rącz zdejmuje smoking i wkłada czerwone spodnie od dresu. Włącza telewizor i przerzuca na Eurosport. Przez parę minut ogląda mistrzostwa świata w bilardzie. Nawet go to interesuje. Ale po chwili ktoś puka do drzwi.

– Proszę! – woła Rącz.

W drzwiach stoi przygarbiony i przestraszony kierownik restauracji.

– Pana sekretarz przekazał, że chce mnie pan widzieć, szefie – mówi.

– Tak – potwierdza palacz. – Mój sekretarz.

Rączowi podoba się to słowo. Sekretarz. Mój sekretarz. Rącz przybiera łaskawy wyraz twarzy.

– No i jak tam? – zwraca się do kierownika restauracji. – Widzę, że jednak przeżył pan sylwestra. Mam nadzieję, że doktor Renceš też czuje się dobrze. Co mu powiedzieliście?

– Że nas zalało i musimy zamknąć restaurację.

– I co? – dopytuje Rącz. – Robił problemy?

– Właściwie to nie. – Kierownik restauracji kręci głową.

Rącz wstaje.

– No, widzi pan. Jak się chce, to się może. – Rącz podchodzi do okna i obserwuje kry płynące po rzece. Splata ręce za plecami. Długo milczy. Jakby zapomniał o kierowniku. – Ale nie po to pana zaprosiłem – odzywa się w momencie, w którym kierownik już myśli, że będą tak stać w milczeniu pół dnia. – Z innego powodu – mówi Rącz już bardziej do siebie. Długimi energicznymi krokami przemierza swój apartament. Zatrzymuje się nagle i podnosi palec wskazujący. Wskazuje nim na kierownika. – Jakie ma pan wykształcenie? – pyta.

– Studia hotelarskie – odpowiada kierownik restauracji. – Dlaczego to pana interesuje?

Rącz kręci głową i znów zaczyna spacerować po salonie. Za każdym razem gdy zatrzymuje się przy oknie, wali pięściami w jego ramę.

– Czyli jest pan doktorem – zauważa.

– Nie – zaprzecza kierownik restauracji. – Inżynierem.

– No tak, oczywiście – mówi Rącz, jakby o czymś sobie przypomniał. – Inżynierem. Czyli nie będę daleko od prawdy, jeśli powiem, że zna się pan na tych wszystkich sztuczkach!

Kierownik rozkłada ręce.

– Nie bardzo wiem, co szef ma na myśli.

– No, na przykład, jak wchodzić z damą po schodach – mówi

palacz. – I jak z nią schodzić po tych schodach. Jak się zachować w szatni. A jak w restauracji przy stole. Jak jeść sztucami. Jak się żegnać. Takie tam sztuczki.

Rącz życzy sobie, żeby kierownik nauczył go tych wszystkich rzeczy. W razie możliwości jeszcze przed południem. Później on, Rącz, ma inne obowiązki.

Kierownika oblewa zimny pot.

– Chętnie nauczę szefa wszystkich tych rzeczy. Ale obawiam się, że nie wystarczyłoby na to nawet miesiąca.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – pyta Rącz, a jego twarz kamienieje.

Kierownik bierze głęboki wdech. On, kierownik, nie wątpi w zdolności Racza w tym kierunku. Co to, to nie. Ale pozwoli sobie zauważyć, że podstawy dobrego wychowania to skomplikowana wiedza. Na przykład sama sztuka zachowania się przy stole, prośenie pań do tańca, konwersacja...

Rącz kręci głową.

– Tańczyć nie będziemy. Rozmawiać też nie. To zostawimy sobie na kiedy indziej, jasne? Dziś wieczorem będziemy tylko wchodzić po schodach, siedzieć w łóży, schodzić schodami i jeść w restauracji.

On, Rącz, nie jest żadnym debilem. Szybko się uczy. Ma dobrą pamięć. Zamiast od dziesięciu minut gadać o tym, że coś jest skomplikowane i że czegoś się nie da zrobić, mogli się już dawno czegoś nauczyć. Tu jest papier i długopis. On, Rącz, czeka! Bez gadania!

Nauka idzie palaczowi łatwo. Pamięć mu służy. Rącz pilnie zapisuje każdą instrukcję. Do wieczora on, Rącz, powtórzy to sobie jeszcze kilka razy, mówi kierownikowi restauracji. Kierownik wszystko mu wyjaśnia. Na przykład kiedy się klaszcze, a kiedy nie. Tak upływa im czas do obiadu. Rącz dzwoni na recepcję i każe sobie

przynieść menu. Dziś sam sobie coś wybierze. Zje u siebie. Zamawia wino również dla kierownika restauracji. Chce, żeby kierownik nauczył go jeść nożem i widelcem. Nalewać i degustować wino. Korzystać ze sztuców do ryb i z łyżeczek deserowych. Dowiaduje się też, jak należy przywoływać kelnera: nie nerwowym waleniem w stół czy strąceniem zastawy na podłogę, jeśli kelner nie reaguje błyskawicznie. Uczy się, że nie powinno się wznosić toastu aperitifem. Ani zrzucać obgryzionych kości pod stół czy pić wina prosto z butelki. Kierownik restauracji tłumaczy i tłumaczy. Rącz słucha. Sztucce trzyma w dłoniach. Je z zamkniętymi ustami. Nie mlaska. Do ust wkłada małe porcje. Łokcie trzyma przy sobie. Wie, że to jedyna droga do serca Lenki. Jeszcze jest za młoda na to, żeby oczarowały ją jego pieniądze i możliwości. Wciąż jeszcze zwraca uwagę na takie drobnostki. Ale on, Rącz, się tego nauczy. Dziś w restauracji „Puszta” będzie się zachowywał jak baron!

Šolík (Owsik) i Tupý (Mac) już trzeci dzień stoją przed hotelem i marzną. Upragniony sygnał od Mozonia (Cichego) nie nadchodzi. Boją się wejść do holu, żeby przełożony się nie zezłościł. Z bolesną rezygnacją rejestrują powiewy ogrzanego powietrza, które wydobywa się z hotelu przez drzwi obrotowe. Ach, żeby tak móc poczuć ciepło choćby przez dziesięć minut!

Raz po raz przy recepcji, w oknie restauracji czy pokoju pojawia się czarna twarz pana Bwawenu alias Mozonia (Cichego). Jego surowe spojrzenie zdaje się przypominać im o obowiązkach służbowych. Nie sposób przed nim uciec. W jednej z bud na niegdysiejszym parkingu sprzedają dobre grzane wino. Goździki, cynamon i inne przyprawy pachną z daleka. Właściciel budy, potężny, wąsaty mężczyzna w białym fartuchu, nie może narzekać. Każdy, kto tylko przechodzi obok, zatrzymuje się na jednego. Obaj tajniacy też często tam przystają. Pieniędzy mają dużo. Od czasu do czasu zgarniają jakiegoś wieśniaka, który naoglądał się filmów o kasiarzach i przyjechał do miasta napęłnić kieszenie. Popijają grzane wino, aż im łzawią oczy. Drepczą w miejscu. Milczą. Czekają na sygnał. W zaspie śpi pijak. Twarz ma zanurzoną w śniegu. Ktoś podniósł jego kapelusz i założył mu go na głowę. Pijak nawet nie podziękował. Klienci budki odwdzięczają mu się takim samym brakiem zainteresowania. Šolík (Owsik) i Tupý (Mac) nie narzekają. Wprawdzie jest zimno i nogi zaczynają ich coraz mocniej poboлеwać, ale obaj doskonale wiedzą, że równie dobrze mogliby stać teraz pod Urzędem Pracy. O byłych ubeków nikt się zabijać nie będzie. A oni w końcu mają wilę, pieniądze i jeszcze od czasu do czasu mogą komuś napędzić stracha. No i kończą robotę o wpół do czwartej. Mało tego – zdają sobie sprawę, że jeśli uda im się unieszkodliwić Rácza, dostaną od prawnika

o wiele więcej niż zasrane sto tysięcy koron. Już zawsze będą go mogli szantażować. Jeśli kiedykolwiek będą czegoś potrzebować, prawnik im to załatwi. A jeśli nie, on będzie musiał pożegnać się z dyrektorem. Załatwią go. To takie niepisane prawo. Prawnikiem powinien być to sobie uświadomić, zanim wciągnął ich do spółki!

Šolík (Owsik) i Tupý (Mac) piją grzane wino. Czas leci. Za chwilę koniec pracy. Pijak wciąż twardo śpi w śniegu. Przechodnie brodzą w ciapie. Śnieg zaczął padać, ale zaraz przestał.

Silvia jest obrażona. Ma Rácza powyżej uszu. Do hotelu „Ambassador” nie wróci. A jeśli już, to tylko wtedy, gdy palacz pisemnie poprosi ją o wybaczenie. Szybko zaczęło jej brakować jego pieniędzy, to oczywiste. Ale ma trochę oszczędności. Nie chce wszystkiego roztrwonić, przez jakiś czas musi jednak odpocząć w domu. Tydzień, dwa tygodnie, może trzy. Później zacznie szukać pracy. Przy swoich walorach nie boi się, że zostanie na lodzie. Ostatnio powstało dużo nowych prywatnych klubów. Tancerkę jej formatu wezmą wszędzie. A na razie Silvia odpocznie. Kiedy poczuje, że już długo nie była wśród ludzi, pójdzie nocą w miasto i zarobi trochę grosza. „Ambassador” nie jest przecież jedynym hotelem w mieście. Ona, Silvia, może iść się zabawić choćby do takich hoteli jak „Saratów”, „Akropol” czy „International”.

Edita nie odstępowała jej na krok. Mieszkały razem. Ona też już się w „Ambassadorze” nie pokazuje. Rano wspólnie długo się wylegują. Edita budzi się pierwsza. Krąży językiem po całym ciele Silvii. Rozkłada jej nogi i przysysa się ustami do jej krocza. Zmusza Silvię, żeby robiła to samo. Tak na dzień dobry. Później jedzą śniadanie. Jeśli idą na zakupy, to najdalej do sklepu spożywczego po drugiej stronie ulicy. Do miasta im się nie chce. Jest zimno, nieprzyjemnie pada

śnieg. Rozbierają się, włączają z powrotem do łóżka i dotykają się. Edita zna już każdy centymetr ciała Silvii, a Silvia – ciała Edity. Spędzają tak razem długie godziny. Nikogo nie potrzebują. Silvia myśli, że skoro jest im razem z Editą tak dobrze, pierwszą próbę pogodzenia się – podjętą przez Rácza – odrzuci. Dopiero później się pogodzą. Tak jej się wydaje. Ale Rącz się nie pojawia.

Rącz siedzi w taksówce i wraca do domu, do hotelu. Minęła północ. Jest zadowolony. O ustalonej godzinie podjechał po Lenkę taksówką. Przedstawił się jej rodzicom. „Jestem Rącz”, powiedział matce Lenki, starej ciekawskiej wiedźmie, której zresztą podarował bukiet kwiatów. Pięknych, choć nie było to już sto orchidei, które posłał poprzednim razem. Specjalnie dla rodziców Lenki założył długi czarny płaszcz i wąski biały szal. Kapelusz odwiesił na wieszak i przyjął zaproszenie na kawę. Siedział w fotelu i pił kawę dokładnie tak, jak nauczył go dziś rano kierownik restauracji. Talerzyk w lewej ręce, filiżanka w prawej. Wziął tylko jedno ciasteczko. Zamoczył je w kawie, tak jak to miał w zwyczaju robić z bułką przy śniadaniu. Jadł z zamkniętymi ustami i starał się jak najdelikatniej poruszać szczęką. Do tego pytania rodziców Lenki. Czym się zajmuje? Jest przedsiębiorcą. Rodzice kiwają głowami z uznaniem. Potem ojciec Lenki, typowy inteligencki darmozjad z brodą i w okularach, spytał: „Panie Rącz, jakie ma pan wykształcenie?”. Rącz odpowiedział, że jest absolwentem szkoły rolniczej. Ojciec Lenki dopytał: „Ma pan na myśli ekonomię?”. Rącz nie wiedział, co odpowiedzieć. „Tak”, odparł po chwili zastanowienia. Ojciec Lenki przytaknął, jakby wiedział o tym już od dawna i teraz chciał tylko potwierdzić. „W jakiej branży prowadzi pan interesy?”, spytał jeszcze. „Powiedzmy, że hotelowej”, odpowiedział Rącz. „To znaczy?”, spytała ciekawska jędza. Rącz wzruszył ramionami. Nie ma

się czym chwalić. On, Rącz, chciałby kupić hotel „Ambassador”. I dom handlowy obok. „Zobaczymy”, powiedział i pociągnął łyk kawy, a po chwili wziął jeszcze jedno ciasteczko.

Rodzice Lenki byli w szoku. Inteligencki darmozjad potrafił się opanować, niczego po nim nie było widać. Ale stara wiedźma aż wywaliła gały na wierzch.

Później pojawiła się Lenka. W wieczornym makijażu była jeszcze piękniejsza i bardziej ponętna niż w Sylwestra. Najchętniej zdarłby z niej tę suknię i wszedłby w Lenkę choćby tu, przed jej rodzicami, ale udało mu się powściągnąć. Wstał i szarmancko pocałował ją w dłoń.

– Dobry wieczór, Lenko – powiedział. – Czy jesteś już gotowa?

Gdy wychodzili z mieszkania, Rącz kątem oka zobaczył rodziców Lenki, jak siedzą zaczarowani w fotelach, podobni do tłustych much przyklepionych do ściany. Gdyby się nie przywołał do porządku, zaczęłyby z uciechy zacierać ręce i nucić pod nosem.

Opera się udała. Po schodach na górę, loża. Szalone kwiki. Jęki skrzypiec. Śpiewacy z wybałuszonymi oczami, odgrywający różne scenki. Czasem śpiewali pojedynczo, kiedy indziej po dwoje, troje naraz. Śmiesznie się przy tym trzęśli i wywracali oczy w stronę sufitu. Główny bohater był gruby i miał brodę. On kwiczał najgłośniej i zaciskał wtedy tłuste palce na wyszywanej koszuli. Rącz najchętniej śmiałby się radośnie z otyłych pajaców, ale gdy wychylił się z łoża, w której siedział z Lenką, zobaczył, że nikt się nie śmieje. W trakcie przerwy schodami w dół. Rącz zamówił po kieliszku szampana. Sam wypiłby całe wiadro bąbelków, ale zdawał sobie sprawę, że nie może tego zrobić. Lenka opowiadała mu o sztuce francuskiej, o paryskiej bohemie. O impresjonistach. Rącz słuchał w milczeniu. Zastanawiał się, kogo w hotelu zmusi do załatwienia mu wszystkich dostępnych informacji na temat spraw, o których mówi Lenka. Postanowił, że zacznie się tym interesować. Nie jakoś specjalnie. Jemu, Rączowi,

wystarczy, kiedy ktoś na przykład wypowie nazwisko Puccini, a on, Rącz, będzie mógł wtedy powiedzieć: „To malarz”. Po przerwie schodami w górę. Nowe kwilenie. Ktoś z wykonawców umierał na gruźlicę i informował o tym mrocznymi, buczącymi dźwiękami. Później niektórzy umarli, a inni przeżyli. Główny grubas przeżył. Śpiewał najgłośniej ze wszystkich. Na końcu został obsypany kwiatami. Kilka razy podnosili i opuszczali kurtynę. Brodacz nie chciał odejść. Wracał w nieskończoność. Miękkie białe ciało trzęsło się śmiesznie pod haftowaną koszulą. Potem schodami w dół. Szatnia i czekająca przed wejściem taksówka.

W restauracji „Pushta” kelner zaprowadził ich do stolika. Płonęła na nim świeczka w świeczniku. Usiedli. Wybrali jedzenie i wino. Rącz jadł nożem i widelcem. Wino pił drobnymi łyżkami. Kiedy kelner na ich oczach flambiował mięso, palacz zabawiał Lenkę historią z restauracji hotelu „Ambassador” – o tym, jak jeden z kelnerów dostał oparzeń trzeciego stopnia. Flambiowanie słowackim rumem zamiast havana club już im nie wystarczyło. Zaczęli eksperymentować z denaturatem. Rącz uśmiechnął się na to wspomnienie. Kelner z „Ambassadora”, cały w płomieniach, biegał po restauracji i w ten sposób podpalił kilka stołów i dywan.

Flambirujący kelner również zaśmiał się przy tej historii, ale jego śmiech nie był szczery. Ozdobnym nożem nałożył gorące mięso na misę przed Rączem i Lenką.

– Życzę smacznego – powiedział i odszedł.

Rączowi podobało się w restauracji. Cieszył się, że wystawił nos z hotelu. Nawet trochę żałował, że zrobił to dopiero tak późno.

– Będziemy tu przychodzić częściej, co? – powiedział.

Lenka się uśmiechnęła. Rącz kiwnął głową i z zadowoleniem poluzował muszkę. Kiedyś być może on, Rącz, kupi tę restaurację. Gotują tu przyzwoicie. On, Rącz, ma słabość do dobrego jedzenia.

Kolację zakończyli deserem i butelką szampana „Veuve Cliquot”. Rącz zapłacił. Wyszli na zewnątrz, na mróz. Taksówka podjechała od razu. Przez cały wieczór albo ich woziła, albo na nich czekała.

– To ostatni raz! – powiedział Rącz. On, Rącz, postanowił kupić samochód. Oczywiście coś z wyższej półki. Mercedesa, bmw. Albo volvo. Nic taniego: najlepszą limuzynę z najlepszych!

Đula będzie ich szoferem. On, Rącz, ma niby prawo jazdy, w końcu jeździł kiedyś traktorem i nie wstydzi się tego, ale po co ma sam kierować, skoro może nająć do tego ludzi?

Zatrzymali się przed domem Lenki. Rącz wysiadł i otworzył dziewczynie drzwi. Weszli na klatkę schodową. Lenka nie zapaliła światła.

– Kiedy się zobaczymy? – spytał palacz.

Lenka uśmiechnęła się w ciemności.

– Teraz czeka mnie dużo ciężkich egzaminów – powiedziała. – Ale jak to będę mieć z głowy, dam ci znać.

Rącz wezwał windę i przytrzymał drzwi.

– Dobranoc, Lenko! – pożegnał się.

– Dobranoc, Rącz! Dziękuję za wspaniałą wieczór!

Spróbowałabyś tylko narzekać, myśli sobie Rącz, wracając do taksówki. W drodze powrotnej milczy. Wyobraża sobie siebie wchodzącego w dziewicze ciało Lenki i tarzającego się z nią w łóżku. Słyszy w głowie ich wspólne jęki.

– Masz żonę? – pyta Rącz taksówkarza przed hotelem „Ambassador”.

Taksówkarz wpada w lekki popłoch.

– Tak – mówi po chwili wahania.

Rącz wyciąga banknot i daje taksówkarzowi.

– To dla ciebie. Dziś już nie pracuj. Jedź do domu zrobić swojej

żonie masaż stóp!

Taksówkarz patrzy na nominał i nie może uwierzyć. „Niezły zarobek”, mruczy pod nosem.

– Dziękuję ślicznie – mówi na głos. Więcej nie potrafi z siebie wykrztusić.

Rącz wysiada z taksówki i trzaska drzwiami. Idzie w stronę hotelu po zaśnieżonym chodniku.

– Muzyka! – krzyczy, ledwo wchodzi do szatni klubu „Ambassador”. – Ďula! Chodź pić! Raz-dwa!

Rozgląda się wokół. Rusza w stronę Video-Urbana, który siedzi z Wandą Tirówką i Evą Rzeżączką.

– Wygląda na to, że się polubiliście! – mówi do Urbana. On, Rącz, życzy im jak najlepiej. O baby trzeba dbać. Chronić je, tak jak trzeba chronić własne interesy. Tak powinno być! On, Rącz, zaprasza ich wszystkich do swojego stołu!

– A co świętujesz? – pyta Eva Rzeżączka, wstając z torebką w ręku. Zerka na Urbana, który nawet się nie poruszył.

Rącz się uśmiecha. On, Rącz, świętuje po prostu dlatego, że jest szczęśliwy. Zakochał się i będzie się żenić.

– Cóż, skoro tak – mówi Urban – chętnie przyjmiemy zaproszenie!

On, Urban, nie ma nic przeciwko palaczowi. Nie jest zazdrosny o Lenkę. Ba, on, Urban, wierzy, że właśnie taki mężczyzna jak Rącz jest tym, kogo Lenka potrzebuje! Może Rącz wybije jej w końcu z głowy te różne pierdoły!

– Masz to jak w banku! – zapewnia Rącz. Jeśli o to chodzi, Urban może być pewien, że Rącz już ją sobie wychowa! Jest jeszcze młoda i głupia. On, Rącz, będzie ją trzymał krótko. Łańcuch trzeba czasem skrócić, a kiedy indziej poluzować. Takie on, Rącz, ma zdanie w tej kwestii.

Siadają za stołem. Zdyszany Cygan Stojka przybiega ze skrzypcami, ale Rącz go odprawia. Wali pięścią w stół.

– Szampana!

Dosiada się Ďula. Zerka na Vandę. Chętnie by ją przeleciał, ale odkąd biznesem obu dziwek zarządza Urban, Ďula nawet nie próbuje. Szanse mają tylko turyści z Zachodu. Jebane życie.

– Szefie – zwraca się Ďula do Racza.

– No? – pyta palacz. – Czego chcesz?

Ďula ścisza głos do szeptu. On, Ďula, ma nowe informacje o Murzynie.

– Później, później! – Rącz macha ręką. – Teraz siedź i pij, hétszentségét!

Piją. Ďula szybko doprowadza się do stanu bliskiego nieprzytomności. Siedzi i patrzy przed siebie. Nawet nie mrugnie powieką. Rącz wychował sobie alkoholika.

Urban umie pić, ale pije mało. Kątem oka obserwuje cały klub, zauważa każdego nowego gościa. Po chwili wysyła obie dziewczyny do baru. Niech sobie znajdą klientów. Dziwki nie chcą, ociągają się. Dziś nie mają ochoty. Urban patrzy na nie ostro. On, Urban, nie wie, z czego one chcą wyżyć! Zamierzają ciągle się opieprzać? Vanda Tirówka oponuje. One, dziewczęta, najlepiej czują się w towarzystwie Video-Urbana. Jest dla nich miły, uważny. Nie krzyczy na nie. Gdyby Urban dał im tę obiecaną część z pieniędzy za samochód Szweda, mogłyby sobie kilka dni odpocząć. Video-Urban kręci głową. Pieniądze przechowuje dla nich on, Urban. One by je raz-dwa przepuściły. Przynajmniej nauczą się skromności. Uczciwą pracą ludzie się bogacą. Same zaczęły pracować w tym biznesie. A on, Urban, robi co może, żeby było im lżej. Nie muszą płacić czynszu. On, Urban, wyciągnął je z zimnych i nieprzyjemnych wynajmowanych mieszkań. Teraz mogą się byczyć w przestronnym i luksusowo

urządzonym mieszkaniu niedaleko centrum. A czego on, Urban, oczekuje w zamian? Niczego, miłe panie! Tego, czego czasami od nich chce, chcą też one – od niego. A teraz ruchy, do baru! Niemców tam jak pod Stalingradem! No już, migiem!

Kiedy prostytutki smętnie odchodzą, Rącz gwizdże z uznaniem. Z babami trzeba ostro. Raz dać, raz zabrać cukierka! On, Rącz, wierzy, że Urban się na niego nie gniewa. Nie ma powodu: Lenka wybrała jego, Racza. Ale dość już o tym. On, Rącz, zakochał się, będzie się zenić – i basta! Teraz chciał porozmawiać o czym innym. Ma dla Video-Urbana ofertę.

– Jaką? – pyta Urban.

Rącz zapala papierosa, polewa sobie i Urbanowi. Siedzą przy stole tylko we dwójkę. Ďula się nie liczy. Śpi z głową odchyłoną do tyłu i z otwartymi ustami.

– No? – dopytuje Urban.

Rącz wyjaśnia. On, Rącz, ma ostatnimi czasy bardzo dużo rzeczy na głowie. I jest z tym wszystkim sam. Ďuli nie bierze pod uwagę. To tylko chłopak na posyłki. Kierowca. Można mu powierzyć wyłącznie drobne zadania. Na samodzielną pracę jest za głupi. Poza tym nie ma własnego zdania. On, Rącz, może wprawdzie na nim polegać, ale tylko odtąd dotąd. Rącz potrzebuje kogoś więcej niż zwykłego pomagiera! Potrzebuje samodzielnego, kreatywnego pracownika.

Palacz jest z siebie dumny. Użył słowa „kreatywny” po raz pierwszy w życiu, nie jest jednak pewien, czy Video-Urban to zauważył. Bierze łyk, zaciąga się papierosem. On, Rącz, potrzebuje kogoś, kto by, dajmy na to, nie musiał się z nim we wszystkim zgadzać, ale kto działałby na wspólną korzyść. On, Rącz, ma wielkie plany. Możliwe, że Urban jeszcze nie wie, ale on, Rącz, chciałby wykupić hotel „Ambassador”. A jak się uda, to i dom handlowy. A to byłby dopiero początek. Stopniowo on, Rącz, chciałby też inwestować gdzie indziej. Problem

w tym, że sam nie da rady – z jednym pomocnikiem i bandą sziptarów!

Rącz robi pauzę.

Urban chrząka.

– Bardzo to jest wszystko fajne – mówi. – Cieszę się, że myślisz tak przyszłościowo. Tyle że sytuacja jest dynamiczna. To, co trzy miesiące temu było jeszcze nie do wyobrażenia, dziś jest czymś zwyczajnym. A tak w ogóle to nie bardzo rozumiem, co ja mam z tym wszystkim wspólnego.

Palacz częstuje Urbana papierosem i podpala mu. Kiedy on, Rącz, mówił o kreatywnym pracowniku, chodziło mu o Urbana. Źdula to głupek. On, Rącz, nienawidzi biegania po urzędach. Poza tym, co tu ukrywać, nie chce mu się. A teraz są takie czasy, że po urzędach biegać trzeba. On, Rącz, zamierza kupić hotel. Trzeba to zacząć już załatwiać. Pieniądze to nie problem. Urban będzie mógł sobie spokojnie wszystkich przekupić. Poza tym on, Rącz, wie, że Urban jest wygadany, ma też urok osobisty. Wszędzie się wciśnie. I jeśli się zgodzi, na pewno nie pożałuje. On, Rącz, proponuje mu dobrą posadę. Płacę, o jakiej mu się nie śniło. Może zacząć od dziś. Na razie nieoficjalnie, bo na razie Rącz niby wciąż jest tu palaczem. Później podpiszą umowę. On, Rącz, to swój chłop, niczego nie ukrywa. To jak?

Urban kręci głową. On, Urban, nie wie, czy jest odpowiednią osobą na takie stanowisko. Oczywiście, zastanowi się nad ofertą Rączka. Ale tak od razu nie może odpowiedzieć. Rącz się wkurza. Czerwienieje na twarzy. O co chodzi? Czy nad tak atrakcyjną propozycją trzeba się zastanawiać? Czy on, Rącz, nie wyraził się dostatecznie jasno? Oferuje przecież Urbanowi solidną pozycję w swoim przyszłym przedsiębiorstwie! Urban już nigdy nie będzie musiał cinkciarzyć, filmować idiotycznych uśmiechów dzieci czy robić za alfonsa dwóch kurew. Jeżeli to wszystko nie wystarcza, to Rącz sam już nie wie!

W końcu Urban daje się przekonać. Wznoszą toast. Rącz uśmiecha się z satysfakcją. Oni we dwójkę, Rącz i Urban, wszystkim pokażą! Będą najlepsi! Druga sprawa, którą on, Rącz, chciał z Urbanem poruszyć, ma bardziej prywatny charakter. On, Rącz, chce kupić dobry samochód. Ale nie żadną škodę czy taniego mercedesa, którymi jeżdżą głupi rzeźnicy, co to myślą, że są nie wiadomo kim! On, Rącz, chce czegoś naprawdę luksusowego. Pieniądze nie stanowią problemu. Rącz ma ich dużo, choć oczywiście nie będzie nimi szastać. Ale za dobry samochód chętnie zapłaci przyzwoitą stawkę. Czy Urban mógłby mu pomóc?

Urban się zastanawia. Może i mógłby: Khunt sprzedaje wspaniałe auto. Luksusową limuzynę. Jeśli Rącz chce, Urban może mu to załatwić.

Rącz kiwa głową. Tak, chce. Jest jeszcze trzecia sprawa, osobista. Czy Urban mógłby jemu, Rączowi, pożyczyć jakieś książki o sztuce, kulturze i tak dalej? On, Rącz, chciałby przeczytać coś o malarzach, pisarzach i takich tam. Tylko żeby nie było grube. On, Rącz, nie ma znowu jakoś bardzo dużo czasu. Tak że raczej coś w pigułce. Urban śmieje się w duchu. Jasne, on, Urban, coś dla niego znajdzie. Na pewno. Rącz mruczy z zadowoleniem. Ale żeby wrócić do najważniejszego: niech Urban nie planuje sobie niczego na jutro. Trzeba zacząć załatwiać różne rzeczy. Sprawdzić, jakie są możliwości kupienia hotelu „Ambassador”. Rącz milczy przez chwilę, po czym mówi:

– A teraz wypijmy za to! Za wszystko!

Mozoniowi (Cichemu) się nie udało. Wydarzenia nabrały takiego tempa, że nie zdążył użyć zastrzyku ze środkiem uspokajającym ani nawet dać znać swoim podwładnym, którzy czekali przed hotelem.

Nasłuchiwał właśnie pod drzwiami Rácza, gdy te otworzyły się nagle i wyszedł z nich palacz we własnej osobie. Bez zbędnych wyjaśnień wciągnął Mozonia (Cichego) za włosy. Pierwszy cios pięścią pozbawił byłego ubeka pewności siebie, a drugi umiejętności obrony. Sążnisty kopniak w jaja zmusił go natomiast do błagania o litość.

– Litości! – zajęczał. – Litości!

Teraz Rącz stoi dumnie wyprostowany i zaciska pięści. Ďula klęczy nad Mozoniem (Cichym) i kończy go związywać. Ubek wygląda jak baleron.

– No, co? – pyta palacz. – Po co szpiegujesz? Czego szukasz?

Mozoň (Cichy) milczy. Zastanawia się, gdzie popełnił błąd. Wydawało mu się, że jest ostrożny i czujny. Ale teraz czuje się jak chłopiec przyłapany na masturbacji. Rącz wali pięścią w stolik.

– Gadaj! – krzyczy.

– Gadaj! – powtarza za swoim szefem Ďula i potrząsa związanym Mozoniem (Cichym).

Mozoň (Cichy) oblizuje wyschnięte wargi.

– Przypadkiem przechodziłem obok...

– Kłamiesz! – wrzeszczy palacz. – Obserwujemy cię od kilku dni. Czaisz się jak czajnik. Pytam jeszcze raz: czego tu szukasz?

Mozoň (Cichy) powoli dochodzi do siebie.

– Nazywam się Mugambia Bwawenu i jestem obywatelem Republiki Mayombé! – oznajmia.

– Gównu jesteś, a nie obywatel republiki – rechoce Rącz, po czym podchodzi do byłego ubeka, spluwa na dłoń i wyciera mu twarz. – Patrz! – mówi i pokazuje Mozoniowi (Cichemu) brudną rękę. – Ja ci dam Murzyna!

Mozoň (Cichy) wykorzystuje chwilę ciszy na wymyślenie wymówki. Chrząka.

– Dobrze – mówi z udawaną rezygnacją w głosie. – Powiem wam prawdę!

– No, w końcu! – wykrzykuje Rącz, przykładając Mozoniowi (Cichemu) pięść do nosa, twardą jak laska dynamitu. – Powąchaj!

Mozoň (Cichy) zaczyna mówić. Na imię ma Ščepán. Jest urzędnikiem w banku. Przebywa tutaj incognito. Niby w delegacji. Prawda jest taka, że Ščepán chce się rozerwać. Zabawić. Dziwki i tak dalej. Przyoszczędził sobie. Nie jakoś dużo. Udaje Murzyna, bo gdzieś usłyszał, że nasze kurwy lecą na takich. Ale jak dotąd żadnej nie udało mu się wyrwać. Chyba tego nie umie. Bo przecież pieniądze on, Ščepán, ma! Mozoň (Cichy) mruga znacząco, ale spojrzenie Racza jest surowe i nie ma w nim śladu zrozumienia.

– Czyli jesteś tu ze względu na kurwy? – pyta palacz.

Ščepán przełyka ślinę i potakuje. Tak, tak, dokładnie tak. On, Ščepán, jest tu z tego właśnie powodu. Żona nie może się o niczym dowiedzieć! Jemu, Ščepánowi, nawet przez myśl nie przeszło, żeby kogoś szpiegować. Tak, nie przeszło! Nigdy!

– To dlaczego za mną chodziłeś? – drąży palacz. – Po co podsłuchiwałeś pod drzwiami?

On, Ščepán, chciał nawiązać kontakt z potężnym Rączem. Chciał go prosić, żeby za opłatą umówił go z jakąś dziwką. On, Ščepán, wie, że Rącz pociąga tu za wszystkie sznurki. Dlatego chciał z nim porozmawiać w cztery oczy. On, niewinny Ščepán, oddaje się w ręce potężnego Racza.

Rącz się zastanawia. Nie wierzy w ani jedno słowo fałszywego Murzyna. Wie, że wokół niego, Racza, zacieśnia się sieć jakichś dziwnych intryg. Jest przekonany, że macza w tym palce hotelowy prawnik. Od dnia, gdy prawnik odrzucił zaproszenie na sylwestra, Rącz wyzbył się złudzeń. Zdaje sobie sprawę, że ma wroga. Ale ten wróg nie ma na niego żadnego haka. Jeśli popłyną, to razem. Dlatego

też prawnik szuka nowych sposobów. Do uszu Rácza dotarły plotki o jego dyrektorskich ambicjach. Możliwe, że on z kolei zna zamysł Rácza dotyczący wykupienia hotelu. Prawnik sam nie ma pieniędzy na kupno, dlatego próbuje czegoś innego. Tylko czego? Być może właśnie ten farbowany Murzyn jest jednym z elementów planu prawnika – planu polegającego na pozbawieniu Rácza władzy. On, Rącz, musi jakoś dotrzeć do prawnika, który prawdopodobnie jest mózgiem całego przedsięwzięcia. Dopiero kiedy Rącz pozbędzie się wroga, będzie mógł spać spokojnie. Problem w tym, że zastępcy dyrektora hotelu nie można tak po prostu uprowadzić i zamknąć w kotłowni! Dlatego Rącz musi puścić Ščepána i udawać, że mu wierzy. Ščepán sam go naprowadzi na właściwy trop. Jeśli okaże się, że faktycznie to prawnik knuje przeciwko Rączowi, już on, Rącz, znajdzie sposób, żeby go zniszczyć! A jeśli to nie prawnik, Rącz przynajmniej dowie się, kto spiskuje przeciwko niemu, Rączowi. On, Rącz, nie może już sobie pozwolić na gwałtowne i dzikie reakcje. Nie, Rącz zachowa się inaczej. Dyskretna obserwacja, opanowanie pierwszego gniewu i w końcu podniecająca rozkosz płynąca z zemsty. Rącz powściąga więc przemożną chęć, żeby żelaznymi pięściami rozmlócić spętanego Murzyna, i z tajemniczym uśmiechem mówi:

– Kurwy? To czemu mi wcześniej nie powiedziałaś? Ja, Rącz, mogę tu wszystko! Zorganizuję to raz-dwa. Będziesz zadowolony, Ščepán! I nie gniewaj się na nas!

Po tych słowach palacz rozwiązuje Mozonia (Cichego).

– Na co się gapisz? – krzyczy w stronę Ďuli, który stoi zdziwiony z opuszczonymi rękami. Rącz puszcza do niego oko. I dyskretnie puka się w skroń. Ďula zrywa się i zaczyna pomagać palaczowi w rozwiązywaniu Mozonia (Cichego).

Mozoň (Cichy) nabiera się na rzekomą naiwność Rácza. Cieszy się, że tak łatwo oszukał palacza i jego pomocnika. Jest zadowolony. On,

Mozoń (Cichy), złapie w ten sposób dwie sroki za ogon. Wyeliminuje Rácza, za co dostanie sto tysięcy od prawnika i, dodatkowo, po raz pierwszy w życiu prześpi się z prawdziwą dziwką. Tylko boska intuicja mogła mu podpowiedzieć taką wymówkę! On, Mozoń (Cichy), już od dzieciństwa ma pełno perwersyjnych marzeń. W najdrobniejszych detalach wyobrażał sobie, co też, jeśli nadarzy się okazja, nawyczynia z jakąś chętną dziewczyną. Żona nie pozwoliłaby mu na zrealizowanie takich fantazji. Nigdy nie odważył się nawet wspomnieć jej o czymś takim. Wydziela mu seks jak cukierki, które mogą spowodować próchnicę. I za każdym razem zachowuje się tak, jakby wyświadczała mu wielką przysługę. Kiedy Mozoń (Cichy) jeszcze na początku ich małżeństwa zaproponował jej zmianę pozycji, obraziła się. Nie rozmawiała z nim przez dwa dni. Patrzyła na niego jak na zboczeńca. Od tamtej pory co jakiś czas pozwala mu ze sobą spółkować, ale na jej twarzy zawsze pojawia się wtedy wyraz głębokiego tragizmu. Żywe wcielenie piątej symfonii Beethovena. On, Mozoń (Cichy), jeszcze nigdy nie widział swojej żony nago. Za dnia nie odważył się czegokolwiek proponować, a w nocy nic nie widział. Bał się włączyć światło, zresztą sam też się wstydził.

Teraz on, Mozoń (Cichy), wreszcie to sobie wynagrodzi. Szkoda, że nie ma ze sobą swojego notesiku, w którym zapisuje erotyczne pomysły i marzenia. Przychodzą mu do głowy prawie codziennie, najczęściej w ubikacji lub po zjedzeniu pikantnej kiełbasy. Niestety, willa jest daleko. Mozoń (Cichy) ma nadzieję, że przypomni sobie wszystkie pozycje i scenki, o których roił sobie podczas długich, nudnych poranków. On, Mozoń (Cichy), będzie mógł w końcu sprawdzić, czy pod względem technicznym – albo raczej: anatomicznym – jego wizje da się w ogóle zrealizować. Mozoń (Cichy) stara się ukryć niecierpliwość i podniecenie, które właśnie nim zawładnęło. Wstaje i rozciera przeguby.

Nic nie ujdzie uwadze Rácza. Ráčz wie, że ma Ščepána w garści. No, może jeszcze niezupełnie. Będzie go miał wtedy, gdy zrealizuje swój plan. Ráčz siada w fotelu i przez chwilę obserwuje fałszywego Murzyna.

– Jedną kurwę mógłbym ci załatwić – mówi w końcu. – Niezła sztuka. Zrobi wszystko, czego będziesz chciał. Ma koleżankę. Ona też zrobi wszystko.

– Naprawdę wszystko? – pyta Mozoň (Cichy) drżącym głosem. Jest tak podniecony, że musi nabrać głęboko powietrza.

– Ale tanio nie będzie! – ostrzega palacz.

Napalony ubek macha ręką. On, Ščepán, nie martwi się o pieniądze. Wszystko idzie jak po maśle, myśli. On, Mozoň (Cichy), połączy przyjemne z pożytecznym. Pierwszy raz będzie współżył z dwiema kobietami jednocześnie! Rácza może obezwładnić później. Jutro! Pojutrze! A kiedy już zamknie palacza w celi, zmusi go do oddania pieniędzy, które on, Mozoň (Cichy), wydał na kurwy. Czyli to bzykanko w sumie będzie za darmo!

– A na kiedy mógłbyś to załatwić? – pyta niecierpliwie Mozoň (Cichy).

Ráčz wzrusza ramionami.

– Może i na dziś wieczorem. O ile nie będą zajęte.

Mozoň (Cichy) zaciera ręce i znów dyszy z ekscytacji.

– Byłoby wspaniale! – mówi. Oczami wyobraźni widzi nagie, kotłujące się ciała, splątane kończyny i wilgotny, lepki dotyk. Ach! – myśli z zadowoleniem.

Wieczorem Mozoň (Cichy) siedzi w holu i próbuje czytać gazetę. Nie może się doczekać spotkania, co rusz czuje dreszcz podniecenia. Opanowuje chęć ziewania. W gazecie nic ciekawego. Mozoň (Cichy)

już nie jest pomalowany na czarno. Po co? Teraz to niepotrzebne.

Do Mozonia (Cichego) podchodzi Ďula.

– Szef prosił przekazać, że dziewczyny są gotowe i czekają – mówi. – O której mają do pana przyjść?

Mozoň (Cichy) podnosi wzrok na Ďulę.

– Może być nawet teraz – odpowiada, odkładając gazetę.

Ďula kiwa głową.

– Za pół godziny będą u pana.

Mozoň (Cichy) pędzi do swojego pokoju. Zasłużył sobie na to, żeby się trochę zabawić i rozerwać! Całymi dniami tylko obserwował palacza. Ale palacz nie ucieknie! Prawnika też dupa nie zaboli. Kiedy on, Mozoň (Cichy), na coś się decyduje, to musi się udać! Jeden dzień w tę czy w tamtą nie robi różnicy. Mozoň (Cichy) wchodzi pokoju. Zerka przez okno. Šolík (Owsik) i Tupý (Mac) już poszli do domu. Fajrant. Dlaczego by i on, Mozoň (Cichy), nie mógł sobie odpocząć? Zrelaksować się?

Mozoň (Cichy) bierze prysznic. Wklepuje wodę kolońską. Głównie w okolicę jąder i członka. Woda szczypie tak mocno, że Mozoň (Cichy) ma w oczach łzy. Wkłada ubranie. Ktoś puka do drzwi. Wchodzą dwie wymalowane kobiety w wyzywających ciuchach. Obie są szczupłe, jedna z nich bardzo wysoka.

– Dobry wieczór – mówi ta wysoka. Ma głęboki, zmysłowy głos.

– Dobry wieczór – odpowiada Mozoň (Cichy) ze ściśniętym gardłem.

– Jestem Vanda – przedstawia się wysoka – a to jest Eva.

Eva się uśmiecha.

– Ja mam na imię Karol – mówi Mozoň (Cichy), po czym wskazuje dwa krzesła. – Usiądźcie.

Prostytutki siadają. Obie zakładają nogę na nogę, odsłaniając

wysoko uda. Jedna z nich ma białe, druga czarne pończochy. Milczą. Mozoň (Cichy) chrząka. Wykonuje kilka nerwowych ruchów i w końcu też siada. Na łóżku, bo nigdzie indziej nie ma miejsca. Robi gest, jakby chciał powiedzieć: „No to jesteśmy...”. prostytutki uśmiechają się sztucznie. Vanda w zamyśleniu gładzi paznokciem swoje udo. Słysząc delikatny szelest.

– A może chcecie – wypala nagle Mozoň (Cichy), wstając z łóżka – napić się czegoś?

Dziewczęta patrzą po sobie.

– Może czerwonego wina? – mówi Eva.

– Dla mnie to samo – dodaje Vanda.

Mozoň (Cichy) kiwa głową i zbiera się do wyjścia.

– Dokąd idziesz? – pyta Vanda.

– Po wino – odpowiada zmieszany ubek.

– Nigdzie nie łaż – poucza go Eva. – Zadzwoń na recepcję, niech przyniosą.

Mozoň (Cichy) zamawia butelkę czerwonego wina i siada na łóżku. Patrzy na prostytutki.

– To jak? – odzywa się Vanda. – Po coś tu przecież przyszliśmy – mówi i zaczyna się rozbierać. Eva robi to samo. Prawie całkiem nagię, w samych tylko pończochach, podchodzą do Mozonia (Cichego), popychają go na łóżko i ściągają z niego ubranie. Oddech ubeka przyśpiesza. Penis sterczy. Vanda bierze go do ust, a Eva obsługuje górną partię ciała mężczyzny. Podniecony ubek jęczy, podoba mu się to.

Ktoś puka do drzwi.

– Kto tam? – krzyczy Mozoň (Cichy) z łóżka.

– Kelner! – słysząc zza drzwi.

Mozoň (Cichy) razem z prostytutkami chowa się pod kołdrą.

– Proszę wejść! – woła.

Wchodzi kelner z butelką wina i trzema kieliszkami. Bez mrugnięcia okiem otwiera butelkę i nalewa trochę do kieliszka. Podaje Mozoniowi (Cichemu). Mozoň (Cichy) odkrywa kołdrę, kiedy sięga po kieliszek. prostytutki zrzucają ją na podłogę i zajmują pozycje po obu stronach klienta. Pozują z szeroko rozłożonymi nogami. Z korytarza nadbiega Video-Urban ze swoją kamerą i wszystko nagrywa. Za nim złośliwie szczyrzy się Ďula. Mozoň (Cichy) próbuje jednocześnie zakryć rękami twarz i podskakujące, naprężone przyrodzenie. Kelner stoi z boku.

Film został nakręcony. Kelner, Video-Urban i Ďula znikają. prostytutki ubierają się szybko. Z kamiennym wyrazem twarzy wchodzi Rącz. Mozoň (Cichy) stęka skulony na łóżku. Czuje się tak, jakby ktoś go zgwałcił. Próbuje zakryć się kołdrą, ale Rącz przydeptuje ją swoim eleganckim włoskim butem.

– Koniec tych cyrków! – mówi. – Idziemy się rozliczyć!

Vanda Tirówka i Eva Rzeźączka ubrały się i wyszły. Nagiego Mozonia (Cichego) upokarza obecność Rącz, stojącego przed nim w eleganckich ciuchach. Mozoň (Cichy) chwytą kołdrę i próbuje ją na siebie naciągnąć. Rącz wyrywa mu ją z rąk i rzuca w kąt.

– Co to wszystko ma znaczyć? – pyta buńczucznie ubek, który już jako tako otrząsnął się z szoku. – Nie tak się umawialiśmy!

– To prawda. Tak się nie umawialiśmy – potwierdza Rącz. – Rącz się z takimi śmieciami nie umawia! – dodaje, podnosząc rękę z kasetą video. – Jesteś na filmie – oznajmia wesoło. – W całej okazałości. Twoja żona się ucieszy.

Ubek blednie. Żona! Tylko nie to!

– Czego chcesz? – pyta ochrypłym głosem, po czym oblizuje wargi.

Rącz milczy przez chwilę.

– Powiedz prawdę! – wykrzykuje w końcu. – Kim jesteś i czego tu chcesz? Dla kogo pracujesz? Wiem, że nie jesteś z policji. Przegramy tę kasetę i wyślemy do twojej pracy. Możesz się powiesić. To jak będzie?

Mozoň (Cichy) zaczyna spowiedź. On, Mozoň (Cichy), jest kimś na wzór prywatnego detektywa. Zlecenie dostał od prawnika. Miał za zadanie unieszkodliwić Rácza. On, Mozoň (Cichy), przyznaje, że popełnił błąd, ale zapewnia, że jest niewinny. Wszystko to wina prawnika. To prawnik jest zły i głupi, on, Mozoň (Cichy), w przeciwieństwie do niego jest dobrym człowiekiem. Otrzymał zlecenie i chciał je wykonać. Żyje z dnia na dzień, nie ma pracy i musi coś robić, żeby nie umrzeć z głodu. Dlatego zajmuje się takimi rzeczami. Prawnik obiecał mu sto tysięcy za zlikwidowanie Rácza. On, Mozoň (Cichy), ma bardzo surową żonę. Kocha ją, to oczywiste. Nie przeżyłaby, gdyby Rącz wysłał jej tę kasetę. On zresztą też by nie przeżył. Niech się Rącz nad tym jeszcze zastanowi, niech nie odbiera dzieciom matki i ojca.

Rącz wybucha śmiechem.

– A więc prawnik! – mówi, a uśmiech natychmiast znika z jego twarzy. – Adwokat! – dodaje z nienawiścią.

Mozoň (Cichy) wstaje z łóżka, nagi jak go Pan Bóg stworzył, i klęka przed Rączem. On, Mozoň (Cichy), szanuje Rácza. Z czasem zaczął sobie coraz bardziej uświadamiać, że komitywa z prawnikiem przeciwko Rączowi nie ma sensu. Lepiej być po stronie Rácza. Przeciwno prawnikowi i tak dalej. On, Mozoň (Cichy), prosi niniejszym Rácza o przebaczenie. Tak, dał się zwieść. Dopiero teraz on, Mozoň (Cichy), zrozumiał, gdzie jego miejsce. I niech sobie Rącz nie myśli, że on, Mozoň (Cichy), przychodzi z pustymi rękami. Ma dwóch podwładnych, którzy są na jego rozkazy! On, Mozoň (Cichy), powie „zabić” i oni zabiją. Byli na ćwiczeniach w Moskwie, przeszli

elektrowstrząsy. Poza tym ma piękną willę. Pod zamkiem. Śliczny, romantyczny widok na panoramę miasta. I kilka wybetonowanych cel w suterenie. On, Mozoň (Cichy), i jego podwładni znają wszystkie zasady działania w konspiracji. Mogliby się Rączowi przydać!

Rącz milczy. Stoi w rozkroku z zaciśniętymi pięściami. Zęby też ma zaciśnięte. Wygląda, jakby w ogóle nie słuchał ubeka.

– A więc to prawnik! – powtarza, a oczy wychodzą mu z orbit. Po chwili jednak się otrząsa. – Cela? – pyta. – Wybetonowana cela, mówisz?

Mozoň (Cichy) skwapliwie potakuje. On, Mozoň (Cichy), nigdy nie miał nic przeciwko potężnemu Rączowi. To wszystko przez tego parszywego prawnika! Gdyby on, Mozoň (Cichy), wiedział, jaką palacz ma władzę, nigdy by się nie dał tak zrobić. Po tym zapewnieniu ubek milknie, pełen niepokoju i nadziei zarazem. Wpatruje się w stojącego nad nim Racza z psią wiernością w oczach.

Rącz wlepia w niego swoje stalowoszare, gniewne spojrzenie.

– Przynajmniej byś się tu nie tarzał po ziemi, goły jak pedalska kurwa! – krzyczy. – Ubieraj się, ale już!

Mozoň (Cichy) zrywa się na równe nogi.

– Tak jest, szefie! – mówi.

Rącz wpycha kasetę wideo do kieszeni eleganckiego garnituru i rusza w stronę drzwi.

– Idziesz ze mną! – rozkazuje.

– Tak jest, szefie! – powtarza Mozoň (Cichy), po czym zaczyna się szybko ubierać. Bola go jądra, ale nie zwraca na to uwagi.

Rącz nerwowo kręci się przy drzwiach, tupie nogą.

– Już? – pyta, kiedy skruszony ubek w końcu jest gotowy. Idą do apartamentu Racza. Po drodze dołącza do nich Ďůla, który dotąd stał na straży pod drzwiami pokoju.

– Prawnik musi zniknąć, rozumiesz? – zaczyna palacz, sadowiąc się za biurkiem.

– Tak jest, szefie! – odpowiada Mozoň (Cichy).

Ráčz burczy coś z zadowoleniem.

– Trzeba go należycie ukarać! – ciągnie. Jego, Rácza, nie obchodzi, jak Ščepán to załatwi. On, Ráčz, nie chce o tym nic wiedzieć!

– Zniknąć? – pyta Mozoň (Cichy). – Ma pan na myśli...? – Mozoň (Cichy) wykonuje szybki, znaczący gest. Patrzy pytająco na palacza.

Ráčz podnosi obie dłonie. On, Ráčz, nic nie mówi. Nie chce o niczym wiedzieć! Jego ludzie pracują samodzielnie. Każdy odpowiada sam za siebie. I każdy wynosi korzyści z wyników wspólnej pracy.

Ráčz wyjmuje z szuflady metalową kasetkę: otwiera ją i wyciąga gruby plik banknotów. Rzuca go na stół. Gestem daje Mozoniowi (Cichemu) znak, żeby ten podszedł i wziął pieniądze.

– Tu jest sto tysięcy. Tyle, ile byś dostał od prawnika – mówi. Słowo „prawnik” wymawia tak, jakby spluwał. Ščepán bierze plik banknotów. Ráčz ponownie sięga do kasetki i rzuca na stół drugi zwitek. Tak samo gruby. – A tu kolejna setka, od Rácza! – oznajmia. – Wiesz za co.

Ščepán wyciąga rękę po pieniądze, ale Ráčz uderza go po palcach metalową linijką, którą zawczasu sobie przygotował. Ubek jęczy i wsadza obolałą dłoń do ust. Ráčz się śmieje.

– Forsa na razie zostaje u mnie. Dostaniesz ją, kiedy pozbędziesz się prawnika. Do tego czasu będzie tu – mówi i wsadza banknoty z powrotem do kasetki. – Zrozumiano?

– Tak jest, szefie! – odpowiada Mozoň (Cichy).

Ráčz wstaje i podchodzi do ubeka. Podnosi prawą rękę, jakby chciał spojrzeć na nieistniejący zegarek, i podsuwa ją Ščepánowi. Były

ubek ujmując jego dłoń w swoją i całuje. Palacz przyjmuje ten hołd z zaciśniętymi ustami i z dumnie podniesioną głową. Brylant w uchu błyszczy.

– Możesz iść – mówi i macha ręką, jakby odganiał muchę. – Czekam na wiadomości! – krzyczy za Ščepánem, który zamyka drzwi apartamentu, bijąc pokłony.

– Co teraz, szefie? – pyta Ďula, gdy Ščepán wychodzi.

Ráčz wali pięścią w stół.

– Co teraz? – pyta. – Teraz pójdziemy wszyscy na dobrą kolację! Zasłużyliśmy sobie! Powiedz Urbanowi i tym dwóm dziwkom, że Ráčz zaprasza do restauracji! Trzeba się zabawić, nie? – Ráčz klepie Ďulę po plecach, po czym przyjacielskim kopniakiem w tyłek daje mu znać, że może odejść.

Nadszedł ważny dzień. Dyrektor wie o tym od samego rana. Wstał o świcie i po raz ostatni rozpałił ognisko. Ogrzał się i ugotował pożywną zupę z resztek warzyw, słoniny i kurzych wnętrzności, które znalazł w kontenerze. Zanim w hotelu zaczęła się poranna krzątanina, ogień był już zgaszony, a okno, przez które ulatuje dym, zostało zamknięte. Część psów niespokojnie powarkiwiała, kilka drzemało, inne z kolei szarpały za uprzęże, zrobione ze starych części samochodowych i opon.

Dyrektor wszystko dokładnie zaplanował. Jedno jest pewne: tu, w hotelu, dyrektor nie ma żadnych szans. Gdzie indziej też nie. Jego żona żyje z kochankiem. Facet zapuścił sobie takie same wąsy jak dyrektor, a ona jest z nim szczęśliwa. Teść siedzi w więzieniu i prędko z niego nie wyjdzie. Na kolejną amnestię trzeba będzie trochę poczekać. On, dyrektor, nie ma dokąd pójść. W hotelu jest zdany na łaskę palacza. Nie ma co jeść. Pieniądzy na jedzenie też nie ma – ani

nie będzie mieć. Polowanie na drobną zwierzynę, blakającą się wokół kontenerów na śmieci, staje się coraz trudniejsze.

Daleko na północy, za kręgiem polarnym, żyją ludzie, wśród których on, dyrektor, czułby się jak u siebie. Są wielcy i masywni, mają skośne oczy, a z ich twarzy tchnie prostota. Ubierają się w futra upolowanych zwierząt. Potrafią całymi godzinami czekać nad przerębłą, aż z zimnej, błękitnej wody wyłoni się głowa fok. Są prości, a także, podobnie jak dyrektor, gościnni i weseli. Lubią śpiewać piosenki, często mówią sami do siebie. Też tak jak dyrektor.

On, dyrektor, zna ich bardzo dobrze. W dzieciństwie miał swoją ulubioną książkę, *Wschód słońca nad Czukotką*. Występował w niej mądry i dobry myśliwy Waamczo, jego odważna towarzyszka Tygrena, stary, jednooki Lok, szalony kupiec Alitet i jego ojciec, zwariowany szaman Korauge. On, dyrektor, ma nadzieję, że wciąż tam żyją. Udowodnił już sobie i wszystkim innym, że może się uważać za jednego z nich. Udało mu się przeżyć w trudnych warunkach we własnym gabinecie. Nie zamarł i nie umarł z głodu. On, dyrektor, jest wspaniałym myśliwym. Jego włócznia trafia prosto do celu.

Tak, dyrektor podjął już decyzję! Wyruszy na północ, za koło podbiegunowe! Nie, nie ma mapy. Nie potrzebuje jej. Jego psi zaprzęg będzie pędził ciągle na północ. Nie może się pomylić, nie zabłądzi. Cały czas na północ. Psy będą biec całymi nocami, niezłomne. Za dnia on, dyrektor, będzie obozował i czekał, aż się ściemni. Teraz zmrok zapada wcześniej. Z nadejściem nocy dyrektor wyruszy ze swoim zaprzęgiem w dalszą podróż. Niechby się miała nie skończyć. On, dyrektor, wie, że pewnego dnia dotrze do celu!

Dziś nadszedł ten dzień, myśli dyrektor. Pokrzykuje na psy, które siedzą, wyją i pokazują zęby. Wstaje i podchodzi do nich. Każdego po kolei zaprzęga do sanek, które ukradł dziewczynce w żółtej kurteczce. Na sankach leżą już umocowane: namiot, łuki i strzały, koce,

akordeon, śpiwór, futerka drobnych zwierząt upolowanych w okolicy hotelu „Ambassador” oraz zapas suszonego mięsa. Psy są niespokojne, niecierpliwie szarpia uprzężą i szczekają. Siedzą w półokręgu, ze wzrokiem wbitym w dyrektora. Od czasu do czasu skowyczą i kłapią zębami. Dyrektor zdejmuje z rozwieszonego nad ogniskiem sznura kilka ostatnich pasów wyschłego ścierwa. Urywa małe kawałki i rzuca swoim psim towarzyszom. Te chciwie łapią smakołyki w powietrzu; wilgotne pyski błyszczą. Dyrektor siada. Trzeba odpocząć przed podróżą.

Po chwili się podnosi. Wkłada długą futrzaną kamizelkę, uszytą z upolowanych psów i kotów. Na głowę wciska grubą czapę. Pewnej nocy udało mu się zastrzelić perskiego kota, który prawdopodobnie komuś uciekł. Teraz, pod postacią czapy, kocur wyruszy aż za koło podbiegunowe. Dyrektor siada na sankach. Chwyta bicz zrobiony z opony samochodowej.

– Wio! – krzyczy do psów i strzela lejcami. Psy ruszają, sanki suną po gołym betonie. Parkiet już dawno skończył w ogniu.

Stado rozwała drzwi gabinetu i ciągnie sanie dyrektora schodami w dół.

– Wio! – woła dyrektor z twarzą rumianą od podniecenia.

Recepcjonista właśnie wrócił do hotelu. Był na zewnątrz, żeby zerknąć, czy pada śnieg. Pada.

– Kurwa, znowu pada! – mówi, gdy staje przed Torontálem. Torontál siedzi obok recepcji i kurczowo przytrzymuje się marmurowego blatu. Z daleka wygląda jak mumia, którą zostawił tu jakiś roztrzepany gość hotelowy. Z bliska wrażenie się potęguje. Torontál już nie potrafi dojść do szatni, a co dopiero do swojego domu. W dzień i w nocy przesiaduje nieopodal recepcji i drzemie. Nie je, nie pije. Nie musi chodzić do toalety. Recepcjoniści się zmieniają, a Torontál niezmiennie trwa na posterunku. Czasem podniosą mu

powiekę lub podsuną do ust lusterko. Upewnią się, że wciąż żyje, i zostawią go w spokoju. Żyje nie żyje, kogo to obchodzi. Ale Torontál nadal ma jeszcze aż nadto sił witalnych. Swoją energię oszczędza na moment, gdy w drzwiach hotelu pojawia się nowy gość. Wtedy Torontál się ożywia. Najpierw otwiera lewe oko. Po nim prawe. Kościste i pomarszczone ręce zaczynają mu się trząść z niecierpliwością. Ruszają się, jedna niezależnie od drugiej, jak dwa wielkie kraby. Torontál przebiera nerwowo palcami, wstaje z krzesła i drobnymi kroczkami rusza w stronę klienta. Ale w nocy klientów nie ma. Torontál zastyga jak żuraw, który właśnie ugasił pragnienie.

Recepcjonista siada na wysokim krześle za ladą. Zawieszona za jego plecami klucze połyskują w mroku. Otwiera gazetę i czyta wiadomości ze świata. Nagle nieruchomieje.

W olbrzymim ciemnym holu słyhać hałas. Z początku przytłumiony, ale z wolna przybierający na sile. Nieokreślony łoskot miesza się z ujadaniem tuzina psów. Recepcjonista nie wierzy własnym uszom. Odkłada gazetę i wstaje.

– Co jest, do chole...? – zaczyna.

Z tyłu, od strony schodów, z szaloną prędkością nadbiega psi zaprzęg. Na sankach siedzi opatulona w futra postać.

– Wio! – krzyczy zakutany człowiek i trzaska z bicza. Więcej recepcjonista nie jest zdolny dostrzec, sanie pędzą po kamiennej posadzce z prędkością światła, aż lecą iskry. Zaprzęg wpada na szklane drzwi, szkło się rozsypuje, psy wybiegają w ciemność.

Recepcjonista stoi z otwartymi ustami. Patrzy na Torontála, ale starzec przypomina zabalsamowanego trupa. Recepcjonista podchodzi do rozbitych i powyginanych drzwi obrotowych, przez które wpada do holu zimny wiatr i wilgotny zapach zawiei śnieżnej.

– Ja pierdołę! – mówi recepcjonista i wygląda na zewnątrz. Zaprzęg jest już na końcu ulicy. W oddali, na skrzyżowaniu, mrugają

pomarańczowe światła. Tory tramwajowe, przysypywane świeżym śniegiem, błyszczą coraz słabiej. Na skrzyżowaniu zaprzęg skręca w prawo, na północ. Recepcjonista dochodzi do siebie. Wygraża pięścią ginącemu z oczu zaprzęgowi. Niespokojne szczekanie psów cichnie. W końcu milknie zupełnie, zagłuszone przez wiatr i stłumione przez wilgotne, ciężkie płatki śniegu.

– Ja pierdolę! – powtarza recepcjonista i cofa się do holu, by oszacować szkody. Gdyby tylko miał świadka tych wydarzeń! Teraz nikt mu nie uwierzy! Nagle przystaje. Uświadomił sobie, że za szkody będzie musiał zapłacić sam!

– Ja pierdolę! – mówi po raz trzeci.

Sanki, ciągnięte przez stado psów, z hałasem suną przez uśpione jeszcze ulice. Dyrektor wesoło podśpiewuje. Policzki ma czerwone. Radośnie strzela biczykiem. Oj, dobre sanie sobie załatwił! Szybkie jak strzała! Wciąż na północ! Dyrektor siedzi wygodnie. Byle wciąż gnać! Przed siebie, w góry! Pewnego dnia dotrze na miejsce! Do rana przebiegną co najmniej z dziesięć wiorst! Myśliwska dusza dyrektora promienieje szczęściem.

– Wio! – pokrzykuje dyrektor, ilekroć wydaje mu się, że psy zmniejszyły szaleńcze tempo. Ostre gałązki smagają go po twarzy.

Zdravko G. przyjeżdża do miasta wczesnym rankiem.

– Na Boga! – mruczy pod nosem, gdy stwierdza, że nie ma gdzie zaparkować swojego zdezelowanego pomarańczowego opla. Parking jest ze wszystkich stron otoczony wielkimi, wypełnionymi ziemią azbestowymi doniczkami. Zdravko G. na próżno próbuje odsunąć jedną z nich. Zdyszany z wysiłku – jak się okazuje, zbędnego – wsiada do samochodu, gdzie uznaje, że odległość pomiędzy dwiema doniczkami jest jednak wystarczająca. Za tę decyzję będzie musiał

zapłacić oderwanym lewym błotnikiem i zakleszczonymi, poobijanymi drzwiami.

– Jebem ti krv krvavu – klnie, parkując samochód na chodniku przed hotelem „Ambassador”. Wysiada od strony pasażera i ogląda auto. Macha ręką, spluwa i wchodzi do hotelu. Ze zdziwieniem patrzy na zniszczone drzwi. Recepcjonista za ladą wygląda jak nieboskie stworzenie. Torontál otwiera lewe oko i od razu je zamyka. Zdravko G. wsadza dwadzieścia koron w zgrabiałą, pazurzastą dłoń wysuszonych zwłok i nie poświęca truposzowi więcej uwagi.

– Molim da mi date pokój broj trinaest – mówi do recepcjonisty, który zapisuje go w zeszycie i podaje mu klucz. – To jest mój szczęśliwy broj, rozumete? – upewnia się Zdravko G., pobrząkując kluczem.

Zdravko G. bierze prysznic, wkłada świeże ubranie i schodzi do baru hotelu „Ambassador”.

– Gdzie Silvia? – pyta głównego kelnera. – Znate ją? Taka blond devojka. Robiła w klubie na dole, znate... kao... Tänzerin... znate? – Zdravko G. prezentuje pantomimę przedstawiającą rozbieranie się w rytm muzyki. – Da radi josh u was?

Główny kelner kręci głową. Nie, Silvia już u nich nie radi. Nie pracuje. Odeszła z klubu. Dawno temu.

– Ne radi? – dziwi się Zdravko G. – Znate, ja sam jejo Freund... prijatelj. Moram da ju spotkam. Ja długo tu nie był. Znate, gdzie ona ma swoją kuczę? Wohnung?

Główny kelner przyjmuje sto szylingów z miną, jakby chodziło o coś oczywistego.

– Nie wiem, gdzie mieszka Silvia – mówi. – Ale jak pan trochę poczeka, to się dowiem.

Po chwili jest z powrotem.

– Proszę. – Kierownik podaje Zdravkowi G. karteczkę

z nagryzmołonym adresem. – Ale niech pan będzie ostrożny. W hotelu nie wolno wymawiać tego imienia.

– Koje ime? – pyta Zdravko G., ale główny kelner już zajmuje się kimś innym. Zdravko G. składa karteczkę i wsuwa ją do kieszeni. Cieszy się. Długo Silvii nie widział. Jest przekonany, że tancerka zgodzi się na jego propozycję. Zdravko ma przecież swój urok. Która by się mu oparła?

Zadowolony Zdravko G. wychodzi z baru.

Prawnik czuje przejmujący ból głowy. Jak na kacu. Próbuje się ruszyć. Boli go również bark. Ach, tak, przypomina sobie. Przyszedł do jego gabinetu Mozoň (Cichy). Zanim on, prawnik, zdążył spytać, dlaczego tamten zmył z twarzy czarną farbę, Mozoň (Cichy) wyciągnął z kieszeni jednorazową strzykawkę i wstrzyknął mu w ramię jej zawartość. Prawnik pamiętał ten sprzęt: ubecy pokazywali mu go w konspiracyjnej willi. Mozoň (Cichy) chciał nim uśpić palacza.

– Nie jestem żaden Mozoň (Cichy)! – powiedział Mozoň (Cichy). On, Mozoň (Cichy), ma na imię Ščepán. – Ščepán i tylko Ščepán! – dodał, gdy aplikował prawnikowi zastrzyk.

– Co ty robisz? – Prawnik nie mógł w to wszystko uwierzyć. Był jeszcze przytomny, kiedy do środka wbiegli Šolík (Owsik) i Tupý (Mac) i wspólnymi siłami wywlekli prawnika najpierw na korytarz, a później na podwórko, gdzie czekał już – z włączonym silnikiem – hotelowy mikrobus „Renault”. Za kierownicą siedział pomagier Rácza, Ďula. Wtedy prawnik zaczął odczuwać skutki zastrzyku. Śmiał się głupio, a głowa zwisała mu bezwładnie. Z przyjemnością pozwolił zapakować się do mikrobusu, jak bagaż. Więcej niczego nie pamięta.

W celi panuje chłód. Wybetonowana podłoga jest wilgotna. Prawnik opiera się o ścianę, z trudem wstaje. Zakratowane okienko

znajduje się wysoko, nie da się go dosięgnąć. Pomieszczenie urządzono skromnie: drewniana deska w kącie robi za spartańskie łożo, dziura w podłodze w przeciwległym kącie – za sanitariat. Prawnik patrzy tępo przed siebie. Boli go głowa. Przełyka ślinę. W ustach ma dziwny posmak, jak po długotrwałym chlaniu. Powoli zaczyna do niego docierać, co się stało. On, prawnik, jest zamknięty w konspiracyjnej willi! A więc uwięzili go tu ubecy: Mozoň (Cichy) i jego dwóch podwładnych. Czy to znaczy, że cała trójka przeszła na stronę Rácza?

W drzwiach słycać chrobot klucza. Do celi wchodzi Mozoň (Cichy). Wzrok ma nieobecny. Za nim wchodzi Šolík (Owsik) i Tupý (Mac). Tupý (Mac) niesie wiadro.

– Co to ma znaczyć? – pyta prawnik. Ma spierzchnięte usta. Mozoň (Cichy) wzrusza ramionami. Kiwa głową w stronę Tupego (Maca). Tupý (Mac) stawia wiadro pośrodku celi.

– Co to jest? – Prawnik wskazuje na wiadro.

– Wiadro – odpowiada Ščepán.

– Co jest w środku? – dopytuje prawnik.

– Woda z Dunaju, ty habilitowany pojebie! – nieoczekiwanie wykrzykuje Ščepán.

Prawnik podchodzi i zagląda do kubła. Woda jest brudna i śmierdzi.

– Po co wam woda z Dunaju? – draży.

Byli ubecy patrzą na siebie z rozbawieniem.

– Żeby ci w płucach nie znaleźli wody z kranu, jak cię wyłowią z Dunaju! – wyjaśnia Ščepán.

Na jego rozkaz Šolík (Owsik) i Tupý (Mac) biorą prawnika pod ręce i zmuszają do klęknienia przed wiadrem. Wpychają mu głowę do brudnej wody. Prawnik się broni, tak że Ščepán musi przyjść z pomocą.

– Naszelniku, ten to ma siłę – mówi Tupý (Mac) z podziwem.

– Pchaj, nie gadaj – odpowiada mu Ščepán ostro.

Prawnik próbuje się uwolnić, w wiadrze pojawiają się bąbelki. W desperackim geście łapie Šolíka (Owsika) za rękaw i urywa mu kawałek koszuli. Powoli jednak jego ruchy stają się coraz wolniejsze. Ubecy są cali oblani wodą.

– Do kurwy nędzy! – odzywa się Šolík (Owsik). – Koszula za sześćset koron!

Prawnik nieruchomieje z głową w wiadrze. Bąbelki znikają. Ubecy układają prawnika na desce.

– Sto tysięcy jest nasze! – mówi Ščepán zwycięsko. Mężczyźni są spoceni i zmęczeni. W celi jest zimno.

– Koszula za sześćset koron! – denerwuje się Šolík (Owsik).

– Zamknij już mordę! Za taką kasę kupisz sobie pięćset takich koszul!

Šolík (Owsik) kręci przecząco głową.

– Nie, nie! – protestuje. – Takiej już nigdzie nie znajdę! To była ostatnia sztuka!

Wloką prawnika na górę, na parter. Dyszą ciężko. Schody są strome i wąskie. Topielec wyslizguje im się z rąk. Ščepán przeklina. Šolík (Owsik) ma obrażoną minę. Mruczy coś pod nosem.

Silvia i Edita zachowują się jak królowe piękności. Szeroko otwierają usta w sztucznym uśmiechu. Spojrzenie wymalowanych oczu ma być pociągające. Dziewczęta wiedzą, że od seksownego wyglądu zależy cała ich przyszłość, ich kariera.

Jadą pomarańczowym oplem Zdravka G. Zdravko G. nerwowo stuka dłonią w kierownicę, od czasu do czasu zmienia bieg. Kolumna samochodów przesuwa się w stronę kontroli celnej.

– Naprawdę są nami zainteresowani? – dopytuje Edita, jakby chciała po raz kolejny usłyszeć dobrą nowinę.

– Da, da – odpowiada Zdravko G. – Sigurno tak!

On, Zdravko G., załatwił im pracę w jednym z wiedeńskich barów nocnych. W roli tancerek. Zarobią bajeczne pieniądze, nawet dwadzieścia tysięcy szylingów miesięcznie. On, Zdravko G., bardzo je lubi. Jest lekarzem, nie zna branży towarzyskiej. Ale ma pewne kontakty.

Opel przesuwa się kilka metrów do przodu. Zdravko G. wyłącza silnik i mówi dalej. Jest tylko jeden haczyk. Właściciel lokalu nie chce mieć kłopotów ze związkami zawodowymi, dlatego Zdravko G. będzie musiał najpierw zawieźć dziewczęta do jego siedziby na przedmieściach. Będą tam do momentu, kiedy nie załatwi wszystkich formalności.

Silvia i Edita potakują. Tak, oczywiście. Dostosują się do miejscowych zwyczajów. Zawsze marzyły o takiej szansie. Za kilka miesięcy będą mogły patrzeć z góry na swoje byłe koleżanki z „Ambassadora”. Na tego prymitywa, Rácza, też.

Kontrola celna i sprawdzanie paszportów przebiega bez problemów. Zdravko G. uruchamia silnik i pomarańczowy opel wjeżdża na terytorium Austrii. Silvia i Edita uśmiechają się promiennie. Otwierają szeroko oczy – wiedzą, że wtedy wyglądają najładniej.

Po kilku kilometrach Zdravko G. skręca do lasu i zatrzymuje samochód. prostytutki patrzą po sobie. Zdravko G. rozpiną spodnie i pokazuje długi, potężny członek. Składa siedzenia w samochodzie i czeka, aż dziewczęta się rozbiorą. Zaspokajają go kilka razy z rzędu. Dziwią się jego potencji i ilości gorącego płynu, który strzela z wielkiego przyrodzenia. Samochód się trzęsie, sprężyny skrzypią. Zdravko G. wydaje z siebie głębokie, pełne zadowolenia dźwięki.

Prostytutki się spociły.

Po chwili ruszają w dalszą drogę. Powoli zapada zmrok. Skręcają przed Wiedniem. Zatrzymują się w przydrożnym zajeździe, żeby coś zjeść. Zdravko G. po dżentelmeńsku płaci za obie prostytutki.

Silvia jest zadowolona. Już dawno pogodziła się z myślą, że nie będzie jej dane wcielić się w czarnego łabędzia na deskach najznamienitszych teatrów. Z baletem łączy ją jedynie szczupła, choć umięśniona sylwetka. Silvia jest przekonana, że teraz, kiedy dostała angaż w klubie nocnym na Zachodzie, łatwiej znajdzie męża. Bardzo bogatego Austriaka, Niemca lub – jeśli jej się poszczęści – Amerykanina! Silvia wie dokładnie, jak to wszystko przebiegnie. Ona, Silvia, będzie tańczyć na scenie. Striptiz. Rozbierze się do naga, ukloni się i pozbiera odzież, a potem pójdzie do swojej garderoby. Tam będzie już na nią czekał bukiet kwiatów, a w nim – liścik. Będzie na nim zapisane długie nazwisko z mnóstwem tytułów przed i po. Z drugiej strony kilka wykaligrafowanych zdań, z dużą ilością zawijasów. Ona, Silvia, zna kilka niemieckich słów, głównie z kategorii tych, które dotyczą jej profesji: „normal”, „französisch”, „griechisch”, „goldene Dusche”, „Natursekt”, „Wasserspiele”, „wachsen” i tak dalej. Na liściku będzie napisane na przykład: „Zachwycił mnie Pani taniec. A jednocześnie wiem, że stać Panią na więcej. W każdym razie czekam na Panią w klubie po występie. Z szacunkiem i wyrazami uznania, Reiner, Fürst von...” i tak dalej. Ona, Silvia, spotka się z nim. Będzie słuchać jego staromodnych, ale przez to jeszcze bardziej atrakcyjnych komplementów. Zaprezentuje swój szeroki, biały uśmiech. Jej makijaż, świeży, dziewczęcy, będzie powiększał optycznie oczy, tak żeby wydawały się trochę naiwne, a trochę inteligentne. Ale tylko trochę. Mężczyźni nie lubią kobiet o inteligentnym spojrzeniu. Poza tym ona, Silvia, nie potrafiłaby dobrze odgrywać takiej roli. Wybierze styl na dziewczynę z dobrego domu, która przez nieszczęśliwą miłość

zeszła na złą drogę. Będzie musiała obudzić w nim instynkty opiekuńcze, wytworzyć chęć otoczenia troską jej delikatnego ciała. „Och, Silvio”, powie on z czułością w głosie. „Nawet nie zdaje pani sobie sprawy, jaki ból sprawia mi każda minuta, którą musi pani spędzać na scenie, przed tą hołotą. Bez skrepowania, przy akompaniamencie oślizgłej, wstrętnej muzyki, pokazuje pani te części swojego ciała, które powinny należeć tylko do mnie!”. Ona, Silvia, odpowie czystą niemczyzną: „Och, mój panie, mówi pan jak ktoś, kto nigdy w życiu nie musiał walczyć o kawałek chleba!”. Jej głos zabrzmiał cicho i delikatnie, a na twarzy zagościł promienny uśmiech, zupełnie jakby Silvia mówiła: „Spójrz na mnie! Jestem piękną kobietą i pięknym człowiekiem. Ciało można wyginać na wszelkie sposoby, układać je w różne pozycje, ale dusza – jeśli się jej nie pobrudzi – może mimo to pozostać czysta! Czysta na przekór wszystkim!”. „Tak, mój panie, taka jest prawda”, doda Silvia. „A co do zakamarków mojego ciała, na których panu tak, zdaje się, zależy – pokażę je wszystkim, którzy zapłacą za to, by móc je oglądać. Lecz pewnego dnia to się zmieni i będą one należeć tylko do jednego mężczyzny na świecie. Do mężczyzny, który zostanie moim mężem. Tego może być pan pewien!”. Po tych słowach bogaty szlachcic weźmie ją w ramiona i już nigdy nie wypuści. Ona, Silvia, awansuje do wyższych sfer i będzie żyć w bogactwie i przepychu aż do końca swoich dni.

Edita nie umie sobie wyobrazić nowego miejsca pracy. Zdravka G. zna tylko przelotnie, kilka razy z nim spała, kiedy Silvia była zajęta. Ale to poważny człowiek. Lekarz. Chce im obu pomóc, jej i Silvii. Dwadzieścia tysięcy szylingów to więcej niż siedemdziesiąt tysięcy koron miesięcznie. Prawda: Edita mogła tyle zarobić i w „Ambassadorze”, ale za jaką cenę? Ona, Edita, postanowiła, że nie będzie się już ruchać z klientami. Będzie tylko tańczyć. Ostatecznie nie jest żadną kurwą! Tańczyła w zespole ludowym! Dostali się na festiwal

pieśni i tańca! Pracę w barze hotelu „Ambassador” załatwił jej hotelowy prawnik. Oczywiście, musiała się z nim przespać, ale kto w dzisiejszych czasach nie musi czasem dać dupy? Jeżeli tutaj wszystko się powiedzie, ona, Edita, nie chce już słyszeć o żadnych mężczyznach. Będzie tylko tańczyć i nieustannie podnosić swoje kwalifikacje. Jeśli trochę zaoszczędzi, otworzy własną szkołę tańca. Będzie w niej uczyć nowoczesnych stylów tańca. Jej uczniami będą młodzi chłopcy i – przede wszystkim – młode dziewczyny. Dziewczęta będą ją traktować jak starszą koleżankę. Z ufnością pozwolą jej się obejmować w pasie, dotykać ud i klatek piersiowych. Może któraś z nich skusi się na drobne pieszczoty z Editą i powstanie z tego piękny związek. Pełen delikatnej namiętności, takiej, jaką potrafi podarować tylko kobieta kobiecie. Może później Edita wyjdzie za mąż za jakiegoś bogacza. Będzie doświadczony, nowoczesny i pozbawiony uprzedzeń. Nie będzie mu przeszkadzało, że ona, Edita, jego żona, od czasu do czasu pozwoli sobie na chwilę słabości z płcią piękną. A może nawet wręcz przeciwnie: uzna to za miłe urozmaicenie pożycia małżeńskiego? Może będzie się przyglądał z przyjemnością, a niekiedy nawet do nich dołączy.

Zdravko G. też jest zadowolony. Za obie kurwy dostanie tyle pieniędzy, ile jeszcze w życiu nie widział. A to dopiero początek! Niedługo wróci do Bratysławy, żeby przekonać Wandę Tirówkę i Evę Rzeżączkę, by one również pojechały do Austrii, prosto w objęcia lepszej przyszłości. Problem w tym, że ani wysoka Vanda, ani szczupła Eva nie są tancerkami. Będzie musiał wymyślić coś innego. Na przykład że może im załatwić pracę w luksusowym domu publicznym. W komfortowym otoczeniu, gdzie szybko zarobią na życie wolne od trosk. Już on, Zdravko G., coś wymyśli.

Od wsi Wöningen pod Wiedniem dzieli ich jeszcze parę kilometrów. Zdravko G. jest z siebie tak zadowolony, że ponownie się

podniecił. Skręca w polną drogę. Nie zdąży zgasić silnika w ciemnym, zaśnieżonym lesie, a już obie prostytutki są rozebrane. Z przyjemnością robią mu dobrze, są wdzięczne. Bądź co bądź, wyciągnął je z marazmu ich codziennej egzystencji i kupił bilet wstępu do szczęśliwego świata, do piękniejszej i rozumniejszej przyszłości. Po wszystkim Zdravko G. patrzy, jak Silvia z Editą robią to sobie nawzajem. W samochodzie jest ciasno. Sprężyny skrzypią. Cała trójka ciężko dyszy.

Ruszają dalej. Zdravko G. pokazuje tablicę WILLKOMMEN IN WÖNINGEN.

– Tu ima mój prijatelj swoją kuczę – mówi do dziewczyn. Zdravko G. zwalnia i wjeżdża do miasteczka. „Pervers-Club” Haslauera mieści się na jego obrzeżach. Zdravko G. wie, co będzie potem. On, Zdravko G., przekaże kurwy Haslauerowi, i tyle. Na tym jego robota się kończy. Żona Haslauera będzie dla nich jak matka. Zabierze im paszporty – trzeba przecież załatwić pozwolenie na pracę – i tak dalej. Dziewczyny będą trzymane w pokoju zamkniętym na klucz i faszzerowane narkotykami. Czasem dostaną w mordę. Będzie tak do momentu, kiedy sobie uświadomią, że ich jedyną szansą jest posłuszeństwo. Co oznacza bycie posłuszną w „Pervers-Clubie” – tego Zdravko G. nie wie. Nie interesuje go to. Nie należy do grona klientów takich miejsc. Nieraz wprawdzie lubi popробować seksu analnego, ale to już dzisiaj robi każdy. On, Zdravko G., nie jest żadnym zбочeńcem! Później, gdy obie kurwy już się znudzą klientom, Haslauerowie pozwolą im odejść. Oddadzą im paszporty i wypłacą zarobione pieniądze, które Haslauer przez ten czas dla nich odkładał. Austriacy mają swój honor i grają fair. Haslauer nigdy nie okradłby kurew ze swojego lokalu. Już sam fakt, że w ogóle przeżyły, jest wart szacunku i sowitej nagrody. Ale co zarobiliśmy, to zarobiliśmy: Haslauer najpierw odliczy wydatki na wyżywienie, dach nad głową,

otępiające narkotyki (konieczne, żeby nie oszaleć od tego, co się dzieje w „Pervers-Clubie”), seksowną bieliznę i różne – skórzane i gumowe – akcesoria. To, co zostanie dziewczkom, wystarczy może na dobrą kolację w wiedeńskim „Hiltonie” i na bilet powrotny – pierwszą klasą! – z Wiednia do Bratysławy, przez Marchegg i Devínską Novą Ves. I, oczywiście, dziewczyny zdobędą też szerokie kontakty. Słowacka kurwa może być za nie Haslauerowi wdzięczna: jeśli będzie umiała dobrze je wykorzystać w Bratysławie, w ciągu pół roku zostanie milionerką. On, Zdravko G., nie ma wyrzutów sumienia. Dostaną, czego chciały. Trzeba sobie pomagać. Haslauer zatrudnił jego, Zdravka G., ponieważ sądzi, że on, Zdravko G., zna się na słowackich dziewczynach. On, Zdravko G., robi co może. Ma nadzieję, że Haslauer będzie zadowolony z pierwszej dostawy, czyli z Silvii i Edity. Może nawet na kolejną wycieczkę do Bratysławy pożyczy mu swoje nowe białe porsche. Ale by było! Później Zdravko G. będzie mógł przywozić też świeżynki: studentki, skrzywdzone rozwódki, młode podfruwajki. Haslauer powiedział: „Klienci wolą amatorki”. A za dziewicę obiecał mu dziesięć razy większą stawkę. Dziesięć razy!

Miasteczko jest przykryte śniegiem. Na ulicy nie ma żywej duszy. Zdravko G. parkuje w dzielnicy willowej. Trąbi. W domu włącza się światło.

– No, dewojky! – mówi. – Możemy da idziemy! Aussteigen!

Silvia i Edita już od jakiegoś czasu starają się wyglądać promiennie. Teraz dodatkowo rozciągają usta w lśniących uśmiechach. Podobają się sobie. W sukienkach mini, krótkich, ale drogich futerkach i wysokich kozakach odważnie ruszają w stronę willi.

Zdravko G. biegnie za nimi. Uważa, żeby się nie poślizgnąć w swoich drogich butach. On też jest z siebie zadowolony. Udało mu się. Już nie jest brudnym, bezrobotnym gastarbeiterem. Śmiać mu się

chce na myśl, że mógłby dziś siedzieć na kamienistych zboczach w Kosowie i wypasać uparte, tępe osły.

Kiedy pracownica urzędu miasta pojawia się na dawnym parkingu przed hotelem „Ambassador”, pod budką z winem kręci się dwóch pijaków. Trzeci, z kapeluszem na głowie, śpi w zaspie śnieżnej. Sprzedawca jest w złym humorze. Jarmark bożonarodzeniowy się skończył, noworoczne popijanie wina też. Teraz przed budką będzie wiało pustką.

– Mam tu decyzję urzędu miasta – oznajmia kobieta i pokazuje dokument.

– Proszę wejść – zaprasza ją sprzedawca.

Urzędniczka otrzepuje buty i wchodzi do nagrzanej drewnianej budy. Jest ścisk. W środku siedzą dwaj barmani, dwie kucharki i sprzątacze. Nie mają nic do roboty. Wczoraj usmażyli trzy kotlety, podgrzali dwie kiełbasy, sprzedali paczkę papierosów i zaparzyli osiem kaw. Z czego siedem dla siebie. Siedzą przy stole i grają w karty.

– No, co tam pani przyniosła? – pyta sprzedawca.

Kobieta rozkłada kartkę z decyzją urzędu. Od pierwszego lutego przed hotelem „Ambassador” znów ma być parking. Protesty kierowców przeciwko likwidacji przestrzeni parkingowej przed centrum handlowym i tak dalej. Do pierwszego należy usunąć wszystkie budki i barierki. Przywrócić działkę do pierwotnego stanu. Umowa najmu z Alfrédem Mešťánkiem, poprzednim najemcą gruntu, została ponownie podpisana.

Pracownicy bufetu oddychają z ulgą. Nareszcie! Od dłuższego czasu żadnego zysku. Kto by chciał przychodzić w taki mróz? Właściciel budki kiwa głową. On, właściciel budki, musi to przyznać. Na początku myślał, że złapał Pana Boga za nogi. Ale teraz widzi, że

się mylił. Komu by się chciało stać tu na zimnie, kiedy zimę można oglądać zza okien ogrzewanego pomieszczenia.

Urzędniczka cieszy się, że jej informacja spotkała się z tak pozytywnym przyjęciem.

– To zostaje u państwa – mówi, kładąc dokument z decyzją na stole. – A teraz proszę mi powiedzieć, gdzie znajdę strażnika parkingu, Alfréda Mešťánka.

– Kogo? – pyta kucharka. Wybałusza oczy ze zdumienia.

– No przecież Fredy’ego Szparszwajna, nie? Świętego Fredy’ego – mówi sprzedawca, po czym zwraca się do urzędniczki: – Tak tu na niego mówią. Fredy, czyli Alfréd Mešťánek, kręci się po okolicy w pobliżu hotelu. Teraz pewnie można go zastać w przyczepie.

Właściciel budki odwiązuje fartuch. Jeśli szanowna pani z urzędu miasta sobie życzy, to on, właściciel budki, może ją tam zaprowadzić.

Wszyscy wychodzą na zewnątrz. Idą w stronę przyczepy strażnika parkingu, po drodze mijając pijaka z wystającym spod śniegu kapeluszem. Fredy najwyraźniej usłyszał, że nadchodzą. Nagłym ruchem otwiera drzwi do przyczepy. Przekrwione oczy błyszczą mu ze złością. Podnosi kościstą rękę.

– Stójcie, grzesznicy! – krzyczy. – Ani kroku dalej!

Urzędniczka i sprzedawcy zatrzymują się.

– Z czym przybywacie? – pyta pustelnik. – Sumienie was ruszyło? Przyszliście po rozgrzeszenie? Już za późno! Koniec nadziei wkrótce! Niebo zaciągnie się czernią, a ziemia zacznie pękać. Babilon spłonie. Nic po nim nie zostanie. Nikt nie ma prawa przeżyć! Skażone nasienie Babilonu musi zostać zniszczone!

Właściciel budki i jego pracownicy uśmiechają się rozbawieni. Są przyzwyczajeni do kazań szaleńca. Ale niedoświadczona urzędniczka, przyjmując ton udawanego szacunku, próbuje przekrzywić Fredy’ego:

– Proszę pana, panie Mešťánek! Czy mogłabym teraz JA coś powiedzieć?

Ale pan Mešťánek jest najwyraźniej zbyt zajęty swoim przesłaniem, grzechami tego świata.

– Wszyscy jesteście z Babilonu! – krzyczy rozgorączkowany. – Jesteście owocem grzechu, pieniędzy! Spotka was surowa kara! Spłoniecie, zostaniecie powieszzeni, poćwiartowani i ukamienowani! Babilońskie niewiasty zostaną wbite na pal! Wasza chciwość przysłania wam widok zbliżającego się końca! – kontynuuje Fredy i podnosi ostrzegawczo palec do góry. – Jedyne szansa to pozbycie się wszystkiego. Pieniądzy, majątku, żądz! Ale teraz już nawet to wam nie pomoże! Bóg jest surowy, a grzesznicy zostaną ukarani!

Pracownicy bufetu rechoczą, aż trzęsą im się brzuchy. Urzędniczka jest młoda i nigdy wcześniej nie spotkała się z czymś takim. Nie zorientowała się, że ma do czynienia z szaleńcem. Oblana rumieńcem stara się go uciszyć:

– Panie Mešťánek! Panie Mešťánek! SKOŃCZYŁ PAN? Pozwoli pan MNIE też coś powiedzieć?

Łamiący się głos, który urzędniczka za wszelką cenę stara się modulować tak, by zabrzmiał stanowczo, dziwi proroka tak bardzo, że ten na ułamek sekundy milknie. Urzędniczka wykorzystuje ten moment. Wyciąga z aktówki dokument i czyta:

– „Decyzją Urzędu Miasta od pierwszego lutego br. umowa z Alfrédem Mešťánkiem o najem gruntu przeznaczonego na parking zostaje wznowiona”! Rozumie pan? Proszę spojrzeć! – Podaje bożemu człowiekowi kartkę.

Fredy bierze głęboki wdech, jakby chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego tylko sztywno przejmuje od kobiety dokument. Urzędniczka zamyka aktówkę. Wykonała swoje zadanie, nic jej tu nie trzyma. Odwraca się i odchodzi.

Święty Fredy trzyma papier ostrożnie, w dwóch palcach.

– No widzisz, Fredy! – zwraca się do niego właściciel budki. – Tak nas przeklinałeś, tak nas obrażałeś i w końcu się nas pozbędziesz – mówi i przyjacielsko klepie Fredy’ego po plecach.

Z ubrania szaleńca unosi się kłęb kurzu, a z kieszeni wyłazą owady. Pustelnik wciąż niczego nie rozumie.

– Od lutego to wszystko znowu jest twoje! Czyli za kilka dni! – mówi właściciel budki, po czym zwraca się do swoich ludzi i wyjaśnia: – Możemy się powoli pakować. Jutro już nie będziemy otwierać!

Odwraca się na pięcie i odchodzi. Jego pracownicy za nim.

Fredy ze zdziwienia nie może się ruszyć. Przysuwa do oczu decyzję urzędu miasta. Po chwili znów opuszcza rękę. Gdzieś w najciemniejszym kącie jego świadomości zapala się lampka. Oczy zachodzą mgłą. Fredy widzi w wyobraźni samego siebie przechadzającego się między dwoma rzędami zaparkowanych samochodów. Uśmiecha się. Błogo przyciska do brzucha wypełnioną pieniędzmi czerwoną saszetę. „Dzień dobry, na jak długo? Dwie godziny? To będą cztery korony. Pół godziny – korona, dwie godziny – cztery korony, trzy godziny – dziesięć koron. I dziesięć za każdą kolejną godzinę. Tak, proszę tędy. Między żółtym mercedesem a białą favoritką jest miejsce”.

Pustelnik wchodzi do przyczepy. Rozbolała go głowa. Trzyma się za nią obiema rękami, jakby chciał sobie wyrwać te swoje długie, tłuste włosy. Oczy wyłazą mu na wierzch. Usta otwierają się i zamykają. Fredy łapie powietrze jak bożonarodzeniowy karp. Spomiędzy warg wydobywają się jęki. Z początku słabe, stopniowo jednak coraz głośniejsze. Gdyby ktoś stał teraz za cienką ścianą przyczepy, usłyszałby nieartykułowane stękanie, w którym od czasu do czasu można rozpoznać zwroty typu „bardzo dziękuję”, „polecam

się na przyszłość”, „tak, dziesięć koron”, „czym mogę służyć”, „trzeba będzie dopłacić dziesięć koron”, „moje uszanowanie” i tym podobne. I tak przez całą noc. Około północy z przyczepy słychać głucho uderzenia. To strażnik parkingu w regularnych odstępach wali głową w ścianę. Dopiero nad ranem hałas cichnie. Wyczerpany Fredy Szparszwajn zasypia głębokim snem, pozbawionym jakichkolwiek marzeń, a mimo to odprężającym i dodającym sił.

Ciałem prawnika zaczynają wstrząsać torsje. Z ust wydobywa się kaskada brudnej wody. Tupý (Mac) obserwuje ciało z rosnącym zdziwieniem. Zrywa się na nogi.

– Naszelniku, naszelniku! – krzyczy. – On szszyje!

Do pokoju wbiegają Ščepán i Šolík (Owsik). Ten drugi w podartej koszuli. Prawnik się rusza.

– Musimy go jeszcze raz utopić – oznajmia Tupý (Mac).

Twarz Ščepána wyraża zniechęcenie.

– Już raz go topiliście – mówi z wyrzutem. – I co? Jak to się skończyło?

On, Ščepán, nie ma do tego nerwów. Przez chwilę się zastanawia, po czym komenderuje:

– Zanieście go do celi. Musimy wymyślić, co robić. Topić go już nie będziemy!

Podwładni Ščepána wypełniają rozkaz. Biorą pod pachy zamrozonego i bezbronno topielca i zanoszą go do sutereny.

– Co robimy, naczelniku? – pytają po powrocie.

Ščepán się uśmiecha. Celowo trzyma ich w napięciu.

– Co robimy? – pyta tajemniczo. – Idziemy do „Ambassadora”. Po nowe instrukcje. Roboty nam nie zabraknie, zobaczcie! – Ščepán klaszcze, a potem radośnie zaciera ręce. – Nie ma się czego bać –

mówi. – Trzymajcie się mnie, a nic złego się nie stanie.

Jadą trolejbusem do miasta. Palacz czeka na nich w kawiarni. Jest w świetnym nastroju.

On, Rącz, dobrze zrobił, zlecając robotę Video-Urbanowi, oj tak. Chłopak głupi nie jest i umie obchodzić się z ludźmi. Prywatyzacja nadchodzi milowymi krokami, a dzięki Urbanowi on, Rącz, ma pewność, że „Ambassador” na razie nie pójdzie pod młotek. Trzeba szybko założyć spółkę akcyjną, tak mu doradził Video-Urban. Potem można zaczynać. Rącz kazał Urbanowi przygotować wszystko, co potrzebne. Urban pokręcił głową. „Chciałbym, szefie, ale nie znam się na tym. Powinieneś sobie załatwić jakiegoś prawnika. Przydałby się”, odpowiedział. Rącz uśmiechnął się z zadowoleniem. „Jest jeden taki”, odparł. „A dobry?”, spytał Urban. „Dobry, chociaż straszna z niego świnią. Jak dotąd trzymam go w willi, wiesz gdzie. Poczekam, aż zmięknie. Jeszcze będzie jadł mi z ręki. O, w ten sposób” – tu Rącz zaprezentował wyciągniętą dłoń.

Rącz jest zadowolony. Wiedzie mu się. Wszystko, czego Rącz dotknie, obraca się w złoto. I jeszcze Lenka. Nikt z jego wsi nie tylko nigdy nie miał takiej dziewczyny, ale nawet na oczy takiej nie widział. Najwyżej w telewizji. Aktorki, modelki. Tak, Lenka jest dokładnie taka, jak Rącz chce. I kocha go. Tak, kocha! A jej rodzice? Jej rodzice wchodzi mu do tyłka. Klasyczni inteligenci: jak nie mogą wejść komuś do tyłka, są nieszczęśliwi. Inteligent zawsze bije pokłony przed bogactwem. Przed bogatymi ludźmi. Zwłaszcza ci spośród inteligentów, którzy sami gównem mają. To znaczy mają: ścianę pełną książek – a w nich też gówno. Zadzierają tacy nosa, ale jak widzą kogoś, kto bez mrugnięcia okiem zamówi sto białych orchidei i za nie zapłaci, robią w gacie z wrażenia. On, Rącz, czyta w nich jak w księdze. Wie, że gdyby w przyszłości Lenka nie chciała za niego wyjść, rodzice by ją po prostu zabili. I dlatego też Rącz ma pewność,

że Lenka będzie jego żoną. Jest szczęśliwy. Wszystko to kwestia czasu. Teraz on, Rącz, ma ważniejsze sprawy na głowie. Związane są z jego, Rácza – i ostatecznie także z Lenki – przyszłością.

– No, co tam słyhać, panowie? – zagaja Rącz, kiedy dostrzega trzech byłych ubeków. – Siadajcie.

Ščepán i jego podwładni siadają na półdupkach, z rękami złożonymi na udach.

– Czego się napijecie? – pyta Rącz.

– Dziękujemy – odpowiada za wszystkich Ščepán. – Wody mineralnej.

– A ja grzańca – mówi Tupý (Mac). Przełożony przeszywa go złym spojrzeniem, więc Tupý (Mac) zerka w bok i skupia się na wygładzaniu obrusa na stole.

– Właściwie to unikamy alkoholu – zauważa Ščepán. – Jeżeli już, to po pracy – dodaje z przeproszającym uśmiechem.

Rącz kiwa głową. To mu się podoba.

– U Rácza – zaczyna – praca jest non stop. Ale i zarobek niezły. Podajcie jakąś sumę. Rącz wam zapłaci trzy razy tyle.

Widząc zdziwione miny byłych ubeków, Rącz wybucha śmiechem. Przychodzi kelner i stawia na stole szklanki z napojami. Woda mineralna dla Ščepána, Šolíka (Owsika) i Tupého (Maca). Dla Rácza chivas regal i kawa. Kelner odchodzi, a Rącz ciągnie swoją wizję. On, Rącz, zwierzy im się z czegoś. Niebawem ten hotel będzie należeć do niego, do Rácza. On, Rącz, będzie potrzebował godnej zaufania ochrony. Hotelowej policji. Ludzi z doświadczeniem. Lojalnych i gotowych na wszystko. Rącz bierze szklankę whisky i wznosi toast.

Ščepán chrząka. Skoro Rącz mówi o lojalnych i gotowych na wszystko ludziach, niech popatrzy przed siebie, bo widzi ich właśnie przed sobą. Doświadczenia mają w bród! Rącz powie zabić – a oni zabijają! Tacy właśnie są – on, Ščepán, i jego ludzie! Ščepán bierze łyk

zimnej wody. To mu przypomina o jednej sprawie. Mianowicie o prawniku.

Ráčz nastawia uszu. Tak, on, Ráčz, jest ciekaw. Jak się skończyła akcja z prawnikiem?

Šolík (Owsik) zaczyna opowiadać: koszula za sześćset koron! Tylko raz, jeden jedyny, były takie w domu handlowym! Wszystkie wykupili! Topili go w wiadrze z wodą z Dunaju. Stawiał opór. On, Šolík (Owsik), trzymał go mocno i wciskał mu głowę do wiadra. Prawnik bronił się tak zawzięcie, że poszarpał Šolíkowi (Owsikowi) drogą koszulę! Sześćset koron! No nic, trudno. W końcu stracił siły i opił się wody.

– He, he, he! – śmieje się Šolík (Owsik).

Ráčz otwiera szeroko oczy.

– Zabiliście go? – pyta. Robi mu się niedobrze. – Zabiliście...?

Mruga z niedowierzaniem i bierze łyk whisky. Po chwili przychodzi do siebie. Wali pięścią w stół.

– Debile! – krzyczy. – Powiedziałem: odsunąć na chwilę. ODSUNĄĆ! Wszyscy jesteśmy teraz w dupie! Z morderstwa tak łatwo się nie wywinjemy!

Ráčz świdruje byłych ubeków ostrym, stalowoszarym spojrzeniem. Cały dotychczasowy plan wziął w łeb.

Trzeba poszukać innego prawnika. Szkoda, bo tamten nadawałby się idealnie. I inteligentny, i świnia. Drugiego takiego ze świecą szukać. Wystarczyło mu tylko troszkę podciąć skrzydełka. Z niewiadomych przyczyn Ráčz przypomniał sobie, jak to kiedyś, dawno temu, w jego rodzinnej wsi podcinał skrzydła swoim kurom, żeby nie latały do sąsiadów. Siedziały potem smutne w kurniku i patrzyły przed siebie. I tylko jemu, Ráčzowi, znosiły jajka!

Wkurzonemu Ráčzowi przerywa Ščepán.

– Nie, nie! – zapewnia Ráčza. – Prawnik żyje! Przysięgam, że żyje! Trochę go tylko podtopiliśmy, żeby zmiękł i zaczął współpracować!

Podtopiliśmy i wsadziliśmy do celi. Tak właśnie było!

Rącz się uspokaja. Kiwa głową ze zrozumieniem.

– Może to nawet coś da – mówi. – Prawnika trzeba nastraszyć. Musicie go trzymać w celi i codziennie udawać, że wyprowadzacie go na egzekucję, rozumiecie? Że niby chcecie go utopić, powiesić i tak dalej. A w ostatniej chwili rezygnujecie. Tylko nie przesadźcie z tym. Żeby nie dostał od tego małego rozumu. Jeszcze nam będzie potrzebny.

Ščepán kręci głową. Jeśli wolno mu coś powiedzieć, to on, Ščepán, jest innego zdania. Fingowane egzekucje naruszają psychikę rozpracowywanego. Jeżeli on, Ščepán, może coś zasugerować, to niech to będzie zaburzenie rytmu dnia i nocy. Ważne, żeby w celi prawnika ciągle było włączone światło. Trzeba go co godzina budzić i żądać, żeby powtarzał: „Tu więzień numer taki i taki, cela numer taki a taki, liczba uwięzionych – jeden. Oznajmiam, że nic wyjątkowego się nie wydarzyło”. I po godzinie znowu to samo. Czy Rącz rozumie?

Rącz uśmiecha się z zadowoleniem. Podoba mu się to.

Ščepán zapewnia:

– Do dwóch tygodni zmięknie. I wtedy do celi wpadnie pan i zacznie się wkurzać. Na niby, rozumie pan? Tylko na niby! Zacznie pan krzyczeć: „Gdzie wy tego człowieka trzymacie? Jak śmiecie? Proszę go natychmiast wypuścić! W tej chwili! Co to za średniowieczne metody?”. I tak dalej. Rozpracowywana osoba obdarzy pana gorącym uczuciem. Pójdzie za panem wszędzie, jak pies.

Ščepán się śmieje. Ma w tym doświadczenie. Pamięta, jak rozpracowywali tych, którzy są dzisiaj u władzy. To było dawno temu. Teraz to już nawet tak dawno, że aż nieprawda. Może Rącz chciałby usłyszeć jakieś pikantne szczegóły z rozpracowywania wrogów republiki? Nie damy zniszczyć republiki! Dzisiaj są na wysokich stanowiskach. W rządzie. W parlamencie. Ech, on, Ščepán, mógłby

tak długo opowiadać!

Rącz wzrusza ramionami. On, Rącz, polityką się nie interesuje. Jego polityka to to, co tutaj. Ale cieszy się, że ma do czynienia z profesjonalistami. A teraz do rzeczy.

– Tu są obiecane pieniądze – mówi palacz i podaje Ščepánowi nad stołem plik banknotów tysiäckoronowych. – Ale do prawnika musi dołączyć parę nowych osób.

Rącz chce, żeby Ščepán i jego podwładni pozbyli się jeszcze kilku ludzi. On, Rącz, na początku myślał, że się z nimi dogada, ale teraz widzi, że po dobroci się nie da. Szanują tylko twardą rękę. Trzeba ich po kolei odłowić i hop do więzienia! Ščepán i jego ludzie mają na to trzy dni. On, Rącz, da im do dyspozycji hotelowy mikrobus. Ma ktoś z nich prawo jazdy? Tak? No, to dobrze. Trzeba uprowadzić i zamknąć wszystkich Cyganów z okolicy hotelu „Ambassador”. Zwłaszcza ich przywódców. Jest ich trzech: Bekim Bahmuci, Ahmet Sočila i Enver Murcijča. Łatwo ich rozpoznają. Wszyscy czarni jak węgiel. I noszą drogie ubrania. To na razie wszystko. Później się zobaczy.

Rącz dopija chivas regal i kiwa na kelnera.

– Mój sekretarz da wam klucze do samochodu – rzuca byłym ubekom na odchodne. – Poznaliście się podczas poprzedniej akcji. Nazywa się Ďula. Przyślę go do was. Teraz już muszę iść. Mam pracę.

Rącz zostawia ubeków, którzy przy stole rozmyślają nad czekającym ich zadaniem, a sam idzie po Lenkę. Zdała wszystkie egzaminy i znów ma czas dla Racza. Zaprosił ją na obiad. Do swojego apartamentu. Posiłek przyniosą im z pobliskiej restauracji z azjatyckim jedzeniem. Rącz ma dużo pracy, nie może sobie pozwolić na opuszczenie hotelu. Zerka na zegarek. Zostało jeszcze parę chwil. Mógłby je wykorzystać. Ale przed każdym spotkaniem z Lenką jest tak podniecony i zdenerwowany, że nie może się skupić. Spędzi ten czas, biorąc kąpiel w pachnącej wodzie, w której zanurzy dawno nie

używane przyrodzenie, wznoszące się przy każdym przypadkowym dotyku.

Fredy Szparszwajn wstał wcześniej rano, jeszcze przed świtem. Powoli się rozjaśniało, wszystkie przedmioty miały rozmazane, miękkie kontury. Szare, niskie niebo nie zwiastowało pięknego dnia. Przyszła odwilż. Dzień zaczął się od brzęczenia rynien. Chodniki i parking są śliskie. Tu i ówdzie leżą jeszcze pod drzewami zaspy śniegu: czekają na swój koniec. Cały brud, dotychczas ukryty pod śniegiem, stał się widoczny. Tylko pijak z kapeluszem na głowie gdzieś zniknął. Zaraz po tym, jak sprzedawcy zwinęli swoje budy i wynieśli się z parkingu, Fredy zabrał się do roboty. Powyrzucał do kontenera serwetki, kubki i plastikowe tacki. Pijaka nie udało mu się dobudzić, więc pod osłoną nocy zaniósł go i zostawił w podwórzu hotelu „Ambassador”. Tam ukrył go pod grubą warstwą śniegu. On, Fredy, nie chce niepotrzebnych zmartwień. Marzy już tylko o tym, żeby ponownie rozkręcić interes. I zapomnieć o wszystkim, co złe. Było, minęło. I tak już nie pamięta, co się z nim działo, kiedy stały tu te budki. Pijaka ma tu nie być – koniec, kropka.

Parking przed hotelem świeci jeszcze pustkami. W oknie przyczepy błyska zapalone światło. Fredy Szparszwajn syci się przyrządzoną na szybko parówką z fasolą. Wie, że później nie będzie mógł zjeść w spokoju, ale pogodził się z tym. Biznes to biznes. Przez okno widzi, jak na parking wjeżdża pierwszy samochód. Fredy odkłada łyżkę, wyciera usta i zrywa się na równe nogi. Wiesza na szyi czerwoną saszetę i zdecydowanym krokiem rusza naprzeciw dżdżystemu dniowi.

– Tak, Hokusai! – mówi Rącz, odkładając pałeczki, którymi nauczył się jeść specjalnie dla Lenki. Podnosi do ust miniaturową filiżankę z niesłodzoną zieloną herbatą. Nienawidzi niesłodzonej herbaty. Herbatę pije, tylko kiedy jest chory, a i wtedy ją słodzi i zaprawia rumem. Ale czegoż wielki mężczyzna nie zrobi dla wielkiej miłości?

– Wyśmienity Hokusai! – chwali, mrużąc oczy. Milknie, pozwala Lence mówić. Sam rozmyśla nad czymś innym. Podjął decyzję, że dziś ją przeleci. Od tej myśli zaschło mu w ustach i stracił apetyt. Już długo nie był z żadną kobietą. Odkąd wyrzucił Silwię. Lenka powinna zdawać sobie sprawę, że kiedyś będzie musiała pójść z nim do łóżka. Jak to dobrze, że dziś zmieniono pościel w apartamencie, myśli Rącz. Patrzy na chińskiego kelnera opierającego się o ścianę.

– Proszę nam jeszcze podać butelkę tego waszego... tego waszego kompotu – mówi. – To będzie wszystko.

Chińczyk kłania się i wkłada butelkę śliwkowego wina do ogrzewacza.

Rącz czuje, jak jego przyrodzenie się powiększa. Lenka wygląda dziś wyjątkowo dobrze.

Kiedy kelner opuszcza apartament, Rącz podnosi kieliszek i mówi:

– Lenko, kocham cię.

Lenka podnosi swój kieliszek. Wznoszą toast i się całują. Rącz chwyta rękę dziewczyny – tę z kieliszkiem – i kładzie ją na stole. Wyjmuje z kieszeni elegancko zapakowane, obwiązane wstążką pudełeczko.

Oczy Lenki robią się wielkie ze zdziwienia.

– Co to jest? – pyta szeptem.

Rącz się uśmiecha.

– Otwórz.

W środku lśni złoty pierścionek z diamentem wielkości ziarnka

grochu.

– Kupiłem go u Oppenheimera w Wiedniu – mówi Rącz.

– Nie mogę tego przyjąć! – odpowiada Lenka i natychmiast dodaje: – Jest przepiękny!

Rącz obejmuje ją i całuje. Wargi Lenki są świeże, niedoświadczone. W ostatnim momencie dziewczyna odwraca głowę, żeby uniknąć dotyku mokrych, wilgotnych ust.

– Wiesz, dlaczego diament jest tak kosztowny i wartościowy? – pyta i delikatnie odsuwa pożądliwe dłonie palacza. – Ponieważ jest w nim zamknięty sekret całego wszechświata. Jego struktura mówi nam wszystko o powstaniu naszej planety.

– A o nas samych też? O mnie i o tobie? – pyta Rącz, rozpalony żądzą i śliwkowym winem.

Lenka milczy. Zamyślona, z tajemniczym uśmiechem egipskiego posągu, obraca na palcu drogocenny pierścionek.

Rącz bezbłędnie odnajduje usta dziewczyny i rozchyła je wilgotnym językiem. Napotyka barierę białych zębów, która jednak słabnie pod jego naporem. Usta Lenki otwierają się z tłumionym westchnieniem. Język Lenki również nie ma wprawy, ale Rączowi udaje się pobudzić go pieszczotami. Lenka na ułamek sekundy wyswobadza się z objęć palacza.

– Nie...! – krzyczy, ale Rącz ucisza ją pocałunkiem.

Rącz nic już nie powstrzyma. Bierze Lenkę za ręce i prowadzi do sypialni. Kopnięciem otwiera dwuskrzydłowe drzwi, zanosi Lenkę do łóżka i rzuca na pościel. Całuje po całym ciele, podczas gdy jego dłonie walczą z guzikami, zapięciami i suwakami ubrania dziewczyny.

– Kocham cię! – powtarza głosem zduszonym i chrapliwym z podniecenia. Już nie może wytrzymać, a guziki i zapięcia jak na złość nie chcą się poddać. Rącz drze na Lence ubranie. Guziki odskakują na wszystkie strony: wyglądają jak noworoczne fajerwerki.

Lenka nie krzyczy. Płacze i próbuje się zakryć resztkami poszarpanego ubrania.

– Przestań! Przestań! – szlocha.

Rącz zdziera z siebie garnitur i koszulę i ciska je w kąt. Ściąga spodnie i bieliznę. Członek powiększył mu się do nieludzkich rozmiarów i pulsuje fioletowo. Palacz rzuca się na Lenkę z nienasyconymi ustami, oczami, rękami, językiem, uszami i zębami.

– Kocham cię! – wrzeszczy i z trudem próbuje się wcisnąć w dziewicze zakamarki ciała Lenki. Dobrze, że on, Rącz, ją upił, myśli. Gdyby nie wlała w siebie tyle tego chińskiego kompotu, nie byłaby taka uległa.

Ze śmiechem pokonuje opór wątlých rączek, odpychających jego zarośniętą i umięśnioną klatę, i przyciska do siebie dziewczynę, ciało do ciała. Kiedyś to się musiało stać, myśli. Robi to dziko, jak parzący się byk. Podniecony stęka do rytmu. Lenka już się poddała. Leży z zamkniętymi oczami. Ślub weźmiemy jeszcze w marcu, postanawia Rącz, kiedy czuje nadchodzący, silny i wyzwalający wytrysk.

Codziennie z hotelu „Ambassador” wyjeżdża samochód pełen termosów z jedzeniem i skrzynek z pieczywem. Są to resztki z kuchni. Kucharze oddają je Ďuli, sądząc, że ten karmi nimi świnie. Nie interesują się, nic im do tego. Wiedzą, że Ďula to człowiek Rácza, a kto by chciał zadzierać z Rączem?

Ciężarówka wyjeżdża z podwórka, na skrzyżowaniu skręca w prawo i kieruje się w stronę dzielnicy willowej nad miastem. Ďula zatrzymuje się przed jedną z posesji. Wysiada z samochodu i dzwoni do drzwi. Przez okno wygląda albo Tupý (Mac), albo Šolík (Owsik) – w zależności od tego, który z nich ma akurat dyżur. Jeden z ubeków podchodzi do bramki. Charczy, pluje, podzwania kluczami. Razem

z Ďulą wnoszą do środka termosy z jedzeniem.

Pozamykani w celach więźniowie wiedzą, że przyjechał obiad. Nerwowo pokrzykują i walą łyżkami w menażki. Są głodni. Nie podoba im się tu, w więzieniu.

– Ilu ich właściwie jest? – pyta Ďula.

Šolík (Owsik) się zastanawia.

– Dwudziestu ośmiu – mówi po chwili. – Dwudziestu jeden Cyganów i siedmiu sziptarów – wyjaśnia.

– A prawnik? – dopytuje Ďula.

– Prawnika nie liczę. Siedzi w izolatce. Razem z nim jest ich dwudziestu dziewięciu. Jak chcesz, możemy go odwiedzić.

Schodzą do piwnicy. Jest zimno i ciemno. Były ubek otwiera celę prawnika.

– Wychodzić! – rozkazuje.

Prawnik staje na korytarzu. Jest zarośnięty i brudny. Niepewnie mruga oczami. Ma tiki nerwowe.

– Tu są termosy, a tam pieczywo – informuje go Šolík (Owsik). – Rozdaj to więźniom!

Šolík (Owsik) sięga do kieszeni i wyjmuje papierosy. Częstuje Ďulę, odpala sobie i jemu. Pałac, obserwują prawnika, który otwiera małe okienka w drzwiach cel, chwyta podawane przez więźniów menażki, napełnia je jedzeniem i, wraz z chlebem lub bułką, oddaje. Šolík (Owsik) trzęsie się z zimna.

– Słuchaj – zwraca się do prawnika. – Jak skończysz, umyj termosy i chochlę. Zrozumiałeś?

Prawnik pokornie kiwa głową, wygląda jak wrak człowieka.

– Jak długo jeszcze pozwolicie mi żyć? – pyta pełen nadziei.

Šolík (Owsik) się uśmiecha. Jeszcze nie przebaczył prawnikowi rozdartej koszuli.

– Zobaczymy – mówi. – Jak będziesz sumiennie wykonywał swoje obowiązki, tak jak teraz, może jeszcze kilka dni pożyjesz.

Z cel dobiega siorbanie i mlaskanie. Stukot łyżek o menażki jest trudny do zniesienia.

– Nienawidzę tego – wzdycha Šolík (Owsik). – Nie mogę się doczekać jutra, bo wtedy tutaj będzie ślęczał Tupý (Mac), a ja będę mieć dyżur w hotelu. Nie wiesz, do kiedy Ráčz chce ich trzymać?

Ďula wzrusza ramionami. Szef nikomu nie zdradza swoich planów. On, Ďula, jest prawą ręką Ráčza od samego początku. On, Ďula, miałby co opowiadać!

Mężczyźni wracają na górę. Ubek pomaga Ďuli zapakować do samochodu puste termosy i skrzynki z wczorajszej dostawy, po czym wraca do willi. Ďula zapala silnik i rusza stromymi uliczkami w dół, do centrum, skrytego pod pierzyną szarej mgły.

Ráčz ma nową zabawkę. Piękne białe volvo 940. Kupił je od Khunta i jest bardzo zadowolony. Właśnie takiego samochodu potrzebował. Przejechał się nim kilka razy, ale krótko, po okolicy. Z hotelu „Ambassador” prosto, później w prawo, przy hotelu „Forum” znowu w prawo, przy kawiarni „Olimpia” jeszcze raz w prawo, tak samo przy stacji benzynowej obok kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny i z powrotem do „Ambassadora”. Wszystko chodzi jak w zegarku.

Lenkę bolało krocze, ale po kilku dniach ból minął. Teraz jest szczęśliwa i po uszy zakochana w Ráčzu. Oddaje mu się z chęcią przy każdej sposobności. Koleżanki z roku jej zazdroszczą. Wszystkie chciałyby się z nią zamienić. Co je czeka w życiu? Ráčz pochodzi ze świata, w którym nikt się nie rusza bez samochodu, w którym nikt się niczym nie martwi, w którym człowiek może sobie pozwolić przehulać

miesięczny budżet czteroosobowej rodziny w ciągu jednego wieczoru. I tak dalej. Wszystkie jej zazdroszczą i nienawidzą jej. Ale Lenka nie zostawi swojego Rácza. Kocha go, a jej rodzice kochają go jeszcze bardziej.

Video-Urban robi co może. Zajmuje się załatwianiem rzeczy związanych z hotelem. Vanda i Eva wciąż u niego mieszkają. Kiedy wieczorem, zmęczony całodziennym bieganiem po urzędach, pada na łóżko, obie są już przy nim i masują go delikatnymi dłońmi. Urban nawet nie pyta, dlaczego są w domu zamiast w barze hotelu „Ambassador”. Trzymają go przy życiu. Lubią go. Chcą mu być całkowicie wierne. Urbanowi nie przeszkadzałyby, gdyby czasem puściły się z jakimś bogatym klientem – tak żeby nie musiał sam ich utrzymywać – ale nic nie mówi. Boi się, bo wie, że jakakolwiek niedelikatna uwaga wywołałaby płacz i histerię. Poza tym po ciężkim dniu pracy, pełnym bezsensownych negocjacji i bojów z głupią biurokracją, Urban potrzebuje chwili ekstazy, która postawi go na nogi. Dlatego milczy i nie zmusza ich do pracy. Bez Vandy i Ewy byłoby mu o wiele trudniej.

Więźniowie w willi nie mają pojęcia, kto ich zamknął, ale podejrzewają, że palacz maczał w tym palce. Zostali tu przywiezieni w stanie głębokiego snu, po uprzednim zaaplikowaniu im usypiającego zastrzyku. Nie wiedzą, gdzie są. Chce im się palić i pić. Jest im zimno. Na szczęście są stłoczeni w małych celach. Mogą nachuchać.

Nadszedł dzień, w którym również Video-Urban pojawia się przed drzwiami konspiracyjnej willi. Za nim, na ulicy, stoi volvo Rácza, a w nim siedzi Rącz. Ščepán właśnie obiega olbrzymi wóz, żeby usłużyć Rączowi drzwi.

Bramę otwiera Tupý (Mac). Tym razem dyżur w hotelu ma Šolík (Owsik). Tupý (Mac) wychodzi z siebie. Taka wizyta! Kłania się służalczo, nadskakuje gościom. Nie może zdecydować, komu ma się przypochlebiać bardziej: swojemu przełożonemu, Ščepánowi, czy ważniejszemu szefowi, kategorycznemu Rączowi. Rącz wysiada z samochodu i energicznym krokiem kieruje się w stronę willi. Jest dobrze ubrany. Jego masywną sylwetkę podkreślają skórzana kurtka i mocno wypomadowane, zaczesane do tyłu i spięte gumką czarne włosy. Na twarzy ma czarne okulary. Żuje gumę. W uchu błyszczą mu kolczyk.

– Prowadź do piwnicy! – rzuca półgębkiem i rusza do przodu jak potężny, niecierpliwy przyływ. Tupý (Mac) grzecznie spełnia rozkaz. Zdejmuje z haczyka pęk kluczy i prowadzi gości do piwnicy.

– W której celi siedzi prawnik? – pyta Rącz.

– W pierwszej – odpowiada Tupý (Mac).

– Chcę z nim pomówić! – oznajmia Rącz stanowczo.

– Ale, szefie... – oponuje Ščepán.

– No? O co chodzi? – dopytuje Rącz z ciekawością w głosie.

Ščepán kiwa na swojego podwładnego. Tupý (Mac) otwiera celę prawnika.

Rącz wchodzi do środka. Prawnik siedzi na drewnianej ławie brudny i zarośnięty. W zamyśleniu patrzy przed siebie.

– No, jak tam? – zwraca się do niego Rącz.

Prawnikiem nieruchomieje.

– Przyszliście mnie zabić? – rzuca obojętnie.

– Być może – odpowiada Rącz. – Zasłużyłeś sobie – dodaje i przewyciężając wstręt, siada obok prawnika.

– Co robią? – pyta Urban Ščepána, który zagląda do celi przez okienko w drzwiach.

– Nic – informuje Ščepán. – Rozmawiają. Szef wstaje. Prawnik klęczy. O coś go prosi. Szef podaje mu rękę, a prawnik ją całuje. Ach! – Ščepán przysuwa się bliżej do okienka. – Szef podaje mu swój scyzoryk! – wykrzykuje zdziwiony. – Daje mu swój nóż!

– Nie wierzę! – woła Urban i odsuwa ubeka od drzwi. Patrzy. Rác i prawnik siedzą przy stole. Prawnik trzyma w ręce scyzoryk Rácza i coś nim tnie. Video-Urban wysila wzrok. Prawnik odcina sobie najmniejszy palec lewej ręki. Macha nożem w tę i we w tę, blade jak kreda. Odcięty palec zawija w brudną chusteczkę i z uroczystym wyrazem twarzy wręcza Rácowi. Palacz bierze do rąk prezent z równie uroczystą miną, po czym wstaje i wali pięścią w drzwi.

– Ej! – krzyczy. – Wypuście nas!

Rác i prawnik wychodzą na korytarz. Prawnik jest blade i spocony. Z dłoni leje się krew. Więźniowie w sąsiednich celach już się zorientowali, że przyszedł Rác. Zewsząd słyhać gniewne pomruki i groźby rzucane po romsku, albańsku, chorwacku i w łamanym słowackim. Wszyscy życzą palaczowi choroby, cierpienia i powolnej śmierci. Rác nic sobie z tego nie robi. Uśmiecha się.

– Dwa dni bez jedzenia! – decyduje. – To ich nauczycie! – mówi i patrzy na swoich ludzi. – Prawnik jedzie z nami, do hotelu. Już nie będzie robił problemów. Od dziś jest jednym z nas. Uznał, że nie warto szczać pod wiatr – tłumaczy, nie spuszczać oka z prawnika. – Tylko na tym zyska. Ludziom trzeba płacić.

Po wyjściu z piwnicy na piętro ktoś znajduje apteczkę. Prawnik nie pozwala się opatrzeć, ale Rác go zmusza. Ščepán i Tupý (Mac) trzymają prawnika mocno, a Urban nieumiejętnie dezynfekuje kikut. Nikt o nic nie pyta.

Jeszcze w samochodzie, w drodze do hotelu, Rác prosi o wszystkie dokumenty związane z planowanym wykupem hotelu. Przegląda papiery założenia spółki akcyjnej i mamrocze pod nosem.

Podnosi wzrok.

– Wspaniała robota – mówi. – To jego zasługa – ciągnie, wskazując na Urbana. Urban uśmiecha się z dumą znad kierownicy.

– Nawet gdyby doszło do licytacji, spokojnie możemy przebijać oferty do usranej śmierci, dopóki wszyscy nie zrezygnują – wyjaśnia prawnik.

Rącz jest innego zdania.

– To się nie uda. Musielibyśmy mieć gotówkę, której nie mamy. Zainwestowałem w grunty.

Prawnik czuje, że oblewa go zimny pot. Przymyka na chwilę oczy.

– Nie szkodzi – odzywa się po chwili, patrząc na Rącz. – Ale najpierw muszę się wykapać i porządnie najeść. Nie dba pan o swoich więźniów, szefie.

– Inaczej nikt nie chciałby dla mnie pracować. Każdy by tylko siedział na tyłku – żartuje Rącz. – Co miałeś na myśli z tą licytacją? – dopytuje nerwowo.

Prawnik dotyka grubego bandaża na dłoni.

– To proste. Będziemy licytować do końca, byle tylko kupić hotel. Później przygotujemy umowę kupna-sprzedaży i jednocześnie zawnioskujemy o odroczonej spłacie. Wystarczy kilka dni, nikt nie będzie niczego podejrzewać. Z umową pojedziemy do Austrii, gdzie w pierwszym lepszym banku dostaniemy kredyt. Na hipotekę, rozumie szef? – Prawnik uśmiecha się z trudem. – Hipotekę weźmiemy na hotel „Ambassador”. Jako dowód, że jesteśmy właścicielami, przedstawimy umowę kupna-sprzedaży. Wrócimy z kredytem i zapłacimy za hotel. Wtedy będzie nasz! To znaczy – poprawia się prawnik – na początku będzie należał do banku, ale szybko go spłacimy. Koniec końców, w dzisiejszych czasach długi są najlepszą i najpewniejszą inwestycją!

Rącz z dumną i zadowoloną miną patrzy po swoich podwładnych,

jakby chciał im zakomunikować: „No i co? Miałem nosa, nie?”.

– Ale wcale nie jest powiedziane, że w ogóle dojdzie do przetargu – mówi Video-Urban. – Możliwe, że hotel zostanie sprywatyzowany metodą kuponową w ramach dużej prywatyzacji.

Prawnik kiwa głową.

– W takim wypadku – mówi – trzeba będzie kupić jak najwięcej akcji w pierwszej rundzie. A później odkupić jak najwięcej akcji od drobnych akcjonariuszy. Za każdą cenę. I tak się nam opłaci. Ale najlepszy byłby przetarg. Mój były szwagier pracuje w Państwowym Funduszu Majątkowym. To skorumpowana świnka. Postaram się go namówić, żeby lobbował za oddaniem hotelu do małej prywatyzacji.

Samochód podjeżdża pod hotel. Rącz, Ščepán i prawnik wysiadają.

– Zaparkuj w garażu – poleca Rącz Urbanowi. – I przyjdź do nas. Będziemy w restauracji.

Rącz wchodzi do hotelu. Już wkrótce będzie mój, myśli sobie. On, Rącz, będzie hotelarzem. Właścicielem hotelu. A to dopiero początek, cieszy się. Ma ochotę zacierać ręce z radości, ale opanowuje się. Doskonale zrozumiał plan prawnika. To wspaniały pomysł! Jeśli jemu, Rączowi, wyjdzie z hotelem, będzie mógł wykonać podobny manewr również w innych przypadkach. Będzie mógł kupić, co tylko zechce, i to bez grosza w kieszeni! Dobrze sobie to on, Rącz, wymyślił! Trzeba się tylko otaczać właściwymi ludźmi. I należycie im płacić!

Rącz jest głodny jak wilk. Jak zawsze, gdy ma dobry humor.

– Idziemy jeść! – mówi. On, Rącz, stawia!

Wchodzi do restauracji, a za nim jego ludzie.

Fredy Szparszwajn promienieje. Wygląda na to, że wszyscy dobrzy Cyganie spod hotelu „Ambassador” gdzieś zniknęli. Nie ma nikogo, kto by mógł przyjść i domagać się pieniędzy za ochronę przed złymi

Cyganami. Ten fakt wprawia Fredy'ego w dobry humor. Z dnia na dzień parkingowy wygląda coraz lepiej. Policzki się rumieniają, skóra na twarzy jest napięta i zdrowa. Ślady przeżytej traumy znikają. W domu też się układa: chciwi rodzice okazali Fredy'emu litość i pozwolili mu wrócić. Ale Fredy, tak jak wcześniej, rzadko tam bywa. Najczęściej śpi w swojej przyczepie, w której znów podłączył prąd z hotelu „Ambassador”. W błogim cieple i usypiającym siarkowodorowym zapachu skarpetek i butów Fredy Szparszwajn kładzie się do łóżka i, przyjemnie zmęczony, zamyka oczy. Kiedyś nadstawiał uszu i zrywał się ze snu na każdy podejrzany szmer, teraz śpi jak kamień. Cyganów nie ma. Chodniki przed „Ambassadors” i przeszklony pasaż przed domem towarowym opustoszały. Fredy jest szczęśliwy, a jednocześnie ciekawi go, co się stało z jego niegdysiejszymi gnębicielami. Wyobraźnia podpowiada mu różne obrazy: wyniszczająca wszystkich choroba zakaźna. Zawały, których dostali przez swoją nadwagę, a może zbiorowe otrucie? Gińcie, gińcie, gińcie, życzył im Fredy Szparszwajn za każdym razem, gdy liczył, ile pieniędzy stracił przez swoich smagłych towarzyszy. Może to życzenie się spełniło, myśli. Tak czy inaczej, na twarzy Fredy'ego znów gości uśmiech, a oczy błyszczą z radości. Życie jest jednak piękne!

Rącz wczuwa się w rolę przyszłego właściciela hotelu i, ogólniej, w rolę biznesowego potentata. Kazał sobie sprawić tuzin nowych garniturów z najlepszych materiałów. Kupił dziesięć par butów z najdelikatniejszej skóry, dwadzieścia ręcznie szytych krawatów i pięć nowych długich i eleganckich płaszczy. Papierosy „Benson & Hedges” porozdawał ludziom, od jakiegoś czasu pali wyłącznie cygara. Najbardziej lubi firmę „Cohiba”, ale nie pogardzi też cygarami marki „Punch” czy „Romeo y Julieta”. Na głowie ma swój ulubiony element

garderoby: szeroki, miękki, pilśniowy kapelusz. Zgromadził ich z dziesięć, każdy w innym kolorze. Nosi je również w pomieszczeniach, nawet przy jedzeniu. Oczywiście nie w obecności Lenki lub jej rodziców. Tylko w kręgu swoich ludzi: na zebraniach, w trakcie rozmów przy śniadaniu, obiedzie, kolacji.

Ludzie Rácza też zaopatrzyli się w porządne ciuchy. Rącz pilnuje, żeby zawsze dobrze się prezentowali. „Macie ode mnie kasy jak lodu!”, powtarza przy każdej okazji. „To się odpowiednio ubierajcie! Chyba nie myślicie, że sam wam będę kupował garnitury?!”.

Kiedyś nawet odesłał Urbana, żeby się przebrał. Mieli właśnie jechać na negocjacje z dyrektorami sieci „Interhotel”, a Urban przyszedł rano do samochodu w skórzanej kurtce i luźnych dżinsach. W czasie gdy na górze Video-Urban zmieniał ubranie, w białym volvo panowała martwa cisza. Rącz siedział z neseserem na kolanach i udawał, że wczytuje się w leżące na nim dokumenty. Ďula za kierownicą i siedzący obok niego Ščepán czuli się zbyt mało ważni, żeby ośmielić się odezwać. Prawnik też milczał, tylko patrzył przez okno. Kiedy w końcu wziął oddech, żeby coś powiedzieć, przerwał mu Rącz – jakby specjalnie czekał na tę okazję.

– Skoro ja mogę przez cały dzień chodzić pod krawatem, dlaczego ten gówniarz by nie mógł? – powiedział i poklepał neseser. Oni wszyscy, z Rączem na czele, nie są przecież pierwszymi lepszymi waluciarzami, żeby biegać w dżinsach! Oni wszyscy, z Rączem na czele, to przedsiębiorcy, biznesmeni. Niech sobie to łaskawie zapamiętają! Po chwili przy zaparowanej bocznej szybie samochodu pojawił się Urban. Rącz się nachylił, otworzył mu drzwi i wpuścił do wygodnego i ciepłego auta.

– W dżinsach możesz biegać, jak pójdziesz ze swoimi kurwami do kina albo na lody, rozumiesz?

– Tak, szefie! – odpowiedział Video-Urban. – Masz rację. Ale

chyba nic takiego się nie stało.

Ráčz spojrział na zegarek.

– Nie stało – powiedział i dał znak Ďuli, żeby ruszał. – Ludzie Rácza mają wyglądać elegancko – dodał ostro.

Lenka docenia zmianę w stylu Rácza. Palacz wybrał się do fryzjera. Złoty kolczyk z diamentem schował do kasetki z biżuterią. W przyszłości Ráčz będzie mógł wspominać, że „kiedyś i on nosił długie włosy i kolczyk”. Jeśli chodzi o błyskotki, zaczął obdarowywać nimi Lenkę. Suknie Lenka kupuje sobie sama, choć za pieniądze Rácza. To młoda dziewczyna, wszystko dobrze na niej leży. Nie jest taka rozrzutna jak swego czasu Silvia. Poza tym ma też inne hobby, nie tylko zakupy.

Ráčz chciałby, żeby się wprowadziła do niego, do hotelu. Ale Lenka nie chce: w domu ma wszystko, czego potrzebuje. Książki, skrypty, spokój. Żebyś się nie posrała od tych swoich książek, myśli Ráčz. Zdarza się jednak, że studentka spędza w „Ambassadorze” dzień, dwa, trzy. Ráčz jest wtedy innym człowiekiem. Interesami zajmują się wówczas Urban i prawnik. Ščepán wraz z jednym ze swoich podwładnych dba o to, żeby w okolicy hotelu nie rozpanoszyła się konkurencja. Z kim się nie da po dobroci, tego postraszą policyjną legitymacją. Drugi z ludzi Ščepána pilnuje w tym czasie willi i uwięzionych cinkciarzy. Ďula jest pomagierem, kierowcą, powiernikiem. Czyli tym, kim dotąd. Chłopcem na posyłki. Ráčz spędza cały wolny czas ze swoją narzeczoną. Od kiedy zasmakowała w przyjemnościach, jakie daje męski członek, zmusza Rácza, żeby robił z nią to ciągle i wszędzie. W trakcie stosunku jej głos wskakuje na wysokie tony, płynnie przechodzące od najcichszego pianissima aż po forte, od którego wszystkie szyby w apartamencie zaczynają drżeć. Ale Ráčzowi to nie przeszkadza. Spółkują nawet trzy razy z rzędu, choć za trzecim Ráčz właściwie musi zadowalać się sam.

Lenka lubi spacerować. Goni Rácza do muzeów, galerii, ciąga go po wystawach. Tam, w ciemnych kątach, chce, żeby się z nią kochał. Ryzyko, że w każdej chwili ktoś może ich nakryć, sprawia, że Lenka czuje zwierzęce podniecenie: zagryza wargi i wsadza dłoń do ust, z których wydostają się tylko stłumione jęki. Rącz też to lubi. Jest zakochany, wszystko w Lence mu się podoba.

Robili to na schodach prowadzących zygzakami do Zamku. Lenka trzymała się barierki, a Rącz wszedł w nią tak szybko, że aż oboje od razu zaczęli krzyczeć z rozkoszy. Po chwili minęła ich grupka turystów, ale Rącz z narzeczoną zupełnie się tym nie przejęli. Schowali się w pobliskich krzakach i dalej uprawiali szybką miłość. Czasem robią to w windzie, w drodze do apartamentu Rácza. Zanim dotrą na górę, już jest po wszystkim. Miło się to wspomina. Im więcej wspólnych wspomnień, tym będą sobie bliżsi.

Rącz zna już wszystkie galerie i przestrzenie wystawiennicze w mieście. Zwiedził je w milczeniu – to Lenka opowiadała i opowiadała. Chciałaby zmienić Rácza w człowieka kultury. Obeznanego w świecie. Rącz się z nią zgadza, sam też tego chce. Siedzi przed telewizorem i stara się podłapać różne zachowania: sposób, w jaki na filmach i reklamach mężczyźni palą cygara, poprawiają krawat, zerkają na zegarek.

W ostatnim czasie często chodzą do restauracji na Zamku. Rozciąga się stamtąd piękny widok na całe miasto. Rącz uwielbia tę panoramę. W końcu miasto przyniosło mu sukces, miłość i szczęście. Obojętne, czy jedzą obiad czy kolację, Rącz nie może oderwać wzroku od okna. Bez problemu rozpoznaje budynek hotelu „Ambassador”, zanurzony w morzu dachów. Zatrzymuje na nim tęskny, choć zdecydowany wzrok. Hotel będzie należał do niego, Rácza!

– Przejdziemy się jeszcze? – pyta Rącz pewnego wieczoru, kiedy wychodzą z restauracji żegnani przez kłaniających się nisko kelnerów.

Wieczór jest chłodny, ale w powietrzu czuć już nadchodzącą wiosnę. Rącz nie czeka na odpowiedź. Bierze dziewczynę za rękę. Ulice są puste. Za rogiem słycać silnik trolejbusu i buczenie przewodów trakcyjnych. Parę oświetlają reflektory. Trolejbus jest prawie pusty.

Lenka zatrzymuje się i patrzy za ruszającym pojazdem. Rącz ciągnie ją za rękę. Lenka go powstrzymuje.

– Kochasz mnie? – pyta.

Rącz potakuje.

– Oczywiście.

– A jak mnie kochasz? – docieka Lenka.

– Kocham cię dobrze – odpowiada Rącz. – I pięknie – dodaje, żeby coś powiedzieć.

Zatrzymują się przed dużą willą otoczoną starymi drzewami. Okna są ciemne. Mur z piaskowca jest obrosnięty bluszczem.

– Podoba ci się? – pyta Rącz.

– Ale co? – nie rozumie Lenka.

Rącz bez słowa wskazuje willę. Lenka zerka za mur. Nie może się powstrzymać, żeby nie zadać pytania:

– Wiesz, jak się nazywa styl architektoniczny, w którym została zbudowana?

Rącz milczy. Myśli o czymś innym.

– Kubizm – odpowiada Lenka.

Rącz w roztargnieniu kiwa głową.

– Chciałabyś mieszkać w takim domu? – pyta.

Lenka się uśmiecha.

– A kto by nie chciał? Oczywiście, że tak!

Rącz się nie odzywa. Wygląda, jakby się zastanawiał, czy lepiej coś powiedzieć czy nie.

– Jak będziesz dla mnie dobra – mówi w końcu – dostaniesz go

ode mnie w prezencie ślubnym.

Widząc ironiczny i powątpiewający uśmiech dziewczyny, dodaje:

– Jest mój.

– Jest mój, do cholery! – krzyczy, kiedy widzi, że dziewczyna nie wygląda na przekonaną.

– W takim razie chodźmy przyjrzeć mu się z bliska – proponuje Lenka, po czym rusza w stronę bramy. Rącz kręci głową.

– Jeszcze nie teraz – mówi z uśmiechem. – Bałagan. Poza tym nie mam ze sobą kluczy. Ale spokojnie, willa nie ucieknie! – obiecuje Rącz i ciągnie dziewczynę za rękę.

– I tak ci nie wierzę – oznajmia Lenka, siedząc już w samochodzie, którym Rącz ostrożnie, jak każdy właściciel nowego auta, jedzie z powrotem do hotelu „Ambassador”. – Kto by dziś sprzedawał taką willę?

Rącz uśmiecha się pod wąsem. W tego typu sprawach potrafi być cierpliwy. Nie musi za wszelką cenę udowadniać, że ma rację. Lenka jeszcze się przekona, że się myliła! Nadal nie wierzy w możliwości Racza!

Po powrocie do hotelu „Ambassador” każde z nich oddaje się swoim przyjemnościom. Lenka siedzi w fotelu i czyta skrypty albo książkę. Rącz włącza magnetowid. Uwielbia filmy, w których leje się krew. Kiedy je ogląda, reaguje bardzo żywiołowo. Najchętniej ogląda te o potworach i o UFO – te, których akcja rozgrywa się w kosmosie. Ale lubi też horrory. Jego ukochanymi bohaterami są Freddy Krueger, szalony Michael Myers w białej masce na twarzy i nieśmiertelne mordercze monstrum Jason Voorhees – również w białej masce, tyle że hokejowej. Rącz wypróbowuje podpatrzone ciosy na Ďuli, choć ostatnimi czasy robi to coraz rzadziej. Po pierwsze jego nowy styl „na biznesmena” jakoś nie bardzo do tego pasuje, a po drugie, nagłe ataki na nic nie podejrzewającego pomagiera nie wzbudzają w Lence takiej

żywej radości, jaką wzbudzały w Silvii. Rácz nie pogardzi również dobrym westernem, zwłaszcza jeśli nie występują w nim żadne kobiety, ani filmem historycznym, szczególnie takim, gdzie dużo się walczy. Im większe miecze, tym lepiej.

Powstaje coraz więcej prywatnych przedsiębiorstw, a Rácz interesuje się każdym z nich. Jest wybredny, to zrozumiałe. Codziennie każe sobie przynosić listę nowo powstałych firm w centrum miasta i wysłuchuje sprawozdań. Szczegółowych. Ščepán i Tupý (Mac) albo Šolík (Owsik), w zależności od tego, kto akurat ma dyżur w hotelu, a kto w willi, nie robią ostatnimi czasy nic innego poza chodzeniem po przedsiębiorcach. Rácz słucha raportów z zamkniętymi oczami, często jeszcze leżąc w łóżku. Na jego twarzy nie widać emocji. Ostre rysy nawet nie drgną na wieść o elegancko urządzonej holi, pomysłowych i drogich dekoracjach, przyciągających uwagę drobiazgach czy tłumach klientów tłoczących się przed wystawami. Nawet informacje o drogiej reklamie i ogłoszeniach w gazetach nie robią na Ráczu wrażenia. Ale to tylko pozór. Nieważne, czy chodzi o prywatną galerię sztuki, kawiarnię, restaurację wegetariańską, sklep z elektroniką, tanimi lub – wręcz przeciwnie – luksusowymi kosmetykami, Rácz interesuje się wszystkim.

Po przyjęciu raportu Rácz zastanawia się przez chwilę, po czym wydaje zwięzłe rozkazy. Ščepán ze swoimi podwładnymi słuchają, a potem wychodzą, aby je spełnić. Robią obchód po wskazanych przez Rácza prywatniarzach.

Zatrzymują się na przykład przed butikiem „Sandra”, niedaleko hotelu „Ambassador”. Najpierw rozglądają się uważnie. Pastelowo cukierkowe ubrania dla dzieci, uszyte najwyraźniej po to, aby każde dziecko zamienić w chodzący kicz, ich nie ciekawią. Podobnie jak nieludzkie ceny, niekiedy po prostu zapierające dech w piersiach. Jak

przystało na ekspertów od życiorysów innych ludzi, zwracają za to uwagę na zaparkowanego przed butikiem drogiego mercedesa. Samochód ma bratysławską rejestrację i stoi tak, aby go było widać z wnętrza sklepu. Tajniacy patrzą po sobie i wchodzą do środka.

– W czym mogę pomóc? – pyta dobrze wyglądająca czterdziestolatka. W jej głosie słychać zyczliwą, choć fałszywą nutę. Mówi tak, jakby chciała przypodobać się każdemu, kto jeszcze nie czuje się potencjalnym klientem butiku. Jest stanowcza, ale doświadczeni policjanci wychwytyją w jej głosie delikatną niepewność. Od razu wiedzą, że kobieta nie spędziła połowy życia za ladą, tylko schowana gdzieś za biurkiem. Spoglądają na siebie kierowani jakąś specyficzną, szpiclowską telepatią.

Łatwo pójdzie, mówi ich wzrok.

– Dzień dobry – odzywa się Ščepán. – Czy mógłbym rozmawiać z kierownikiem?

– JA jestem kierowniczką – prostuje dotknięta sprzedawczyni.

– Wspaniale – kwituje Ščepán. – Chciałbym z panią porozmawiać. Zaprosi nas pani na chwilę do biura?

Kierowniczka przełyka głośno ślinę.

– Jesteście ze służb bezpieczeństwa? – pyta.

Ščepán się uśmiecha. Tajemniczo, jakby chciał powiedzieć: „Być może, być może”.

– „Sandra” – mówi Ščepán w biurze kierowniczki. – Butik „Sandra” – powtarza w zamyśleniu.

Šolík (Owsik) odsuwa zasłonę i patrzy przez okno na rząd koszy na śmieci, ustawionych wzdłuż odrapanej ściany jak żołnierze podczas musztry.

– Ładna nazwa – chwali Ščepán, siadając na krześle.

– Dziękuję – odpowiada z ironią kierowniczka i również siada.

– To pani imię? – pyta Ščepán.

– Słucham? – Kierowniczka zdaje się nie rozumieć.

– Sandra. Czy to pani imię? – tłumaczy Ščepán.

– Nie – odpowiada kierowniczka. – To tylko nazwa handlowa. Ja mam na imię Agneša. Przyszli panowie po to, żeby się tego dowiedzieć?

Ščepán się uśmiecha. Šolík (Owsik) też.

– Prawdę mówiąc, to nie – przyznaje Ščepán i robi minę, jakby mu było przykro. – Przyszliśmy przekazać pani dwie wiadomości. Jedna z nich jest dobra, pocieszająca. Druga nieprzyjemna. Którą chce pani usłyszeć najpierw?

– Czy w jakimś sensie dotyczy to mojej osoby? – pyta kierowniczka niechętnie.

– Niestety tak – odpowiada Ščepán. – Ale też i na szczęście – dodaje z uśmiechem.

– To najpierw złą wiadomość – decyduje czterdziestolatka.

Ščepán zaczyna mówić:

– W mieście kwitnie drobna przedsiębiorczość. Na szczęście jest to teraz dużo prostsze. W samym tylko zeszłym tygodniu otworzyły się cztery nowe kawiarnie i dwa butiki. Wszystko tutaj, w centrum. Ale ma to też negatywną stronę. W mieście grasują gangi. Niczego się nie boją. W nocy okradają sklep, a żeby zatrzeć ślady, jeszcze go podpalą. Zanim pojawi się straź pożarna, jest już po wszystkim. Nie mówiąc o tym, że prywatni przedsiębiorcy na ogół zaczynają z długami na karku, więc nie mają pieniędzy na drogie ubezpieczenia, a później na nowy start.

Ščepán opowiada z boleścią wypisaną na twarzy i mokrymi oczami, jakby osobiście dotykał go los każdego bankruta.

– Wyrządzają też inne szkody – kontynuuje. – Gówniarze

wrzucają do restauracji czy do sklepu śmierdzącą bombę albo gaz łzawiący. Cholera wie, skąd biorą takie rzeczy! Nie oszczędzają nawet samochodów przedsiębiorców. Zawistni ludzie, zwłaszcza jeśli widzą droższe marki, popularne wśród biznesmenów. Porysują kluczem, pomazą sprejami, przebiją opony! – tu Ščepán robi dramatyczną przerwę. Kierowniczką bawi się ołówkiem. Milczy.

Na szczęście istnieją prywatne firmy, a on, Cichy (tak się przedstawił), reprezentuje jedną z nich. Wychodzi naprzeciw oczekiwaniom przedsiębiorców w centrum miasta i jego bliskiej okolicy. Za niewielkie pieniądze, śmieszne w porównaniu ze stratami, jakie kierowniczka poniosłaby w związku z remontem spalonych pomieszczeń czy atakiem śmierdzących bomb bądź gazów łzawiących, a więc za te śmieszne pieniądze jego prywatna firma, „Sekuritatia”, może jej zapewnić spokojny sen i rozwój działalności gospodarczej! Ščepán milknie, zaschło mu w ustach.

Kierowniczka też się nie odzywa. Zastanawia się.

– „Sekuritatia”, mówi pan? – pyta po chwili.

– Owszem, szanowna pani – potwierdza Ščepán.

– Ta nazwa mi coś przypomina – mówi kierowniczka.

Ščepán rozkłada ręce, jakby chciał powiedzieć: „Wie pani, na niektóre rzeczy człowiek nie ma wpływu”.

– Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek musiała korzystać z waszych usług – ciągnie kierowniczka. – Płacę podatek dochodowy i ten za prowadzenie działalności. Część tych pieniędzy, mam nadzieję, jest przeznaczana na sprawne funkcjonowanie aparatu policyjnego. Nie rozumiem, dlaczego miałabym płacić dwa razy. Może jestem naiwna, ale wciąż wierzę, że kiedy będę tego potrzebować, policja ochroni mnie przed złodziejami, nastoletnimi chuliganami, zawistnymi ludźmi i w końcu także przed naciągaczami, którzy chcą na wszelkie sposoby oszukać nas, prywatnych przedsiębiorców! – Po

tych słowach kierowniczką wstaje i zdecydowanym ruchem otwiera drzwi.

– Powiedziała pani: „kiedy” będzie pani potrzebować? – Ščepán się uśmiecha. – Szanowna pani, wtedy będzie już za późno. Nam, prywatnej firmie „Sekuritatia”, zależy przede wszystkim na prewencji. Nie interesuje nas ściganie podpalaczy, chociaż z drugiej strony potrafimy oczywiście dopiąć swego, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Myślę, że wyraziłam się dostatecznie jasno, proszę pana! – mówi kierowniczką i zamaszystym gestem wskazuje na otwarte drzwi. – W każdym razie porozmawiam sobie o tej ofercie ze swoim znajomym, komendantem policji! On z pewnością mi doradzi i pomoże.

– Ważne, aby pani sama była przekonana – konkluduje Ščepán, wzruszając ramionami, po czym wstaje i podchodzi do drzwi. Kiwa na Šolíka (Owsika), który w końcu odrywa się od okna.

– Myśli pani, że jest pani taka mądra? – pyta Šolík (Owsik) z urazą.

– Tak – odpowiada kierowniczką. – Mam całkiem dobre wykształcenie – oznajmia, a na jej twarzy pojawia się wyraz zadowolenia, jakby kierowniczką chciała zasugerować, że Šolík (Owsik) ewidentnie zdradził się swoją uwagą.

– Ale z niej jest twarda baba – mówi nie bez podziwu Ščepán, kiedy już znajdują się na ulicy.

– E tam! – kwituje z pogardą Šolík (Owsik). – Zwyczajna inteligencka cipa!

– Nic się nie bój, dorwiemy ją – mówi Ščepán, po czym otwiera notatnik i coś zapisuje.

– Dokąd teraz? – pyta Šolík (Owsik). – Dokąd idziemy, szefie? Ščepán się zastanawia. Zagląda do notesu.

– Chodźmy tu, niedaleko. „Oravec i Debnár”, sklep z elektroniką.

Ci na pewno będą płacić jak szaleni – mówi z nadzieją. – Zapamiętaj sobie, że w końcu każdy zapłaci. Razem z odsetkami i opłatą wsteczną. Komu, jak nie nam? Jesteśmy przecież ludźmi Rácza!

Pokrzepieni tą myślą, mężczyźni śmiało wkraczają do kolejnego sklepu.

Za remont gabinetu dyrektora Rącz płaci ze swoich pieniędzy – i tak wszystko to będzie należeć do niego. Ekipa budowlana pracuje na pełnych obrotach. Rącz płaci jak król.

W końcu wszystko jest gotowe. Rącz wchodzi do wygodnie urządzonego pomieszczenia i siada w skórzanym fotelu obrotowym, ustawionym za olbrzymim owalnym biurkiem. Na szklanym blacie stoi mrugający niebiesko ekran.

– Co to za gówno? – pyta.

– To jest komputer – mówi prawnik, odpowiedzialny za remont gabinetu po zniknięciu dyrektora.

Rącz się rozgląda. Patrzy na elegancki, błękitny kolor ścian, który zastąpił przydymioną czerń. – Po co komputer? – pyta. – Rącz potrafi sam wszystko policzyć!

Prawnik chrząka.

– Oczywiście, wiadomo. Ale komputer nie jest tylko zwykłym kalkulatorem. W jego pamięci będą przechowywane wszystkie dane dotyczące zarządzania hotelem i innymi firmami. Dzięki niemu również będzie można kontrolować działalność naszej firmy ochroniarskiej. I to wszystko bez stosu papierów!

Rącz potakuje. A, to co innego. On, Rącz, nienawidzi papierów, biurokracji. Co robić, trzeba iść z duchem czasu! Komputer może zostać. Ale niech go prawnik wyłączy. Jego, Rácza, denerwuje mruganie ekranu. Poza tym jego, Rácza, pamięć jeszcze dobrze działa.

On, Rác, dobrze wie, kto zapłacił, a kto nie zapłacił za ochronę! Ščepán powinien to załatwić jak najszybciej! On, Rác, dał mu przecież wolną rękę! Z nim, Raczem, nie ma żartów!

Rác obrzuca prawnika lodowatym spojrzeniem. W jego oczach widać stalowe błyski.

– Jesteśmy, byliśmy i będziemy – mówi Rác. – A jeśli ktoś chce w tym mieście prowadzić interesy, musi się liczyć z nami! Nikt nawet nie pierdnie bez naszej zgody, rozumiano?

Zachwycony prawnik zaciera ręce. Pomyśleć, że on, prawnik, chciał walczyć z takim geniuszem!

– Dokładnie tak, szefie. Jak zawsze ma pan rację! Bez nas, bez naszego wsparcia już nikt sobie nie poradzi. Nikt!

Rác rozpiera się w fotelu i prostuje ręce. Jest ubrany w perfekcyjnie uszyty garnitur. Oczy mu błyszczą. Podnosi słuchawkę.

– Proszę mnie połączyć z moją narzeczoną – mówi. – Trzy osiem trzy, jeden sześć jeden. A może by się tak pani łaskawie już nauczyła na pamięć? Czy to naprawdę tak wiele? Aha, w porządku. – Rác robi minę pełną wyrozumiałości. – Ale żeby mi to było ostatni raz – oznajmia protekcyjnie. Sekretarka Racza musi wiedzieć więcej niż on sam!

Prawniki cofa się do drzwi. Rác powstrzymuje go gestem.

– Przygotuj mi spis austriackich towarzystw kredytowych – komenderuje, zakrywając dłonią słuchawkę. – Dowiedz się wszystkiego. Jeśli będzie trzeba, pojedziecie tam z Urbanem jeszcze przed przetargiem. Żebyśmy byli przygotowani. Możesz odejść!

– Dzień dobry, mam! – mówi, słysząc w słuchawce głos matki Lenki. To ona nalegała, żeby się tak do niej zwracał. Do ojca Lenki Rác ma z kolei mówić „Karolu”. – Na wykładzie? – pyta z rozczarowaniem w głosie. – A kiedy wraca? Dopiero wieczorem? To wtedy do niej zadzwonię. Nie, nie mogę przyjść na kolację, mam dużo

pracy. Tak, już powoli kończymy. Przetarg? Chyba w przyszłym tygodniu. Ślicznie dziękuję! Ale do tego czasu jeszcze się zobaczymy. Żeby tylko mama miała rację! Oczywiście, zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Ščepán puka do drzwi i po chwili wchodzi. Chrząka. Rác z właśnie skończył rozmawiać. Jego konwersacje telefoniczne nie trwają długo, Rác mówi zwięźle. Patrzy na byłego ubeka.

– No, jak tam, jesteś zadowolony z roboty? Dobrze się pracuje dla Racza czy nie? A może Rác płaci ci za mało?

Ščepán teatralnym gestem chce jak najdobitniej pokazać, że odpowiedzi na te pytania, równie teatralne, są oczywiste.

– Nie, nie – oponuje z przekonaniem. – My wszyscy, ja i moi podwładni, jesteśmy panu wdzięczni i zostaniemy przy panu do samego końca!

Rác kiwa głową. On, Rác, ma plan. Może jest trochę na wyrost, ale to nie szkodzi. On, Rác, zawsze osiąga to, czego chce! A na przykład teraz chce zbudować wielką sieć firm ochroniarskich. Prywatnych! Policja będzie się mogła schować. Zaczną już niedługo! Mózgiem tej operacji będzie Ščepán i dwójka jego ludzi: Šolík oraz Tupý. Firma będzie się zajmować ochroną hotelu „Ambassador” i innych obiektów, które Rác prędeż czy później kupi. Co więcej – jak już Ščepán pewnie się domyślił – on, Ščepán, zajmie się interesami wszystkich prywatnych przedsiębiorców, którzy poproszą Racza o ochronę.

Ščepán słucha w napięciu i nieświadomie przyjmuje postawę „na baczność”. Rác milknie. Po co zbytecznie mleć jęzorem? Przecież wszystko jasne! Rác wstaje i podchodzi do byłego ubeka. Patrzy mu głęboko w oczy. On, Rác, chciałby wiedzieć, czy tamta sprawa została już załatwiona. Podobno były pewne problemy z jednym z butików...

Ščepán uśmiecha się z dumą i zadowoleniem.

– O butik „Sandra” nie ma się co szef martwić. Kilka dni temu ktoś wrzucił do środka śmierdzącą bombę. Dzień później nieznani sprawcy pocięli opony w samochodzie właścicielki. Po tym wszystkim babka chętnie zapłaci odpowiednią sumę za ochronę.

Rącz kiwa głową.

– Właśnie tak sobie wyobrażałem – mówi i sięga po drewniane pudełko z cygarami. Częstuje Ščepána. Ščepán bierze jedno. Z nabożeństwem trzyma je w palcach i czeka, aż Rącz podpali sobie i jemu. Na twarz wstępuje mu lekki rumieniec. W tym momencie Ščepán mógłby oddać za Racza życie.

Rącz zaciąga się cygarem i zaczyna mówić. On, Rącz, jest przekonany, że właśnie nadszedł czas, kiedy trzeba będzie wypuścić wszystkich więźniów. Powodów jest kilka. Po pierwsze, nie można ich trzymać w nieskończoność. Większość z nich ma rodziny, które po kilku miesiącach mogą pójść na policję. Rącz nie może sobie na to pozwolić. Po drugie, długotrwały pobyt w więzieniu zmienił ich na lepsze. Teraz już wiedzą, że nie ma sensu walczyć z Raczem!

Ščepán gorliwie przytakuje. Tak, mówi, właśnie tak jest! Walczyć z kimś równie potężnym jak Rącz to jakby, jeżeli może się tak wyrazić, szczać pod wiatr! Albo jeszcze lepiej: szczekać na księżyc! Albo: przekomarzać się z samym Panem Bogiem!

Rącz spogląda na Ščepána. Jego, Racza, zdanie jest takie, że Ščepán nie mógł tego lepiej opisać. W końcu on, Rącz, wie, że Ščepán mówi z własnego doświadczenia. Kiedyś też był po drugiej stronie barykady. Prawnik tak samo! I żaden nie żałuje, że oddali się w jego, Racza, ręce! On, Rącz, jest przekonany, że długotrwała izolacja w zatłoczonych celach, o głodzie i chłodzie, zmieniła podejście zarówno sziptarów, jak i Cyganów. Trzeba ich wypuścić. Od dziś będą służyć jemu, Rączowi. A ci, którzy nie zechcą, tak czy inaczej będą musieli się poddać. Jego, Racza, organizacja nie pozwoli na to, żeby

ktoś jeszcze się tu panoszył! Mają więc dwie możliwości: albo zaczną pracować dla niego, dla Rácza, albo będą musieli zniknąć. On, Rącz, chce mieć wszystko tu, w centrum, pod kontrolą. Wszystko: waluty, kurwy, hazard, sprzedaż przemycanych papierosów i alkoholu, ochronę prywatnych przedsiębiorstw i w ogóle interes jako taki. Innej drogi nie ma! On, Rącz, uważa, że powody, dla których tamci zostali uwięzieni, nie są już ważne. Do pracy przyda się każda para rąk! Kto będzie chciał pracować dla wspólnego dobra, ten ma miejsce w „Sekuritatii” zagwarantowane.

Rącz w zamyśleniu gryzie końcówkę cygara.

Jeśli chodzi o willę, on, Rącz, ma następujący plan. Zaraz po wypuszczeniu ostatniego więźnia należy tam wysłać doświadczonego architekta i zebrać brygadę najlepszych robotników, żeby z zaniedbanej budy zrobili reprezentatywną siedzibę. Jego, Rácza, siedzibę! Z krytym basenem i tak dalej. Ščepán się ożywia:

- Szef chce powiedzieć, że będzie osobiście mieszkać w willi?
- Właśnie tak! – mówi Rącz.

Willa jest przestronna i wygodna. Czy Ščepán wie, w jakim stylu została zbudowana? Kubistycznym. Niech Ščepán to sobie zapamięta! Kubistycznym! Rącz uśmiecha się dumnie i stuka palcem w czoło. Czasem warto zajrzeć do książek! Ale żeby nie przedłużać: z willi rozciąga się wspaniały widok na całe miasto. On, Rącz, ożeni się i przeprowadzi do willi. Ma już dość mieszkania w hotelu, jedzenia po restauracjach. On, Rącz, chce mieć swój własny dom!

Rącz przerywa, nie zwracając uwagi na potakiwanie Ščepána. Milczy i pali cygaro. Po co właściwie opowiada o swoich osobistych planach temu przydupasowi? On, Rącz, ma wokół siebie wielu takich ludzi. Ludzi, którzy bacznie wpatrują się w jego twarz, żeby pochwycić najdrobniejszą zmianę nastroju. Rącz zaciąga się cygarem i siada przy biurku. Jest to jednocześnie i przyjemne, i nieprzyjemne.

Kikut odciętego palca goi się prawnikowi raz-dwa. Nad biurkiem w swoim gabinecie prawnik zawiesił poobijaną menażkę. Tak mu nakazał szef, Rącz. Żeby zawsze mu przypominała jego, prawnika, pobyt w więzieniu.

Swojego postępowania prawnik szczerze żałuje. Bez krztyny fałszu czy obłudy przyznał, że robił źle i działał na szkodę Rącz. Sam nie wie, skąd to się wzięło. Może tylko żałować, że zawczasu nie przyszło mu do głowy, by połączyć siły z potężnym palaczem. On, prawnik, powinien sobie zdawać sprawę, że ten mężczyzna nie jest byle kim, że ma wielkie ambicje! Gdyby zorientował się wcześniej, byłby teraz w lepszej sytuacji. Obecnie on, prawnik, musi się zadowolić pozycją drugiego zastępcy Rącz. Pierwszym jest ten lalusz, półpedał Urban. Gówniarz bez szkół. Jedyne, co skończył, to jakieś jebane liceum plastyczne. Ale on, prawnik, przyznaje: Video-Urban jest zdolny i pełen zapału. Jako pomocnik Rącz obleciał wszystkie najważniejsze miejsca w mieście, w których zostawił drogie prezenty od palacza, błysk swojego uśmiechu i długo utrzymujący się zapach męskich perfum „Fahrenheit”. Rącz nie musiał nawet nosa wystawiać z hotelu „Ambassador”, a i tak – dzięki Urbanowi – stał się znaną osobistością: człowiekiem, z którym każdy, kto chce coś znaczyć w tym mieście, powinien się liczyć.

Z kolei wizja prawnika jest następująca. Zaraz po tym, jak Rącz zostanie właścicielem hotelu „Ambassador” również na papierze, musi nawiązać kontakty z przedstawicielami najbardziej wpływowych partii politycznych. Powinien ich zaprosić do hotelu, jednego po drugim. Najlepiej na śniadania biznesowe: to jest teraz modne i nie zabiera zbyt wiele czasu. Rącz przystaje na to, choć z trudem. Nie wie, o czym miałby rozmawiać z tymi brodatymi przywódcami socjalistycznej, narodowej, ludowej czy Bóg wie jeszcze jakiej demokracji. On, Rącz,

ma politykę w dupie! Uważa, że każdy powinien sprzątać swoje gówno sam. Prawnik wyjaśnia, że Rącz nawet nie będzie musiał nic mówić. Jest bogatym właścicielem hotelu i biznesmenem. To przywódcy polityczni będą sobie strzepić języki. To oni będą chcieli, żeby Rącz pomógł im sfinansować kampanię. Rącz będzie musiał tylko zjeść śniadanie. Jest na wygranej pozycji.

Rącz nie sprawia wrażenia przekonanego, wydaje się nieufny i mocno powątpiewa w to, co mówi prawnik. Stara się tego po sobie nie pokazywać: siedzi prosto, a jego stalowoszare oczy patrzą przed siebie. Ale prawnik już się nauczył rozpoznawać mowę ciała Racza. Zaciśnięte pięści i dolna szczeka niezauważalnie wysunięta do przodu – to wszystko oznaki wewnętrznej walki, którą toczy ze sobą Rącz.

– Obiecamy pomóc każdemu z nich – instruuje go prawnik. – I każdemu pomożemy.

Rącz wpatruje się w niego nieruchomo.

– Każdemu? – pyta niezadowolony.

– Każdemu, kto będzie miał szanse w wyborach – uściśla prawnik. – Sypniemy coś wszystkim: trochę lewicy, a trochę prawicy. Trochę chrześcijanom, trochę ateistom. Nie możemy zapomnieć o ekologach. Ani o narodowcach.

– A co z Węgrami? – pyta Rącz ze złością w głosie.

– Im też! – śpieszy z odpowiedzią prawnik. – Po wyborach wszystko się nam zwróci. Ktokolwiek by wygrał, zrobi to z naszą pomocą. I ta pomoc zaprocentuje. Życie nie toczy się w próżni!

Rącz słucha w milczeniu. Jest uparty, ale też ciekawy nowych możliwości.

– I ty myślisz, że to dobry pomysł? – pyta z wahaniem.

Prawnik uśmiecha się promiennie.

– W dzisiejszych czasach bez polityków ani rusz – mówi. – A jak

ktoś myśli, że przed polityką można uciec, szybko się przekona, że polityka sama go znajdzie – dodaje filozoficznie.

Rącz się uśmiecha. Pomysł prawnika mu się podoba. Nigdy wcześniej nawet nie przyszło mu do głowy, żeby zajmować się polityką. Polityka to oszustwa panów – wie to od zawsze. Ale cóż, teraz i ja jestem panem, uświadamia sobie, po czym nagle wstaje i jeszcze raz zapala cygaro, które tymczasem zgasło, chyba od tego intelektualnego wysiłku Racza. Tak, decyduje, od dziś polityka i on, właściciel hotelu, Rącz, będą nierozłączni!

Długo oczekiwany przetarg na hotel „Ambassador” odbywa się – poniekąd nielegalnie – w sali konferencyjnej rady miasta. W tej najmniejszej z sal. Załatwił ją prawnik z pomocą słabo opłacanych urzędników i odpowiednich środków motywujących. Teraz siedzi z założonymi rękami i wyrazem zadowolenia na twarzy. W pierwszym rzędzie, tuż obok Racza i Video-Urbana. Zwerbowani przez Ščepána pracownicy „Sekuritatii” zajęli miejsca w różnych punktach sali. Ubrani są po cywilnemu, ale od ich okrągłych, wygolonych głów, które płynnie, bez żadnego łącznika przechodzą w umięśnione tułowia, bije niebezpieczna czujność i niema groźba. Każdy, kto choć trochę orientuje się w stosunkach panujących w mieście, wie, że to będzie *one man show* Racza.

Rącz w roztargnieniu przegląda program licytacji. Dziś poza losem hotelu „Ambassador” rozstrzygnie się też los domu handlowego, następnie spożywczego giganta nazwanego dumnie „Smakosz Center”, luksusowej restauracji „Savarin” i kilku drobnych przedsiębiorstw garmażeryjnych. Rącz patrzy na prawnika. Rozumieją się bez słów. Dziś jest ich dzień. Trzeba zgarnąć wszystko. Kiedy Austriacy pożyczają na jedną rzecz, pożyczają też na pozostałe.

Nie ma wielu zainteresowanych. Prawie nikogo. Nie tylko dlatego, że przetarg udało się praktycznie zataić – po prostu wszyscy w mieście wiedzą, że „Ambassador” należy do Rácza. Stawili się tylko dwaj potencjalni kupcy spoza miasta. Jakimś tajemniczym zrządzeniem losu dowiedzieli się o przetargu i przyszli.

– Pewnie też mają znajomego w Funduszu – tłumaczy prawnik zaniepokojonemu Rączowi.

Na szczęście dwóm dziarskim budytlarzom z Wyspy Żytnej wystarczy dobitnie wytłumaczyć, że wszystkim będzie bardzo miło, jeśli panowie tylko się poprzyglądają i przyjmą ten drobny finansowy dar w ramach zadośćuczynienia. Rącz potrafi się odwdzięczyć tym, którzy są dla niego mili!

Licytacja zaczyna się dokładnie o dziewiątej. Na pierwszy ogień idą mniejsze obiekty w centrum miasta. Rącz nie jest nimi zainteresowany i łaskawie zostawia je ogrodnikom. Ale kiedy nadchodzi kolej hotelu „Ambassador”, Rącz wpada w nerwówkę. Nie daje jednak niczego po sobie poznać. Siedzi nieruchomo, w swobodnej pozie, z nogą założoną na nogę. Stalowym wzrokiem wpatruje się w licytatora.

Cena wywoławcza to dziesięć milionów koron. Zero reakcji. Licytator musi po chwili przystąpić do aukcji holenderskiej. Dramatycznym głosem stopniowo obniża kwotę. W końcu hotel „Ambassador” zostaje własnością Rácza za pięć i pół miliona koron. Palacz z zadowoleniem patrzy na swoich współpracowników.

– Tyle to możemy zapłacić gotówką, z sejfu w gabinecie – mówi do Urbana.

W podobny sposób Rącz kupuje „Smakosz Center” i restaurację „Savarin”. Ludzie Rácza siedzą spokojnie, w skupieniu. Potem następuje licytacja domu handlowego. Rącz ma już co do niego pewne plany. Chce wynająć architekta i przerobić dom handlowy na hotel

i budynek administracyjny. Dzięki temu powstaną hotelowe bliźniaki, ustawione obok siebie. Jeden z nich zachowa oryginalną nazwę „Ambassador”, a drugi będzie się nazywać, jakżeby inaczej, „Rác”. Albo oba będą się nazywać „Ambassador-Rác”. Numer jeden i numer dwa. To się jeszcze zobaczy.

Dom handlowy także zmienia właściciela w efekcie licytacji holenderskiej. Warto było dać w łapę ludziom z Funduszu Majątkowego. Za śmieszne cztery miliony koron budynek już należy do Rácza. Palacz się śmieje. Kto by pomyślał, hétszentségét!

Pod koniec przetargu Rác czuje się jak prawdziwy zwycięzca. Wszystko odbyło się legalnie, zgodnie z prawem. Rác już nigdy nie wróci do kotłowni ani za kierownicę traktora na gospodarstwie, uświadamia sobie i ukradkiem wyciera łzę spływającą po policzku.

Umowy kupna-sprzedaży są gotowe, kopię każdej z nich prawnik chowa do swojej skórzanej aktówki. Uzgodnienie odroczonej na kilka dni spłaty nie jest dla niego ani dla Urbana żadnym problemem: urzędnicy wracają do domów z prezentami w postaci grubych kopert w kieszeniach. Wszyscy są zadowoleni. I oni, i Rác. Wszystko udało się załatwić dyskretnie, żaden dziennikarz nie będzie węszyć.

Obaj wspólnicy Rácza wpadają w euforię, jak po wypiciu kilku kieliszków wina. Ich twarze są różowe, oczy pogodnie i ufnie spoglądają na świat wokół. Mężczyźni zachowują się głośno. Wszystko ich cieszy, wszystko jest radosne i wesołe. Chcą się bawić. Tylko Rác niewzruszenie pali cygaro.

– Jeszcze nie wygraliśmy – mówi, dolewając tym samym wiadra zimnej wody do buzującego źródła szczęścia. – Hotel „Ambassador” jest nasz, tego nam nikt nie zabierze. Ale reszta obiektów jeszcze nie. Co jak nie dostaniemy w Wiedniu kredytu? – pyta i niemal z wyrzutem patrzy na rozemocjonowanego prawnika, entuzjastycznie zacierającego swoje wybrakowane ręce; w końcu to on wszystko

wymyślił.

– Sprawa jest już załatwiona! – oznajmia prawnik. – To pewne, rozumiesz, szefie?

Rącz wzrusza ramionami. On, Rącz, sam nie wie.

– Wygląda to dobrze, ale jeszcze nie czas na świętowanie – mówi.

Widząc jednak, że mężczyźni posmutnieli, dodaje uspokajająco: on, Rącz, chciał jedynie powiedzieć, że gdy tylko wszystko się już załatwi na sto procent, on, Rącz, zorganizuje bal. Ale nie będzie to zwykły bal, ale największy, kurwa, bal w historii tego miasta!

W samochodzie Rącz wydaje instrukcje:

– Jedziemy do naszego hotelu, ja tam wysiadam, a wy marsz do Wiednia. Macie paszporty? Dobrze. Jak dostaniecie kredyt, dzwońcie do mnie od razu, jeszcze z Wiednia. Ja tu będę czekać. Jak nie dostaniecie, to też dzwońcie! Będę czekać na telefon.

– A ty czemu sobie nie załatwisz paszportu, szefie? – pyta Video-Urban. – Mógłbyś jechać z nami.

Rącz się śmieje. On, Rącz, nie ma potrzeby dokądkolwiek jeździć. On, Rącz, nigdy nigdzie nie jeździ! Ma od tego swoich ludzi.

Mężczyźni podjeżdżają pod hotel i parkują samochód w podwórzu. Wszyscy pracownicy niecierpliwie wyglądają przez okna. Kiedy Rącz ze swoimi ludźmi wchodzi do hotelu, kłaniają mu się nisko. Wiedzą już, że od teraz Rącz jest ich szefem także na papierze. Każdy chce uścisnąć rękę swojemu pracodawcy. Jest nawet chleb i sól na okrągłej tacy. Rącz częstuje się i żując, podszczypuje kelnerkę w tyłek.

Prawniki klaszczą.

– Szanowni państwo, pan Rącz, prezes spółki „Rącz” Sp. z o.o., która dziś weszła w posiadanie hotelu „Ambassador”, wszystkim państwu dziękuje za powitanie i prosi, aby wrócili państwo do swoich obowiązków. Pan szef chciałby państwu przekazać, że nikt, kto potrafi pracować dobrze i sumiennie, nie powinien obawiać się utraty pracy.

A teraz, proszę państwa, do roboty!

Ráčz skraca sobie czekanie na upragniony telefon, popijając w barze hotelu „Ambassador”. Za towarzystwo ma pomagiera Ďulę i tajniaka Ščepána. Oni też się cieszą: w końcu dostaną normalne umowy o pracę. Ščepán ma nawet obiecany jakiś udział w akcjach spółki Ráčza. Nic wielkiego w porównaniu z procentami Video-Urbana i prawnika. Oni są prawdziwymi wspólnikami, choć oczywiście najważniejszy jest Ráčz, wiadomo.

Ráčz siedzi sztywno jak struna. Nerwowość i rozdrażnienie podlewa chivasem regalem. Patrzy na zegarek i myśli: Urban z prawnikiem powinni już być w Wiedniu. W tym momencie mogą wchodzić do banku. Możliwe, że już negocjują: obaj dobrze znają niemiecki. Ráčz wychyla kolejny kieliszek szkockiej i zaczyna żałować, że jednak nie ma tego paszportu i że nie pojechał z nimi.

Ďula i Ščepán wyczuli podenerwowanie Ráčza i milczą. Piją w ciszy, a ponieważ nie mają tak mocnych głów jak ich szef, po chwili zaczynają się chybotać na krzesłach. Ráčz nie zwraca na nich uwagi. W kłębach dymu z drogiej cohiby przygląda się swoim paznokciom. Czerń i smoła już dawno zniknęły z porów jego skóry. Brud się zmył, a paznokcie i opuszki palców poróżowiały. Resztę zrobił manikiur. Ráčz może się teraz poszczycić delikatnymi, arystokratycznymi dłońmi. Tylko ich wielkość, a także grubość palców, może zasugerować uważnemu obserwatorowi, że kiedyś to właśnie nimi Ráčz zarabiał na chleb.

Do baru wchodzi dziewczyny Urbana: Vanda i Eva. Ráčz zaprasza je gestem, pokazuje, że mają się dosiąść. Zamawia im wódkę.

– Gdzie Urban? – pyta Vanda.

– Szef ich wysłał do Wiednia – mówi Ďula i próbuje chwycić

Vandę za kolano, ale dziewczyna odsuwa jego rękę, a robi to tak gwałtownie, że nawet Rącz podnosi wzrok znad swoich dłoni.

Dziewczyny Urbana milczą. Nie życzą sobie, żeby Ďula je obłapiał. Już nie chcą być kurwami, obiecały Video-Urbanowi wieczną miłość i zamierzają być mu wierne. Gotują dla niego, kupują mu ubrania, starają się wyczytać z jego oczu, na co ma ochotę. Nie są o siebie zazdrosne. Bardzo się lubią i dobrze się ze sobą dogadują. Jak siostry. Chciałyby, żeby ludzie myśleli, że są damami. Damami Urbana. Mężczyznom z hotelu, którzy pamiętają je jako prostytutki, przychodzi to jednak z trudem. Rącz patrzy gniewnie na Ďulę. Ďula spuszcza wzrok i wypija swoją whisky jednym haustem. I tak mu nie smakuje, robi to tylko dla Racza. Rączowi też specjalnie nie smakuje, ale pije dlatego, że jest najdroższa.

– No, do kurwy nędzy! – huczy świeżo upieczony hotelarz i wali pięścią w stół. – Kiedy oni zadzwonią?

Urban i prawnik już dawno powinni byli się odezwać. Idzie im to jak krew z nosa! W końcu jednak telefon dzwoni. Prawnik jest radosny i podniecony.

– Wszystko w porządku, szefie! – wrzeszczy do słuchawki, starając się przekrzyczeć szum, hałas i głosy innych rozmawiających. – Udało się! Dostaliśmy kredyt na wszystko. Mamy hipotekę na dziesięć lat! Wracamy do domu!

Rącz się cieszy.

– Wieziecie pieniądze?

– Nie, szefie. Wszystko się zaksięguje na konto – tłumaczy prawnik. – My do ręki nie dostaniemy ani szylinga!

Rącz kiwa głową z rozczarowaniem.

– A ile nam pożyczyli? – pyta.

– Równe trzydzieści pięć milionów, szefie – mówi prawnik z dumą.

Rączowi kręci się w głowie. Mój Boże, kiedy on, Rącz, to wszystko spłaci? Ale co tam! Od jutra bierze się do roboty. Dom handlowy zmieni się w hotel, to już postanowione. „Smakosz Center” się zamknie i jak najszybciej przerobi na centrum fitnessu z basenem, siłowniami i sauną. Będzie tam też tajski masaż. I bar. Restauracja „Pogorzelec” nadal będzie restauracją „Pogorzelec”, a niewielkie przedsiębiorstwa restauracyjne albo zostaną bez zmian, albo przedzierzną się w sex shopy. Tak, tego tu jeszcze nie było! Twarz Racza promienieje.

Wieczorem, kiedy Urban z prawnikiem wracają, euforia Racza osiąga punkt kulminacyjny. Rącz jest już pijany, ale trzyma się prosto. Chce dokładnie, ze szczegółami, wysłuchać wszystkiego, co współpracownikom udało się załatwić. Najbardziej interesuje go, jak było w banku. Potakuje, kiwa z zadowoleniem głową, gdy słyszy, że zostali tam powitani z wielkim respektem i że tak samo przyjęto wszystkie ich dokumenty: umowę kupna, biznesplany i rachunki z ostatnich miesięcy. Wygląda na to, że dla Austriaków też był to dobry interes. Żałowali, że Herr Rącz nie mógł wziąć udziału w negocjacjach – chętnie poznaliby go osobiście. Rącz jest zadowolony: darzą go szacunkiem. To dobrze. Zaprosi ich do siebie, postanawia.

Prawnik zaczyna się chwalić: negocjacje zakończyły się sukcesem, ponieważ on, prawnik, i Urban też, zrobili należycie sympatyczne wrażenie. Ich austriaccy partnerzy byli bardzo gościnni i trochę ich chyba nawet zabolalo, że oni, współpracownicy Racza, muszą jeszcze dziś wracać do domu. Najchętniej wybraliby się z nimi, z Urbanem i prawnikiem, na kolację biznesową. Dyrektor działu kredytów, który prowadził negocjacje, chciał ich zaprosić do jakiegoś „Pervers-Clubu”

niedaleko Wiednia – podobno można się tam nieźle zabawić.

– Zabawa zabawą, ale dobrze, że wróciliście – kwituje Rącz ich decyzję. – Jutro czeka nas praca jak w kamieniołomie. I dlatego każdemu jeszcze jeden chivas regal na dobranoc i na do widzenia! Świętowanie może poczekać – mówi hotelarz.

Mężczyźni dopijają, dopalają i wracają do swoich domów. Urban jedzie ze swoimi konkubinami taksówką, prawnika odwozi Ďula, a Rącz wjeżdża windą do gabinetu. Długo nie może zasnąć, przewraca się w łóżku z boku na bok. Nie wie, od czego zacząć. Tyle tego jest: remont willi nad miastem, przebudowa domu handlowego, założenie centrum fitnessu, ślub z Lenką, stworzenie sieci sex shopów, a do tego codzienna mrówcza praca, podczas której trzeba dopilnować miliona drobnych, ale ważnych interesów.

Rącz wstaje kilka razy w ciągu nocy. Po ciemku pije wodę z karafki, później podchodzi do okna, zapala havanę i patrzy w mrok. Zdumiewa się jaśniejącą nad rzeką linią horyzontu. Idzie do łóżka, ale nie może zasnąć. Gdy wreszcie mu się to udaje, nad ranem, sen jest krótki, migotliwy. To jeden z niewielu snów w jego życiu.

Nic się nie wydarzyło i Rącz, bez grosza przy duszy, wraca z miasta do swojej rodzinnej wsi. Kroczy wolno i ciężko, mimo że niesie tylko pusty plecak. Eržika wyszła za mąż za dumnego Feriego Bartaloša, ale Rącz już nie potrafi sobie przypomnieć ich twarzy. Droga jest zabłocona, a Rącz chodzi po wsi bez celu. Nikt go nie poznaje. Rącz nie umie znaleźć domu Kišša. W milczeniu przyjmuje gościnę od jakiegoś nieznanego mężczyzny. Jego żona wyniosła mu na podwórze talerz zupy fasolowej i grubą pajdę chleba. Rącz je i nic nie mówi. Chciałby opowiedzieć o wielkim bogactwie, które kiedyś miał, ale słowa więzną mu w gardle. Gdy w końcu zaczyna mówić, mężczyzna i kobieta słuchają z bolesnymi minami. Są przekonani, że zmyśla, ale nie osądzają go. Sam Rącz też nie ma pewności, czy

kiedykolwiek był tak bogaty, jak próbuje to przedstawić życzliwym wieśniakom. Przestaje jeść i się zastanawia: a może to wszystko tylko mu się śniło albo sam to wszystko wymyślił? Zaczyna płakać z żalu, przejęty własnym losem. Żałuje siebie tak, jak żałowałby drugiego człowieka, którego pokochał.

– Szefie, wstawaj! – wdziera się w jego sen głos Ďuli. Rác z przytomnieje. Leży w swoim apartamencie, niczego nie stracił. Ďula stoi nad nim i stanowczo, choć delikatnie, potrząsa go za ramiona. Kiedy widzi, że hotelarz już się obudził, wyjaśnia: – Kazał szef, żebym był u szefa o wpół do jedenastej!

Ale Rác ani trochę się nie złości. Wręcz przeciwnie, emanuje z niego dobra energia, mimo że jest niewyspany. Przykre odczucie związane ze snem zniknęło. Rác wyskakuje z łóżka i biegnie pod prysznic. Naprzemiennie puszcza ciepłą i zimną wodę. Robi kilka porannych ćwiczeń. Wkłada spodnie, koszulę i zawiązuje krawat. Ďula pstryka palcami i do pokoju po cichu wchodzi kelner, pchający przed sobą wózek ze śniadaniem. Rác czeka, aż kelner naleje mu filiżankę gorącej kawy, i sączy ją, patrząc w okno.

Miasto wydaje się opustoszałe. Ciemne, ołowiane niebo wisi nad dachami. Słońca nie ma, od dawna chowa się w chmurach. Kiedy od czasu do czasu się z nich wynurzy, świeci chłodnym, pastelowym światłem. Rzeka jest mętna i czarna. Statki mozolnie przebijają się pod prąd. Zaczyna padać deszcz, bębni po karoserii aut czekających na skrzyżowaniu na zielone światło.

– Bida – mówi Ďula, widząc spojrzenie Racza. – W marcu jak w garncu – dorzuca, jakby chciał przeprosić za porę roku.

Co tu dodać?

W ciągu najbliższych paru dni Rác podejmuje kilka istotnych

działań. Uwalnia sziptarów i Cyganów. Każdy z nich musi mu złożyć obietnicę posłuszeństwa i lojalności aż do śmierci. Od dziś będą pracować tylko dla niego.

Berki i Šípoš też wychodzą na wolność. Przez ten czas tak się jednak przyzwyczaili do kotłowni, że postanawiają nadal pracować w hotelu jako palacze.

Po nieszczęsnym dyrektorze słuch zaginął. Może w końcu udało mu się osiągnąć cel: koło podbiegunowe. A może wciąż jeszcze tam nie dotarł i w nocy pędzi przed siebie psim zaprzęgiem, a za dnia chowa się przed ciekawskimi spojrzeniami. Psy dyrektora dobrały się do Hurenszona pierwszego dnia odwilży. Rozwlekły jego kości po podwórzu i dookoła całego hotelu „Ambassador”. Obgryzioną i wylizaną do czysta czaszkę znalazł jakiś chłopiec, który następnie umieścił ją w przeszklonej szafce w swoim pokoju. Czaszka będzie tam leżeć dopóty, dopóki ojciec nie odkryje znaleziska, nie zapakuje go w gazetę i nie wyniesie po ciemku do śmietnika.

Dalsze losy Silvii i Edity też nie są nam znane. Ich ślad urwał się na przejściu granicznym z Austrią. Co roku w naszym kraju znika tyle pięknych kobiet w wieku od trzynastu do czterdziestu lat, że dwie prostytutki to tylko kropla w morzu.

Oczywiście Rącz spełnił obietnicę daną Lence w chwili słabości. Zaraz po tym, jak robotnicy zrobili z odrapanej, zapuszczonej – choć pięknej – willi luksusową rezydencję, Rącz, zaopatrzywszy się w olbrzymi bukiet, poszedł prosić o rękę Lenki. Zgodzono się natychmiast.

Ślub Racza stał się wydarzeniem towarzyskim roku. Rącz nie byłby Rączem, gdyby dyskretnie nie wykorzystał ceremonii jako szansy nawiązania nowych kontaktów: zaprosił na nią każdego, kto coś znaczył w mieście. Nikt nie odmówił. Nazwisko Racza już od dawna jest na ustach wszystkich. Rącz promienieje. Wciąż powtarza, że to

najważniejszy dzień w jego życiu. Panna młoda jest przepiękna. Pan młody w idealnie skrojonym ubraniu wygląda męsko. I bogato. Bardzo bogato.

Na ślubie stawiają się wszyscy zaproszeni: politycy, przedsiębiorcy, ważniejsi dziennikarze, ba, nawet rozmaici szurnięci artyści. Ci ostatni tylko piją, bo przecież jest za darmo, kiwiają z uznaniem swoimi brodatymi gębami i każdemu próbują wejść w tyłek.

Zaraz po ślubie nowożeńcy wprowadzają się do willi.

Plan prawnika, polegający na wprowadzeniu Rácza do polityki, okazuje się banalnie prosty. Podczas wesela Rácz przechodzi na ty ze wszystkimi zaproszonymi politykami i urzędnikami państwowymi. Po długich i ostrożnych rozważaniach decyduje, że z wielu partii, które pragną jego wsparcia, wybierze dwie. Do jednej z nich wciska Video-Urbana. Przewodniczący tej partii po krótkim czasie, w nagrodę za wielkie zasługi w prowadzeniu kampanii wyborczej, awansuje na członka zarządu. Nic dziwnego, Rácz nie szczędzi im pieniędzy. W wyborach samorządowych Urban kandyduje z ramienia swojej partii. Zostaje radnym. Przewodniczący partii obiecuje, że za dwa lata będzie mógł startować w wyborach parlamentarnych.

Polityka nie omija też prawnika. Rácz umieszcza go w drugiej ze wspieranych finansowo partii. Niedługo potem prawnik zostaje członkiem Słowackiej Rady Narodowej i zasiada w różnych komisjach powoływanych przez prezydenta miasta, Renceša. Rácz chce, żeby awansował on coraz wyżej, ale na razie trzeba poczekać, aż lojalny Ščepán sfabrykuje akta dotyczące rzekomej współpracy prezydenta Renceša z bezpieką. Po takim sensacyjnym odkryciu już nic nie przeszkodzi prawnikowi w zajęciu prezydenckiego stołka. Nie trzeba chyba wyjaśniać, że obtłuczona menażka wędruje wraz z prawnikiem i zajmuje centralne miejsce na ścianie w jego nowym gabinecie. Dzięki

temu prawnik nigdy nie zapomni, komu ma być wdzięczny za swoją karierę i komu powinien tę wdzięczność okazywać. Video-Urban tak samo.

Lenka zachodzi w ciążę i po skończonym roku przerywa studia, aby już ich nie kontynuować. Może kiedyś, w przyszłości.

Latem Rącz otwiera swoje centrum fitnessu. Na otwarciu pojawia się nowy prezydent miasta, który ucina sobie z hotelarzem dłuższą pogawędkę na temat rozwoju prywatnej przedsiębiorczości.

Jesienią zaczyna działać luksusowy hotel „Ambassador-Rącz II”. Rącz jest zadłużony po uszy, ale wygląda na zadowolonego. Wie, że w dzisiejszych czasach długi są najlepszą inwestycją.

Pod koniec roku rodzi mu się syn. Ma na imię Karol, po teściu. Chrzest odbywa się w tym samym kościele, w którym Rącz brał ślub. Do zatrudnianych przez Rącz dwóch służących, dwóch lokajów, ogrodnika, kucharza i – oczywiście – Āuli, czyli sekretarza, komornika, szofera i błazna w jednej osobie, dołącza też opiekunka do dziecka.

Codziennie, po lekkiej, smacznej i zdrowej kolacji Rącz wychodzi na taras, żeby w milczeniu, patrząc na gwiazdy, zapalić cygaro. Spogląda na rozpościerające się pod nim miasto. Na dachu każdego budynku, który do niego należy, świeci się zielone światło. Rącz liczy te światła co wieczór. Są jak zielone pinezki wbite w mapę. Kiedy kończy, zaciąga się z zadowoleniem havaną i wydmuchuje dym w nocną czerń, podbarwioną odcieniem indygo.

To wszystko on, Rącz, osiągnął tymi rękami i tą głową. Świat należy do bystrych, myśli sobie. Rącz dostał szansę i ją wykorzystał. Wieje wiatr. Hotelarz drży z zimna. Po raz ostatni zaciąga się cygarem i pstryka niedopałkiem przed siebie, w ciemność. Nie czeka na nowy

podmucha wiatru i kolejne dreszcze. Wchodzi pośpiesznie do środka, do willi, i energicznie zamyka za sobą szklane drzwi.

Nie wydaje wam się, że o kimś zapomnieliśmy?

Macie wrażenie, że historia jednego z naszych bohaterów nie została dopowiedziana do końca? Nie mylicie się. Ale cóż można powiedzieć o historii Fredy'ego Mešťánka, zwanego Szparszwajnem? Niezbyt chętnie, ale posłusznie płaci on prywatnej firmie „Sekuritatia” za ochronę przed złymi Cyganami, jada parówki i fasolę i znów przybiera na wadze.

Niczym zdenerwowana, choleryczna kula tłuszczu biega w tę i w tę po parkingu przed hotelem, wyzywając się na klientach bądź odwrotnie: podlizując się im aż miło.

Nie wierzycie? Lećcie go zobaczyć: może wciąż jeszcze tam jest!

Słowo od tłumaczki

Być może to cecha literatur młodych narodów – a do takich należy literatura słowacka – że częściej niż inne opowiadają o sobie. Ja rozumiem to tak, że chcą nam się one przedstawić, zawołać: „Halo, jesteśmy”, a zarazem odpowiedzieć na pytanie: „Kim jesteśmy?”.

Literatury takie lubią bohaterów skomplikowanych wewnętrznie, silnych i mądrych – bohaterów, którzy mówią nam o narodzie to, co naród chciałby o sobie usłyszeć: że jest sprawiedliwy jak Janosik i mądry jak Martin Pichanda z *Tysiącletniej pszczoły* Petra Jaroša.

Literatura lubi też niejednoznaczne charaktery. Czytelników fascynują morderczynie, szaleńcy, dyktatorzy, wariatki, złośliwcy, samobójcy. Demoniczne postaci o złożonym portrecie psychologicznym. Intelktualistki i filozofowie. Panie Bovary i panowie Raskolnikowowie. Bohaterowie Jána Johanidesa, Pavla Vilikovskiego czy Dušana Duška.

A co się stanie, gdy do młodej i wciąż jeszcze zachowawczej prozy wprowadzi się kogoś całkowicie odmiennego – antybohatera, ale takiego z krwi i kości? Gdy wprowadzi się postać, która nie walczy o sprawiedliwość, jak Janosik, ani o wykonanie planu, jak socrealistyczny przodownik pracy, tylko jest nieliterackim chamem i siermiężnym prymitywem, nieciekawym dla samego siebie ani dla innych, ani też – wydawać by się mogło – dla literatury? Postać, której kartę przetargową stanowią bezmyślna siła i ordynarne, trudne do wytłumaczenia zachowanie?

Idźmy dalej: co się stanie, gdy świat naszego antybohatera zaludniać będzie wyłącznie rzesza podobnych mu charakterów?

Horda małostkowych, tępych, egoistycznych osobników, pozbawionych cech pozytywnych? Co się stanie, gdy naturalnym środowiskiem ich wszystkich – prostackich, lecz żadnych władzy, wysypujących z siebie przekleństwa bądź komunikujących się monosylabami grubianów – będzie nie sceneria uroczej słowackiej wsi, gabinetów prawniczych czy uniwersytetów, tylko surowa przestrzeń urzędów, posterunków policji, hotelowych kuchni, przejść granicznych i półlegalnie prywatyzowanych sklepów? Albo ciemna, brudna, osmolona, odrapana, głośna, nieprzyjemna i obskurna kotłownia. Co się wtedy stanie? I kto to będzie czytał?

Dwa lata po aksamitnej rewolucji na Słowacji dokonuje się druga rewolucja: literacka. Wydany w 1991 roku debiut Petra Pišťanka okazuje się bestsellerem, który wkrótce zostaje przeniesiony na ekrany kin i deski teatru i który zapewnia autorowi wysokie miejsce w kanonie rodzimej literatury. Powstają również dwie kontynuacje przygód Rácza – opublikowane *Rivers of Babylon 2 alebo Drevená dedina* (1994) i *Rivers of Babylon 3 alebo Fredyho koniec* (1999). Odtąd kolejne generacje licealistów omawiają powieść w ramach przygotowań do matury, co wydaje się dość znamienne, jeśli wziąć pod uwagę, że w momencie wydania książki sam autor matury jeszcze nie miał.

Jak to się właściwie stało? Wspomniałam już, że Słowacy lubią pisać o sobie. „Nie pisałbym tyle o sobie, gdybym kogoś innego znał równie dobrze”, zaznaczał Henry David Thoreau w *Waldenie*¹. Ale powodów wyboru takiego tematu może być więcej.

Pisać o sobie można przecież również w celach terapeutycznych – np. po to, aby poznać i zrozumieć swoją tożsamość. Albo (jak to się działo w początkach rodzenia się „świadomej” literatury słowackiej) aby nie tyle ją poznać i zrozumieć, ile przede wszystkim stworzyć i usankcjonować, aby ukonstytuować swój autoportret (indywidualny

i kolektywny), także na gruncie narodowym. Sielskość, sprawiedliwość, mądrość, uważność, empatia, ugodowość – takie cechy charakteru narodowego wykreował słowacki mit założycielski.

Zerknijmy do historii Słowacji. Kiedy nadrzędne postulaty słowackiego odrodzenia narodowego – tj. odkrycie własnej tożsamości narodowej i przypieczętowanie jej słowem pisanim, a później również uzyskanie państwowości (mam tu na myśli powstanie Republiki Czechosłowackiej oraz klerofaszystowskiej I Republiki Słowackiej) – zostały spełnione, wysiłek Słowaków skoncentrował się na podtrzymywaniu, obronie oraz ciągłej nobilitacji tego, co z takim trudem udało im się wywalczyć. Młody naród skupiał się na potwierdzaniu swojego entuzjazmu dla łączenia literatury z ideologią, a nie było wcale oczywiste, że chodzi tylko o chwilową praktykę. W humorystyczny sposób zjawisko to opisuje pisarz Pavel Vilikovsky:

Każdy naród chciałby wyorać głęboką bruzdę w dziejach ludzkości, chciałby przeskoczyć samego siebie, a tymczasem do pięt nawet sobie nie dosięga, jedynie Słowacy, boże dzieci, widzą sens i treść swojej egzystencji w tym, że są. [...] Pełni zapału, wytyczają sobie jasny cel: Bądźmy jeszcze!²

Hasło „bądźmy jeszcze” wkrótce przedzierzgnęło się w maksymę „piszmy o sobie jeszcze!”. Najwyraźniej wiara w performatywną moc aktu pisania była wówczas naprawdę niezłomna.

W podobnie zjadliwym tonie utrzymany jest artykuł Alexandra Matuški zatytułowany *Słowacka wiara w przeszłość*. Autor pisze w nim:

Jesteśmy narodem archeologów, grabarzy. Słowacja to jeden wielki cmentarz. Zadzuski są u nas codziennie. Kopiemy i ryjemy w grobach, szukamy trupów, a działaczem narodowym jest dla nas przede wszystkim ten, kto wygrzebie jakiś zapomniany szkielet, wkłada go do formaliny i krzyczy: narodzie, uklęknij! Żyjemy w przeszłości, dla przeszłości.³

Uogólniając, można się pokusić o stwierdzenie, że słowacka literatura żyła w przeszłości i dla przeszłości aż do aksamitnej rewolucji.

I wtedy, na początku lat dziewięćdziesiątych, do tej literatury wchodzi Rącz. Cały na czarno, od smaru.

Cham, prostak, kombinator. Do Bratysławy przyjeżdża za pieniędzmi, którymi ma nadzieję zaimponować wybrance swojego serca, pochodzącej (tak jak i on) z głębokiej prowincji. Zarobić i wrócić – oto plan Racza. „Rącz da sobie radę. Miasto jest ogromne, pracy w nim nie brakuje”, myśli. Czytelnik może się śmiać z jego naiwności, mamy jednak lata dziewięćdziesiąte, a te w krajach postkomunistycznych rządzą się swoją logiką.

Kiedy nasz antybohater zaraz po przyjeździe do miasta rozsiada się w barze, zagaduje do niego pewien staruszek, palacz w kotłowni hotelu „Ambassador”. Mężczyzna proponuje Rączowi pracę, którą sam wykonywał przez większość swojego życia. „Lekka, dobra praca”, mówi Donáth. „Ale bardzo odpowiedzialna. Sam zajmujesz się całą kotłownią, w dzień i w nocy. Zgarniasz dwie wypłaty, wszystkie premie i nagrody. Jak chcesz szybko zarobić, to nie mogłeś lepiej trafić. Nigdzie indziej tak szybko nie napełnisz kieszeni. A zarazem się nie namęczysz. Tylko musisz tam ciągle być. Po pięciu latach jesteś prawie milionerem i do widzenia!”

Rącz nie będzie potrzebował aż tyle czasu, żeby się wzbogacić. Szybko zorientuje się, że źródłem potęgi palacza jest jego buta: wystarczy zakręcić kilka zaworów, żeby dyrektor hotelu i zmarznięci goście zrobili dla niego wszystko, byle tylko znów zaczął grzać. W mikrokosmosie „Ambassadora” dotychczasowe relacje zmieniają się o sto osiemdziesiąt stopni: z dnia na dzień ustanawia się nowa hierarchia.

Dla naszego bohatera oznacza to początek *American dream*, czy

raczej jego słowiańskiej, wczesnokapitalistycznej wersji, w której jednak, jak zobaczymy, nie liczy się ciężka praca, upór i intelekt, lecz kombinatorstwo, kolesiostwo, korupcja i żądza władzy.

Slavic dream nie śni się zresztą jedynie naszemu głównemu antybohaterowi, ale całemu uniwersum *Rivers of Babylon*: drobnemu przedsiębiorcy branży porno Video-Urbanowi, chciwemu strażnikowi parkingu Szparszwajnowi, eksubekom-gangsterom, tancerkom erotycznym, adwokatowi, dyrektorowi hotelu „Ambassador”, a nawet skromnej z początku studentce, która z czasem także ulega urokowi Rácza, niemieckich marek i dolarów.

W świecie bohaterów Pišťanka nie wiadomo, co wolno – a więc wolno wszystko. Kapitał zyskuje się z szemranej prywatyzacji i z wyłudzeń, a szacunek – na podstawie liczby obitych mord. „Oto my, Słowacy, boże dzieci”, mówi nam Peter Pišťanek. Ustami jednej z postaci, obserwatora z zewnątrz, szwedzkiego seksturysty Hurenszona, zdmuchuje słowackie mity i wywraca na nice tradycje narodowe:

Dopiero tutaj, na miejscu, od mieszkańców tego kraju dowiedział się o rzekomo sławnych artystach, astronomach i wynalazcach, o których nigdy wcześniej nie słyszał. Zamiast nich jednak Hurenszon miał szansę poznać tylko tanie kurwy, szmuglerów, aroganckich kelnerów i taksówkarzy, leniwe pokojówki i skorumpowanych policjantów. Ale Hurenszon stara się nie uogólniać. Zdaje sobie sprawę, że obserwacje wynikają ze specyfiki środowiska, w którym on, biseksualny turysta, się porusza. Jest przekonany, że Słowacy nie są tylko narodem leni i debili, że gdzieś tu muszą być również inteligentni, uczeiwie zarabiający ludzie. Chodzi o to, że Hurenszon nikogo takiego jeszcze nie spotkał. Nie zauważył też żadnych śladów świadczących o egzystencji takich osób.

Autor *Rivers of Babylon* drwi także z folkloru i z idei ludowości – istotnych pierwiastków słowackiej mitologii. Naród, jak uważało pokolenie szturowców (działaczy społecznych i politycznych skupionych wokół Ľudovíta Štúra, głównego ideologa słowackiego odrodzenia narodowego), jest rozumiany przede wszystkim jako

wspólnota kultury, kulturze zaś został odgórnie narzucony prymat ludowości. Folklor uosabiał to, co rodzime, czyste i niewinne, a ludowość, tę przed Pišťankiem, postrzegano jako źródło mądrości i ostoję religii. *Rivers of Babylon* bezlitośnie przewartościowuje ten pogląd. Folklor to skórzane kurtki, szeleszczące dresy i złote łańcuchy, a mądrość ludu to sztuka korumpowania i kombinowania.

Mają Państwo w rękach jedyną przetłumaczoną na język polski powieść Petra Pišťanka, zmarłego w marcu 2015 roku. Nie znaczy to jednak, że autor jest w Polsce całkowicie anonimowy. Fragmenty jego twórczości pojawiały się kilkakrotnie w różnych czasopismach. Jeden z nich – w kontekście wyjątkowo odważnej erotycznie *Rivers of Babylon* – zasługuje na szczególną uwagę.

Parę lat temu na potrzeby artykułu naukowego tworzyłam spis polskich przekładów literatury słowackiej po 1989 roku. Korzystałam ze stron internetowych „Polskiej Bibliografii Literackiej”, dzięki którym udało mi się trafić na wychodzące we wczesnych latach dziewięćdziesiątych czasopismo „Erotyka w Życiu i Literaturze”, gdzie obok pornograficznych ilustracji i zdjęć publikowano również przekłady z literatury światowej. Przy tak nikłym zainteresowaniu literaturą słowacką w Polsce i dość kapryśnej uwadze poświęcanej literaturze czeskiej istnienie „Erotyki” było dla mnie odkryciem. Redaktorzy tego pisma przez całe dwa lata ukazywania się magazynu udostępniali jego łamy głównie literaturze czeskiej i słowackiej, a co więcej, do współpracy zaprosili m.in. jednego z bardziej zasłużonych tłumaczy wspomnianych literatur – Józefa Waczkowa. Żadne inne czasopismo ukazujące się w Polsce po 1989 roku nie troszczyło się tak solidnie i regularnie o czytelników zainteresowanych twórczością naszych południowych sąsiadów; to właśnie w „Erotyce” można było po raz pierwszy przeczytać fragmenty *Rivers of Babylon*.

Podczas prac nad artykułem udało mi się skontaktować z autorem i poinformować go o swoim odkryciu. Peter Pišťanek nie dożył wprawdzie wydania niniejszej książki, ale jego ówczesna entuzjastyczna reakcja na wieść o polskich przekładach fragmentów *Rivers of Babylon* każe mi wierzyć, że i dziś byłby zachwycony.

Olga Stawińska

Warszawa 2019



Olga Stawińska

Absolwentka krakowskiej słowacystyki. Pisarka publikująca pod pseudonimem oraz tłumaczka. *Bored teenager*.

W serii „Słowackie Klimaty” dotychczas ukazały się:

- Pavol Rankov, *Zdarzyło się pierwszego września (albo kiedy indziej)*, przeł. Tomasz Grabiński
- Pavel Vilikovský, *Okrutny maszynista*, przeł. Tomasz Grabiński, Justyna Wodzisławska
- Ivana Dobráková, *Bellevue*, przeł. Izabela Zając
- Maroš Krajňak, *Carpathia*, przeł. Weronika Gogola
- Pavol Rankov, *Matki*, przeł. Tomasz Grabiński
- Pavel Vilikovský, *Opowieść o rzeczywistym człowieku*, przeł. Tomasz Grabiński
- Pavol Rankov, *Zdarzyło się pierwszego września (albo kiedy indziej)* – dramat, przeł. Tomasz Grabiński
- Maroš Krajňak, *Entropia*, przeł. Miłosz Waligórski
- Peter Krištúfek, *Dom głuchego*, przeł. Olga Stawińska
- Maroš Krajňak, *Informacja*, przeł. Weronika Gogola
- Monika Kompaníková, *Piąta łódź*, przeł. Izabela Zając
- Ján Púček, *Przez ucho igielne (sploty)*, przeł. Weronika Gogola
- Marek Vadas, *Uzdrowiciel*, przeł. Małgorzata Dambek

Wkrótce ukaże się:

- Andrej Bán, *Słoń na Zemplinie*, przeł. Miłosz Waligórski

SIEJEMY FERMENT LITERACKI!

W „Serii z Winnicą” każdej z książek przyporządkowany jest jeden z podstawowych kolorów wina – biały, różowy lub czerwony, tak by zasugerować charakter lektury, zaintrygować miłośników wina i skłonić książkożerców do wejścia w świat enologii.

Dziewięć książek, trzy kolory i – mamy nadzieję – mnóstwo rozmów i inspiracji! Jakie wino najbardziej pasuje do tej powieści? Czekamy na opisy, zdjęcia, historie. Najciekawsze pomysły nagrodzimy. Odpowiedzi prosimy wysłać na adres: promocja@ksiazkoveklimaty.pl, temat: „Seria z Winnicą”.

Dotychczas w „Serii z Winnicą” ukazały się:

- Makis Tsitas, *Bóg mi świadkiem*, przeł. Michał Bzinkowski
- Pierre Mejlak, *Co pozwala powiedzieć noc*, przeł. Krzysztof Szczurek
- Emilios Solomou, *Nienawiść to połowa zemsty*, przeł. Ewa T. Szyler, Beata Żółkiewicz-Siakantaris
- Max Blecher, *Rozświetlona jama. Dziennik sanatoryjny*, przeł. Joanna Kornaś-Warwas
- Miljenko Jergović, *Bębny nocy. Studium*, przeł. Magdalena Petryńska
- Radka Denemarková, *Kobold*, przeł. Olga Czernikow, Agata Wróbel
- Antonis Georgiou, *Album z opowieściami. Pewna historia*, przeł. Przemysław Kordos

Wkrótce ukaze się:

- Edina Szvoren, *Nie ma i lepiej, żeby nie było*, przeł. Anna Butrym

1)

H. D. Thoreau, *Walden, czyli Życie w lesie*, tłum., przedm., oprac. H. Cieplińska, Poznań 2018, s. 29. ↵

2)

P. Vilikovský, *Wiecznie zielony...*, tłum. J. Waczków, Kraków 2004, s. 85. ↵

3)

A. Matuška, *Słowacka wiara w przeszłość*, tłum. M. Papierz, w: *Kwestia słowacka w xx wieku*, tłum. P. Godlewski, Z. Jurczak-Trojan, M. Papierz, wybór, wstęp R. Chmel, posł. A. Michnik, Gliwice 2002, s. 123. ↵


Fot. Boris Németh



*Tutaj kiedyś kończyła się Czechosłowacja.
Trzeba o tym powiedzieć bez cienia
sentymentu, jako nagi fakt. Był kraj,
nie ma kraju. Nie ma kraju, a jest.
W tej części Europy to nic nadzwyczajnego.*

Czas na świetny reportaż ze Słowacji

Przekład: Miłosz Waligórski

 KSIĄŻKOWE
KLIMATY

SERIA  SŁÓWACKIE
KLIMATY

PETER PIŠTANEK

RIVERS OF
BABYLON



KSIĄŻKOWE
KLIMATY